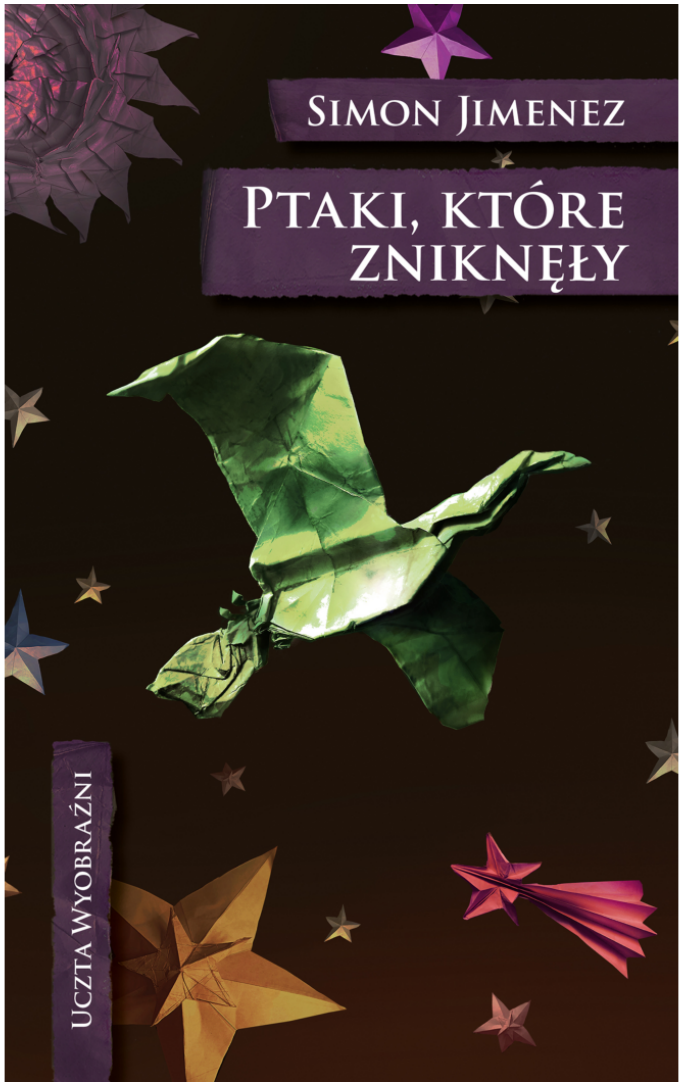
Simon Jimenez
Ptaki, które zniknęły
Uczta Wyobraźni

SIMON JIMENEZ

PTAKI, KTÓRE ZNIKNĘŁY

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

Wydawnictwo MAG
WARSZAWA 2022

Tytuł oryginału: *The Vanished Birds*

Copyright © 2020 by Simon Jimenez
Copyright for the Polish translation
© 2022 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Ilustracja na okładce: Irek Konior

ISBN 978-83-67023-76-4
Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 2519 www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część I

1.
2.
3.
4.

Część II

5.
6.
7.
8.
9.
10.
11.

Część III

12.
13.
14.

Podziękowania

Przypisy

Mamie i tacie,
najdziwniejszym ludziom,
jakich w życiu kochałem.

Część I

1.

Sześć żniw

Urodził się z jedenastym palcem. Małym guzkiem z mięsa i kości obok małego palca prawej dłoni. Lekarz uspokoił zaniepokojonych rodziców i powiedział, że to nieszkodliwe.

– Chociaż… – dodał, rozwiązując mały płócienny woreczek. – Do uprawiania dhuby rolnik potrzebuje tylko dziesięciu palców.

Uśpił niemowlę dymem z palonych ziół i przyżegającym nożem ściął mu guzek z dłoni.

A matka, choć wiedziała, że w ziołowym śnie jej dziecko nie czuje bólu, skrzywiła się, gdy ciął, i po wszystkim przycisnęła syna do piersi, modląc się, by po przebudzeniu nie pamiętał o operacji. Jej mąż, nawet w takiej chwili niezdolny powściągnąć swojego hedonizmu, zaciągnął się głęboko leczniczym dymem i został obdarzony wizją przyszłości – rozszerzonymi źrenicami zobaczył swego syna, dorosłego człowieka, postawnego i potężnego, z wielkim domem na szczycie wzgórza. Nowego gubernatora Piątej Wsi.

By upamiętnić tę wizję, kazał wygotować guzek, a nagą kość umieścić w szklanym słoju, którym potrząsał w gorsze dni, słuchając stukotu amuletów na szczęście i szepcząc do dziecka:

– Kiedyś będziesz tu rządził.

Chłopiec gulgotał w jego objęciach, zbyt mały, by uświadomić sobie drobne i urozmaicone sposoby, którymi życie przytwierdzało go do tej ziemi.

Nazwali go Kaeda, dawnym imieniem tego świata.

Kaeda dorastał dumny z blizny na prawej dłoni, której kształt zmieniał się przez lata. Kiedy miał ich siedem, rozrosła się faliście wzdłuż brzegu śródręcza, jak wijąca się rzeka. Z przyjemnością pokazywał ją, poproszony, innym dzieciom, chichocząc, gdy gładziły ją ze zmarszczonymi brwiami, zarazem zachwycone i zbrzydzone jej fakturą. Niektóre nazywały go przeklętym; były to dzieci, które nauczyły się od rodziców nieufności do tego, co niezwykłe. Im podsuwał bliznę pod sam nos i konfrontował je z nią, powtarzając słowa ojca: „Kiedyś będę tu rządził!”, i samą siłą woli przekonywał je, że blizna na dłoni przynosi mu szczęście.

Miał naturalną charyzmę. Opiekunowie go rozpieszczali, inne dzieci bawiły się w to, co chciał, uważały to, co on. Wszyscy, z wyjątkiem dziewczynki imieniem Jhige, która nigdy nie przeoczyła okazji, by zakwestionować jego szalone tezy, stawiając własną dumę w konfrontacji z jego dumą, gdy zaprzeczała jego teoriom, dlaczego niebo jest czerwone i dlaczego wszystko pachnie słodko i łagodnie nad ranem

i kwaśno jak owoc kiri o zmierzchu.

– A twoja blizna nie jest niczym specjalnym! – wołała. – To tylko znaczy, że urodziłeś się nie taki, jak trzeba!

I przewracali się w żółtej trawie, póki opiekunowie ich nie rozdzielili. Prawie każdego dnia walczyli jak psy, lecz mimo siniaków, które zanosił na sobie do domu, wychodził z tych zapasów niczym nieprzejęty, przekonany, że ona jest po prostu zazdrosna, że to jemu, nie jej, pisana jest wielkość. Co to za wielkość, nie wiedział i nie miał wiedzieć, dopóki nie przyjadą pozaświatowcy.

Do tego dnia znał jedynie historie opowiadane przez rodziców – że co piętnaście lat pozaświatowcy rozpruwają niebo swymi statkami z tkaniny i metalu, lądują na równinach na wschód od wioski i zabierają zbiory nasion dhuby. Ojciec mówił, że ten szczególny dzień nazywa się Dniem Dostawy i że w każdy Dzień Dostawy urządza się wielkie święto, dla pozaświatowców i rolników.

– Święto, które będziesz pamiętał do końca życia – obiecywał.

Matka w drugim pokoju parsknęła śmiechem.

– Chyba że za dużo wypijesz.

– Picie to połowa zabawy – skontrował ojciec.

W noc przed pierwszym Dniem Dostawy Kaeda nie mógł spać. Jego mózg był zbyt ożywiony opowieściami, nowymi twarzami, które miał zobaczyć, nowymi dłońmi niepoplamionymi fioletowo sokiem z dhuby. Patrzył przez małe okienko swej sypialni na czarne niebo upstrzone gwiazdami, nie zważając na późną godzinę, i wyobrażał sobie, jak to jest przeskakiwać z jednego światełka na drugie. Jakie miejsca są tam, po drugiej stronie. Kiedy matka przyszła z rana go zabrać, był wyczerpany, zużywszy w nocy całą energię na tworzenie tych fantazji. Ospale wsunął nogi w sandały i głośno narzekał, idąc z resztą mieszkańców wsi na wschodnią równinę, błagając o chwilę odpoczynku, aż ojciec westchnął i wziął go na barana, gdzie to odpływał, to przytomniał, nieświadomy czasu i miejsca, jedynie ciepłego i mocnego zapachu męskich barków, niczym węgielków z dogasającego ognia.

Zasnął.

Nagle niebo pękło i obudził się z krzykiem, a ojciec zaśmiał się i pokazał w górę. Kaeda powiódł wzrokiem za jego palcem do miejsca, gdzie na tabliczce czerwonego nieba rysowało się łukiem nad horyzontem dwanaście cienkich zielonych linii, a ich końcówki się powiększały. Niecałe dwie minuty później olbrzymie metalowe potwory opadły z trzęsącym ziemią grzmotem na gruby dywan traw, jeden po drugim, atakując drganiami jego serce, obrzmiałe od świadomości, że nigdy nie widział tak wielkich maszyn i niczego tak misternego jak ich płócienne skrzydła i połyskujące w słońcu płyty kadłubów, niczego tak potężnego jak grom dźwiękowy drzwi-ramp, które opadły na ziemię jak rozwarte w pół krzyku szczęki, ani jak ludzie, którzy wyszli ze środka, w każdym możliwym kolorze skóry, niektórzy jaśniejsi od niego, inni ciemniejsi, w ubraniach jakby utkanych z gwiezdnego blasku. Jego świat rozszerzył się oszałamiającą, mdlącą falą, by ogarnąć te nowe wydarzenia. Zadygotał. Potem się zsikał. Ojciec zaklął i postawił go na ziemi, krzywiąc się i macając plamę na plecach.

Pozaświatowców zaprowadzono na poduszki w samym środku Piątej Wsi. Na szerokich półmiskach serwowano misy trunków i talerze ciastek z dhuby – podłużnych,

fioletowych i kruchych. Z miejsca, gdzie siedział, Kaeda nie widział pozaświatowców – lekko rozczarowany opychał się słodkimi bułkami i opijał sokiem, czując ciepło i komfort pomiędzy poruszeniami ciał rodziców, ciesząc się głośnymi trzaskami, gdy matka swymi muskularnymi palcami rozłupywała orzechy, i grzmotem pijanego, radosnego śmiechu ojca. Czuł zadowolenie, że jego świat jest tak kompletny – uśmiechnął się nawet do Jhige, siedzącej z własną rodziną na drugim końcu długiego stołu, a ona, zdumiona, odpowiedziała na uśmiech, machając ręką, po czym wróciła wzrokiem do swojego wuja, w trakcie kolejnej niewiarygodnej opowieści o Krwawej Bestii z południowego lasu – strasznej historii, po których dzieci często budziły się w nocy i wpatrywały w ciemne kąty swych pokojów, czekając na pożarcie. Dorośli wybuchnęli śmiechem.

Po bankiecie, gdy zaczęło się ostre picie, opiekunowie i nowi rodzice odprowadzili dzieci do domów. Kaeda nie chciał jednak jeszcze kończyć nocy – do tej pory nie spotkał żadnego pozaświatowca – zaplanował więc ucieczkę z grupy. Powiedział swojemu kumplowi Sadowi, żeby skłamał opiekunom, że dawno pobiegł do domu, i zanim Sado zdążył kiwnąć głową, już go nie było, biegł pod ścianami przysadzistych budynków z powrotem ku ognisku i ostremu zapachowi alkoholu.

I właśnie tam, na końcu uliczki, zanim wyszła na rynek, zobaczył ją – kobietę, samotną, na ławce, obrysowaną światłem ognia.

Trzymała przy ustach drewniany flet. Palce tańczyły wzdłuż niego, grając muzykę, która kojarzyła się Kaedzie z dźwiękiem wiatru gwiżdżącego w uchylonych drzwiach. Obserwował ją z cienia. Nawet na siedząco wydawała się wysoka. Była czarnoskóra, z głową ogoloną do gołej skóry, w prostszym stroju niż jej pobratymcy: białej bluzce z wycięciem do obojczyka i ciemnych spodniach opinających krągłości nóg. Każda zagrana na flecie nuta sprawiała, że ogień przed nimi tańczył. A może to ogień wpływał na muzykę, może gwiazdy, może wszystko, razem i w harmonii. Pieśń była jak sama noc. Kryła się w śmiechu jego ludu tańczącego wokół ognia, w zapachu owoców i dymu w powietrzu; w światełkach odbitych od kropelek potu na jej obojczyku. Była wszędzie. Dech kobiety przepływał przez drewnianą rurę i rozlewał się ciepłem po jego brzuchu, czule go hipnotyzując, póki jej wielkie oczy go nie dostrzegły.

Muzyka ustała.

Kobieta odezwała się dwoma głosami, jednym w języku, którego nie rozumiał, a drugim w jego własnym. Brzmiało to, jakby miała w sobie ducha samej siebie, jakby sama była własnym odległym echem. Był za mały, żeby zrozumieć, że podwojony głos powoduje usterka jej automatu tłumaczącego – uznał więc, że to jakieś pozaświatowe czary.

– Podobało ci się? – zapytała. Chodziło jej o muzykę.

Kiwnął głową. Wstała i podeszła do niego. Miała długi cień, sięgający daleko za niego, w pasmo ciemności na końcu uliczki. Jakiś instynkt kazał mu uciekać, jakby jakaś część jego jaźni wiedziała, że jeśli tu zostanie, nie będzie powrotu, zignorował jednak to przeczucie i z uporem wbił nogi w ziemię. Kucnęła przed nim, spojrzała mu w oczy. Na tyle blisko, żeby poczuł kwietną chemię jej skóry.

– Weź go – powiedziała i podała mu flet.

Ich palce musnęły się, gdy brał prezent. Przycisnął flet do piersi z całej siły, a ona

spojrzała nań i uśmiechnęła się tak, jak to potrafili tylko dorośli – jednocześnie radośnie i smutno – on zaś patrzył, jak odwraca się i idzie w stronę ogniska, podczas gdy w jego mózgu, w tyle głowy wypalała się jej sylwetka. Nie wiedział wówczas, że ta sylwetka pozostanie tam na lata. Patrząc, jak idzie, czuł jedynie ciepło, które napawało go zarazem radością i lękiem.

Przycisnął flet do ust, ustnik był jeszcze wilgotny.

Z rana w palenisku został tylko suchy popiół, a podróżnicy zniknęli, zabierając ze sobą zgromadzone przez jego lud nasiona. Flet leżał przy łóżku Kaedy. Powiedział rodzicom, że to prezent – ojciec zinterpretował to, tak samo jak jedenasty palec, jako omen zwiastujący pomyślność, a matka przyjęła jako kolejny nużący fakt. Grał na nim, kiedy czuł się samotny; leżąc na strzesze domu, dął w ustnik, aż drapało go w gardle. Nie potrafiąc wydobyć idealnie czystej nuty, wypełniał swe noce niezdarnymi, acz pełnymi zapału melodiami. Piosenkami, które denerwująco się powtarzały.

Najpierw zaczęły się niewinne sny o tym, że pokazuje jej swoją ziemię, uczy jej reguł gier, w które gra z przyjaciółmi – „jedną stopę podnieś powyżej kolana, przyłóż palec do nosa i zaśpiewaj pieśń żniwną wspak". W tych snach ona go słuchała i nigdy nie odzywała się do niego protekcjonalnie. Podobała jej się blizna na dłoni, mówiła mu, że jest bardzo odważny. Potem przyszły te drugie sny, ciche i mokre, w których siedziała w nogach jego łóżka, palcem dotykała jego stopy, dużego palca, potem przesuwała nim po podbiciu, po gołej nodze, kreśląc elektryczny ślad, aż do spięcia, do eksplozji.

Potem skończył czternaście lat.

Zaczął pracować w polu, razem z rodzicami uczącymi go, jak wycisnąć z rdzenia łodygi galaretowate fioletowe nasiona, jak wrzucić delikatne płody do misy z plecionki, jak zrąbać maczetą pustą łodygę u nasady trzema dokładnymi uderzeniami. Kiedy trochę się poduczył, wysłano go na własne pole, dalej wzdłuż drogi, gdzie pracował razem z Jhige i innymi, przelotnymi, znajomymi. Od pracy miękkie ciasto młodzieńczego ciała uformowało się w twarde i użyteczne mięśnie, napierające od wewnątrz na skórę jak setki małych piąstek. Kobiety to zauważały – i niektórzy mężczyźni. Jhige także. Ich dziecięca rywalizacja zmieniła się teraz w figlarne koleżeństwo. Żarty, którymi się przerzucali, były zabarwione czymś nieokreślonym i ekscytującym, tak jak ukradkowe spojrzenia rzucane sobie nawzajem spomiędzy obrabianych zagonów.

Później, w porze wilgotnej, zapytała go w drodze do domu – pośpiesznie, jakby chcąc zwalczyć własną nerwowość – czy mu się podoba. Potknął się o grudę ziemi. Powiedział, że tak. Bo podobała mu się. Jednakże wieczorem, kiedy obmacywali się nawzajem za stodołą i robili sobie malinki na skórze, on całował inną kobietę, żar ogniska lizał mu twarz, a tamta szeptała swym podwojonym głosem dawno spalone sekrety tego świata.

Związek z Jhige nie potrwał długo. Oboje zorientowali się, że jego myśli są gdzie indziej. Patrzył obok niej, gdy leżeli razem, trzymał ją bez życia za rękę, gdy szli przez wieś spotkać się z przyjaciółmi, a kiedy się kłócili, on zawsze poddawał się pierwszy, jakby nie chciało mu się myśleć nad ripostą, nie mówiąc już o ustępstwach. Koniec był cichy i nagły. Zobaczył na rynku, że Jhige trzyma za rękę innego chłopca, pracującego na innym polu, imieniem Yotto. Dobry chłopak i zdaniem Kaedy głu-

pawy, niezdarnie machający maczetą. Kiepski wybór dla Jhige. Nie powiedział jej o tym i przeszedł obok nich bez słowa. Minęły lata, nim na nowo zaczęli ze sobą rozmawiać.

Tymczasem miewał inne miłostki, z których żadna nie przetrwała dłużej niż miesiąc, zawsze bowiem dopatrywał się u nich jakiejś wady – nie dość wysoka, za mało silna, za mało bystra, choć prawdziwy, ukryty powód zawsze był ten sam – żadna nie była nią.

Leżąc na strzesze, patrząc w gwiazdy, potrafił przekonać sam siebie, że gdzieś daleko stąd ona także o nim myśli.

Na piętnaste urodziny otworzyli jego pierwszy dzban alkoholu i polali mu nim głowę w gorzkim chrzcie, wprowadzającym go w świat dorosłych, pijących w nocy, a w dzień sunących po fioletowych polach.

– To jest początek twojego życia! – wołał ojciec, ściskając jego twarz spracowanymi dłońmi, całując go w czoło, pijany, powtarzając stary refren: – Kiedyś będziesz tu rządził.

Kaedzie, zasypywanemu całusami, przyszło do głowy, że wszystkie te dobre wróżby zawsze mają się ziścić w przyszłości, nigdy teraz.

– Po prostu poczekaj, a zobaczysz.

Czekał.

Kiedy nadszedł kolejny Dzień Dostawy, miał dwadzieścia dwa lata. Pracował na polach, wyciskając z łodyg ostatnie nasiona, gdy Sado szturchnął go łokciem i pokazał niebo.

Chmury przecinało dwanaście zielonych linii znikających za horyzontem wysokich łodyg na wschodzie.

– Już są – powiedział.

Kaeda kiwnął głową, a dłonie mu drżały, kiedy ścinał kolejną łodygę, chcąc czym prędzej zakończyć dzienny przydział. Przytoczyli pełne nasion pojemniki z powrotem do wsi. Przyjaciel ostrzegł go, żeby się zanadto nie ekscytował, bo nawet jeśli ona tam będzie, jest duża szansa, że już go nie pamięta, na co Kaeda wyszczerzył zęby i powiedział:

– Mam nadzieję, że nie pamięta. – Chciał bowiem, żeby widziała w nim nie chłopca sprzed wielu lat, lecz mężczyznę wartego jej nocy.

– Kiedy cię pogoni, przyjdź z powrotem i napij się ze mną i resztą tego samotnego dziadostwa – powiedział Sado, klepiąc go po ramieniu.

Kaeda parsknął śmiechem. Wykrzyczał pierwszą sylabę pieśni na powrót do domu i uśmiechnął się, gdy śpiew poniósł się przez długą kolumnę rolników, pełnymi głosami, już niemogącymi doczekać się nadchodzącego święta. Wprowadzili plecione pojemniki do budynku skupu, by zważyć je i zdać do magazynów, a kiedy został odebrany ostatni pojemnik, pobiegli do domów, by przebrać się w czyste spodnie i odświętne szaty. Gdy wrócili na rynek, ognisko już strzelało wysoko w niebo. Kaeda wziął dzban z długiego stołu i pociągnął spory łyk, który rozpalił mu gardło odwagą, zanim poszedł jej szukać. Cały rynek pulsował cieniami tancerzy wokół ognia, ziemia przesuwała się pod nogami, błyskały twarze, żadna nie należała do niej, żołądek zaczynał trawić strach, że może nie wróciła – wtem dostrzegł kątem oka oświetlony zaułek i ją, na ławeczce, patrzącą z łagodnym uśmiechem na tańczących

i na ogień.

Wiedział, że dla niej czas biegnie inaczej, choć i tak wstrząsnęło nim, jak bardzo jest podobna do jego snów, jak niewiele się zestarzała. Wyprostował plecy i wypiął pierś, choć cały ten popis przekreślił podczas przedstawiania się, zacinając się na prostych sylabach swego imienia. Pozaświatówka i tak uśmiechnęła się do niego, światło błysnęło na wypukłości jej ust i otworzyło mu serce. Wszystko, co tłumił w sobie przez ostatnie piętnaście lat, wysypało się na ziemię, wprost pod jej nogi. Plątanina pragnień i żądz.

– Cześć – powiedziała.

Nazywała się Nia Imani. Powiedziała mu, że to stare imię z czasów, gdy Ziemia była cała, ale kiedy zapytał, czy dała je matka, czy ojciec, uśmiechnęła się i zaczęła mówić o swojej pracy.

Naturę ich podróży już z grubsza znał. Gubernator mówił o tym w każdej wymęczonej mowie powitalnej na polach. Mimo to słuchał z wielką uwagą, gdy opisywała wrażenia, jakich doświadcza jej ciało, gdy statek wydostaje się z tej rzeczywistości i wplata w drugą. Powiedziała, że tamta nazywa się „Kosmiczny Fałd". Miejsce, w którym czas biegnie inaczej. Wyobrażał sobie to, o czym mówiła – czarny ocean, z prądami, wirami i nurtami rozciągającymi sekundy w godziny, w lata. Niektóre prądy rozciągały czas nieskończenie, inne tylko o parę chwil. Zawsze jednak powstawała różnica w czasie.

– Możemy w ten sposób pokonywać wielkie odległości, ale za każdym razem, gdy wracamy, wszystko jest inaczej – powiedziała. – Na tej trasie przybywamy Prądem Wytrwałym i odpływamy Nieśmiałym. One mają stałą różnicę czasową. Dla mnie zawiezienie waszych zbiorów do celu i powrót po następny ładunek trwa osiem miesięcy, ale u ciebie mija…

– Piętnaście lat – dokończył. Doskonale znał tę liczbę. – A jak to jest, kiedy wracasz do domu i wszyscy są starsi, a ty nie?

– Czasem smutno – odparła. Po chwili dodała z uśmiechem: – A czasem dobrze.

Powiedziała mu, że korporacja Umbai zleciła jej sześć cykli dostaw i to jest drugi.

– Czyli wrócisz jeszcze cztery razy.

– Tak – powiedziała. – Tylko cztery. Jesteś pewien, że wcześniej się nie spotkaliśmy?

Zapewnił ją, że nie, na pewno nie, bojąc się, że prawda i tak wyjdzie na jaw i cały czar nocy pryśnie, a ona tylko pogłaszcze go po głowie jak małego chłopca i powie „Dobranoc".

Ona jednak nie drążyła i zaczęła wypytywać go o pracę. Znowu wypiął pierś.

– Jestem najlepszy na moim polu i piąty we wsi. – Opowiedział o porach wilgotnych, kiedy jałowe pola pokrywa cienka warstewka białej mgły, kiedy jest najlepszy czas na przesadzanie łodyg, jak korzenie żywią się wilgocią z powietrza i cukrem z przeoranej ziemi. – Zbieramy nasiona, kiedy niebo wessie z powrotem całą wilgoć. Po jednym dniu pracy dłonie masz całe fioletowe. – Pokazał wierzch dłoni, pokrywającą go malwową patynę, a kiedy przesunęła po niej ręką, cały zadygotał.

– Dumny jesteś ze swojej pracy – powiedziała. To nie było pytanie.

– Tak – odpowiedział, co nie zawsze było prawdą.

Przez większość dni uważał pracę za nudną, chwilami męczącą, nigdy nie pomy-

ślał, że może być nadzwyczajna. Dziś, gdy każdego jego słowa słuchała ona, ta sama praca wydawała się ważna, mająca o wiele większe znaczenie niż on sam. Mówił, aż nie zostało mu słów, temat został wyczerpany, lecz powietrze między nimi wciąż buzowało gwałtowną energią. Położyła dłoń na ławeczce tuż obok jego drżących palców. Przełknął ślinę.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział.

Słowa wypadły mu z ust jak kamyki.

Ale ona je pozbierała, jedno po drugim, i powiedziała mu, że on także jest piękny – wtedy w jej oczach dostrzegł to samo pragnienie. Poszedł za nią pomiędzy tancerzami, mijając długie stoły, przy których jedli ludzie, mijając Sada i innych samotnych młodych mężczyzn, którzy pili, pocieszali się nawzajem i zagryźli wargi z zazdrości, gdy on i pozaświatówka oddalali się w mrok. Mijając Jhige, która nawiązała kontakt wzrokowy tylko na moment, a potem odwróciła się do swego męża i mocno objęła jego tłustą talię.

Szli ciemną drogą, stopy plątały mu się i potykały na koleinach, Nia zaś maszerowała obok, wyprostowana i dostojna, z czarującym uśmiechem. Chciał się zatrzymać, mieć chwilę, by zapamiętać ją na tle miasteczka, ona jednak wsunęła mu dłoń do spodni, łapiąc za twardego penisa, i pociągnęła go w dół małego wzgórza, za wielki kamień, gdzie wcisnęła go w ziemię biodrami, napierając mocno dłońmi na jego pierś, unieruchamiając, jego ręce ściskały jej piersi, talię, wszystko, by tylko trzymać się tego snu, póki się nie skończył i nie legli razem na trawie, nadzy i wyczerpani. Położyła mu głowę na piersi, dłoń na pępku, jej ciężar przyjemnie przygważdżał go do ziemi. Oboje odpłynęli myślami. Pogrążony w bezbrzeżnej satysfakcji zaczął nucić piosenkę. Pieśń przeznaczoną na koniec długiego dnia. Kiedy zapytała go, co nuci, opowiedział jej o pieśni na powrót do domu.

– Śpiewamy tak, wracając z pól po pracy – powiedział. Palcami pogładził szorstką skórę na jej głowie. – To piosenka o tym, że dajemy coś za coś. Dzień sobie weź, lecz noc mi daj.

– Ładne – odrzekła z westchnieniem. – Zaśpiewaj jeszcze raz.

I zaśpiewał, snując piosenkę, jakby owijał sznurek wokół palca, sznur, który przyciskał do siebie ich ciała, aż ona zapadła w sen. Kiedy spała, wsłuchiwał się w noc. Trzeszczenie owadów. Wietrzyk gwiżdżący nad polami i wznoszący się ku niebu. Jej oddech. Nieartykułowane mamrotanie w snach.

Nagle zrozumiał, czego chce.

Szturchał ją w ramię, dopóki się nie poruszyła.

– Mogę pojechać z tobą? – zapytał.

Rozchyliła powieki.

– Dokąd? – zapytała.

Serce poderwało się do galopu.

– Wszystko jedno.

Zamrugała raz i zamknęła oczy.

– Być może – szepnęła. Odwróciła się i przycisnęła plecy do jego piersi. – Rano porozmawiamy.

– Dobrze – powiedział.

Słuchał jej głośnego, dudniącego chrapania i to też mu się podobało. To nie były

tylko sny, pomyślał z dumą. A niebawem sam zapadł w sen, z dłonią na jej biodrze, w ciepłym miejscu.

Obudziły go śmiechy.

Było południe. Słońce prażyło jego nagie ciało. Dwóch rolników, obu znajomych, szturchnęło go w stopy i powiedziało, że niezdrowo spać na dworze bez ubrania.

– Robale ci do tyłka powłażą – powiedzieli. Kolejne śmiechy.

Rozejrzał się tępo. Nie było jej, jedynym dowodem pozostało wgłębienie w trawie obok niego. Porwał spodnie i pobiegł na pola.

– Robale! – wołali za nim ze śmiechem sąsiedzi.

Dotarł na miejsce w samą porę, by zobaczyć, jak startuje ostatni statek.

Tłum wieśniaków pomachał mu na pożegnanie, gdy malał do rozmiaru świetlnego punkcika na niebie, a potem zniknął. Dzieci krzyczały chórem „Do widzenia". Kaeda opuścił dłonie, a serce rozsypywało mu się pod nogi. Nie zauważył, kiedy podeszła do niego matka. Trąciła go w gołe ramię.

– Gdzie masz koszulę? – zapytała. – Włóż koszulę, głupi dzieciaku!

Inne rodziny śmiały się, kiedy ciągnęła go z powrotem do wsi, a on potykał się, trąc pięściami mokre oczy.

***

Zatopił się w pracy. Dwa kciuki wyciskały nasiona dhuby z gardła łodygi. Maczeta trzaskała w jej kręgosłup, łodyga łamała się pod kątem, resztę załatwiał jej własny ciężar. Sto kilogramów nasion dhuby wsypywało się do pięciu pojemników, pojemniki toczyły się z powrotem do miasteczka, połowa trafiała do zimnostatyki, połowa do młyna, gdzie zrogowaciałe dłonie godzinami rozgniatały nasiona na gładką pastę, w wysoko sklepionym pomieszczeniu wypełnionym mokrym chrupaniem i seriami pieprznych żartów. Z połamanych źdźbeł odcinano ostre końce, malowano na czerwono, wiązano i używano do budowania domów dla nowych rodzin, których co roku było więcej.

Jhige urodziła bliźniaki. Kaeda był przy tym, zwilżał ręczniki, przyglądał się zaangażowaniu jej męża, Yotta, który pochylał się jak pokutnik przy jej łóżku, szepcząc:

– Zaraz, zaraz, zaraz…

A ona krzyczała:

– Teraz! Teraz! Teraz!

W końcu noworodki wyszły. Zdrowe dziewczynki, ponad trzy kilo każda, dumnie dziedziczące po matce ostre nosy.

Kaeda pogratulował rodzicom, a gdy ci gruchali nad nowym pokoleniem, wyszedł przed chatę doktora i zadzwonił dzwonkiem, obwieszczając udane narodziny. Dźwięk usłyszała cała wieś. W ciemnych oknach zapaliły się świece. Zajrzał do środka, popatrzył na Jhige i Yotta, westchnął. Wydawało się, że co tydzień kolejnemu znajomemu rodzą się dzieci. Miasteczko rozrastało się w dół wzgórza, domy wdzierały się w dolinę pod nim. I każdego tygodnia umierał ktoś stary, robiąc miejsce dla nowych.

Rok po odlocie Nii zmarł ojciec Kaedy. Był to wypadek po pijanemu. Kolega popchnął go w żartach, a on, otępiały, stracił równowagę i złamał sobie kark o kra-

wędź drewnianego stołu. Człowiek, który go zabił, tej samej nocy pchany poczuciem winy opuścił miasteczko. Nigdy nie wrócił. Uznano go za zmarłego, gdy przyszła kolejna pora wilgotna, a wraz z nią pojawiły się czające się na wzgórzach i w lasach zębate bestie.

– I dobrze – powiedziała matka, usłyszawszy o jego zniknięciu.

To było wszystko, co miała do powiedzenia w tej kwestii. Wróciła na pola dhuby z maczetą i wysuniętą wargą, to bowiem nie był koniec pracy. Przy innych wieśniakach pozostawała stoicka, dziękowała im za miłe słowa, ale nie łączyła się z nimi w nostalgii ani w modlitwach. Dopiero po skończeniu pracy na polu, po powrocie do domu, w cztery oczy z synem, pozwalała sobie na uwolnienie smutku. Krzyczała, szlochała w ramionach Kaedy, do tego stopnia wypełniała dom żałobą, że syn już nie miał miejsca na własny smutek – ubijał go więc jak osady na dnie serca, zajmując się łzami matki. W nocy zwijał się w kłębek pod kocem i wycofywał we wspomnienia. Ciepłe ramię ojca tego dnia, gdy szli zobaczyć statki. Palec wskazujący gwiazdy. Znajdował sobie własne miejsca na płacz. Miejsca, w które oprócz niego wtajemniczona była tylko Jhige, gdyż znowu zaczęli sypiać ze sobą.

***

Romans zaczął się miesiąc po śmierci ojca. Jhige zamieniła się na przydział z kolegą i po raz pierwszy od lat ruszyli z Kaedą na to samo pole.

– Żeby pilnować, czy nie zostajesz w tyle – powiedziała, gdy zapytał, czemu tak zrobiła, i choć cmoknął ze złością i stwierdził, że nie potrzebuje opiekunki, od razu poczuł się lepiej.

Na początku pracowali w milczeniu, ale z czasem zaczęli wspominać wspólne zabawy z dzieciństwa.

– Przekonałeś wszystkich, że noc kwaśno pachnie, bo księżyce są z owoców kiri.

– Ale ty znałaś prawdę – odparł.

– To nie miało znaczenia. – Starła pot z piersi i zaśmiała się. – I tak woleli kłamstwo. – Uniosła misę nasion i wydała przeciągłe westchnienie, ciężar ich historii wycisnął całe powietrze z jej płuc. – Samotnie było dorastać koło ciebie.

– Byłaś moją jedyną przyjaciółką.

Powiedział to bardziej do siebie. Dopiero sobie to uświadomił.

– W to w życiu nie uwierzę.

Mimo wszystko się uśmiechnęła.

To było nieuniknione. Parę dni później, zanim rozstali się w drodze do domów, chwyciła go za rękę, podała czas i miejsce, nie mówiąc, po co – nie musiała. Był tam i był gotowy. Młodzieńczą niezdarność zastąpiły odmierzone ruchy dorosłych, którzy znają ten taniec i wiedzą, co zrobić z rękoma i nogami. Jego dłonie zanurzyły się w nastroszone loki jej czarnych włosów i zaczęli się kochać na posłaniu ze zmiętych ubrań. Tej nocy księżyce były czerwone. Powiedział jej, że są czerwone, bo spalone żarem słońca, a ona roześmiała się, szturchnęła go w gołe ramię i szepnęła w słoną skórę:

– Cicho, cicho, cicho.

Minęły trzy pory roku miłości.

Mąż Jhige dowiedział się o romansie, gdy szepnął mu słówko kolega, który widział dwoje kochanków którejś nocy we młynie. Yotto dał jej wybór, a kiedy wybrała Kaedę, pomaszerował pod dom rywala, załomotał w drzwi i gdy się otworzyły, natychmiast rzucił Kaedę na ziemię, gdzie zmagali się do krwi, póki jego matka nie wypadła ze środka, ściskając w prawej ręce maczetę. Światło ze środka ostro odcinało jej szeroką sylwetkę. Przytknęła ostrze do żylastej szyi Yotta.

– Puść go – powiedziała.

Gdy obaj wstali, opuściła nóż. Powiedziała Yotcie, że może uderzyć raz, a porządnie, nie więcej, i zanim Kaeda zdążył zaprotestować, pięść powaliła go ponownie, trysnęła krew, a mąż odszedł, zrzucając furię ze swych trzęsących się barków. Matka Kaedy stanęła nad nim i cisnęła mu maczetę pod nogi.

– Głupiec – powiedziała, klęknęła i rękawem starła mu krew z podbródka.

Zaprowadziła go do środka. Nakarmiła.

– Kochałam twojego ojca – powiedziała, usiadłszy przy stole, z rękoma splecionymi na piersi. – Ale umarł śmiercią idioty. Nigdy mu tego nie wybaczyłam. Obiecaj mi, że nie popełnisz tego samego błędu, bo twój duch nigdy nie będzie mile widziany w tym domu.

– Obiecuję – powiedział cicho.

Ścisnęła go za rękę.

I na tym się skończyło.

Miesiąc później w dolinie wyrósł kolejny dom, w którym zamieszkali Kaeda, Jhige i jej dwie córki. Zabrał ze swego dawnego domu ubrania, parę mebli, na które uparła się matka, słoik z kośćmi paliczków – czułby się zbyt winny, gdyby go zostawił – oraz pewien drewniany flet, o którym powiedział Jhige, że jest darem od osoby spoza świata, którą kiedyś spotkał. Ucieszył się, że nie drążyła tej historii. Instrument leżał schowany w jednej z szuflad jego biurka, wyciągał go tylko, gdy był sam i czuł melancholię – lecz nawet wtedy nie na długo. I nigdy na nim nie grał.

Yana i Elby przez całe dzieciństwo mieszkały w dwóch domach, to w dolinie, to pod szczytem wzgórza, dopiero w dorosłości zrozumiawszy pełne uprzejmości napięcie pomiędzy trojgiem swych rodziców, kiedy ojciec przychodził zabrać je w wolne dni. Z Kaedą dobrze się dogadywały. Nie mógł mieć dzieci – „niektórzy po prostu tak mają”, powiedział kiedyś lekarz – ale traktował je jak własne. Nigdy ich nie uderzył, nigdy nie podniósł na nie głosu, za to rozśmieszał je swoimi głupimi minami. To rekompensowało chwile, kiedy był nieobecny, noce, gdy słyszały jego kroki w domu, szybkie, gorączkowe, jakby zapomniał coś zrobić, ale nie pamiętał co i gdzie.

Gdy miał trzydzieści siedem lat, na niebie po raz kolejny zagrzmiało dwanaście zielonych linii. Był tam, stał w tłumie razem z całym komitetem powitalnym, kiedy gwałtowne porywy wiatru zwiastowały lądowanie statków. Córeczki Jhige, teraz ośmioletnie, biegały w kółko wokół matki, gdy pod brzuchami statków ukazali się pozaświatowcy.

– Popatrz tylko na tego gubernatora – powiedziała Jhige, wskazując brodą ich przywódcę, który kłaniał się przybyszom nisko jak bogom. – Nigdy nie obchodzi pól, nie odwiedza domów, mało co go interesuje, ale do witania ich jest pierwszy. Zobacz, jak nisko się kłania. Jakby był z galarety. – Kiedy nie doczekała się reakcji, odwróciła

się do Kaedy. – Co jest? – Dotknęła jego ręki. – Gdzie ty jesteś? – zapytała szeptem.

Uśmiechnął się, zbyt szeroko.

– Tutaj – odparł.

Bardzo łatwo było mu się wymknąć tej nocy, dziewczynki bowiem zawsze szybko się męczyły i trzeba je było odprowadzić do domu. Kaeda objął ręką ramiona Sada, pił i śmiał się z przyjaciółmi, grając rolę imprezowicza, który zbyt dobrze się bawi, by iść do domu. Gdy Jhige przyszła po niego, powiedział, że zabawa dopiero się rozkręca, i uznał się za genialnego stratega, kiedy ustąpiła i zaproponowała, żeby został, a ona sama odprowadzi córki. Gdy był pewien, że poszła, wykręcił się od towarzystwa Sada pod pretekstem, że przyniesie kolejne napitki, i roztopił się w tłumie. Przeszedł przez rynek wokół ogniska i zapuścił się w zaułek. Na ławeczce siedziała Nia, patrzyła, jak podchodzi, przyglądała mu się spokojnie, twarz miała nienaznaczoną czasem. Miała jasnoczerwone ubranie, które spływało jej po ciele, jakby skąpała się w roztopionym księżycu. Była piękna jak zawsze. W żołądku zawrzało mu od samego patrzenia.

– Nigdy się nie pożegnałaś – odezwał się.

Uniosła brew i odparła swym drugim głosem:

– Przystojny jesteś, kiedy śpisz. Aż szkoda cię było budzić. – Drugi głos stracił już swój czar – Kaeda poznał prawdę o jego technologii. Wzruszyła ramionami, koraliki jej naszyjnika zadzwoniły. – Wydało mi się, że nie trzeba, skoro zaraz cię znowu zobaczę.

– Nienawidziłem cię przez ostatnie piętnaście lat.

Uśmiech zgasł, jej mina stężała.

– Nienawidź sobie. Spędziliśmy razem jedną noc. Tylko jedną.

Wykonała dłonią gest, którego nie rozumiał, i odwróciła wzrok w stronę ognia. Dopatrzył się w jej twarzy czegoś, czego się nigdy nie spodziewał. Wyczerpania.

– Nie jestem bogiem – powiedziała. – Nie przychodzę wysłuchać twoich modłów.

Usiadł obok niej. Złość ucichła, ale wciąż się tliła.

– Czemu siedzisz sama? – zapytał.

– Lubię imprezy, ale nie lubię tłumów.

Kiwnął głową, choć nie rozumiał.

– Wyglądam inaczej?

– Od tego są lustra – warknęła.

Zagryzł wargi.

– Przepraszam – powiedziała. – Rejs był ciężki. – Potarła twarz, robiąc w niej wgłębienia. – Powiedziałam, że przepraszam.

– Rozumiem – odparł zbyt dumny, by powiedzieć, że nie ma sprawy.

– Kaeda, jestem zmęczona. Odlatuję za dwanaście godzin. Muszę miło spędzić ten czas. Nie utrudniaj mi tego. Proszę.

– A czego chcesz?

– Spędzić z tobą noc.

Zaśmiał się.

– Naprawdę – dodała. – Jesteś atrakcyjny. W każdym razie bardziej niż ci tam. – Wskazała brodą stół Sada, głowy kawalerów odwracające się powoli za każdą przechodzącą kobietą. Oboje się roześmiali, choć śmiech urwał się, gdy położyła dłoń na

jego dłoni. – I podobasz mi się.

Zaparło mu dech.

Nienawidził tego.

Że jest w stanie roztopić go jednym dotknięciem.

Nie przeszli przez środek festynu, jak ostatnim razem. Za radą Kaedy weszli głębiej w zaułek, z dala od wścibskich oczu, i zeszli z głównej drogi. Skierowali się do młyna. W środku minęli rzędy koryt, w których rozgniatano ziarna, i weszli schodami na górę, za powiązane pęki fioletowych źdźbeł. Było inaczej niż ostatnim razem. Albo tak samo, tylko Kaeda zauważał nowe jej aspekty; to, jak unikała kontaktu wzrokowego, kiedy w nią wszedł, jakby go tu nie było, albo jej tu nie było, jakby przebywała na innej planecie i kochała się z kimś innym. Jednakże pomimo tego dystansu dyszał, dygotał i chwytał ją, jakby była jego własnym bijącym sercem.

– Zobacz – powiedziała, kiedy skończyli i położyli się objęci, wyczerpani. Przeczesała palcami jego włosy łonowe. Zapytał ją, co z nimi nie tak. – Masz parę siwych – szepnęła.

Zabrzmiało to niemal smutno.

Z rana zaproponował, że odprowadzi ją na równinę, ona jednak dotknęła jego ramienia i powiedziała, że woli wrócić sama. Poszedł więc z powrotem na rynek, pomóc posprzątać śmieci po nocy. Otrzepywał poduszki z okruchów i noga w nogę z innymi wiózł wózkami misy nad rzekę, do umycia. Kiedy usłyszał podniebny huk, zwiastujący odlot statków, nie podniósł wzroku. Nie chciał. Nie patrzył, dopóki nie zbladła ostatnia z zielonych kresek i nie można było znów bezpiecznie za nią tęsknić.

***

Pod koniec pory wilgotnej jego matka zmarła we śnie. Serce. Sąsiad znalazł ją z zaciśniętym w rękach sandałem ojca – jeszcze teraz miała je ustawione przy drzwiach, jakby stary w każdej chwili mógł wrócić z pola i się za nimi rozejrzeć. Kaeda podpalił stos i rozrzucił popioły po dołach retencyjnych, a z tymi popiołami wylatywały z niego trzewia, jak kawałki liny, falujące w ciemności, w dole.

Tej nocy spał z głową na kolanach Jhige. Gładziła go po włosach i nuciła stare piosenki, które śpiewali w dzieciństwie. Piosenki, których matki uczą dzieci, by przestały bać się ciemności.

***

Zmarłych upamiętniono i życie żywych potoczyło się dalej. Ich córki szybko dorosły na tyle, by móc pracować. Elby, silniejsza i poważniejsza z nich dwóch, przyłączyła się do myśliwych, a rozgadana Yana strzeliła kostkami palców i zabrała się do pracy w młynie.

Nie tylko one zmieniły zajęcie. Gdy uraz kręgosłupa uniemożliwił Kaedzie pracę w polu – uszkodził go sobie, dźwigając ciężki pojemnik z nasionami – przydzielono go do skupu, do obsługi jednej z wag i sumowania wagi pojemników przywożonych

przez farmerów. Pracował, borykając się z coraz większym brzuchem, napęczniałym od wielkich półmisków mięs i ciast; upodobanie do słodyczy było kolejną rzeczą, którą odkrył z wiekiem. Yotto odwiedzał ich często, gwałtowna uraza poszła w niepamięć. Byli nawet w stanie żartować o tamtych czasach, lata temu, kiedy bili się na ziemi o miłość Jhige.

Późno pod koniec pory wilgotnej Yotto przyszedł do skupu, przysiadł na stole Kaedy i kręcąc młynka palcami, zapytał go o córki:

– Coś mówiły może…? O… mężczyznach?

Rozbawiony jego niepokojem Kaeda pokręcił głową. Powiedział Yotcie, że nie ma się czym przejmować, mimo że wiedział, że Yanie wpadł w oko jeden z myśliwych; uznał, że nie ma powodu martwić go czymś, na co nie ma wpływu.

– Skup się lepiej na innych sprawach – poradził.

Uspokojony, ale jeszcze niezamierzający wychodzić, Yotto poskubał siwe włosy w brodzie i zapytał, jak długo Kaeda zamierza siedzieć w skupie.

– To nie miejsce dla ciebie – powiedział. – Jesteś stworzony do pracy na polu. Wszyscy to wiedzą.

– Jak tylko grzbiet mi wydobrzeje, od razu tam będę – zapewnił go Kaeda.

Mimo to, gdy doszedł do siebie, miesiąc później, pozostał w skupie, odkrywając, że odpowiada mu możliwość siedzenia i odpoczywania. Rejestrował dostawy, a Jhige, nadal zbierająca nasiona, miała ciało jak siatka z drutu pod napięciem, same mięśnie i ścięgna. Gdy unosiła pojemniki i stawiała je na wadze Kaedy, podpierała się łokciem o jego biurko i chwaliła się, o ile dłużej od niego wytrzymała na polu.

– Rok i pięć dni – powiedziała, kiedy miał czterdzieści dziewięć lat.

– Dwa lata, dwadzieścia dni – podsumowała, kiedy miał lat pięćdziesiąt.

– Trzy lata, osiemdziesiąt dni – odparł, przerywając jej z drwiącym uśmiechem, gdy miał lat pięćdziesiąt jeden.

Oparła się o biurko i pocałowała go w kącik ust.

– Wygrałam – szepnęła, bo nawet po tylu latach zawzięcie z sobą rywalizowali.

Gdy miał lat pięćdziesiąt dwa, pod koniec pory suchej, siadł na ławce na rynku, sam – wszyscy inni poszli na Dzień Dostawy na pola. Chciał, żeby Jhige, Yotto i córki raz mogły nacieszyć się tym świętem bez niego. Patrzył, jak na rynku rozstawiają długie stoły, budują palenisko, i zastanawiał się, co pomyśli o nim Nia teraz, kiedy na głowie ma gęstą białą czuprynę, a niegdyś zahartowane w pracy mięśnie są skryte pod warstwą tłuszczu.

Później, gdy ogień strzelał wysoko i siedzieli razem przy długim stole, nadal z łatwością wznawiając rozmowę, zapytał ją o to. Była teraz młodsza od niego o szesnaście lat. Nigdy wcześniej jej młodość tak nie rzucała się w oczy. Może właśnie o tym myślała, przypatrując mu się i pocierając gładki policzek.

– Bardzo dostojnie wyglądasz.

– A ty, jakby to było wczoraj – odparł.

Uśmiechnęła się.

– Długo czekałeś, żeby użyć tego tekstu?

– Pięć lat – przyznał.

Roześmiali się, a po toaście opróżnili swe miseczki z alkoholem.

Ten nocy spali ze sobą ostatni raz. Miał w sobie sił na jedną rundę. Gdy leżeli pod

chłodnym nocnym niebem, ubrani, bo Kaeda marzł, zastanowił się na głos, czy to trudne ciągle być w ruchu i nic, tylko odwiedzać kochanków, którzy albo są starzy, albo już nie żyją.

Odparła, że to wcale nietrudne. To zaciskając lewą dłoń, to rozwierając ją z powrotem, powiedziała, że dzień, kiedy przestanie być w ruchu, będzie dniem, w którym umrze. Odwróciła się do niego ze zmarszczonym czołem i zapytała, czemu się śmieje. Otarł oczy i powiedział, że nie wie, choć tak naprawdę wiedział, lecz nie chciał się tym dzielić, z obawy, że ją urazi – pomyślał bowiem, że te słowa są bezsensownie dramatyczne. Nie dopytywała. Następnego ranka rozstali się bez pożegnania, wiedząc, że niedługo znów się spotkają.

Kiedy podczas kolejnej pory suchej gubernator miał wylew i zmarł, przyszedł czas urządzić wybory. To, że wybrany został Kaeda, nie zaskoczyło nikogo oprócz niego samego. Awans polityczny zaczął, nieświadomie, podczas pracy w skupie, kiedy przy ważeniu pojemników rolnicy poznawali jego imię, rozmawiali z nim, kiedy zyskiwał ich zaufanie, będąc jednym z nich, dzięki fioletowym dłoniom świadczącym o doświadczeniu na polach. Konkurował z synem zmarłego gubernatora, nieskutecznym człowiekiem startującym tylko przez rodzinne naciski ze strony wujów i ciotek żądnych dynastii. Od początku było jasne, kto zyska głosy – syn gubernatora wycofał się z wyścigu, zanim zostały podliczone, i spędził resztę wieczoru w barze, twierdząc, że wybory były ustawione od samego początku, i stawiając drinki każdemu, kto słuchał, choć ci nieliczni albo nie byli przekonani, albo nic ich to nie obchodziło.

– Ojciec miał jednak rację – powiedział Kaeda do Jhige następnego dnia, gdy przenosili się do domu gubernatora na szczycie wzgórza. – To ja tu rządzę.

Po południu cisnął słoiczek z kostkami paliczków do dołów retencyjnych, gdzie dołączyły do reszty umarłych, skoro proroctwo się spełniło.

Jako gubernator co roku odwiedzał inne wsie, spotykając się z innymi przywódcami i omawiając umowy handlowe i granice działek. Co miesiąc miał spotkania koordynacyjne z delegatami młynarzy, myśliwych, kupców, do tego cotygodniowe spotkania z nimi w cztery oczy, by wysłuchać uwag, które mieli do siebie nawzajem i do niego. A codziennie, jak się zdaje co godzinę, stukał do jego drzwi, do drzwi świątyni krzywd, jaką stał się jego dom, kolejny mieszkaniec potrzebujący mediacji w jakiejś sąsiedzkiej kłótni terytorialnej. Zajmował się tym wszystkim, obchodami pól, pierwszym cięciem upolowanej zwierzyny, przemowami na rozpoczęcie żniw, błogosławieństwami wszystkich nowo narodzonych dzieci. Pod koniec dnia był wyczerpany, tak jak Jhige pracą na polu, i kiedy słońce zaszło, a powietrze ostygło, zasiadali razem na ganku i nic nie mówili, patrząc w milczeniu na wioskę, która była ich – Jhige na zagony pól wymagające jeszcze pracy, a Kaeda wyżej, na pole gwiazd, zmęczony ponad wszelką miarę i zachodzący w głowę, co mogłoby się stać, gdyby za młodu był mądrzejszy – gdyby uważniej dobierał słowa.

Całe miesiące mijały mu niezauważone.

Kiedy Nia przyleciała po raz przedostatni, przemawiał do zebranego tłumu, mówiąc o ofierze, jaką ponoszą pozaświatowcy, podróżując przez czas i przestrzeń, by rozwieźć po wszechświecie ich zbiory. Gdy niebo przedarły zielone linie, a wszystkie dzieci, których imion nie znał, uniosły głowy, by patrzeć wytrzeszczonymi oczyma na przylot statków, ogarnęła go nie nostalgia, lecz głęboka obawa o te

dzieci i czekające je lata rozliczeń. Miał ochotę je ostrzec, że czas nie jest po ich stronie, że choć dzisiejszy dzień może wydawać się szczególny, będzie także jutro i pojutrze; że w najlepszym razie, w przypadku udanego życia, czeka ich powolne rozsnuwanie się węzłów ich serc. Ugryzł się jednak w język. Dał im cieszyć się światłami.

– Przywitajmy ich z otwartymi ramionami – powiedział.

Nia, wychodząc ze statku, prawie go nie poznała, dopiero kiedy podeszła bliżej, by uścisnąć jego sześćdziesięciosiedmioletnią rękę. Wytrzeszczyła oczy, choć nieznacznie, widząc plamy na dłoniach.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała.

Przy ognisku rozmawiali jak starzy znajomi. Narzekali na trudności przywództwa. Jakie wyczerpujące jest zarządzanie statkiem lub wsią. Na zmianę dolewali sobie trunków. Zapadli w przyjacielską ciszę, rozkoszując się ciepłem buchającym od ognia, gorzką mocą alkoholu, a niepokój, który Kaeda czuł wcześniej tego dnia, siadając obok niej, żeby podziwiać tancerzy i ogień, roztapiał się w miarę upływu godzin. Gdy przyszedł czas, przytuliła go na moment i wróciła na statek, a ciepło tego uścisku czuł nadal po jej odejściu.

Wrócił do Jhige przy długim stole, trochę zdumiony, gdy pocierając kciukiem i palcem wskazującym prawe ucho, zauważyła, że chyba dobrze się znają z tą pozaświatową kobietą. Rzuciła to jednak bez zazdrości, bardziej z uśmiechem rozbawienia. Proste, beznamiętne stwierdzenie, które rozłupało go na dwoje.

– Wcale nie dobrze – odpowiedział, zerkając ukradkiem po raz ostatni na odchodzącą od ogniska Nię. – Spotkaliśmy się tylko parę razy.

***

Spotkali się jeszcze tylko raz, w jego osiemdziesiątym pierwszym roku.

W roku, gdy pękło niebo i w Piątej Wsi zjawił się niespodziewany gość.

Była pora wilgotna i wciąż zostało wiele miesięcy do Dnia Dostawy, a z nim – do ostatniego kursu Nii. We wsi panowała cisza, nie licząc szelestu skrzydeł nocnych owadów i dalekiego wycia w lesie. Kaeda spał w domu gubernatora, powieki mu falowały, śnił o dniu, kiedy ojciec zabrał go zobaczyć statki, gdy nagle obudził go grom dźwiękowy, od którego zatrzęsły się okiennice. Usiadł oszołomiony, niepewny, czy aby dalej nie śni, póki trzęsąca się dłoń Jhige nie odnalazła go w ciemności. Chwycił opartą o łóżko laskę. Gdy wyszli na ganek, zobaczyli to – sunącą po niebie ognistą kulę. Patrzyli, wstrzymując oddech, jak leci łukiem w dół i ląduje na polach na południe od wsi, z uderzeniem tak silnym, że zadygotała ziemia.

Kiedy przyszli, na rynku już zebrał się tłum. Wśród płaczących dzieci i rodziców domagających się odpowiedzi Kaeda znalazł Elby. Posłał ją i innych myśliwych, by zbadali miejsce katastrofy – nawet w ciemności widać było wznoszący się ponad dachami słup dymu. Elby pobiegła, a on i Jhige obeszli wszystkie rodziny, uspokajając je i zapewniając, że są bezpieczne. Oczekiwanie na wieści dłużyło się w nieskończoność. Usiadł na jednej z ławek, rozcierając obolałe kolana, bojąc się o córkę, póki nie wróciła razem z łowcami przez bramy wioski, niosąc ze sobą nagie ciało dziecka.

To był chłopiec. Tylko to jedno ciało znaleźli na miejscu katastrofy. Poza tym

wszystko było czarne i zwęglone.

– Po prostu tam leżał – powiedziała Elby. – Tuż obok wraku.

Posiniaczony, krwawiący, ale bez żadnych złamań, trafił do domu doktora, który przemył wilgotną szmatką powierzchowne rany i owinął je miękkimi bandażami.

Był mały, chudy, miał nie więcej niż dwanaście lat. Policzki zapadnięte, ciało tak wychudzone, że Kaeda się skrzywił, obawiając się, że jeśli spróbuje wstać, złamią mu się kości nóg. Nie było jednak obaw, że wstanie – chłopiec był pogrążony w głębokim śnie, nie zakłóciły go nawet głośne i nerwowe rozmowy.

Przez trzy dni spał w łóżku w chacie doktora, a po wsi krążyły plotki o jego pochodzeniu – demon, półbóg czy też zwiastun wojny; plotki zrodzone z niczego, tylko z zalęknionej wyobraźni, nabierające wagi i wiarygodności w miarę rozchodzenia się od ust do ucha. Kaeda nie zwracał na nie specjalnej uwagi i cały czas mimo przestróg doradców odwiedzał chatę doktora.

– Mnie kiedyś nazwali przeklętym – powiedział do śpiącego dziecka, unosząc na dowód dłoń z blizną. – Lepiej nie słuchać, co mówią. Tchórze plotą, co ślina na język przyniesie.

Trzeciego dnia chłopiec przebudził się po długim odpoczynku. Kaeda usłyszał dzwonienie dobiegające z drugiego końca wsi i przecisnął się do chaty, do izby chorych, roztrącając ludzi końcem laski, do dziecka, które zastał skulone w nogach łóżka, obejmujące kolana przyciśnięte do wątłej, śniadej piersi, podczas gdy główny młynarz bombardował je pytaniami o to, skąd jest i czego chce. Chłopak nie reagował. Siedział z plecami przyciśniętymi do ramy łóżka, zerkając na obcych ludzi znad krawędzi gładkich przedramion, wzrokiem równie splątanym jak jego skołtunione czarne włosy. Główny młynarz podnosił ochrypły głos przy każdym pytaniu, aż Kaeda miał dosyć – wyprosił wszystkich na zewnątrz, gdzie natychmiast został otoczony.

Zjawili się wszyscy mieszkańcy, co do jednego. I wszyscy wykrzykiwali wariacje na ten sam temat: że chłopiec oznacza kłopoty i nie powinno go tu być. Krzyczeli, póki Kaeda nie uniósł dłoni i ich nie uciszył. Rozejrzał się po ciżbie. Oczywiście, że są przerażeni, pomyślał. Sam nie miał pojęcia, co zrobić.

– Rozumiem, jak się wszyscy czujecie. Ja czuję się tak samo. Zapewniam was, że dziecko jest tu tylko tymczasowo. Przyjdzie Dzień Dostawy i przekażemy go pozaświatowcom. Ale do tego czasu trzeba zachować spokój i pamiętać, że to tylko dziecko.

– Dzień Dostawy jest za trzy miesiące – odezwał się Goro, jeden z rybaków. – Kto się nim będzie do tego czasu zajmował?

Wieśniacy spojrzeli po sobie. Sucha trawa szeleściła w ciepłym wietrze.

– Ja – odparł Kaeda.

Jhige nie była zbyt zachwycona, gdy jej mąż wrócił do domu z pozaświatowcem u boku. Gestem kazała chłopcu zaczekać w salonie i zaciągnęła Kaedę do sypialni, gdzie przekazała mu, jak jest wściekła, że z nią tego wcześniej nie uzgodnił. Wysłuchała obojętnie jego przeprosin, tłumaczenia o frustracji zachowaniem innych, którzy tak pośpiesznie osądzili charakter nieprzytomnego dziecka. A kiedy skończył, zasznurowała gniewnie usta i zaniepokoił się, że jego słowa nie odniosły żadnego skutku, dopóki nie burknęła:

– Idź, zobacz, czy głodny nie jest.

Tak naprawdę od samego początku chciał go wziąć do siebie, od pierwszej chwili, kiedy się pojawił. Trudno mu było oprzeć się wszystkiemu, co przyszło z nieba.

Oboje musieli się długo przyzwyczajać do mieszkania z chłopcem. Nie rozumiał ich języka i nigdy nie odzywał się we własnym, będąc niemą obecnością w ich domu, głuchą na wszelkie próby pomocy. Za pierwszym razem, gdy miał potrzebę, załatwił się do łóżka. Jhige prała pościel, a Kaeda pokazywał mu latrynę i gestem wyjaśniał, jak jej używać. Chłopak nie przypominał żadnego znanego mu dziecka. Ruchy miał oszczędne i precyzyjne, kroki niemal niesłyszalne. Łatwo było zapomnieć, że w ogóle jest. Kaeda przypominał sobie o nim dopiero, kiedy słyszał ciche kaszlnięcie w rogu pokoju, oglądał się wtedy i widział chłopca zakrywającego obiema dłońmi usta, z drżącymi ramionami, jakby spodziewał się lania.

W owym czasie niewielu miewali gości. Yana odmówiła przestąpienia progu ich domu. Nawet Elby, przecież nieustraszona łowczyni, starała się nie przebywać zbyt długo w jednym pokoju z chłopcem.

– Reszta ma rację – szeptała, zerkając do salonu, gdzie chłopiec gapił się przez okno na niebo, jakby widział je pierwszy raz. – Coś jest z nim nie tak.

– No, jest trochę dziwny – przyznawał Kaeda. Pocierał starą bliznę na dłoni. – Ale dziwny to nie znaczy, że zły.

Dziwność chłopca była intrygująca. Brał go ze sobą na długie, niekończące się spacery za wieś, zarówno po to, by Jhige miała trochę wytchnienia, jak i żeby spróbować naruszyć trochę jego tajemnicę i zobaczyć, czy nie da się nawiązać z nim kontaktu. Była to trochę gra. Chłopiec szedł za nim bez sprzeciwu, niemal nieświadomie, wychodząc z transu tylko wtedy, gdy Kaeda sięgał do sakwy i podawał mu ciastko.

Podczas tych spacerów Kaeda gadał za dwóch. Najpierw były łagodne, sondujące pytania. Pytania, skąd pochodzi, czy ma rodzinę. A potem, gdy stało się jasne, że dzieciak nie udzieli żadnych odpowiedzi, Kaeda zaczął mówić o sobie. Kiedy wspinali się na wzgórze, on z laską, chłopiec swym ostrożnym, uważnym krokiem, wymieniał imiona swoich rodziców, opowiadał, że z Jhige zna się od dziecka. O tym, że jest gubernatorem i że jego obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo wszystkich. Przez kolejne dni i tygodnie, im dłużej spacerowali, tym więcej mówił, jakby chłopiec był pustą misą, do której wlewa swe wspomnienia, myśli, całą wiedzę świata, której misa nie rozumie, nie potwierdza ani nie kwestionuje. zapadającym W zapadającym nad polami zmroku pozwalał sobie na sentymentalne myśli, te, z których Jhige często drwiła, a chłopiec po prostu je chłonął, jak chłonął wiatr i światło. Dziecięce przygody na żółtych polach. Trudne zbiory. A o zmierzchu wyjawiał cichym szeptem lęki, które niósł ze sobą przez lata.

– To jedyny zachód słońca, jaki w życiu widziałem – powiedział któregoś popołudnia, z uśmiechem wyrywając z ziemi trawkę i owijając suche źdźbło wokół palca. – Mam szczęście, że jest ładny.

Słowa spływały po chłopcu bez skutku. Żuł ciastko i patrzył wskroś czerwonego nieba w punkt, którego Kaeda nie widział.

Było późne popołudnie. Siedzieli we dwóch w rozpadlinie na wzgórzu, patrząc na ciemnoczerwone nadejście nocy, gdy usłyszeli muzykę.

Zza linii drzew wyłonili się rolnicy, maszerujący gruntową drogą z pojemnikami dhuby, śpiewający pieśń na powrót do domu. Jakby wymaszerowali wprost ze wspo-

mnień Kaedy. Momentalnie zatopił się w sobie, poruszony emocjami, słuchając narastającej melodii śpiewanej przez młodych i silnych rolników, czując łzy w oczach na słowa Dzień sobie weź, lecz noc mi daj. Pociągnął nosem, otarł twarz. I dopiero wtedy zerknął na chłopca i zobaczył coś zadziwiającego – miał zamknięte oczy, a ucho nadstawione ku piosence, jakby się nią sycił.

– Znaczy lubisz muzykę – stwierdził Kaeda z uśmiechem.

Po powrocie do domu wyciągnął flet z zakurzonego zakamarka swego biurka. Chłopiec nie zrozumiał, dopóki nie zademonstrował mu go, grając tryl na paru nutach, co wzbudziło u niego wielkookie zdumienie, i od razu wyciągnął dłonie do instrumentu.

Tak oto zaczęły się lekcje fletu. Kiedy Kaeda miał czas, pokazywał mu, jak grać, jak go trzymać, jak ściągnąć usta, a nauczając, przypominał sobie z nagłym ukłuciem przyjemności i żalu obraz Nii u wejścia do zaułka, jej sylwetkę. Uczył chłopca starych piosenek.

Mimo bariery językowej łapał bardzo szybko. Było jasne, że ma doświadczenie w muzyce, choć może nie we flecie. Szybko przeskoczył Kaedę – w parę dni, ku radości i zawiści starego – i nauczył się grać nowe melodie, takie, których Kaeda nigdy nie słyszał, piękne same z siebie. Jhige wzruszyła się, gdy zagrał dla niej któregoś wieczoru smutną i piękną melodię, a kiedy Yana wstąpiła ze świeżym jedzeniem i usłyszała dobiegającą z pokoju chłopca muzykę, po raz pierwszy przekroczyła próg i usiadła za stołem, żeby chwilę posłuchać.

Kaeda zamierzał tylko pożyczyć flet chłopcu. To nie był dar. Jednakże flet spoczywał na kolanach chłopca, kiedy jedli, kiedy się kładł, zabierał go do swego pokoju, a gdy dom wypełniała jego pieśń, Kaeda pochmurniał tknięty wredną myślą, że flet go zdradził, że wykorzystał go, by dotrzeć do swego prawdziwego właściciela. Wiedział, że to prawda, od dnia, gdy Jhige powiedziała o nim „flet chłopaka”.

– Nie jest jego – warknął.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

Muzyka wkradała się do jego uszu w nocy. Sprowadzała koszmary z Nią, stojącą w nogach łóżka ze łzami i pytającą, co stało się z darem, który od niej dostał; on zapewniał ją, że trzymał go przy sobie przez tyle lat i że mógłby to udowodnić, tylko nie może tego cholerstwa znaleźć; koszmary, w których przewracał cały dom do góry nogami, wypruwał deski podłogi, ciął siennik maczetą, aż wreszcie budził się z uniesionymi dłońmi chwytającymi się powietrza. W najgorsze z tych nocy podnosił się z łóżka w półśnie. Trzymając się ściany, kuśtykał przez korytarz. Docierał aż do sypialni chłopca, prawie trzymał dłoń na klamce, myśląc, że chce tylko zobaczyć po raz ostatni ten flet, upewnić się, czy jest bezpieczny – dopóki nie powstrzymał go dobiegający ze środka stłumiony szloch, dopóki nie wybił się ze snu i nie cofnął się spod drzwi. Wracał do łóżka z pustymi dłońmi, licząc, że pogodzenie się z sytuacją sprowadzi na niego wolny od trosk sen. Jednakże rano czuł się tak samo. Zmęczony.

Z pustymi kieszeniami.

Robił, co mógł, żeby ukryć przed chłopcem tę udrękę. Zmuszał się do uśmiechu, kiedy nie było powodu, i przygotowywał mu kolejne ciastka, żeby patrzeć, jak je, gdy jego własny apetyt się kurczył. Podczas posiłków nakładał mu na talerz dodatkowe porcje. A w nocy, kiedy Jhige gładziła go po włosach, zadając mu, jak zawsze, gdy

był w takim nastroju, to samo pytanie: gdzie jest i dokąd idzie, miał na nie tę samą odpowiedź co zwykle.

Tutaj jestem. Tutaj.

Fletowa piosenka przeniknęła całą porę wilgotną i sprowadziła suchą, aż ziemia popękała, a łodygi zrobiły się kruche pod ostrym słońcem. Wieś wstrzymała oddech w oczekiwaniu na pozaświatowców i zabranie obcego, Kaeda zaś przeczekiwał te dni w lęku.

Gdy pękło niebo i spomiędzy rzadkich chmurek przebiły się zielone linie, wiedział, że to najpewniej ostatni Dzień Dostawy w jego życiu. Ostatni raz spotka Nię Imani. Na polach, po powitalnej przemowie, którą przez ostatnie tygodnie ćwiczył podczas spacerów, kaszlnął flegmą do rękawa i zdziwił się, dlaczego teraz, na sam koniec, niczego bardziej nie pragnie niż wsiąść do jednego z tych statków i odlecieć wraz z nią; dlaczego to pragnienie przez tyle czasu leżało uśpione w jego sercu i dlaczego dziś nagle tak jasno się rozpaliło. Nia objęła go, kiedy wyszła ze statku. Była młodsza i silniejsza niż wcześniej, poczuł się w jej ramionach taki mały. Kiedy go puściła, przedstawił jej swą prośbę i zdumiał się, kiedy bez namysłu odrzekła, że weźmie chłopca.

– Ciekawe – stwierdził, uśmiechając się nieznacznie. – Spodziewałem się większego oporu.

– A to czemu? – zapytała, odpowiadając uśmiechem.

– Nigdy nie wydawałaś mi się szczególnie wielkoduszna.

Jej uśmiech zbladł. Do niego wróciły dawne urazy i nie mógł się powstrzymać.

– Przepraszam – powiedział w końcu.

– Nie ma sprawy. – Nia zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę wsi, gdzie niedługo miało rozpocząć się święto. – Możesz uznać, że to zapłata za twoje towarzystwo.

Podczas ogniska rozmawiali tylko przelotnie – umawiali się na jutro na przekazanie dziecka. Nia trzymała się z innymi pozaświatowcami, Kaeda siedział ze swoimi za długim stołem, zerkając na nią od czasu do czasu poprzez ogień, z nadzieją, że ich oczy spotkają się i zyska okazję, by przeprosić za swoje wcześniejsze zachowanie. Ona jednak nie spojrzała na niego ani razu i poszła, nim znalazł odwagę – i czas – żeby samemu do niej podejść.

Tej nocy nie spał. Chodził po pokojach, mijając drzwi do sypialni chłopca, aż do rana.

Dzień był potwornie upalny. Idąc na rynek, gdzie czekała nań Nia, czuł ten żar jak ciężar na plecach. Wieśniacy wygarniający popiół z paleniska i sprzątający stoły zerkali ukradkowo, kiedy podchodził do niej. Kiwnął jej głową, ona odpowiedziała takim samym gestem. I choć skupiał teraz jej pełną uwagę, nie wiedział, co właściwie powiedzieć. Cała noc myślenia, przygotowywania się do jakiejś szumnej przemowy, jakiegoś zakończenia, lecz teraz słowa uleciały.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Chodźmy – powiedział.

Ruszyli coraz bardziej stromą ścieżką do jego domu. On mozolił się z laską, ale nie chciał przyjąć pomocnie nadstawionego ramienia. Na szczycie brakowało mu tchu, serce było obrzmiałe i tłukło się o zwiotczałe mięśnie piersiowe. Wprowadził ją

do salonu, gdzie chłopiec już stał z torbą podróżną u stóp, mając spakowane zapasowe ubrania, trochę ciastek i parę innych rzeczy, które według Kaedy mógłby chcieć posiadać. Zamierzał zapytać Nię, czego się napije, lecz ona już podniosła torbę i ruszyła do drzwi z dłonią na plecach chłopca. Kaeda ruszył za nimi. Zerknęła na jego laskę i powiedziała:

– Nie musisz iść z nami. Możemy się tutaj pożegnać.

– Nie – odparł. – Pójdę. Dam radę.

– Jeśli jesteś pewien…

Całą trójką przeszli przez wieś, pod nieufnymi spojrzeniami innych mieszkańców, a Kaeda z trudem nadążał za szybkimi krokami Nii. Chłopiec oglądał się na niego, chyba tylko po to, by się upewnić, że nadal tam jest. Kaeda skrzywił się, czując ból stawów.

Wszystko przeciekało mu przez palce.

Na polu żółtej trawy, gdzie czekały statki i gdzie ładowano ostatnie pojemniki dhuby, dwójka pozaświatowców odwróciła się ku niemu. Nia powiedziała, że już czas. Kaeda kiwnął głową, położył dłoń na ramieniu dziecka i powiedział, że dobrze było spędzić razem z nim ten czas. Uśmiechnął się do chłopca tak, jak to potrafią tylko dorośli, jednocześnie radośnie i smutno, i z satysfakcją, zacisnął rękę na jego ramieniu przy słowach, że ma ogromne szczęście, że może się z nią zabrać. Chłopiec patrzył na niego martwo, nie rozumiejąc słów starego człowieka, słów, które były coraz mocniej zdławione łzami, gdy do Kaedy docierało, że nigdy wcześniej nie stał tak blisko drzwi do jej statku.

Nigdy nie czuł zimnego wiewu z ciemnej paszczy ładowni. Nigdy nie czuł tej osobliwej mieszanki nowych metali, nie słyszał jałowego pomruku dobiegającego z brzucha statku i łopotu złożonych żagli, gdy ich maszty kołysały się od wiatru. Nia zapytała go, czy dobrze się czuje, z niesamowitą czułością, jakby znów miał siedem lat, dwadzieścia dwa, trzydzieści siedem, całe jego życie złożyło się w ten jeden moment, zdumiewając go przemożnym pragnieniem, by wziąć ją za rękę, wejść na statek, odlecieć i ziścić marzenie z młodości. Otarł wilgoć z oczu.

Nie! – pomyślał. Jestem tu szczęśliwy! Jestem szczęśliwy!

Pogładził chłopca po głowie, uścisnął dłoń Nii, życząc jej szczęśliwej podróży słowami niechlujnie odłupywanymi z wielkiej góry niemocy, a potem wrócił do domu, na swą planetę-imienniczkę. Długą drogę akcentował huk uderzających w niebo statków, ich zielony ślad rozpuszczał się w nocy, nie zostawiając żadnego wspomnienia, jedynie czerwony księżyc obrzmiały od soku owoców kiri, kiedy Kaeda zamykał okna i układał się w łóżku obok starej przyjaciółki. Spojrzał na nią. Sen się skończył, dopiero teraz, na koniec dnia, był przytomny. A gdy Jhige zastanawiała się głośno, dokąd chłopiec poleciał, wziął ją za rękę i przycisnął szorstką, spracowaną dłoń do twarzy, czerpiąc z niej pociechę. Słodki zapach żniw. Smak festynu. I powiedział jej: „Jestem tutaj, jestem”. Pocałował ją, jakby znów byli młodzi, za stodołą, potajemnie, w ciemności nierozpraszanej nawet iskierką ognia. Nic, tylko ich dwoje, a tymczasem w wysoko sklepionej ciemności ponad ich niebem, w statku z tkanin i metali, Nia otworzyła torbę podróżną chłopca, znajdując pomiędzy złożonymi ubraniami i popakowanymi ciastkami dawno zapomniany przedmiot – zaparło jej dech, gdy trzymała flet w drżących dłoniach i czuła skryte w jego pęknięciach dziesiątki lat.

2.

Flet z Ary

– Podstępny cwaniak – szepnęła Nia, gdy flet wymknął się jej z palców i spadł do torby podróżnej.

Wstała z kucek z uśmiechem, którego sama nie rozumiała, i otarła dłonią pot z rozpalonego czoła. Gorączka. Kiedy poczuła za oczami ciśnienie wzdymającego się bąbla, wiedziała, co się dzieje. Zdawkowo kiwnęła głową milczącemu chłopcu w kącie pokoju i wygramoliła się przez właz. W drodze do toalety kurczowo łapała się poręczy w korytarzu, czując na szyi nabrzmiałe żyły. Trzasnęła drzwiami i zgięła się nad muszlą. Oddychała głęboko i liczyła w myślach oddechy, a z każdym maź w jej żyłach wracała do płynnego stanu, zaś bębnienie w uszach zlewało się w szum, aż Panika Kompresyjna ustąpiła i Nia była w stanie opanować to nagłe poczucie straconego czasu.

Skrzywiła się zażenowana, że po tylu rejsach przez Fałd wciąż daje się jej we znaki utrata czasu; i że jest w stanie dopaść ją znienacka i wycisnąć powietrze z płuc. Odchrząknęła i splunęła do toalety. Pstryknęła kranem. Ochlapała szyję zimną wodą. Ściany pulsowały, lecz powiedziała sobie, że to zaraz przejdzie, że fale oceaniczne się uspokoją i znów stanie na twardej ziemi. To była już rutyna.

Jednakże skutki ataku trzymały się jej przez całe popołudnie. Zaciśnięta pięść w brzuchu, gdy chodziła po statku, doglądając załogi przygotowującej się do fałdowania. Pokiwała głową, słysząc kawał, który Durat usłyszał wczoraj wieczorem od rolników. Trzymała się poręczy, idąc do izby chorych, gdzie Siostra robiła chłopcu diagnostykę i aplikowała niezbędne szczepionki.

Dziecko siedziało na brzegu metalowego stołu, z prawą dłonią zaciśniętą na flecie, a pielęgniarka zadawała mu proste pytania o jego zdrowie i przeszłość. Odpowiadał na nie, kiwając lub kręcąc głową.

Tak. Dobrze się czuje.

Nie. Nie wie, gdzie jest.

Tak. Ma imię.

Nie. Nie umie go zapisać.

Nie. Nie umie pisać.

Nie. Nie ma rodziny.

Wyszły przed drzwi i porozmawiały ściszonymi głosami o najnowszym członku załogi.

– Czyli rozumie stacyjny standardowy? – zapytała Nia.

– Tak – odparła Siostra, utkwiwszy wzrok w kropelce potu spływającej pani kapi-

tan po skroni. – Ale nie umie w nim mówić. Albo nie chce.

Nia roztarła kroplę kciukiem.

– Nie chce?

– Może po prostu potrzebuje czasu. Dużo przeszedł. Dużo połamanych kości, długa historia – ręce, nogi, nawet żebra. Ślady po wielokrotnych złamaniach, wcześniejszych niż katastrofa. Teraz nie ma nic złamanego, fizycznie, ale psychicznie… – Zerknęła na niego przez właz. – Tylko on jeden wie, jak z nim źle. – Oparła się o ścianę, jakby przytłoczona własną empatią. – Może będzie mówił, a może nie. Niektórzy pacjenci po urazach potrzebują sporo czasu, żeby odzyskać głos.

– Znaleźli go kilka miesięcy temu. Ileż on czasu może potrzebować?

– Wiesz, że nie znam odpowiedzi. – I nagle: – Kapi… Nia, ty dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odparła zażenowana, ocierając rękawem mokrą twarz.

Chłopiec zagrał na flecie jedną krótką nutę. Przenikliwe F. Skrzywiła się.

– Proponuję, żeby za bardzo się nie martwić – powiedziała Siostra. – Na Pelikanie są odpowiednie ośrodki, tam się nim zajmą specjaliści. A na razie flet da mu zajęcie. – Zanuciła. – Ciekawe. Ty masz dokładnie taki sam, prawda?

– To właśnie ten. Dałam mu – skłamała Nia. Nie była w nastroju do tłumaczenia historii z Kaedą. – Pomyślałam, że dobrze, żeby miał zajęcie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się. Zaskoczona.

– To miło z twojej strony.

W jej uszach rozbrzmiały słowa Kaedy. „Nigdy nie wydawałaś mi się szczególnie wielkoduszna”.

– Potrafię być miła.

– Ja nie powiedziałam…

– Pani kapitan – przerwał Durat. – Statek gotowy do fałdowania.

– Zaraz będę – odpowiedziała. I do Siostry: – Możesz go odprowadzić do pokoju, jak skończysz?

– Jasne. Aha, Nia, wieczorem coś… tego? – Prawą dłonią wykonała nieznaczny gest sugerujący picie.

Nia położyła dłoń na brzuchu.

– Może jutro, pojutrze…

Pielęgniarka zaśmiała się.

– O, teraz widzę, że nie czujesz się dobrze.

Mało powiedziane. Czuła się, jakby połknęła worek tłuczonego szkła. Trzymając się poręczy na ścianie, doszła do kokpitu i usiadła w fotelu drugiego pilota. Opadła na oparcie z zamkniętymi oczyma, podczas gdy Durat mówił, co zrobi – i z kim – podczas urlopu na Pelikanie.

– Opowiadałem ci kawał od tych rolników od dhuby? – zapytał.

– Tak – odparła.

Ale i tak go opowiedział. Zaczynał się tak: „Jednoręki facet idzie z siostrzeńcem na polowanie”. I po raz drugi tłumaczył jej, czemu to śmieszne, że siostrzeniec ląduje w łóżku z żoną jednorękiego, a Nia pocierała dłonią podłokietnik fotela, skupiając się na wrażeniu dotykowym, i powtarzała sobie, że to, co stało się w pokoju chłopca, to tylko biochemiczna reakcja, coś wytłumaczalnego, a skoro wytłumaczalnego, to i do opanowania. Powtarzała sobie to i wiele innych bajek, dając Duratowi zgodę, a on

z kolei potwierdził Baylinowi, że ma pociągnąć za wyzwalacz, i statek zaczął się składać sam w siebie, jak kanapka, jak nieskończenie wiele razy składana kartka, aż wypadli z rzeczywistości i weszli do drugiej, gdzie żagle rozdęły się od silnych podmuchów, i pomknęli energetycznymi falami Prądu Nieśmiałego.

Niech tylko dokończę ten kontrakt i wezmę coś nowego, pomyślała Nia, czując mdłości, gdy jej łódź sunęła po czarnych falach. Niech tylko ten ostatni kurs będzie łatwy.

I nagle, jakby klątwa się ziściła, rozległa się muzyka.

Zaczęło się godzinę po sfałdowaniu. Załoga wciąż otrząsała się z rozfalowania, rozciągała żuchwy, wymiotowała w toalecie, kiedy z wentylacji dobiegły piskliwe, fujarkowe dźwięki fletu. Na początku nie było aż tak źle, większość załogi zgadzała się, że chłopak jest bardzo utalentowany. Problemem było to, że muzyka nie ustawała. Ich gość grał niezależnie od godziny, a skoro Debby była rozplotkowanym statkiem i z wielkim talentem roznosiła dźwięki od włazu do włazu, nigdzie nie było bezpiecznego miejsca.

Fletowa pieśń żyła własnym życiem. Przesączała się do kuchni zza zimnostatycznych pojemników, napływała wzdłuż kontuaru do messy, gdzie rozkładała się na sofach i regale wypełnionym starymi książkami. Wpadała przez gretingi do maszynowni, idąc za grubymi mackami kabli biegnących prosto do serca statku, gdzie rdzeń fałdowy terkotał swymi mosiężnymi trybami, a na stole siedział mechanik, tak rozkojarzony muzyką, że zdjął izolację nie z tego kabla, gasząc podświetlenie gretingu w korytarzu. Przepływała przez szczeliny w kratownicy galeryjki do potężnej ładowni, opływała dwadzieścia skrzyń pełnych fioletowych nasion i weterankę, siedzącą po turecku na macie i denerwującą się, że muzyka wybija ją z medytacji. Przeciekała do kokpitu, gdzie pilot rozpierał się na swym tronie, z nogami na pulpicie i drgającymi powiekami, i zakłócała mu sny o erotycznych podbojach. I szemrała w pęknięciach płyt ściennych, przedostając się do kajuty kapitan, gdzie znalazła Nię siedzącą za biurkiem, patrzącą w powietrze i słuchającą prześladującej Debby muzyki, zdziwiona, że ją te nuty uspokajają i że właściwie wcale jej to nie przeszkadza.

***

Najgłośniejsza zaś była w ładowni i to tam najbardziej dręczyła weterankę. We wnętrzu Debby dźwięki opadały w dół, zbierając się jak osady pomiędzy skrzyniami i galeryjkami ładowni – cały dźwiękowy ekosystem, wzmocniony przez wklęsłe ściany i katedralny sufit. Kroki, szczęk naczyń, stłumione rozmowy w głównym korytarzu – z białym szumem pokładowego życia Sonja nie miała problemu, wyciszał się, gdy tylko rozłożyła matę, siadła ze splecionymi nogami i zapadła się w sobie, żeby w głębi umysłu rozplątywać krwawe supły swojego stresu pourazowego. Na tę godzinę czekała przez cały dzień. Godzinę, kiedy może oddychać. Jednakże teraz razem z białym szumem dobiegała muzyka i szybko przekonała się, że jej nie jest w stanie wyciszyć, bowiem, w odróżnieniu od kroków i szmerów załogi, ona ma kształt i ma opowieść. Jest w niej ból. Rozbijał w proch jej świątynię spokoju, którą

wznosiła sobie podczas medytacji, i pozostawiał tylko nerwowość. Klęła. Krzycząc z niezadowoleniem, biegała po korytarzu, trzaskała naczyniami w kuchni podczas przygotowywania posiłku. Posunęła się nawet dalej. Gdy Nia dowiedziała się, że którejś nocy kopała w drzwi kajuty chłopca, żeby przestał, skonfrontowała się z nią w ładowni, przerywając jej jednym ostrzeżeniem serię podciągnięć na poręczy.

– Powiem ci to tylko raz. Nigdy więcej nie kop w drzwi naszego gościa.

Sonja puściła poręcz, buciory z hukiem opadły na greting.

– Próbowałam na chwilę zasnąć.

– Masz zatyczki, to ich użyj.

– Zatyczki. Mam zatyczki. – Sonja zarzuciła ręcznik na ramię i napięła twarz, jakby miała wypuścić z siebie parę dosadnych słów, zobaczyła jednak uśmiech Nii, bez śladu wesołości, i pohamowała się, łagodząc ostry ton. Hierarchię szanowała jak nikt. – To nie tylko ja, pani kapitan – powiedziała, odwracając wzrok. – Reszta nic nie powie, ale są tak samo wkurzeni jak ja.

– Ale nikt mu w drzwi nie kopał.

– Ktoś to jeszcze zrobi.

Nia wiedziała, że ona ma rację. Dowodem były zmęczone oczy Durata, roztargnienie Baylina, któremu nie udawały się naprawy sypiącego się statku. Kiedy spotkała się z nim, żeby omówić zadania na następny tydzień, dowiedziała się o wszystkim, z czym zalega – wciąż zakleszczonymi drzwiami do trzeciej toalety, spalonym podświetleniem w korytarzu.

– A graw? – mruknęła. – Powiedz, że nie zapomniałeś o grawie.

– Nie zapomniałem – odparł. – Ale nie jest naprawiony.

Nia sapnęła.

– Zdaje się, że mówiłeś, że to zrobisz.

– Próbowałem. Ale jest stary i niewiele da się poradzić. Kiedy dotrzemy na Pelikana, trzeba go będzie wymienić.

– A nic nam nie grozi do tego czasu?

Młody człowiek pokręcił głową, nerwowo bawiąc się jakimś małym, podłużnym narzędziem w swoich poklejonych gumą dłoniach.

– Najgorsze, co się może zdarzyć, to trochę wygazowania – bąble nieważkości pojawiające się gdzieś na statku. Parę obiadów odleci z talerza, mniej więcej tyle. – Ciszej dodał: – Mam nadzieję.

Westchnęła.

– Dopisz go do listy.

– Tak jest, pani kapitan.

Zanim wyszła po schodkach z maszynowni, odwróciła się jeszcze. Powiedziała:

– Jesteś najważniejszą osobą na statku. Jeśli ty nie funkcjonujesz, nie lecimy.

Zarumienił się.

– Rozumiem.

– No to szczerze, muzyka chłopaka cię rozprasza?

Uśmiechnął się pewny siebie.

– Całe życie mieszkałem w głośnych miejscach – powiedział. – To tutaj to jest nic.

Widziała jednak prawdę za tymi słowami. Wahanie przed uśmiechem. Weszła po schodkach, wzdychając, wiedząc, że coś trzeba będzie z tą muzyką zrobić, i to zaraz.

Ale jeszcze nie teraz.

Teraz jeszcze słuchała.

Grał, gdy przyrządzała mu jedzenie. Przed wylotem z Umbai V Kaeda powiedział jej, że chłopak lubi słodkie jedzenie, więc podawała mu miskę słodkiego ryżu na śniadanie i wzbogacaną owsiankę z zucarem na obiad. Na kolację były liofilizowane warzywa i plastry mięsa ze zbiornika, z kandyzowanymi owocami na deser. Trzy razy dziennie przynosiła mu jedzenie, opierała się o ścianę i patrzyła, jak je jedną ręką. W drugiej ściskał flet. Nie rozmawiali wtedy, nie nawiązywali kontaktu wzrokowego, a kiedy skończył, zbierała talerze i wsuwała je w szczelinę kuchennej zmywarki jak gigantyczne monety, zaś z kratki wentylacyjnej nad głową już dobiegały wstępne nuty nowej melodii. I jej uporczywe, niedające spokoju piękno.

Muzyka była stałą towarzyszką. Była przy niej, gdy ćwiczyła z Sonją, gdy gadała z Duratem w kokpicie, gdy czytała stare książki w kajucie. Czasem na chwilę przestawała cokolwiek robić i po prostu słuchała. Pozwalała jej wsączyć się w fałdy ciała i przywołać myśli o Kaedzie. Na nowo przeżywała tę północ, ten pot na skórze, smak jego ust słodki od życia spędzonego z dhubą – tym wspomnieniom towarzyszyło mroczne podejrzenie, że zwrócił jej flet, żeby ją obrazić.

Nikt nie wiedział o ich romansie, nawet Siostra, która była dumna z roli najbliższej powierniczki kapitan. Podczas ich potajemnych seansów picia pod koniec tygodnia, kiedy już pogaszono światła i były ostatnimi dwiema czuwającymi kobietami w promieniu milionów kilometrów, popijającymi bourbon z metalowych kubków i rozgrywającymi parę rozdań Skrzydeł Tropików przy świetle lampki na biurku Nii, nigdy nie wspominała o Kaedzie. Pozwalała Siostrze prowadzić rozmowę.

– Ja rozdam – mówiła, tasując karty.

Gra przebiegała w ciszy, Nia borykała się z męczącymi myślami. I choć doskonale wiedziała, czym zdradza się Siostra – jak rozciera palcami materiał swego sari, kiedy ma dobre karty – tej nocy była zbyt rozkojarzona, by wykorzystać tę wiedzę, i obie zdziwiły się, kiedy przegrała wszystkie partie.

– Gdzie twoja bystrość? – zapytała Siostra, napełniając sobie kubek, by uczcić zwycięstwo.

Nia uśmiechnęła się słabo.

– Daję starej kobiecie fory, jak trzeba.

– Jak to miło z twojej strony. To jeszcze jedna runda. – I spojrzała na nią ostrzegawczo. – Bez forów.

Kiedy Nia i tym razem przegrała, przełknęła resztę bourbona i z kubkiem przy ustach powiedziała:

– Patrzysz na mnie cały czas.

– Masz taką twarz, że miło na nią patrzeć – odparła Siostra.

Nia uśmiechnęła się.

– Mów, co ci leży na wątrobie.

– Nawet jeśli to oczywiste?

– Może dla mnie teraz wcale nie jest oczywiste.

– Coś trzeba zrobić z tą muzyką – powiedziała Siostra. – Wszyscy to wiemy. – Wsunęła karty do pudełka. – Są kulturalne sposoby, by to przerwać. Chłopiec może nie umie mówić, ale rozumie nas całkiem dobrze. Możemy ustalić jakieś godziny,

kiedy mu wolno grać, znaleźć miejsca na statku, skąd dźwięk tak się nie niesie. Ale jestem pewna, że już na to wszystko wpadłaś. – Rzuciła pudełko kart na biurko i spojrzała Nii w oczy. – Po prostu to odwlekasz.

– Prawda – odrzekła Nia.

– Przyznaje się więc, ale nie mówi, dlaczego – rzuciła wesoło Siostra.

– Bo „dlaczego" to… ciężka sprawa. – Nia już miała nalać sobie kolejną szklankę, powstrzymała się jednak, gdy tylko dotknęła butelki. – Ostatnio coś sobie uświadomiłam.

– Co takiego?

– Zapomniałam datę śmierci mojej siostry. – Nia uśmiechnęła się z zażenowaniem, pielęgniarka jednak patrzyła na nią w skupieniu i kiwnęła głową, żeby mówiła dalej. – Coś, co powinnam pamiętać, nie? Raz sprawdziłam, wiele lat temu. Zobaczyłam na Strumieniu dzień i datę. I myślałam, że zapamiętam ją do końca życia… ale ot tak, pozwoliłam sobie zapomnieć.

Wpatrzyła się w światło lampki, czując żar światła na siatkówce, widząc echo młodej kobiety, krzyczącej, błagającej, żeby została. Młodsza siostra, która dorastała bez niej, całe życie, zużyte i opróżnione, podczas gdy Nia trawiła lata w Fałdzie, uciekając jak najdalej od domu. W dniu, kiedy dowiedziała się, że siostra zmarła, starsza od niej o dziesiątki lat, po raz pierwszy przeżyła Panikę Kompresyjną. I myślała, że ten dzień będzie tkwił w jej sercu jak nowotwór. Mimo to jakimś cudem zanikł, stał się tylko kolejnym cieniem na strychu. Jednym z wielu.

Westchnęła.

– Pozwoliłam sobie zapomnieć o wielu rzeczach.

– Na przykład? – zapytała Siostra.

„Na przykład o flecie", już miała powiedzieć, lecz chwila przeminęła i drzwi do jej serca zatrzasnęły się bez ceregieli.

– Przepraszam. – Uśmiechnęła się zakłopotana. – Nie wiem, skąd mi się to wzięło. – A kiedy Siostra sięgnęła, by dotknąć jej dłoni, cofnęła ją. – Chyba już będę się kłaść.

Siostra zatrzymała dłonią zamykający się właz.

– Proszę – powiedziała. – Jeśli nie dla ciebie, to chociaż dla mnie. Nie zadręczaj się tym.

– Nie będę – obiecała Nia. – I gratuluję wygranej.

– Dzisiejsze wygrane chyba się nie liczą. – Siostra ruszyła ciemnym korytarzem zwrócona plecami do włazu. Uniosła jeszcze dłoń na pożegnanie. – Pogratulujesz mi, jak na to zasłużę.

Nia wróciła do biurka, rozcierając skronie pulsujące bourbonem, pstryknęła lampką. Otworzyła nowy notatnik, w nastroju do pisania. Podczas ostatniego rejsu na Stację Pelikan w jednym z obrośniętych zielenią pubów w Skrzydle Schreiberi wdała się w rozmowę z jakimś historykiem, który, patrząc szalonymi czerwonymi oczyma, opowiedział jej o sztuce haiku – twierdził, że dzięki tej sztuce otworzą jej się zmysły i będzie bardziej chłonna na sygnały od duchów, wplecione w sygnały łącznościowe ze stacji przez istoty, których nie widzimy. I teraz miała na biurku całe zeszyty wypełnione treningowymi utworami, niektóre z nich były trochę lepsze od innych, choć jej zdaniem i tak okropne. Nieważne jednak umiejętności, czy sygnały od

duchów, odkryła po prostu, że podoba jej się pisanie tego szajsu. Słowa pomagały uporządkować huragan. I tak właśnie tej nocy przyłożyła ołówek do papieru i napisała:

Fujarka z Ary
Tandetna, niestrojąca
Okropna
Pozbawiona
Nie miała

Wydarła kartkę z notatnika, podarła ją na drobne kawałki. Rzuciła konfetti do śmieci. Zaczęła nowe haiku, gdy kątem oka dostrzegła, że papierki unoszą się z kosza i zawisają nad nim w powietrzu, migocąc w świetle lampy jak duszki.

Przez chwilę bała się, że pojawiły się stare duchy, dopóki nie przypomniała sobie, że graw się sypie i Baylin go jeszcze nie naprawił. Z westchnieniem poczekała, aż bąbel przysiądzie, i kiedy strzępy papieru spłynęły z powrotem do kosza, gdzie powinny być, rozebrała się i wśliznęła do łóżka, a nastrój do pisania prysnął. Leżała, patrząc wytrzeszczonymi oczyma w sufit, nie będąc bliżej snu, niż kiedy siedziała przy biurku, a nogi miała tak niespokojne, że mogłyby same wstać i wyjść przez właz, gdyby tylko im pozwoliła. Jak przy każdym ataku paniki, powtarzała sobie, że to uczucie minie, że to tylko alkohol i że, jak każdej nocy, trzeba to po prostu przeczekać. Ale nie mijało. Leżała, przyciskając pięści do oczu, tłumiąc nimi buzowanie złych myśli w głowie, wszystkich tych „gdyby” i „trzeba było”, wszystkich złych rzeczy, z których się składała, aż usłyszała dobiegające przez wentylację nuty muzyki chłopca.

Były ciche, ledwie słyszalne, ale były. Nie znała melodii, znała za to uczucie. Poczuła otuchę, że jest jeszcze co najmniej jedna osoba, której przeszłość nie daje spać. Rozluźniła ramiona. Pięści rozwinęły się w otwarte dłonie, do knykci wróciła krew. Zaczęła nucić, gardłowo, podążając za melodią. Ich głosy splotły się w nieśmiały taniec i poniosły ją w spokojny sen bez marzeń.

Chłopiec grał na flecie przez tydzień.

A potem ktoś mu go złamał.

***

Był poranek ósmego dnia w Fałdzie. Odległe, wszechobecne grzechotanie kości Debby żeglującej nurtami Prądu Nieśmiałego. Balansując ze śniadaniem w zgięciu ręki, Nia otworzyła właz kabiny chłopca i wytrzeszczyła oczy, widząc, jak siedzi na podłodze przy koi, a przed nim leżą dwie złamane połówki fletu. Postawiła miskę słodkiego ryżu na stole i kucnęła przy nim.

– Ty go złamałeś? – zapytała.

Martwo pokręcił głową.

– Tak go znalazłeś?

Kiwnął głową.

Nia bez słowa zebrała połówki fletu i gestem nakazała mu jeść. Gdy zaczął się

bezradnie bawić łyżką, ruszyła korytarzem i wyładowała gniew, waląc pięścią w przycisk ogólnego kanału.

– Wszyscy do kuchni. Już.

Mieli dość rozumu, by nie zwlekać. Po pięciu minutach cała załoga po kolei zasiadła za stołem, przerzucając się zdezorientowanymi pomrukami. Dezorientacja natychmiast zniknęła, gdy Nia cisnęła na stół połówki połamanego fletu, aż podskoczyły.

– Kto to zrobił? – zapytała.

Wszyscy zesztywnieli. Obrzucali się podejrzliwymi spojrzeniami, decydując, kogo powinni obwinić, w niemej jednoaktówce, która skończyła się tym, że wszyscy aktorzy patrzyli na Sonję. Weteranka zaśmiała się oschle.

– No tak. Jasne. Widzę. Ale to nie ja.

– Oczywiście, że ty – powiedział Durat. – Odkąd się sfałdowaliśmy, groziłaś, że mu to zrobisz.

– Wal się, to było w żartach. – Jej głos pobrzmiewał niespodziewaną paniką, gdy podejrzenia się zaostrzyły. Jeśli istniało coś, czego nie mogła znieść, to to, że ktoś myśli, że złamała zasady pani kapitan. A do Nii powiedziała: – Nie cierpiałam tej muzyki. Wiesz. Wszyscy wiecie. Ale wiedziałam, że to jedyne, co ma ten biedny dzieciak. – Rozparła się na krześle i splotła ramiona. – Nie jestem, kurna, jakimś potworem.

– Nie jestem potworem. Super obrona.

Sonja wbiła wzrok w Durata.

– Nawet sobie nie wyobrażam, że mógłbym coś takiego zrobić – powiedział Baylin, nogi podrygiwały mu pod stołem. – Zresztą nawet nie miałbym czasu pójść tam i mu ten flet złamać, bo, tak jak mówiła pani kapitan, jestem najbardziej zajętą osobą na statku.

Durat przewrócił oczyma.

– Nie to co inni – ciągnął, patrząc znacząco na Durata. – Którzy cały dzień tylko grają w gierki w kokpicie.

– Ćwiczenia zręcznościowe – odparł Durat. – To są ćwiczenia zręcznościowe. – Uśmiech zamarł mu na ustach. Położył dłonie płasko na stole. – Ale nieważne. Pani kapitan, ja w ogóle nie rozumiem, czemu to jest problem. Chyba nie ma tu nikogo, kogo by ten hałas chociaż trochę nie drażnił. Może przyjmijmy, że się stało i trudno?

Walnęła otwartą dłonią w stół, połówki fletu podskoczyły.

– Mój statek – powiedziała z oczyma zimnymi jak księżyce. – Na moim statku nic się nie dzieje, jeśli ja nie powiem. Obrażacie naszego pasażera, to obrażacie mnie.

Durat pochylił głowę, ustąpił.

Siostra, która dotąd opierała się o ścianę, słuchając, odezwała się:

– Pani kapitan ma rację. Ktoś postąpił nieodpowiednio. Nie ma wątpliwości. Ale… – rozłożyła ramiona, potem splotła je z powrotem – …fakt jest jeden: to się stało. Flet jest złamany. I ta amatorska inkwizycja tego nie odwróci.

– „Amatorska inkwizycja”? – Nia obnażyła zęby. – Według ciebie robię coś nierozsądnego?

– Oczywiście, że nie – odparła. Odgarnęła z oczu kosmyk siwych włosów. – Mówię tylko, że już dałaś wszystkim do zrozumienia, co myślisz. Jeśli nie zamierzasz wystawić sprawcy za śluzę za chwilowe zaćmienie umysłu, to chyba Durat ma rację.

Dajmy sobie z tym spokój.

Spojrzały sobie w oczy.

– Chcę z tobą porozmawiać na osobności – powiedziała Nia.

Załoga natychmiast się rozproszyła. W parę sekund w mesie zostały tylko Nia i Siostra, wpatrzone w siebie nad stołem, z twarzami na wpół oświetlonymi lampkami nad blatem. Siostra zrobiła bojową minę, bezczelną nawet, Nia widziała jednak, że się denerwuje – jedna jej dłoń pocierała rąbek czerwonego sari, jakby chciała w nim wydrapać dziurę.

– Ty to zrobiłaś? – zapytała Nia.

– Tak – odparła Siostra.

Nia uśmiechnęła się, nie wierząc jej.

– Dlaczego?

– Czy to ważne?

– Gdyby nie było ważne, tobym nie pytała.

– Do Pelikana mamy cztery miesiące – powiedziała pielęgniarka. Mówiła szybko. Było oczywiste, że ćwiczyła wcześniej tę przemowę. – Cztery miesiące tkwimy tutaj razem. Służyłam na wielu statkach. Widziałam, jak może się rozsypać załoga. Zresztą wiesz, co widziałam. Wiem, co się może zdarzyć przez… to nigdy nie jest przez jedną rzecz. Przez drobiazgi, które się nawarstwiają. I nabrałam przekonania, że flet chłopca jest takim drobiazgiem. Więc zrobiłam to, co robię w życiu, i uzdrowiłam sytuację.

– Złamałaś go.

– Żeby było lepiej, Nia.

– Pani kapitan – poprawiła ją. – I to nie ty decydujesz, co jest lepiej. Ja mówię. – Ruszyła ku niej. – Potrącam ci dziesięć procent z wypłaty.

Siostra zjeżyła się.

– Trochę przesada. To, co zrobiłam, było z korzyścią dla załogi i nie stworzyło zagrożenia dla nikogo.

– Dziesięć procent.

Siostra otworzyła usta.

Zamknęła je.

– Tak jest, pani kapitan – odpowiedziała z wąskim uśmiechem i wyszła z kuchni.

Nia wypuściła powietrze. Pokręciła głową, czując napięte jak postronki mięśnie szyi. Wzięła połówki złamanego fletu i wepchnęła je do szuflady biurka w kajucie, uznając, że lepiej, by chłopiec nie widział go więcej w tym stanie.

Kiedy do niego wróciła, miska po słodkim ryżu była pusta. Wyskrobywał z niej łyżką ostatnie ziarna. Nigdy nie miała talentu do dzieci. Nigdy nie miała okazji praktykować pocieszania ich. Zatem z niezdarną delikatnością poklepała go po ramieniu, mając nadzieję, że to wystarczy.

Łyżka zatrzymała się. Znieruchomiał pod jej dotykiem.

Prawie podziwiała tę jego niesamowitą zdolność do milczenia. Nawet kiedy płakał.

***

Przez trzy dni muzyki nie było. Właz do kabiny dla gości pozostawał zamknięty. Nia wydała rozkaz, by nikt poza nią tam nie wchodził, dając jasno do zrozumienia, że jeśli ktoś nie usłucha, od razu po lądowaniu na Pelikanie zostanie zwolniony. Załoga posłuchała, zresztą nie mieli już problemów z gościem, a ich nastroje poprawiły się znacząco, odkąd nastała cisza.

Przez te trzy dni tylko Nia widziała, jak chłopiec powoli wycofuje się w kąt pokoju. Siedziała z nim, gdy tylko mogła, czytała coś, a on leżał na łóżku, nie poruszając się. O każdej pobudce, kiedy wstawała i robiła mu śniadanie, pytała siebie, co właściwie robi, co zmienia jej towarzystwo, dlaczego w ogóle się nim przejmuje. Choć była wściekła na pielęgniarkę, wiedziała, że ona ma rację – po wylądowaniu na Pelikanie chłopiec nie będzie już ich problemem. Wystarczy dawać mu jeść i dbać o czystość. Nie ma po co podejmować tych niezdarnych prób dodania mu otuchy. I tak jednak łapała się na tym, że wraca do jego pokoju, jakby przyciągana tam siłą empatii albo czymś jeszcze, być może obowiązkiem; nie wiedząc, że chłopiec co chwilę wygląda spod koca jak małe zwierzątko z nory i sprawdza, czy ona przy nim jest.

Czwartego dnia nie było go w pokoju.

Nia chwyciła się framugi włazu, powstrzymała się jednak przed wymyślaniem najgorszych scenariuszy. Przeszukała statek, zaczynając od najbardziej niebezpiecznych miejsc – maszynowni i ładowni – ale ani Baylin, ani Sonja go nie widzieli. Siostra także go nie widziała w izbie chorych. Zaproponowała, że pomoże go szukać, Nia jednak odmówiła. Jej zdrada była zbyt świeża.

– Dziękuję, sama dam radę – powiedziała, wycofując się z izby chorych. – Znajdę go.

I znalazła. Z westchnieniem ulgi wykryła go w kokpicie, w fotelu pilota, ubranego w jeden z wiejskich strojów, który spakował mu Kaeda – czerwony jak magma i opadający skośnie przez tułów z jednego ramienia, ściśnięty w pasie czarnym sznurowym pasem, kończący się spódnicą sięgającą chudych kolan. Dłonie miał wciśnięte w kocią kołyskę sterującą Debby, a Durat stał za nim, mówiąc, za który sznurek ma pociągnąć, żeby włączyć tylne silniki korekcyjne. Tak naprawdę chłopiec niczego nie pilotował, kocia kołyska została zablokowana przez autopilota, a sznurki były martwe w dotyku, jego oczy jednak i tak skupiały się na zasłoniętym oknie przed sobą, gdy słuchał wskazówek Durata i udawał, że każdym ruchem zręcznych palców wpływa na los statku i jego załogi.

Lekcję przerwało kaszlnięcie Nii. Durat odwrócił się, zobaczył ją we włazie.

– Pani kapitan – odezwał się z uśmiechem.

Czar prysł. Chłopiec wrócił do siebie. Wyciągnął dłonie z zagłębienia sterów okrętowych i zsunął się z fotela. Stopy w sandałach zatuptały na podłodze i stanęły u boku Nii. Wpatrzył się w nią.

– Znalazłem go tutaj – powiedział Durat. – Mało zawału nie dostałem.

Nia uśmiechnęła się.

– Uczyłeś go latać?

– Samych podstaw. Wiele lat minie, zanim będzie tak dobry, jak ja.

– Może nie. Może właśnie znalazłam sobie nowego pilota. – Uśmiechnęła się szeroko. Cała sytuacja była dziwna, ale przyjemna. Spojrzała na chłopca. – Szukasz

może pracy?

Wzruszył ramionami.

Jej były pilot zwiesił głowę.

– A ja sobie po cichu umrę, niepotrzebny, w kąciku.

– Już widzę to „po cichu”. – Nia zachichotała. – Nie chciałam przerywać. Możecie sobie grać dalej.

– To nie jest granie.

– Tak, tak. Ćwiczenia zręcznościowe.

Odwróciła się, by odejść. Przy schodach prowadzących do głównego korytarza usłyszała za sobą tupot sandałów goniącego ją chłopca. Stanął i znów spojrzał na nią tym swoim przenikliwym spojrzeniem, jakby było oczywiste, że musi za nią pójść.

– Nie polecam iść ze mną – powiedziała. – Moje sprawy nie są tak ekscytujące jak lot przez Fałd. Zostań tu i pograj.

Zaprowadziła go z powrotem do kokpitu i posadziła w fotelu.

– Pograj z nim – rzuciła stanowczo do Durata.

Była w połowie schodków, gdy sandały zatuptały za nią.

– Przykro mi, pani kapitan. – Durat na dole uśmiechnął się uśmiechem, który sugerował, że w ogóle mu nie jest przykro. – Jeśli małego nie przywiążemy do czegoś, będzie chodził za tobą jak przyklejony.

– Właśnie widzę – mruknęła.

Tak oto okazało się, że ma całodziennego pomocnika. Pierwszym przystankiem była rufa statku, gdzie Sonja odbywała swój poćwiczeniowy rytuał rozkładania gaussowskiego karabinu i polerowania jego części na rozłożonej plandece. Nia zapytała ją, czy zrobiła inwentaryzację zapasów żywności, jak ją prosiła kilka dni temu. Sonja uniosła brwi, gdy zza jej pleców wyłonił się chłopiec i obszedł katedralną przestrzeń ładowni jak kot, dotykając wszystkiego – siatek na ścianach, grubych czarnych pasów mocujących pojemniki z nasionami do kratowej podłogi, magazynka karabinu – tu dała mu po łapie. Spojrzał na nią urażony.

– Zrobię tę inwentaryzację – powiedziała zdenerwowana. – Tylko go stąd zabierz.

Po drodze do mesy wpadły na zmierzającą w przeciwnym kierunku Siostrę. Ta pojaśniała na widok chłopca, jakby była autentycznie ucieszona, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Nia szła dalej bez zatrzymania, a chłopiec tuż za nią. W mesie zsunęli kanapy pod wyłożoną boazerią ścianę, zwinęli dywan i zanieśli go na galeryjkę. Powiesili dywan na relingu i tłukli go szczotkami, a Sonja na dole kichała. Szybciej byłoby wrzucić go do vaca, Nia pomyślała jednak, że chłopakowi spodoba się to zajęcie, a i sama miała z niego przyjemność, przypominało jej dom; to, jak jej siostra patrzyła na chmury kurzu, kiedy Nia trzepała dywany matki na balustradzie balkonu, z widokiem na sylwetki budynków Miasta-Planety; jak zachwycała się rozbłyskami drobinek kurzu w chemicznie pomarańczowym świetle sztucznego słońca. Chłopiec, w przeciwieństwie do jej siostry, nie zwrócił uwagi na migotanie pyłków. Tak jak w przypadku fletu, każdy gram jego koncentracji był poświęcony wykonywanemu zadaniu. To skupienie bardzo się Nii podobało.

Gdy z powrotem rozwinęli dywan w mesie, dała mu tablet, rysik i pozwoliła bazgrać, a sama zajęła się jedną ze starych książek, zamaszystą epopeją ze Starej Ziemi, którą niegdyś uwielbiała jej matka. Na kartach powieści Faydra Faneuil, kró-

lowa-wojowniczka, walczyła o wolność swych włości, a wzrok Nii odpłynął ponad książkę i przez chwilę obserwowała, jak chłopiec kreśli na ekranie długie spiralne linie, nieschodzące się w żaden konkretny obraz czy kształt, ale wijące się w kółko i przecinające ze sobą, dopóki nie powstał jeden czarny zwój.

Przestał rysować, kiedy lampa na niskim stoliku się uniosła. Zatrzymała się w powietrzu, jakby ruszyła tam sama z siebie, tylko zapomniała, dokąd chce iść. Popatrzył na Nię pytająco. Powiedziała mu, że statek jest stary i wiele części nadaje się do wymiany. Wstała, chwyciła lampę obiema dłońmi za podstawę i już miała wyciągnąć ją z nieważkiego bąbla, lecz chłopiec wstał, spojrzał na swe wykrzywione odbicie w brązowej, podłużnej podstawie; wielkie, ciemne oczy, czarne włosy opadające długą, postrzępioną grzywką na czoło. Gdy wyciągnął rękę i dotknął odbicia, lampa bezpiecznie opadła Nii w ręce.

Na kolację otworzyła opakowanie suszonego mięsa i wrzuciła paski do wrzątku. Ułożyła je na słodkim ryżu i patrzyła, jak je, obserwując jego przemyślane ruchy, gdzie żadne ziarenko nie zostawało upuszczone ani zapomniane na ustach, a miska była wyskrobana do czysta. Ciało tak nieruchome i opanowane, że stapiało się z meblami, i wpadająca co chwilę do kuchni załoga prawie go nie zauważała. Baylin nie dostrzegł go w ogóle, przywitał się kulturalnie z Nią, wziął makaron białkowy z lodówki, cały czas gadając o przeciekających filtrach w silniku, i wyszedł. Nia spojrzała na chłopca z krzywym uśmiechem, zadziwiona tą niesamowitą umiejętnością znikania.

– Będziesz mnie musiał nauczyć, jak to się robi – powiedziała.

Chłopiec uniósł pustą miskę. Rozejrzał się.

– Tam się wkłada – powiedziała, pokazując zmywarkę.

Czekała pod łazienką, kiedy brał prysznic, i pomogła mu się przebrać do spania, w białą koszulę nocną, w której tonął, oddaną przez Durata, bo rzeczy, które spakował mu Kaeda, nie nadawały się na zimne noce na statku. Oparła się o framugę włazu, gdy kładł się do łóżka, zwijając drobne ciało w kłębek pod grubym wełnianym kocem. Wbrew sobie uśmiechnęła się na ten widok.

– Śpij dobrze – rzuciła.

Uniósł dłoń nieznacznie i pomachał jej, akurat w momencie, gdy na statku gasły wszystkie zbędne światła, sprowadzając im noc.

***

Tygodnie mijały z chłopcem w charakterze jej cienia, każdego dnia coraz bardziej przyrastającego do podeszew jej stóp. Pomagał Nii robić pranie, wrzucał je do wlotu vaca, czekał dziesięć minut na „ding” i ubrania pachnące jak stalowe kwiaty. Siedział koło niej, kiedy grała z Duratem i Sonją w Skrzydła Tropików, patrzył w jej karty i z gry na grę podłapywał skomplikowane reguły, gdy wyjaśniała mu, które ptaki biją inne ptaki i jaka jest różnica między klangorem a gęganiem; oraz czemu Sonja upiera się, że Durat ma przez cały czas trzymać ręce na stole.

– Człowiek raz oszuka i jest oszustem do końca życia, na to wygląda – rzucił gorzko Durat.

Popołudniami słuchał wyjaśnień Nii, dlaczego wzdłuż ścian i sufitu biegną poręcze. Słuchał w mesie jej opowiadań ze starych rejsów, na przykład o przewożeniu rzymskiego drzewa przez trzy układy, kiedy nie wiedzieli, że właśnie owocuje i zapyla ich układ wentylacji neurotoksynami, dając całej załodze kilkugodzinne radosne delirium, póki nie pozbierali się na tyle, by złapać maski przeciwgazowe i przenieść drzewko do hermetycznej śluzy.

– Ponchiego znaleźliśmy w kuchni, jak wcierał sobie ryż w twarz – powiedziała, pokazując to dłońmi.

Chłopiec słuchał zabawnych historii, bo tylko takie mu opowiadała. A kiedy pewnego dnia przyprowadzili go z Duratem do kokpitu i nałożyli słuchawki na głowę, słuchał dźwięków Fałdu, wytrzeszczając oczy na symfonię trzasków i pstryknięć palcami. Nia przypatrywała się jego transowej minie, zastanawiając się, o czym myśli, kiedy słucha czarnej materii ocierającej się o czujniki na kadłubie Debby; od tego dnia, kiedy znajdowała go czasem w kokpicie nad ranem, śpiącego w słuchawkach, zanosiła go do łóżka, z bezwładnymi, zwisającymi ramionami, i zapytywała samą siebie, o czym to śnią dziwni chłopcy.

Na ogół jednak rano był obudzony i już na nią czekał. Zaraz po pobudce Nia leżała w łóżku i nasłuchiwała, aż pod jej włazem rozlegało się znajome pełne zapału tupanie sandałów. Uśmiechała się i sama dziwiła, że się uśmiecha. Wstawała, ubierała się niespiesznie – najpierw spodnie, potem koszulka na ramiączkach – odwlekając chwilę, w której otworzy właz, sycąc się faktem, że po drugiej stronie stoi ktoś, kto nie może się jej doczekać. Czasem podczas tego porannego rytuału zatrzymywała się i myślała o Kaedzie, stojącym na skraju fioletowego pola, patrzącym w niebo i ściskającym flet, który zostawiła; czuła wtedy zawstydzenie, bo przypominała sobie, jak przyjemnie było go zostawić i czuć w sercu pulsowanie mrocznej satysfakcji za każdy gram jej ciała, którego mu będzie brakować. I choć relacja z chłopcem była inna, idea się nie różniła – sycił się jej obecnością i ona o tym wiedziała.

Trafiały się rzadkie dni, kiedy to wykorzystywała: mówiła mu, że jest zajęta, i zamykała się w kajucie, żeby pisać haiku albo w ogóle nic nie pisać, delektując się urokiem młodzieńczej nieprzystępności. Nadchodziła jednak godzina, gdy patrzyła na siebie z zewnątrz i uświadamiała sobie, że jest za stara na takie gry. Szła wtedy i odszukiwała go – był, siedział przy blacie w kuchni, wpatrzony twardym wzrokiem w jakieś nieznane wspomnienie w kącie pomieszczenia. Uśmiechał się na jej widok. Rozpogodzenie, kiwnięcie głową.

Tak.

Dzisiaj coś porobimy.

Poznała jego manieryzmy. Jak zakładał prawą stopę za lewą przy jedzeniu, jak skubał paznokcie, kiedy się denerwował. Jak niecierpliwie szarpał się za włosy – dawno ścięte do dwucentymetrowej czarnej czupryny – i jak, kiedy upuścił talerz, potrącił ją, albo nie poszło mu jakieś drobne zadanie, garbił się, jakby czekał na cios. W tych chwilach dostrzegała migawkę z jego przeszłości. Historii ciszy, która istniała na długo przed traumą katastrofy. I wyuczonego bólu.

***

Trzeciego dnia trzeciego miesiąca, kiedy położyła chłopca spać, ktoś zapukał do jej włazu. Wiedziała, kto to, nawet nie otwierając. Rozmowa od dawna była potrzebna.

– To absurd – rzuciła Siostra, stojąc w ciemnym korytarzu, wściekła. – Możemy już z tym skończyć?

Od jakiegoś czasu traktowały się uprzejmie, ich rozmowy w przejściu były grzeczne i płytkie. Czyniły wypady w kierunku pogodzenia się, ale nigdy nie wyszły poza zdawkowe i niezręczne rozmowy. Nia była tak zaprzątnięta chłopcem, że dopiero teraz, widząc przyjaciółkę za drzwiami, uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało Siostry, choć wredniejsza strona natury wciąż zastanawiała się, czy nie zamknąć jej drzwi przed nosem. Wyszła na zewnątrz, pozwoliła sari przelecieć obok siebie. Bourbona zostało na cztery palce. Rozlała go do dwóch kubków i wyrzuciła butelkę do kosza.

– Jak tam? – zapytała.

Pielęgniarka parsknęła śmiechem, siadając na łóżku.

– Samotnie – powiedziała.

Napiły się.

– Kończą się zastrzyki Sonji – dodała. – Musisz to dopisać do listy, chyba że chcesz, żeby jej noga odpadła.

– Może niech odpadnie – rzuciła Nia z westchnieniem. – Może wtedy przestanie wywalać z kopa wszystkie moje drzwi.

Siostra kiwnęła głową.

– À propos, kiedy Baylin zamierza naprawić drzwi od trzeciego kibla?

– Mówi, że nie ma jak. Podobno trzeba je wymienić na Pelikanie, choć ja trochę podejrzewam, że on po prostu nie wie, jak to zrobić.

– Bo ta zasłona, którą tam powiesił… za każdym razem, jak siadam, wentylacja stwierdza, że się zrestartuje, zasłona się podnosi i jakimś sposobem Durat zawsze akurat przechodzi, w sam raz, żeby mnie zobaczyć. – Siostra pokręciła głową, gdy Nia parsknęła śmiechem. – Za każdym razem. To upokarzające.

– Zwolnię go, jak wylądujemy. Jego i Baylina. I Sonję do kompletu. Możemy zacząć od nowa ze świeżą załogą.

– Świeża załoga, świeży start. Ekscytujące.

Napiły się znowu. Pielęgniarka dłubała coś przy paznokciach, które, jak zauważyła Nia, były świeżo obgryzione; powstrzymała się jednak od uwag, wiedząc, jak drażliwa jest w tej kwestii.

– Ale nie przyszłam gadać o drzwiach ani o lekarstwie Sonji – dodała prawie szeptem. – Przyszłam, żeby powiedzieć, że zachowałam się nieodpowiednio. Jestem tego świadoma.

Nia nachyliła się ku niej.

– Czemu to zrobiłaś?

– Już ci mówiłam. Flet wpływał na morale załogi, ale nikt z tym nic nie robił.

– Ale czemu go złamałaś? Czemu po prostu mu nie powiedziałaś, że ma przestać? Nie tak ci radziłam?

Siostra zawahała się.

– Nie myślałam wtedy jasno – przyznała.

Nia wiedziała, do czego ona zmierza.

– Retrospekcja?

– Tak.

Odkąd Nia znalazła Siostrę we wraku statku na pograniczu, minęło pięć lat i choć zagłodzone ciało zdążyło się wypełnić, usta przypomniały sobie, jak się uśmiechać, a umysł odzyskał bystrość, wciąż miała przebłyski z poprzednich czasów, kiedy skończyło się jedzenie i mięsem stały się ciała ochotników, z którymi służyła.

– Nie będę usprawiedliwiać mojego zachowania – powiedziała. – Jedynie je wyjaśnię. O drugiej w nocy, w stanie, w którym byłam, nie widziałam innego rozwiązania niż złamać flet na pół.

– Rozumiem to – powiedziała Nia. – Naprawdę. O ile ty rozumiesz, że to, co zrobiłaś, było otwartym naruszeniem mojego rozkazu.

– Oczywiście – odparła.

Nia kiwnęła głową.

– No to dobrze.

Trzeci łyk. Coś jeszcze leżało Siostrze na sercu, Nia widziała po ruchu jej dłoni na sari.

– Fajny chłopak z niego – powiedziała. – I cieszę się, że mimo moich wysiłków jakoś się tu zaaklimatyzował. – Odstawiła kubek na stolik nocny. – Ale trochę mnie martwi, że spędzasz z nim tyle czasu.

Nia, pijąc, spojrzała na nią dziwnie.

– Jest gościem na naszym statku. Zapewniam mu rozrywkę.

– Wiesz, że nie zostanie z tobą.

Postawiła kubek obok kubka Siostry.

– Nikt nie mówił, że chcę go zatrzymać.

– Bo nikt nie musiał. Od razu widać, że się przywiązałaś.

– A czemu ty o tym mówisz?

– Dokładnie wiesz, czemu – powiedziała. – Jak tylko wylądujemy na Pelikanie, Umbai przyjdzie odebrać ładunek. W tym chłopca. Wkroczył na ich teren. Mają do niego prawo.

– Rozbił się. Intencja też się liczy.

– Mogą go puścić i tyle, prawda, ale jeśli tak się nie stanie, jeśli jest w tym coś jeszcze, już nigdy go nie zobaczysz. Dobrze o tym wiesz.

Nia uniosła dłonie.

– No to wszyscy będziemy żyć jako zadowoleni i praworządni obywatele Zjednoczonego Kosmosu.

Siostra jeszcze nie skończyła.

– Nawet jeśli go puszczą, to co? Adoptujesz go? Będziesz go wychowywać na statku, urządzisz mu dom w tej blaszance?

Nia się skrzywiła.

– Ta blaszanka uratowała ci życie.

– Tego ci nigdy nie zapomnę. – Pielęgniarka pokręciła głową. – Nigdy. I dlatego właśnie… – nachyliła się do niej błagalnie – …mówię ci teraz jasno i wyraźnie: to jest dziecko. To nie twoje zwierzątko, nie twoja zabawka. To dziecko, które potrzebuje domu.

– A tu jest dom – odparła.

– To jest statek handlowy. Klasy Pstrogłów. Ładowność pięćdziesiąt ton i do dziesięciu pasażerów. Kryjówka najemników. Mój zbawca. Wiele rzeczy można o tym statku powiedzieć, Nia. – Siostra chwyciła ją za rękę i tym razem nie pozwoliła jej wyrwać. – Ale nie, że to jest dom.

***

Rejs był prawie zakończony. Zbliżał się koniec czwartego miesiąca, a z nim ekscytacja elektryzująca powietrze z odzysku. Na ostatni wspólny posiłek Baylin wyciągnął z zimnostatyki pstrąga i grillował go na elektrycznej siatce, aż poczerniała mu skóra. Przeciął brzuch nożem i podał rybę w całości, z pomidorami na parze, pikantnymi płatkami gurkułów i wielkimi jak pięść obsmażanymi różyczkami kalafiora. Załoga urządziła mu owację. Po liofilizowanym mięsie i granulkach witaminowych wszyscy byli żądni czegoś smacznego. Prawie mieli łzy w oczach, na nowo odkrywając językami smak.

Nastroje były świetne. Durat i Sonja zawiesili broń, docinki łagodziły teraz życzliwe uśmiechy, nawet kiedy na półmisku została ostatnia truskawka i pokazały się zęby. Chłopiec siedział między Siostrą a Nią. Ryba nie przypadła mu do gustu i jadł kalafior ze słodkim ryżem, już nie pilnując tak swojej zwykłej oszczędności ruchów i przytupując radośnie nogą pod stołem. Nia dołożyła mu jeszcze ryżu. Kiedy patrzyła, jak je, nie myślała o nadchodzących dniach, po prostu słuchała jego metodycznego przeżuwania, szczęknięć kieliszków uniesionych do trzeciego toastu w intencji bezpiecznej podróży. Po prostu przyjemny wspólny posiłek, bez większych sensacji, aż do końca, kiedy Sonja rozsnuła jedną ze swych wojennych opowieści, w której kuliła się w diamentowym okopie, a powietrze cięły zielone, zębate serie, i przerwały jej nagle migocące światła i szkielet pstrąga unoszący się z półmiska jakby na żyłce wędkarskiej. Rozmowy ustały, wszyscy wpatrzyli się we frunącą pod sufit rybę. Nia westchnęła i zapytała Baylina, ile kosztowałby nowy graw, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, bąbel nieważkości rozszerzył się, a statkiem coś wstrząsnęło, posyłając w powietrze wszystko – resztki pomidorów, kubki z alkoholem, sam stół i pojękującą załogę, Baylina, Sonję, Durata, Siostrę, chłopca i Nię. Podnieśli się z krzeseł lub z krzesłami. Sonja klęła, wirując, Durat dostał w twarz ogonem ryby, Siostra szamotała się z sari, zakrywając nim nogi, a nikt nie był na tyle blisko sufitu czy ścian, by złapać się poręczy; miotali się czerwoni na twarzach, usiłując dosięgnąć czegokolwiek, aż wreszcie, jedno po drugim, przestali walczyć, usłyszawszy śmiech; obrócili głowy i spojrzeli na chłopca dryfującego pośrodku pobojowiska, drobne ciało otoczone morzem latających ości i sztućców, ściskające boki obolałe ze śmiechu w radości tak zapamiętałej, że serce Nii aż podskoczyło i wpatrywała się w niego, póki ciążenie nie wróciło i nie zwalili się na podłogę.

Kiedy uprzątnęli rozchlapane jedzenie, potłuczone talerze, poprzewracane krzesła, śmiejąc się z tego, co się stało, kiedy chłopak trafił pod prysznic i do łóżka, kiedy westchnął pod kocem i powiedziała mu, że do zobaczenia rano, dopiero wtedy Nia wróciła do swej kabiny i dokończyła porzucone miesiące temu haiku.

Fujarka z Ary
Tandetna, niestrojąca
Wciąż gra

W ciągu kilku dni mieli wyjść z Fałdu. Aby złagodzić wywołane tym mdłości, rozciągali się codziennie rano i wieczorem, unikali kwaśnych pokarmów i pili tyle wody, ile zmieściły ich żołądki – nie miało to całkowicie powstrzymać wymiotów, tylko uczynić je znośnymi. Kiedy Nia z chłopcem opróżniali szklankę za szklanką i wykonywali kolejne ćwiczenia z programu Sonji, opowiadała mu o Stacji Pelikan. O tym, jak wygląda to centrum Zjednoczonego Kosmosu, o dniach spędzonych na jego wschodnim skrzydle na podziwianiu półświatła Perseusza. A kiedy on słuchał tych historii i razem przygotowywali się do przylotu, dziesięć milionów kilometrów od nich, na skrzydłach celu ich podróży, mieszkańcy Stacji Pelikan czynili własne przygotowania do święta, które szykowało się od setek lat.

Nerwy mieli w strzępach ze stresu. Przedstawiciele Umbai nadzorowali stawianie pawilonów rekreacyjnych w Parku Izuni, szkolili reprezentujące różne kultury grupy mające wystąpić na paradzie, posunęli się nawet do krytyki występu sławnej gwiazdy, mówiąc jej, żeby powstrzymała się od ozdobników i śpiewała to, co jest w nutach, nic więcej. A gdy powiedziała im, że nie mogą krępować natchnienia, zastąpili ją drugorzędną wokalistką słuchającą poleceń. W szkołach nauczyciele tłumaczyli uczniom, skąd to święto, dlaczego to ważne, by w tym dniu ubrać się odświętnie, i dlaczego mają obowiązek dobrze się bawić, ale jednocześnie szanować wagę święta. Na ekranach przedstawiali studentom rodowód owego historycznego dnia i prowadzili ich przez stulecia, do czasów przed podbiciem gwiazd. Do czasów, gdy Ziemia była stara, ale jeszcze nie pogrzebana, a Fumiko Nakajima tylko śniła o swoich stacjach.

3.

Nakajima

Fumiko, jak większość dzieci w jej czasach, przed wyjściem z łona matki została zaprojektowana. Jednakże, w przeciwieństwie do większości dzieci, została zaprojektowana jako brzydka.

Była to sprawka jej matki. Jako jedna z luminarek ruchu posturodowego zamówiła dla Fumiko niesymetryczny nos, krzywe zęby, delikatnie cofnięty zgryz, oczy blisko siebie i uszy jak anteny satelitarne, zbyt wielkie dla małej główki w kształcie serduszka. Później, gdy Fumiko sama zdobyła sławę i dziennikarze pytali ją, dlaczego nie przeszła operacji twarzy, cofającej szkody, które wyrządziła jej matka, odpowiadała dwoma stwierdzeniami: po pierwsze, to pytanie jest obraźliwe; po drugie, to jest jej twarz, jedyna, jaką zna, i nie chce mieć żadnej innej. Jednakże po tych wywiadach, samotnie wracając do domu, wspominała, jak desperacko pragnęła jako dziecko być piękna jak inne dziewczynki w parku o idealnie symetrycznych twarzach, tańczące pod opadającymi płatkami kwiatów wiśni. Wspominała wstyd.

Pewnego razu człowiek, któremu dawała autograf, powiedział, że owszem, szkoda, że matka uczyniła ją brzydką, ale przynajmniej jest genialna.

– Dziękuj Bogu za każdą okruszynę – powiedział.

Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, jakie rzeczy ludzie potrafią powiedzieć jej z uśmiechem prosto w oczy.

Pierwszy zalążek wizji stacji zagnieździł się w jej umyśle dawno temu, gdy miała osiem lat. Matka zabrała ją do Kalifornii, do ostatniego rezerwatu ptaków. Jej matka, Aki Nakajima, była niegdyś słynną aktorką, która po serii nieudanych filmów wycofała się z blasku reflektorów, poświęcając czas i energię różnym szczytnym misjom – jedną z nich był właśnie ten rezerwat.

Był szklaną kopułą wielkości dwóch boisk do piłki nożnej, z urozmaiconym terenem symulującym naturalne środowiska różnych ptaków. Były tam strumienie, las, nawet pustynia. Gdy matka występowała przed ekipą wiadomości, Fumiko oparła się o poręcz mostka nad sztuczną rzeką, gdzie na płyciźnie stały pelikany, czerpiąc wodę kubełkowatymi dziobami. Szczególnie jej uwagę przykuł jeden. Miał chorą nogę, uginającą się, gdy chodził, a ciało pokryte łysymi plackami. Wyglądał na chorego. Patrzyła z rozbawieniem na jego kuśtykanie, myśląc, jak śmiesznie wygląda, póki ptak nie przysiadł na głazie i nie rozwinął skrzydeł, by osuszyć pióra na słońcu. Rozpostarł je, popisując się przed niebem.

Kiedy była dorosła, aż trudno jej było wyrazić słowami przełomowość tej chwili, nagłą zmianę, której doświadczyła, gdy brzydki ptak stał się piękny – słowa zmie-

niały ten moment w coś nieistotnego i przesłodzonego. Nie potrafiły opisać zachwytu, który poczuła jako dziecko. Tego mrowienia na czubku głowy, gdy patrzyła na suszącego się ptaka, podczas gdy matka kończyła wywiad. Światła na jego skrzydłach. Wrażenia, że w każdej chwili może przemienić się w jakiś święty kształt.

Kiedy ekipa poszła, za ramię chwyciła ją czyjaś dłoń. Matka beznamiętnie oznajmiła, że pora jechać. Fumiko, wyprowadzana, spojrzała jeszcze raz przez ramię na ptaka.

Na jego skrzydła jak bumerangi.

Podczas czterogodzinnej jazdy SeaTramem z kalifornijskiego rezerwatu do Jokohamy matka wgrała na jej Handhelda zestaw zadań matematycznych – Fumiko była bowiem kolejną z jej misji; była zdeterminowana mieć córkę o ostrym jak brzytwa umyśle, gdyż w świecie posturody intelekt był najbardziej cenioną cechą. Sunąc tunelem przez mętne głębiny Oceanu Spokojnego, mijając porzucone wraki starych tankowców i inne ślady przeszłości, rozwiązywała równania, upraszczała wielomiany, wypisywała rysikiem algebraiczne dowody, choć część jej umysłu oddzieliła się i stworzyła miejsce, w którym ptak mógł siedzieć i rozpościerać swe skrzydła w blasku wiecznie bursztynowego słońca. Kiedy matka wstała z miejsca, żeby pójść do toalety, Fumiko zminimalizowała aplikację do domowego kształcenia i w ciągu tych pięciu minut wolnego czasu naszkicowała pośpiesznie ptaka, podkreślając jego dziwne kształty, obwisły dziób, sterczące pióra, dodając mu nawet dymek z okrzykiem „BYRAAAK”.

Po czym przywróciła aplikację szkolną, a matka wróciła z toalety z brwiami ściągniętymi w zdenerwowaniu i wzrokiem utkwionym w Handheldzie.

– Od pięciu minut robisz piąte zadanie. Czego w nim nie rozumiesz?

Fumiko naprędce skłamała, mówiąc, że zapomniała wzoru na pierwiastki równania kwadratowego; wytłumaczenie było nieprzekonujące, bo doskonale pamiętała go wczoraj. Jednakże matka nie drążyła – po prostu powtórzyła jej ten wzór, chociaż zanim dotarła do „4ac przez 2a”, Fumiko rozwiązała zadanie i przeskoczyła do kolejnego, skończywszy wszystkie, zanim dotarły na japońskie wody. Przejechały przez ruiny starego miasta. Fumiko uruchomiła aparat i zrobiła zdjęcie wodnego grobowca – glonów porastających ramy wybitych okien, ramy roweru wiszącej na drucie telefonicznym i kołyszącej się w falach, przewróconych domów pochłoniętych przez podnoszącą się wodę. Posłała zdjęcie na Handhelda matki, a jej wnętrzności skręcały się z niepokoju, gdy ta patrzyła na zdjęcie ze stoicką miną, aż w końcu kiwnęła głową i powiedziała:

– Dobre.

Fumiko delektowała się pochwałą.

Z Jokohamy pojechały mniejszą i wolniejszą podwodną kolejką na Okinawę, gdzie mieszkały na najwyższym piętrze wieżowca. Tylko we dwie. Ojca nie było. Aki nie widziała potrzeby.

Widok miały wyłącznie na morze.

Na polecenie matki Fumiko wzięła prysznic. Gdy upłynęło przepisane dziesięć minut, minutnik cyknął i woda przestała lecieć. Po wyjściu z brodzika nie wytarła się jak zawsze, ręcznikiem od stóp do głowy, lecz rozesłała go na podłodze i stanęła na nim, rozpostarłszy ramiona pod światłem świetlówek znad lustra. Pozwoliła, by woda

skapywała z niej kropla za kroplą, dopóki matka nie zastukała do drzwi i nie zapytała, co tak długo. Wtedy pośpiesznie zarzuciła na siebie ręcznik i ubrała się do kolacji.

Czekała przy stole, a matka odmierzała ryż na liczniku kalorii, wybierając ziarenka po jednym, aż liczba spadła do równych trzystu. Potem brokuły, cienkie jak papier plasterki steku, piętnaście oprószonych solą strączków młodej soi. Do ust Fumiko napływała ślina, aż wreszcie matka przyniosła jej talerz. Zatrzymała go tuż poza zasięgiem rąk córki i zapytała:

– Wzór na pierwiastki równania kwadratowego?

Ryż parował.

– X równa się minus b plus-minus pierwiastek z b kwadrat minut 4ac przez 2a – odpowiedziała Fumiko.

Talerz stanął na podkładce.

Zjadły.

Po kolacji, upewniwszy się, że matka już śpi, Fumiko zakradła się do kuchni. Pałeczką i metalowym spinaczem otworzyła zamykaną na klucz szufladę ze swoim Handheldem – rzucając spłoszone spojrzenia przez ramię za każdym razem, gdy nadmorski wiatr poruszył żaluzjami – i usiadła w ciemności z rozświetloną ekranem twarzą, oparta plecami o szufladę z patelniami, gładząc palcem swój brzydki rysunek brzydkiego ptaka o wielkich skrzydłach i pękatym dziobie; swojego pelikana.

***

Pelikan i inne rzadkie ptaki, które niebawem pokochała, pozostały z nią przez całą szkołę i rozkwitły na studiach. Matka, mimo statusu przebrzmiałej gwiazdy mającej najlepsze lata za sobą, wciąż cieszyła się wielkimi wpływami, dzięki czemu żadne drzwi nie były przed Fumiko zamknięte i żaden wydatek na jej kształcenie nie był zbyt wielki. Zdobyła dyplom inżyniera z wyróżnieniem na Okinawa University, potem poszła na CalTech, gdzie zrobiła doktorat z inżynierii lotniczej – dziedziny, do której ciągnęły wszystkie najbystrzejsze umysły, w miarę jak Ziemia stawała się z każdym rokiem coraz bardziej niesprzyjającym domem, pomimo pól fotowoltaiki, rowów wypełnionych zakazanymi dieslowskimi pojazdami i wiecznie obecnych na niebie sterowców plujących chłodzącą mgłą w zbyt ciepłe powietrze. Była rozchwytywana, ponieważ umiała wykonywać zaawansowane operacje matematyczne bez pomocy Handhelda czy PrivateEye. Przepracowała chwilę w JAXA[1], gdzie była pionierką badań nad konstrukcją wielkowymiarowych kadłubów zdolnych wytrzymać przejście do Fałdu, potem przechodziła pomiędzy rozmaitymi prywatnymi firmami technologicznymi zakotwiczonymi w branży lotniczo-kosmicznej, zostawiając po sobie ślad osiągnięć i nazwisko wypowiadane szeptem wśród wtajemniczonych – ona, osoba legendarnie trudna we współpracy, podatna na fale przytłaczającej depresji i wymagająca od swoich zespołów perfekcji o dowolnej godzinie dnia i nocy, zawsze kończąca zadanie, które rozpoczęła.

Kiedy pracowała dla Cybelusa z Chicago, skarciła jednego z podległych sobie inżynierów za niedbałe obliczenia. Błyskawicznie wypisała na całościennym ekranie listę punktów, w których zrobił błędy, wraz z dowodami, nieświadoma, że uśmiech-

nięty szyderczo współpracownik, tylko czekający, aż tamten oberwie, nagrywał wszystko swoim zmrużonym PrivateEye. Jedno mrugnięcie wystarczyło, żeby nagranie trafiło do publicznego Strumienia, gdzie w ciągu minut zyskało wiralową popularność – opowieść o rozwścieczonym geniuszu, kobiecie tak inteligentnej, że nie potrzebuje technologicznych protez, a jej dłoń jest jak bystra krynica wiedzy o zawiłych i nieprzeniknionych sekretach wszechświata. Człowiek, którego ukarała, zaraz potem stracił pracę. Zaszczuty zniknął z mediów społecznościowych, a potem ze stanu, w którym mieszkał. Później rozeszły się plotki, że zaszył się w lasach i wsadził do ust lufę strzelby myśliwskiej, choć nikogo już nie obchodził na tyle, by to sprawdzić.

Fumiko natomiast zaczęła widywać swoją twarz na ekranach współpracowników – zdjęcia z przeszłości, z wakacji, z branżowych imprez; zgarbioną postać z końskim uśmiechem na rozdaniu dyplomów. Popkultura przeżuwała i przetwarzała osobiste zdarzenia z jej życia. Matka, już w fazie postposturodowej, zadzwoniła do niej z Okinawy, by pogratulować wiralowego sukcesu.

– To jest to, Fumiko. Teraz zaczyna się dla ciebie życie.

– Życie – powtórzyła oniemiała Fumiko, jednocześnie dostając na Strumieniu kolejne powiadomienie o nowym artykule o niej.

Matka nie słuchała. Była zbyt skupiona na wymienianiu kolejnych kroków, które powinna zrobić, by zabezpieczyć sobie tę sławę, by zadbać, żeby nie wygasła.

– Fumiko… – Jej głos w głośniku był podszyty szumami. – Taka okazja trafia się niezwykle rzadko. Nie bądź głupia i jej nie zmarnuj.

Jednakże oko publiczności było rozbiegane. W owych czasach sława płonęła intensywnie i jasno – ze sławą Fumiko nie było inaczej. Mimo wszelkich starań matki – która posunęła się nawet do tego, by odkopać dawny artykuł o odważnej decyzji pewnej aktorki, która zadrwiła z piękna kupowanego za pieniądze i zaprojektowała sobie nieidealną córkę – szum ucichł w ciągu paru tygodni. Codziennie wiralowo rozchodziło się nowe wideo, miliardy ludzi pompowały do Strumienia swe prywatne nagrania, nikt zatem nie był w stanie na dłużej zapamiętać nowego folkloru, jeśli obiekt sensacji nie postarał się dłużej pozostać w blasku sławy, czego odmówiła Fumiko. Współpracownicy podziwiali, jak fama z mediów społecznościowych spływa po niej jak woda po kaczce; że nawet się nie uśmiechnie ani nie zmarszczy, gdy temat wypływa w przelotnych rozmowach; jak po prostu kiwa głową i mówi:

– Tak, zdarzyło mi się coś takiego.

Największe zaskoczenie przyszło jednak na wiosnę, gdy podczas pewnego spotkania w sali konferencyjnej Cybelusa zadźwięczał jej Handheld i wymówiła się, by odebrać połączenie w swoim gabinecie.

Dwa dni później jej gabinet był pusty.

Pożegnań nie było. Jedynie dwuzdaniowe wypowiedzenie na biurku, napisane drukowanymi literami, atramentem. Taki staroświecki gest. Nikt nie rozumiał, co z niego wynikało. Pewien człowiek ukradł to pismo, oprawił je i sprzedał Strumieniowi. Zarobił dość pieniędzy, by móc wyżywić się przez rok, choć wydał je na wycieczkę na Arktykę, gdzie oglądał wraz z dziećmi, jak poci się ostatnia góra lodowa. I tak oto Fumiko Nakajima zniknęła. Na pewien czas.

***

Właśnie dzięki temu wiralowemu nagraniu pojawiła się na radarze Umbai. Ten impuls kazał im zadzwonić i zaproponować coś, co zdarza się raz w życiu – zaprojektowanie dla nich serii stacji kosmicznych, takich, by mogły się mierzyć z najsilniejszą konkurencją. Zgodziła się bez wahania. Dali jej jeden miesiąc na uporządkowanie spraw, zanim przyjedzie do ich siedziby na Malajach. Uprzedzili, że będzie przez kilka lat pracować w całkowitej izolacji, dla ochrony ich własności intelektualnej. Powiedzieli, że najlepiej niech poświęci ten czas na pożegnanie się z bliskimi.

Z rodzinnego poczucia obowiązku spakowała walizkę i odwiedziła matkę na Okinawie. Z portu pojechała tramwajem, zdziwiona kwitnącymi wiśniami za oknem. Zapomniała, że jest wiosna.

Gdy Aki otworzyła drzwi, nie objęła Fumiko. Powłócząc nogami, odsunęła się, żeby córka mogła wejść, i powiedziała, że kolacja będzie za godzinę. Kiedy matka pożyłkowanymi dłońmi nakładała ryż do licznika kalorii i przygotowywała gorące, świeżo wyjęte znad pary talerze, Fumiko na wpół spodziewała się, że zanim wyda jej posiłek, zażąda wyrecytowania jakichś wzorów. Aki jednak wręczyła jej talerz bez ceregieli i zjadły jak zawsze, jak obce osoby. Fumiko nie powiedziała matce o nowej pracy ani o tym, że na nieokreśloną liczbę lat przestanie istnieć. To już nie była jej sprawa.

– Uczelnia dzwoniła – powiedziała Aki.

– Czego chcieli? – zapytała Fumiko.

Matka wzruszyła ramionami, pajęczymi palcami ściskając i otwierając strączek edamame.

Rozeszła się wieść, że Fumiko jest w domu. Kiedy oddzwoniła na uczelnię, jej dawny profesor, p. Toho[2], zapytał, czy nie chciałaby przyjść w piątek na panel o dynamice wielkowymiarowych skrzydeł. Fumiko nie była w nastroju do uczestniczenia w dyskusji – nigdy nie lubiła występować publicznie – lecz nie odrzuciła jego zaproszenia, bo słyszała, że w sąsiednim pokoju Aki ogląda jeden ze swoich starych filmów, zaśmiewając się z żartów wypowiadanych przez siebie i swojego ekranowego partnera – a kiedy się nie śmiała, niesamowicie młodzieńczym głosem recytowała dialogi razem z postaciami. Fumiko to przygnębiało. Chciała stąd wyjść.

Zapytała p. Toho, o której godzinie ma przyjść.

Dwa dni później, na tle białego Księżyca przepływała sylwetka sterowca, podczas gdy wiele metrów niżej, w uniwersyteckiej auli, debata kończyła się wygazowaniem oklasków. Fumiko stała wśród mówców, kaskada czarnych włosów opadała za każdym razem, gdy się kłaniała, a ona przez cały czas zastanawiała się, co tu właściwie robi. Podczas bankietu popijała wodę z kieliszka, zaś jej dawni profesorowie mówili o niej, jakby była nieobecna, wychwalając jej osiągnięcia w tak młodym wieku: „Dopiero trzydzieści lat i ma w ręku tyle grantów, co ja przez całe życie”, i temperując te peany delikatnymi albo i mało delikatnymi sugestiami, że woda sodowa może jej uderzyć do głowy: „Fumiko, widziałem wiele wspaniałych młodych umysłów, które wypaliły się pod presją. Zrób wszystko, by nie stracić nad tym kontroli”. Podziękowała im za rady, wyczerpując do cna pokłady cierpliwości i żałując, że w ogóle przyszła, a p. Toho nagle przywołał gestem nieznajomą osobę z drugiej

strony sali i wciągnął ją do grupy. Fumiko wyprostowała się bardziej, korygując delikatne zgarbienie pleców, nieznajoma była bowiem najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziała.

– To jest Dana Schneider – powiedział rozpromieniony p. Toho. – I ona uratuje świat.

Dana parsknęła śmiechem, pokazując śnieżnobiałe zęby.

– Mógłbyś przestać mnie tak przedstawiać. – Ukłoniła się Fumiko. – Miło mi panią poznać, p. Nakajima.

W owych czasach uroda była tania. Rodzice mający dostęp do dobrych szpitali, jak matka Fumiko, musieli bardzo się starać, żeby ich dziecko nie było przynajmniej w konwencjonalny sposób atrakcyjne. Modelki z billboardów stały się nową średnią. Niektórzy wymykali się trendowi, tworząc dzieci, których urok polegał na defektach – Fumiko miała kilku adoratorów fetyszyzujących jej asymetrię, przez co tylko dotkliwiej ją uwierała – ale zdarzali się i tacy, którzy traktowali dzieci jak dzieła sztuki. Zastanawiali się nad uszami, oczyma, ustami, nosem, nad tym, jak poszczególne części twarzy komponują się w całość. Tacy właśnie ludzie tworzyli nowe odmiany urody. Dana była taką nową odmianą. W jej twarzy kryła się opowieść, zapomniany mit, o jeleniu, który pewnej nocy zmienił się w mężczyznę i kochał się z kobietą nad zimnym strumieniem, w ciemnym sercu lasu. To osobliwe pochodzenie ujawniało się w dramatycznych konturach jej kości policzkowych, w żuchwie – w tym, jak dolna połowa jej twarzy uwypuklała się, minimalnie, tworząc cień sugestii spiczastego pyska – w spłaszczonym nosie znajdującym się tuż nad pełnymi wargami. Wzrostem przewyższała wszystkich o głowę. Włosy miała krótko ścięte, z blond grzywką w stylu Nero Claudius, opadającą równo na czoło. Miała uszy sylfa, spiczasto zakończone, usta pełne i czerwone, bez szminki. Na policzku pięć piegów, jak wierzchołki niewidzialnej gwiazdy, tuż poniżej prawego oka, wielkiego, świetlistego i złoto nakrapianego, w którym nie odbijało się nic poza posturodową twarzą Fumiko. Fumiko zamknęła oczy zaniepokojona iskrą, która przeskoczyła jej w sercu, i odpowiedziała ukłonem na ukłon.

– Studiujesz tutaj? – zapytała.

Dana kiwnęła głową.

– Technologie przyjazne dla środowiska. Pola fotowoltaiczne, biofarmy. Świata to nie uratuje, ale może trochę odwlecze jego koniec – dodała, rzucając psotne spojrzenie p. Toho.

– Realistyczny cel – zauważyła Fumiko.

– I szczytny – dodał p. Toho. – Zrównoważenie to ważna rzecz. No dalej, Dana, opowiedz Fumiko, nad czym pracujesz ze swoją grupą.

– Na razie to wszystko jest w bardzo wstępnej fazie. Nie chcę jej nudzić naszymi niedopracowanymi pomysłami.

– Ależ skąd. Fumiko jest nade wszystko uczoną. Na pewno z przyjemnością wysłucha. Może nawet podzieli się swoimi przemyśleniami, a ty, Fumiko, jeśli się zainteresujesz… – Wziął ją na bok, ściszając konspiracyjnie głos. – Możesz bardzo pomóc, nie tylko nam, ale i samemu projektowi, jeśli napomkniesz o nim w swoich kręgach.

– Brakuje wam finansowania – stwierdziła Fumiko.

– Brakuje nam ludzi, którzy zwrócą na nas uwagę. Oraz, tak, jak każda instytucja akademicka potrzebujemy finansowania. Jednak szczerze uważam, że te prace cię zainteresują. Więc proszę, wyświadcz mi tę przysługę, mnie osobiście, i wysłuchaj Dany, a ja odprowadzę p. Takahashi do auta… zdaje się, że trochę za dużo darmowego szampana. – Z tymi słowy odszedł, oglądając się jeszcze na Danę z zachęcającym uśmiechem, zanim pomógł wstać kobiecie, która śliniła się przy jednym ze stolików.

Dana westchnęła.

– On to jest podstępny.

– Nie będę w stanie ci pomóc – powiedziała Fumiko. Wzrok miała wbity w wykładzinę. – To nie moja specjalność. Nie będę mieć nic mądrego do dodania. I w mojej obecnej sytuacji nie mam nikogo, kto mógłby się z tym zapoznać i załatwić finansowanie. Twoja prezentacja byłaby stratą czasu. Przykro mi.

Dana zastanowiła się nad tym i powiedziała:

– Głodna jestem. A ty?

Zdziwiona Fumiko uniosła wzrok.

– Na promenadzie jest świetna budka z curry – dodała Dana. – Chodźmy. Chyba że chcesz tkwić tutaj, żeby cię zasypali kolejnymi studenckimi projektami.

– Chcesz teraz?

– Teraz, teraz. – Uśmiechnęła się. – Zanim p. Toho wróci.

Fumiko sama się zdziwiła, że się zgodziła – nigdy nie była skłonna do impulsywnych decyzji, mimo że zaakceptowała ofertę pracy z Umbai. Złożyła to na karb tego, że wcale jej się nie śpieszyło do powrotu do mieszkania matki, choć była na tyle samoświadoma, by wiedzieć, że nie tylko o to chodzi; kiedy otwierały podwójne drzwi i razem wychodziły z auli, po przyśpieszonym biegu swego serca, gdy patrzyła na Danę, poznała, że chodzi o dużo więcej. Na zewnątrz powietrze było ciepłe i suche.

Skądś dobiegł śmiech dziecka.

Poszły razem nad ocean, na długą, drewnianą promenadę wysoko nad powierzchnią wody, nad prawdziwym brzegiem, piaskiem, ziemią i drzewami zakrytymi teraz falą przypływu. Podczas nieśpiesznego spaceru Dana tłumaczyła Fumiko, że p. Toho wyciąga ją z laboratorium za każdym razem, gdy potrzebuje kogoś „uwieść", żeby zapewnił jego wydziałowi trochę finansów lub rozgłosu.

– „Uwieść" to nie jest dobre słowo, bo chodzi raczej o odwrócenie uwagi. Ja mrugam fioletowymi oczyma, a oni otwierają portfel albo listę kontaktów.

– Rozumiem.

– Przepraszam, jeśli ten jego tryb sprzedażowy był zbyt nachalny – dodała Dana. – On naprawdę bardzo cię poważa. Rzadko zdarza się dzień, żeby o tobie nie wspomniał.

– Nie ma sprawy. Nie musisz przepraszać.

Dana rozluźniła się.

– To dobrze.

– Daleko jeszcze?

– Kilkaset metrów.

– To co to za projekt, nad którym pracujesz?

– A, wiesz… mówiłam szczerze wcześniej, że to jest na wstępnym etapie. Pracujemy nad alternatywnymi źródłami światła. Luminescencyjnymi żarówkami, które nie wymagają prądu. Na razie nic więcej nie mam do powiedzenia, to jest dopiero etap burzy mózgów. – Zaśmiała się. – Dlatego nie wiem, co p. Toho chciał, żebym ci „sprzedała".

– Skoro nic nie sprzedajesz, czemu mnie zaprosiłaś na obiad?

– Dla towarzystwa.

Brzmiała tak autentycznie, że Fumiko najbardziej ze wszystkiego zapragnęła jej uwierzyć – że ktokolwiek chciałby z nią być dla samego jej towarzystwa – trudno było jednak uciszyć wewnętrzną neurozę, gdy szła za Daną przez skrzyżowanie; nie mogła wyzbyć się przeczucia, że ta kobieta chce ją jakoś podejść, że ten zaimprowizowany wypad na obiad okaże się podstępnym zabiegiem sprzedażowym. Przeszły przez wypielęgnowany publiczny ogród na deski nadmorskiej promenady, gdzie słychać było chlupot fal uderzających o betonowe filary. „Świetna budka z curry" okazała się straganem obsługiwanym przez starszą kobietę, która kopiasto nakładała parujący ryż do biodegradowalnych pojemników i polewała go pasmami gęstego brązowego sosu, przetykanego paskami smażonego kurczaka. Zaniosły jedzenie na ławkę nad wodą.

Fumiko najbardziej rzucił się w oczy jej talent do mówienia, to, jak bez widocznego wysiłku przechodziła z tematu na temat, czerpiąc z osobistych historii – jej rodzice pracowali dla księżycowej firmy wydobywczej, zajmowali się szczelinowaniem, co było podczas rodzinnych spotkań poważną kością niezgody między nimi a córką o rozwiniętej świadomości ekologicznej – a potem, wracając do teraźniejszości, do współpracowników, do małego mieszkania, gdzie piętro wyżej mieszka pianista, ćwiczący żałobne pieśni non stop od drugiej do czwartej w nocy, do samej Fumiko, gdy przyznała z ujmującą nieśmiałością, jak zachwycona była dzisiejszą debatą, i tym, jak inteligentnie mówiła. Jej łatwość bycia miała w sobie coś zaraźliwego. Fumiko początkowo odpowiadała z wahaniem; skrótowo opisała swoją dotychczasową karierę, potem niezdarnie, autoironicznie nawiązała do wiralowego wideo, na którym sztorcuje podwładnego.

– Najgorsze było to, że sama też się pomyliłam w obliczeniach i nikt tego nie zauważył. Jak odpowiednio głośno krzyczysz, nikogo nie interesuje, co tak naprawdę mówisz, bo zawsze masz rację. – Wstały i poszły w stronę molo, a Fumiko poczuła się na tyle swobodnie, by ponarzekać, że znowu mieszka z matką. – Niewiarygodne, że ona dalej używa tego samego licznika kalorii. Dawno wycofali ten model. Źle liczył kalorie i ludzie przez to myśleli, że jedzą więcej niż naprawdę. Ale ona się upiera, że ma zostać. Chyba jej to odpowiada.

Dana parsknęła śmiechem.

– Mnie się wydawało, że moi rodzice są trudni, ale nie wyobrażam sobie, jak to jest dorastać z kimś takim.

– Czyli znasz moją historię.

Uśmiechnęła się.

– Tylko to, co jest publiczne. Posturodowe ideały przetrwały?

– Tylko do momentu, gdy zaczęła mi grozić sława i zaczęła traktować mnie naprawdę jak córkę.

Dana westchnęła.

– Zasługiwałaś na coś lepszego.

Fumiko zwolniła kroku, usłyszawszy to oklepane stwierdzenie.

– Skąd wiesz, że zasługiwałam?

Pytanie zbiło Danę z tropu.

– Chodziło mi o to, że dziecko zasługuje na kogoś, kto je bezwarunkowo kocha. Po prostu.

– Pogodziłam się z tym. – Szła dalej. – Zresztą, gdyby nie ona, nie byłabym tu, gdzie teraz jestem.

– Pewnie nie.

– Dobra, dosyć o niej – ucięła Fumiko.

Dana zamilkła.

– Dobrze – powiedziała tylko.

Szły przez aleję kwitnących wiśni. Wieczór był spokojny, spacerowały pary, rodziny, choć wcale nie było tłoczno. Fumiko złościła się w głębi duszy, żałując, że tak szybko ucięła tę rozmowę. Przed nią spadł różowy płatek, wirując, i wylądował na jej bucie. Zachichotała, wiedząc, że to do niej niepodobne… musiało coś być w powietrzu.

– Co tam? – zapytała Dana.

Omal nie odmówiła podzielenia się tą historią, zdała sobie jednak sprawę, że jeśli tego nie zrobi, noc się skończy i wróci do punktu wyjścia – samotności w pokoju i nierozmawiania z matką.

– Banalna historia – zaczęła lekkim tonem, żeby ułatwić sobie opowiadanie. – Kiedy byłam mała, poszłyśmy raz z mamą do parku, żeby rysować drzewa. Lekcja taksonomii. Kiedy rozglądałyśmy się za ciekawymi liśćmi, jeden chłopiec wtykał dziewczynkom za ucho kwiaty wiśni. – Wbiła dłonie w kieszenie, nie wiedząc, co z nimi zrobić. – Ale tylko tym, które uznał za ładne. Dziewczynki ustawiały się i czekały na swoją kolejkę, on po kolei wsuwał im kwiatki za ucho, a one słodziutko mówiły: „Dziękuję, Koji”. Ja też chciałam dostać kwiatek. Ustawiłam się, zanim matka się zorientowała, że mnie nie ma. Lecz kiedy doszło do mnie, on po prostu na mnie popatrzył i powiedział „Nie”. Nic więcej. Nie. I przeszedł obok mnie, jakby mnie w ogóle nie było. – Zaśmiała się, mówiąc o tym. Absurdalne to było. – Matka to zobaczyła i przeprowadziła, nazwijmy to, rozmowę z matką chłopca. Matka kazała mu dać mi kwiatek. Jaką minę zrobił, kiedy kazała mu wrócić… Nigdy jej nie zapomnę. Jaką złość czuł, jaką niesprawiedliwość. „Mamo, ale czemu muszę dać kwiatek brzydkiej dziewczynce?”. – Zaśmiała się raz jeszcze, choć teraz już się trzęsła. – A najgorsze jest to, że i tak cieszyłam się, że dostałam kwiatek, chociaż nie byłam… chociaż nie spełniłam kryteriów.

Po raz pierwszy komuś o tym opowiedziała; sam akt sprawił, że się wzdrygnęła, uraza wciąż była świeża. Czekała, aż Dana coś powie, przejdzie do weselszych tematów, lecz ona tylko patrzyła na nią fioletowymi oczyma, w których odbijał się Księżyc, a potem kucnęła, podniosła z ziemi opadły kwiat i zatknęła go Fumiko za prawe ucho.

Wystarczyłby jeden dotyk, żeby Fumiko rozsypała się w drobny mak, tu i teraz, na chodniku. Niestety, dotyk nie nastąpił, rozstały się, po prostu wymieniwszy się nume-

rami Handheldów.

– Przyjechałaś na miesiąc, prawda? – zapytała Dana.

– Tak.

– To wykorzystajmy go jak najlepiej. Co robisz jutro?

Uniosła ramiona.

– Nic.

Dana kiwnęła głową i schowała Handhelda.

– To do zobaczenia jutro.

Fumiko wróciła do domu ze ściśniętym sercem. Niepokoiła się, że ma dziwną potrzebę krzyczeć z okna albo złapać kogoś za szyję i wyszeptać mu do ucha, że cuda się zdarzają. Jednakże sama zadbała o to, by nie mieć nikogo, do kogo mogłaby się odezwać. Nikogo, komu mogłaby opisać spotkanie z tą piękną i czarującą kobietą; żadnych przyjaciół, żadnych bliższych znajomych – kiedy pogrążała się w przelotne fioletowookie sny, wiedziała, że teraz mści się na niej życie w ciągłym utrzymywaniu dystansu wobec innych.

***

Następnego dnia szła po spieczonych słońcem ulicach nad zielonymi wodami Zatoki Nakagusuku, z dłonią w kieszeni bojówek, ściskającą Handhelda i czekającą na znajomą wibrację – bała się, że nie dotykając go, przegapi ewentualną rozmowę. Żałowała, że nigdy nie zainwestowała w PrivateEye – powiadomienia na siatkówce nie dałoby się przegapić. Zjadła kawałek biszkopta na ławce w parku, zastanawiając się, czego żałuje, a kiedy skończyła, strzepnęła okruszki z kolan i poszła do Muzeum Nauk o Ziemi. Chodziła po holu głównym, patrząc na wielką magmową rzeźbę zawieszoną nad jej głową na linkach. Umiała szybko czytać, więc przeleciała przez liczne wyświetlacze objaśniające poszczególne eksponaty, aż w niecałe półtorej godziny zwiedziła całe muzeum. Właśnie kończyła prywatną wycieczkę, gdy w końcu zadzwoniła Dana.

– Nadal masz wolny wieczór? – zapytała.

– Tak – odparła Fumiko, zatrzymując się przed przykładem przemieszczania się płyt tektonicznych. – A co chcesz robić?

– W Muzeum Nauk o Ziemi jest nowa wystawa o superwulkanach. Słyszałam, że niezła. Widziałaś ją już?

Widziała. Nawet właśnie na niej była. Za sobą miała czerwono-niebieski hologram pękniętej skorupy ziemskiej. Dziecko wrzasnęło, gdy z cyfrowej rozpadliny wytrysnęła lawa.

– Nie widziałam – odrzekła, zakrywając mikrofon, żeby Dana nie usłyszała odgłosów wystawy. – Kiedy chcesz się spotkać?

– Ostatnie zajęcia kończę o trzeciej, więc godzinę później?

Za pięć godzin.

– Pasuje mi. To do zobaczenia.

– Super! Nie mogę się doczekać.

Fumiko opuściła Handhelda. Zdenerwowana matka wyprowadziła płaczące

dziecko, zerkając na nią przepraszająco i skręcając za róg do toalet.

Czekanie na Danę było nie do zniesienia. Fumiko kręciła się po okolicy, zarazem sfrustrowana i przejęta godzinami czekania i nieskończonym próbowaniem wypowiadanych kwestii, uśmiechów, wyobrażaniem sobie, jak uściśnie jej rękę czy obejmie po przyjacielsku. Gdy wreszcie dotarła, Fumiko musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby nie eksplodować zebraną energią potencjalną. Dana objęła ją na moment, rzuciła: „To jak?" i poprowadziła ją z powrotem do muzeum. Choć było to dla niej wyczerpujące, udawanie, że pierwszy raz widzi wystawę, bez wahania zrobiłaby to ponownie, choćby tylko po to, by ponownie zobaczyć błysk w oku Dany, gdy holograficzna projekcja wnętrzności Ziemi rozszerzyła się i ogarnęła ich ciała jaskrawymi płomieniami.

Po kolacji przy molo ustaliły plany na jutrzejsze spotkanie. Dana zasugerowała przejażdżkę gondolą, upierając się wbrew niechęci Fumiko do atrakcji turystycznych, że to najlepszy sposób na obejrzenie miasta. Większość miasta Okinawa stała na palach powyżej wody, miasto było poprzecinane kanałami pełnymi gondol z turystami, dryfujących pomiędzy tylnymi ścianami budynków i pod łukowymi mostami.

Niebo było tego dnia zachmurzone, zbierało się na deszcz, lecz i tak zaryzykowały wejście na łódkę. Przejażdżka zaczęła się dobrze. Dana pokazywała ciekawe budynki, a Fumiko zanurzyła dłoń w zimnej wodzie za burtą i patrzyła w górę na pozbawione ptaków niebo, słuchając, z jakim szacunkiem wymienia nazwiska podziwianych przez siebie architektów. Jednakże po dwudziestu minutach deszcz lunął na dobre, zmuszając pilota do przybicia w centrum miasta. Przebiegły po deszczu do kawiarni po drugiej stronie ulicy, Dana chichotała, wyżymając wodę z cienkiego szala. Kawiarnia była przytulna i ciepła, pełna drewna i dywanów. Przy kontuarze studenci rozmawiali z baristą, w jednej z lóż mężczyzna szeptał coś do Handhelda, przewijając wiadomości na Strumieniu. Usiadły przy stoliku pod oknem, zamówiły herbatę dla Dany i sok pomarańczowy dla Fumiko, która uznała, że musi się wytłumaczyć, choć Dana nie wypytywała.

– Nie mogę pić kofeiny – powiedziała. – Mój organizm jej nie toleruje.

Na ściennym ekranie, z dźwiękiem ściszonym do ostatniej kreski, widać było materiał o niedawnym zatwierdzeniu planów Desiree, stacji, której budowa miała się zacząć w przyszłym roku w układzie Epsilona Eridani.

– O, proszę – rzuciła Dana podczas szerokiego planu pokazującego inżynierów ściskających sobie ręce pod transparentem z gratulacjami. – To trzecia w tym roku, nie?

– Tak – odpowiedziała Fumiko, wycierając mokry kark serwetką.

Myślała o tym, jak będzie wyglądać Stacja Desiree – walec, piękny w prostocie swej geometrii. Miała ochotę powiedzieć Danie o nowej pracy, o tym, że pewnego dnia da Desiree do towarzystwa własne, piękne dzieło, mówiące światu, co jest dla niej ważne; wiedziała jednak, że naruszyłaby umowę o poufności, nie powiedziała więc nic.

Dana westchnęła, mieszając herbatę.

– Szkoda, że mnie już nie będzie, jak ją skończą.

– Możesz kupić bilet na Arkę – odparła Fumiko. – Pięćdziesiąt lat zimnego snu i zobaczysz Desiree i wszystkie inne stacje.

Parsknęła śmiechem.

– Nie za moje stypendium. – Nieco ciszej dodała: – Zresztą, nawet gdybym mogła, tobym nie chciała.

– Czemu?

Spojrzała przez okno na deszcz.

– Urodziłam się tutaj. To jest mój świat, na dobre i na złe, ciężko byłoby mi się z nim pożegnać. – Wzruszyła tylko lewym ramieniem. – Zresztą, kto pobuduje te wszystkie farmy fotowoltaiczne i żarówki, jak nie ja?

– Za dwa pokolenia powierzchnia tej planety nie będzie się nadawać do zamieszkania.

– Prawdopodobnie.

– Czyli twoje uzasadnienie jest bez sensu. Budowanie farm solarnych na Ziemi nie ma sensu. Będą tylko zbierać energię dla pustych miast. Powinnaś się dobrze zastanowić nad wyjazdem z planety. Na pograniczu potrzebują dobrych umysłów.

– To nie jest bez sensu. – Dana zmarszczyła brwi. Fumiko przyszło do głowy, że ćwiczyła tę debatę wiele razy. – Mamy miliardy ludzi. Na wylot stać, bardzo, bardzo optymistycznie szacując, może ze dwadzieścia procent. Osiemdziesiąt musi zostać. Będą uwięzieni w piekle, póki Arki nie wrócą po drugą turę – o ile będzie druga tura, a nawet jeśli będzie, miliardy pozostaną i tak. Może do tego czasu zbudują więcej Ark. Liczba spadnie, ale to dalej będą miliardy – i istnieje spora szansa, że nie dotrwają do tego czasu – będą kilkadziesiąt lat mieszkać pod ziemią, bo na powierzchni nastanie piekło i zostanie im tylko wilgoć zbierająca się na ścianach grot. Nie każdy będzie mógł odlecieć. Więc przynajmniej mogę im zapewnić jakieś lampki do czytania. – Nagle na ekranie wyświetliła się reklama markerów do wybielania zębów. Parada ładnych zębów i pięknych twarzy. Dana patrzyła na ekran bez wyrazu, z policzkami wciąż zaróżowionymi od deszczu. – Ci, co wyjeżdżają, zawsze zapominają, że świat nie kończy się z ich wyjazdem – dodała. – Zapominają, że wszystko gnije dalej.

– Źle powiedziałam, że bez sensu – rzekła Fumiko.

– Źle. – Dana się uśmiechnęła. – Ale nie ma sprawy.

Napiły się. Cisza, która zapadła teraz między nimi, była inna niż pomiędzy Fumiko i jej matką przy kolacji – tam to była pustka, próżnia. Tu – amortyzacja między kolejnymi chwilami. Pod stołem stopa Dany opierała się na stopie Fumiko, tak że dotykały się kostkami. Żadna nie zająknęła się o tym słowem.

– Nie widziałaś mojego mieszkania – rzuciła Dana, zupełnie niczego nie insynuując, bardziej jakby zauważała ciekawostkę w wystroju kawiarni; sugestia kryła się jednak w delikatnym, acz znaczącym kontakcie ich stóp.

– Nie widziałam – potwierdziła Fumiko. Cofnęła stopę ze stopy Dany, obawiając się, że zauważy jej nerwowe podrygiwanie.

– Jak chcesz, możemy pójść do mnie. Obejrzeć jakiś film na Strumieniu.

– Możemy – potaknęła Fumiko.

Wyszły z kawiarni, jak tylko przestało padać. Do mieszkania nie było daleko, kilka przecznic na wschód, w stronę oceanu. Dana przed wezwaniem windy pogadała chwilę z dozorcą, Fumiko nie usłyszała jednak o czym, umysł miała zaprzątnięty czymś innym – iskrzył jak odsłonięty kabel, sypiąc pełnymi niepokoju myślami; była

przerażona, bo wiedziała, co się stanie. Coś nowego. Drzwi windy zasunęły się, kabina popłynęła z buczeniem w górę. Dana nachyliła się ku niej. Fumiko liczyła światła. Czwarte piętro. Piąte. Oddech uwiązł jej w gardle, gdy Dana uniosła dłoń i dotknęła boku jej twarzy.

– Nie masz nic przeciwko? – zapytała.

– Nie – szepnęła Fumiko.

Dana trzymała dłonie na jej policzkach jak na obu stronach kielicha. Fumiko wytrzeszczyła oczy, pochylając się do niej. Ich oddechy się zmieszały. Oczy się zamknęły. Wargi zetknęły się delikatnie jak złożone skrzydła. Poczuła smak cytryny z jej herbaty. Drzwi rozsunęły się na dziesiątym piętrze, a one się rozdzieliły. Wzięła ją za rękę, machnęła kartą przed czytnikiem, automatyczne układy zapaliły światła nad kuchennym blatem i lampkę przy pluszowej kanapie. Nigdy nie powiedziała Danie, że jest dziewicą. Nie potrzebowała. Było to widać po tym, jak zdejmowała ubranie, po wahaniu przed każdą kolejną czynnością, kiedy patrzyła Danie w oczy, jakby pytała: „To też jest dozwolone?" – pytanie, które powtórzyło się, gdy Dana pocałowała ją w wewnętrzną stronę uda i jej świadomość wpadła w tunel, zawężając się tylko do niektórych wrażeń – deszczu stukającego w okno sypialni. Czarnego ekranu z wyświetlonym cyfrowym zegarem. Czwartek, 04:30. Elektryczna przyjemność, palec Dany kreślący kółka wokół jej sutka. Nie było nic więcej.

Nikogo więcej.

***

Spędzały razem każdy dzień. W piątek Dana zwolniła się z zajęć, żeby pojechać z Fumiko do Międzynarodowego Rezerwatu Ptaków w Kalifornii, o którym Fumiko często wspominała; była tam wiele lat temu i cieszyła się na ponowną wizytę. Układ rezerwatu nie zmienił się, jedynym świadectwem upływu czasu była liczba ptaków w szklanym pomieszczeniu, znacznie mniejsza niż w dzieciństwie. Pamiętała całe stada nad głową, oszałamiający trzepot między drzewami, nad rzekami, kakofoniczne echo ptasich krzyków nad sztucznym wąwozem. Teraz jednak przeważała cisza, nie licząc szeleszczącego trawami sztucznego wiatru. Na metalowym dźwigarze przy szklanej ścianie siedziała samotna rybołówka, przyglądająca się własnemu odbiciu. Ktoś z obsługi powiedział, że ostatni pelikan zdechł rok temu. Na rzece były już tylko gęsi.

– Kiedyś to było piękne miejsce – powiedziała Fumiko.

– Jako budowla dalej jest niesamowite.

– Szkoda, że tego wtedy nie widziałaś. – Fumiko położyła dłoń na poręczy, patrząc na skały i gałęzie pozbawione ptaków. – Tyle ich tu było.

I wtedy Dana nagle, bez ostrzeżenia, pocałowała ją.

Gęś wystartowała hałaśliwie z wody i poleciała na wschód w stronę wąwozu.

Zdumiewało ją, jak bardzo cieszą ją te niespodziewane pocałunki i nieprzewidywalne chwytanie za rękę – oznaki czułości, które denerwowały ją u innych par jako banalne i ostentacyjne – jakby chciały pokazać reszcie świata, jak bardzo są zakochane. Teraz jednak wiedziała, czemu to robią, że to jest tak, jakby się miało wspólny

sekret, język, który rozumieją tylko dwie osoby.

Zdarzały się i inne, mniej intymne niespodzianki. Gdy Dana wróciła z targu nad kanałem z paczką strzelających diabełków, odczekała, aż Fumiko wyjdzie z łazienki, i rzuciła jej jednego pod nogi, żeby podskoczyła jak kot przerażona głośnym wystrzałem. Śmiała się w głos, kiedy Fumiko zaczęła ją gonić po mieszkaniu, wyrwała jej torebkę, zaczęły obrzucać się petardami, aż zadzwonił właściciel budynku i powiedział im o licznych skargach z dołu. Przeprosiły go, rozłączył się i razem padły do łóżka czerwone z wyczerpania. Fumiko wpełzła na Danę głodna jej ciała. Pomyślała, że mogłaby tak wpadać do jej łóżka co godzinę przez resztę życia, żywiąc się tylko smakiem jej palców, jak głodujący ludzie wysysający wodę z kamieni.

Leżały splecione, a Dana wymyślała w jej objęciach fantastyczne scenariusze na przyszłość.

– Własna planeta. Tylko my dwie nad brzegiem. W weekendy możemy wypływać łodzią na morze.

– A jak przyjdą najeźdźcy?

– Odpędzimy ich, to oczywiste. Ty umiesz, to skonstruujesz broń. Tylko dopilnuj, żeby była zautomatyzowana, nie mam ochoty jej dotykać.

– Jak sobie chcesz. Ale jakiś plan awaryjny, na wypadek gdyby zniszczyli naszą armię wieżyczek?

– Oczywiście, skarbie. Wszystko będzie zaminowane. – Dana wcisnęła twarz w zagłębienie szyi Fumiko i szepnęła: – Skoro my nie możemy, nikt nie będzie tego miał.

***

Takiego miesiąca jeszcze nie miała. W niektóre poranki ledwie była w stanie oddychać, tak szczęśliwa się czuła. Jej serce uśmiechało się, pokazując wszystkie zęby. Skóra elektryzowała się i chichotała, gdy stykały się ich dłonie i splatały się palce. Żołądek mościł się w koszu pełnym puchu.

Nad wszystkim tym wisiała jednak coraz bliższa konieczność dokonania wyboru – wyjechać do pracy w Umbai lub zostać z Daną, jedną z nielicznych jej radości na tym świecie. Kiedy Dana spała, Fumiko ważyła za i przeciw obu alternatyw. Wyjeżdżając, ryzykowała, że straci Danę podczas lat izolacji, natomiast zostając, ryzykowała stratę szansy na karierę, jaka zdarza się raz w życiu, a Danę stracić mogła i tak, wskutek naturalnych, nieuniknionych prądów niszczących związki. Znały się dopiero od paru tygodni. Były sobie praktycznie obce. Nie było żadnych definitywnych przesłanek, z których Fumiko mogłaby wyprowadzić tezę, że zostaną ze sobą na długo, mimo że Dana wiele razy sugerowała, że chciałaby ciągnąć ten związek nawet po wyjeździe Fumiko z Okinawy, dokądkolwiek pojedzie.

W czwartek zrobiło się jeszcze trudniej, gdy po szóstej kolacji w budce curry na promenadzie Dana poruszyła temat ich wspólnej przyszłości. Powiedziała, że to, co je łączy, jest bardzo silne. Fumiko nie mogła znieść nadziei w jej wzroku. Postanowiła złamać jedną z pomniejszych klauzul swej umowy o poufności i powiedziała jej prawdę: że kiedy wyjedzie, przez długi czas nie wolno jej będzie się kontaktować ani

z nią, ani z nikim. Kiedy zapytała, jak długo będzie trwał ten okres, mogła tylko odpowiedzieć, że dopóki projekt się nie skończy. A co to za projekt, nie może jej powiedzieć. Dopiero wtedy do Dany dotarło. Wbiła wzrok w wodę.

– Możesz chociaż oszacować, kiedy cię znowu zobaczę?

– Za ileś lat.

– Za ileś lat – powtórzyła.

– Ile, nie potrafię powiedzieć. Zależy, jak pójdzie projekt.

– A co będziesz projektować? – I zanim Fumiko znów przypomniała umowę, uniosła dłoń. – Wiem, nie możesz powiedzieć. – Wstała. Obeszła ławkę, spódnica rozwiała się za nią. – Jeśli chcesz zerwać, ja to zrozumiem. Nie będę szczęśliwa, ale zrozumiem. Tylko mi nie kłam, bardzo cię proszę.

– Jest taki warunek w umowie, którą podpisałam z tą firmą. W ich ośrodku będę miała dostęp do sieci naukowych, ale nie do chmury mediów społecznościowych, zero Strumienia. Dopóki projekt nie będzie ukończony i upubliczniony.

– Szkoda, że mi wcześniej nie powiedziałaś.

– Przestałabyś się ze mną spotykać, gdybyś wiedziała?

Dana przez chwilę nie odpowiadała. Wreszcie jej ramiona się rozluźniły.

– Nie – powiedziała. – Po prostu wolałabym być przygotowana.

– Przepraszam.

– Dzwoniłam wczoraj do rodziców. – Zaśmiała się. Nienawidziła rodziców. – Rozmowy z Księżycem są drogie, ale zadzwoniłam, bo chciałam im powiedzieć, że spotkałam kogoś szczególnego… I tak, zanim w ogóle o tym pomyślisz: tak, nadal myślę, że jesteś dla mnie kimś szczególnym, mimo tej pięknej niespodzianki. – Westchnęła. – Jak tam pojedziesz, nie będziesz mogła nigdzie wychodzić, tak?

– Tak.

– Gdybyś nie miała tej pracy, chciałabyś się ze mną jeszcze spotykać?

Fumiko bez wahania potaknęła.

Dana rozpogodziła się.

– No to sprawa jest prosta. – Klasnęła w dłonie. – Robisz tak. Kontaktujesz się z nimi i renegocjujesz umowę. Mówisz, że nie pracujesz dla nich, jeśli nie dostaniesz absolutnego minimum wolnego czasu na własne sprawy. I wtedy będziesz mogła się ze mną spotykać. Pewnie nie na długo, ale zadowolimy się i tym. Mam znajomego prawnika, mogę się z nim skontaktować, trochę wredny typ, ale dobry w tym, co robi, a poza tym jest mi winny przysługę. Pewnie mógłby spojrzeć w twoje papiery pro bono i wtedy… No co? Czemu kręcisz głową?

– Z nimi się nie dyskutuje. – Przycisnęła dłonie do kolan. – Jeśli chcę tę pracę, warunki są takie, jakie są.

– Nawet nie spróbujesz?

– Nie ma czego próbować.

– Niemożliwe. Niemożliwa jesteś. – Nachmurzyła się i wyprostowała plecy.

Za nimi dwie nastolatki śmiały się z wideo na Handheldzie. Woda chlupotała o filary, a wysoko na niebie bzyczał sterowiec, lecz tym razem to wszystko emanowało samotnością, nie romantyzmem. Dana nie patrzyła na Fumiko, bawiła się pałeczkami, dziobiąc nimi resztki ryżu w pudełku.

– Mają skrytkę pocztową – odezwała się Fumiko. – Można tam przysyłać papie-

rowe listy. I je dostanę.

– Ale nie będziesz mogła odpisać.

– Tak. Przepraszam.

– Przestań już przepraszać. Wiem, że ci przykro. Wiem, wiem. – Potarła twarz. Potem pokręciła głową. – Po prostu nie wiem, czy dam radę tyle czekać.

Fumiko spodziewała się tej odpowiedzi, przygotowywała się na nią, ale nie bardzo da się przygotować na cios pięścią w brzuch. Kiedy się rozpłakała, Dana objęła ją i przyjęła jej ciężar na siebie.

– Niczego nie obiecuję – szepnęła. – Ale kiedy wrócisz i mnie znajdziesz, a okoliczności będą sprzyjające… to może. Może uda nam się zrobić to jeszcze raz. Porządnie.

– Chcę zostać – powiedziała Fumiko.

Dana parsknęła śmiechem, przygnębiona.

– Słowa. To tylko słowa.

***

Ostatniej nocy kochały się. Dana poprosiła Fumiko, żeby obudziła ją, by mogły się pożegnać, jak należy, lecz to się nigdy nie stało. Gdy zamknęła oczy, a jej oddech wyrównał się, gdy przycisnęła pięść do wpółotwartych ust, Fumiko wyśliznęła się z łóżka, ubrała i wyszła z mieszkania. I podobnie, jak kiedy zwalniała się z Cybelusa, zostawiła liścik, obciążony solniczką na blacie w kuchni. Dziękowała w nim Danie za ostatni miesiąc i zostawiła adres skrytki pocztowej, na wypadek gdyby jednak zechciała napisać.

Z wyrazami wdzięczności
Fumiko Nakajima

To był jedyny sposób, w jaki umiała się pożegnać.

Wróciła do mieszkania matki i spakowała walizkę. Upchnęła w niej ubrania, konsolę edukacyjną, notatnik wypełniony szkicami ptaków. Na Handheldzie miała trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Dany. Nie oddzwoniła.

Aki spała, jej ciało tak drobne na dużym, podwójnym łóżku, maska na oczach i zatyczki w uszach. Fumiko, choć nie żywiła specjalnej czułości do tej kobiety, poczuła się mimo wszystko w obowiązku uczynić jakiś pożegnalny gest – teraz, gdy nadszedł ten czas. Ucałowała matkę w policzek, w miękką, delikatną skórę porośniętą drobnymi włoskami. Pomyślała, że to interesujące, jak ładnie wyglądają we śnie nawet okropni ludzie. Aki poruszyła się, mrucząc coś niezrozumiale, gdy delikatnie zamykała za sobą drzwi. Samochód czekał na nią pod budynkiem.

O trzeciej w nocy opuściła japońskie wody. Niedługo po świcie znalazła się w Malezji. Główna siedziba Umbai sterczała jak wielki słoniowy kieł ze skraju nadmorskiego klifu, wieloma piętrami pnąc się w niebo, i wdzierając się w ziemię. Zanim weszła do szklanego ogromu foyer, zadzwoniła na Handhelda Dany, bez odpowiedzi. Uznała, że to karma. Więcej nie spróbowała, schowała urządzenie do kieszeni, gdy

odźwierny przy drzwiach podszedł do niej i podprowadził ją do pierwszej bramki bezpieczeństwa.

***

Każdego dnia po skończeniu pracy Fumiko schodziła do holu i pytała recepcjonistę, czy jest do niej jakaś poczta, a on za każdym razem wylewnie przepraszał, jakby to było jakieś niedopatrzenie z jego strony. Stało się to czymś prawie rutynowym, wydarzającym się tak często, że po kilku tygodniach wystarczało, że, przechodząc, spojrzała na niego, by dostać odpowiedź, poważne kręcenie głową. Niebawem przestała się spodziewać jakichkolwiek listów, stwierdziła jednak, że sam rytuał schodzenia do holu i potwierdzania podejrzenia z recepcjonistą jest uspokajający sam z siebie; dlatego też zdziwiła się, a nawet trochę zdenerwowała, kiedy po miesiącu pracy recepcjonista nie pokręcił głową, ale uśmiechnął się entuzjastycznie.

– Dla pani – powiedział, podając jej zamaszystym teatralnym gestem zaklejoną kopertę, odręcznie zaadresowaną, piórem, do P. Fumiko Nakajima.

Musiała się bardzo hamować, by nie rozerwać jej już w holu. Wróciła do swojego penthouse'u na trzydziestym trzecim piętrze. Stojąc na tle neonowo-niebieskiego nieba, rozdarła kopertę długopisem i przeczytała list.

Fumiko,

przeprosiłabym, że tak długo do Ciebie nie pisałam, ale musisz zrozumieć, że kiedy wyszłaś bez pożegnania, byłam Tobą bardzo rozczarowana. Nie. Byłam, kurwa, wściekła. Nadal czuję jedno i drugie. Mam nadzieję, że tam, gdzie jesteś, rozwijasz swoje umiejętności interpersonalne. Nie muszę Ci mówić, że masz w nich poważne braki. Natomiast szczerze przepraszam za moje brzydkie pismo. Sztuka pisania piórem uległa drastycznej atrofii od czasu podstawówki.

Nie do końca wiem, co powinnam pisać, skoro nie wiem nic konkretnego o Twojej pracy i nie mogę Ci zadać żadnych pytań, bo nie masz jak na nie odpowiedzieć, póki Twój „wyrok" nie dobiegnie końca. P. Toho wczoraj o Ciebie pytał – czy wiem, gdzie jesteś, co robisz, itd. Szkoda, że nie wiem, mogłabym w tym liście napisać o czymś innym, nie tylko o sobie…

W pracach nad żarówką mamy pewne postępy. Teraz badamy własności naturalnej bioluminescencji, jak w robaczkach świętojańskich, i pracujemy nad sposobem przedłużenia życia fotobakterii. Szczerze, myślę, że nic z tego projektu nie będzie, przynajmniej nie w czasie, który nam pozostał. Za dwa miesiące kończę studia. Zaaplikowałam do Arboreusa, fundacji, która nadzoruje różne zrównoważone projekty na całym świecie. Nie jest tak duża, jak komercyjne firmy technologiczne, ale ma dobrą opinię. Przy odrobinie szczęścia zatrudnią mnie i nie wyląduję na ulicy albo gorzej – u rodziców w kolonii na Księżycu – słyszałam, że tam jest jak na niegdysiejszym Stripie w Las Vegas. Myślę, że, tak czy owak, jakoś się wszystko ułoży.

Wciąż jestem na Ciebie zła, choć mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. I że ta praca spełnia Twoje nadzieje. Szkoda, że Cię tu nie ma. Brakuje mi Twojej powagi. Może jednak ten projekt nie będzie trwał tak długo? Kurczowo trzymam się myśli, że zobaczymy się jeszcze przed końcem roku. Mam Ci tyle do wykrzyczenia.

Dana

Listy przychodziły z pewną regularnością, co dwa do trzech miesięcy. Fumiko przez wiele dni po nadejściu każdego czytała go raz za razem, w głowie słysząc, jak Dana wypowiada te słowa swoim ciepłym szeptem. Podwładni Fumiko nie mieli pojęcia, skąd biorą się te rzadkie dni, kiedy zachowuje się jak anioł.

Następny list został wysłany po skończeniu burzy mózgów, kiedy w zamkniętej wirtualnej przestrzeni Umbai rzeźbiły się pierwsze wstępne szkice.

Od teraz jestem pracownicą Arboreusa. Pierwsze zadanie mam w Stanach Federalnych. Wyjeżdżam z Okinawy za trzy tygodnie. Myślałam, że będzie mnie to bardziej smucić. Jednakże to frustrujące, że moja miłość do tego miasta jest tak zabarwiona czasem spędzonym z Tobą, jakby sam fakt Twojego istnienia zmienił chemię mojego mózgu, tak, że jestem w stanie myśleć tylko o tym, co być mogło.

Ucieszysz się zapewne (?) słysząc, że p. Toho wciąż wychwala Cię pod niebiosa – po prostu nigdzie nie mam ucieczki! W kółko i w kółko gada o Twojej dyscyplinie i koncentracji. I choć wiem, że jedno i drugie to prawda, wbrew sobie przypomina mi się to wiralowe wideo z zeszłego roku. Nigdy Ci tego nie mówiłam, ale kiedy pierwszy raz je widziałam, kiedy zobaczyłam, jak krzyczysz na swojego pracownika, zbiło mnie to z tropu. Wydałaś mi się okrutna. Nie rozumiałam, czemu p. Toho tak się Tobą zachwyca, dopóki się nie poznałyśmy. Geniusze rodzą się co chwilę, a dobroć jest dużo rzadsza, szczególnie ostatnio. Światu przydałoby się więcej dobroci. Ględzę, wiem. Nie chcę Cię sponiewierać. Po prostu mi się ulewa.

Niech ten list zaświadczy, że wciąż o Tobie myślę i że wbrew własnym interesom nadal czekam.

Z każdym kolejnym listem Fumiko nabierała coraz większej pewności, że dobrze wybrała – że poniosła tę ofiarę, by móc stworzyć miejsce, gdzie będzie mogła rozkwitać nowa miłość. Oprócz chwil, kiedy dostawała listy, najbardziej uwielbiała moment nasunięcia na oczy gogli VR i zniknięcia w wirtualnej przestrzeni. Kochała czuć tę moc w czubkach palców, zdolność formowania linii i kształtów w czytelne, piękne nawet, kontury; parę wyćwiczonych gestów i skrzydła pierwszej stacji nabierały kształtu i rozpościerały się po bokach kadłuba jak do lotu.

Pierwszy raz jestem w Luizjanie. Ludzie są mili, ale często nieprzyzwyczajeni do projektowanych dzieci. Zdumiewa ich moja twarz, nawet same oczy. Widać różnicę między barwnymi soczewkami a wzmacnianą pigmentacją. Jest tu grupka dzieciaków, które łażą za mną każdego popołudnia, kiedy patroluję pola solarne na południe od miasta. Nazywają mnie „siostra Anioł”. Jedna z dziewczynek chyba się we mnie zadurzyła. Co piątek daje mi różę z ogrodu swego ojca, a dokładniej, zostawia mi ją na plecaku, kiedy myśli, że nie widzę. Urocze to jest. Nazywa się Huck. Zapytałam, czy to na cześć postaci literackiej, ale nie wiedziała, o co mi chodzi.

Pole solarne mnie martwi. Z szefem odkryliśmy, że do paneli we wschodniej ćwiartce ktoś się nielegalnie podpina. Poszliśmy za kablami i stwierdziliśmy, że przedmieście oddalone parę mil od nich ciągnie więcej prądu, niż ma przydziału. Przez nich gdzie indziej ludziom w domach gaśnie światło. Najbardziej frustruje niemoc. Skontaktowaliśmy się z władzami, a one wykręciły się i powiedziały, że nic nie

mogą zrobić. To oczywiście bzdura. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że pod stołem biorą kasę od tych złodziei. Zrównoważony rozwój jest dobry w teorii, kiedy nie wpływają na niego ludzie.

Zapadła decyzja, że w sumie będą cztery stacje – Pelikan, Ara, Pstrogłów i Przedrzeźniacz, każda zaprojektowana na podobieństwo swego imiennika.

Pierwsze osiem miesięcy pracy poświęcono Pelikanowi, mającemu służyć za szablon dla pozostałych trzech. Pojawiły się pewne trudności w urzeczywistnieniu wizji Fumiko – ogromnych, ruchomych skrzydeł, wind próżniowych przebijających brzuch stacji jak tętnice, długiego na kilometry bulwaru pomiędzy skrzydłami, mającego być głównym centrum handlu, w końcu jednak się udało. Umbai nie oszczędzał na ludziach i technologii. Fumiko nie mogła się nadziwić, jakie morze zasobów ma do dyspozycji, choć przecież korporacja bardzo długo się do tego projektu przygotowywała.

Każdego dnia ktoś wytycza nowe granice. Z przyjaciółmi co drugi tydzień jeździliśmy sobie do rezerwatu przyrody oddalonego piętnaście mil stąd, żeby patrzeć na tunele między drzewami i wędrować po chronionych torfowiskach, ale miesiąc temu zatrzymała nas budka strażnicza. Powiedzieli, że ta ziemia należy teraz do Saint Abnera – tego przedmieścia, o którym Ci wcześniej wspominałam. Nie poprzestali na kradzieży prądu, zaczęli skupować ziemię od państwa, powiększając swoje tereny. Eksmitują rodziny z domów, w których te mieszkały od lat. Część moich współpracowników jest zrezygnowana – mówią, że taka jest historia naszego gatunku, że najlepsze, co możemy zrobić, to wygrywać drobne bitwy i liczyć, że los się odmieni. Im więcej widzę, tym trudniej mi się z nimi nie zgodzić. Chociaż część mojej jaźni wciąż buntuje się przeciwko twierdzeniu, że taka jest nasza natura, że jesteśmy z natury samolubni. Że miłość jest wytłumaczalnym konstruktem, a dusza ładnym wybiegiem, mającym odwrócić naszą uwagę od okrutnej pustki, którą w sobie nosimy. Właśnie przeczytałam ponownie to ostatnie zdanie. Cholera, co się ze mną dzieje?

Pierwszy pionowy wycinek Stacji Pelikan został ukończony. W sali konferencyjnej odbyła się impreza, na którą Fumiko nie poszła. Jeden z pracowników przyniósł jej do mieszkania, na trzydzieste trzecie piętro, lampkę szampana. Przyjęła ją w drzwiach, zamknęła je chłopakowi przed nosem, wylała alkohol do zlewu, zastąpiła go zimną wodą i popijała ją na balkonie, patrząc w górę na nocne niebo. Wyobrażała sobie możliwą przyszłość, w której podróżują z Daną Arką, przesypiają teraźniejszość i docierają w samą porę na koronację Pelikana. Wyobrażała sobie, jak pięknie wyglądałaby Dana, stojąca na czubku skrzydła stacji, zawieszona pod gwiaździstą kopułą, podświetlona świętym białym słońcem. I że potem razem uciekłyby stamtąd i urządziły sobie własne wniebowstąpienie.

Wzdłuż zachodniej granicy ciągną się namioty uchodźców. Dokładamy nowe panele, ale wszystko to za mało dla takiej liczby ludzi. Wielu żyje przy świecach (właściwie i koło mnie, kiedy piszę te słowa, też topi się wosk). Huck pomaga mi w weekendy. Rano jedziemy do namiotów pomóc nakarmić ludzi, którzy nie mają domów, a po obiedzie idziemy na farmę i lutujemy przewody poprzegryzane w nocy

przez zwierzęta. Parę razy spotkałam jej rodziców. Przyzwoici ludzie, może trochę nieprzytomni. Uśmiechają się, jakby nie byli pewni, który jest rok i jaki dzień. To cud, że ich córka jest tak wrośnięta w swoje otoczenie, tak doskonale go świadoma. Po paru krótkich lekcjach zrozumiała, na czym polega praca przy panelach. Pomogła mi nawet jeden naprawić! Żyje się tu ciężko, ale jej przyjaźń jest nieoceniona.

Na początku męczyły mnie komary i potworny upał (w słoneczny dzień ze 32 stopnie), nauczyłam się jednak doceniać urodę tego miejsca. Luizjana ma te nieliczne miejsca na Ziemi, w których można się rozejrzeć i nie zobaczyć żadnych budynków – oprócz Windy Kolumbijskiej, ale ona jest tylko cienką pionową kreską na horyzoncie. Znika, jeśli zmruży się oczy. Możesz nabrać wrażenia, że otacza Cię tylko ziemia, niebo i wierzby. I łapię się na tym, że robię to coraz częściej, gdy coraz nowe sektory fotowoltaiki się psują, a ludzie, których nie można powstrzymać, kradną coraz więcej prądu.

Odcięcie się od tego wszystkiego przynosi pewną ulgę. Nieznaczną, ale zawsze.

W dniach przed ukończeniem pionowego wycinka Stacji Pstrogłów Fumiko spędzała wolny czas sama w pokoju, podłączona do wirtualnego ekosystemu. Tak jak Dana, która udała się na niziny Luizjany, by na trochę zniknąć, nabrała zwyczaju uciekania do tego prywatnego świata, gdzie były tylko światło, ciemność i siatka plastycznych linii. Czasem rozwalała te linie i budowała z nich twarz kobiety o krótkich włosach i spiczastych uszach. Godzinami tworzyła te abstrakcje miłości.

Pod bramami Saint Abnera zastrzelono osiemnaście osób. Poszły tam protestować przeciwko grabieży ziemi i energii przez miasto. Protest zaczął się pokojowo, ale ktoś z grupy wyciągnął pistolet i strażnicy na wieży zaczęli strzelać z broni automatycznej. Huck tam była. Powiedziałam jej, jakie to ważne walczyć o swoje, i teraz ona nie żyje. To moja wina. Poszłam zobaczyć ciało. Czułam się w obowiązku. W kostnicy byli jej rodzice. Matka kazała mi zobaczyć, co jej zrobili. Więc popatrzyłam. Odstrzelili jej żuchwę. Miała trzynaście lat. Fumiko, ten świat jest już sztucznie utrzymywany przy życiu. Każdego dnia jestem coraz bardziej przekonana, że może trzeba wyciągnąć tę wtyczkę. Jestem coraz bardziej wściekła, sfrustrowana i smutna, bardziej niż kiedykolwiek – wszystko bym oddała, żeby znów być z Tobą na Okinawie i podziwiać kwitnące wiśnie. Tyle że, jeśli ten projekt, nad którym pracujesz, nie jest wehikułem czasu, nie ma do tego powrotu. Obie tkwimy w teraźniejszości.

W pracy trwały kolejne dyskusje, były kolejne akceptacje do podpisania, kolejne numery wersji wszystkich elementów. Choćby cierpienie Dany było nie wiem jak dotkliwe, Fumiko nie miała praktyki w empatii na odległość; poza niezdarnymi próbami rekonstrukcji jej twarzy w wirtualnej przestrzeni miała problem, by choć o niej pomyśleć, bo jej zadania rozrastały się fraktalnie co tydzień i zaprzątały coraz więcej uwagi. Powiedziała sobie, że może i dobrze, bo i tak nic nie jest w stanie dla Dany zrobić – nie ma możliwości kontaktu, nie może jej powiedzieć, żeby się trzymała, że któregoś dnia ona wróci.

I wtedy nadszedł ostatni list.

Był styczeń. Byli w połowie projektowania Stacji Pstrogłów. Recepcjonista podał jej z uśmiechem list, nieświadomy jego treści.

Poznałam kogoś. To moja współpracownica. Spotkałyśmy się dwa miesiące temu podczas zjazdu w Waszyngtonie i odwiedza mnie w Luizjanie co parę tygodni. Powiedziałabym Ci, jak się nazywa, opowiedziała wszystko o niej, ale chcę Ci oszczędzić tych szczegółów. Mówię Ci tylko dlatego, żebyś nie spodziewała się, że będę na Ciebie czekać na drugim końcu Twojego projektu, w mało prawdopodobnym wypadku, że jeszcze się tego spodziewasz. To nie byłoby fair wobec nas obu. Był taki czas w moim życiu, kiedy bym na Ciebie czekała, lecz teraz, widząc, jak wszystko się sypie, mam świadomość, że nie stać mnie na marnotrawienie czasu. Potrzebowałam kogoś, więc kogoś znalazłam.

Mój czas w Stanach Federalnych niedługo dobiegnie końca. Polecę na Islandię obserwować szyby magmowe. To jest mój ostatni list do Ciebie. Jeśli dotrze – jeśli w ogóle moje listy do Ciebie dochodzą – wiedz, że zawsze będę pieczołowicie przechowywać wspomnienie o krótkim czasie, jaki spędziłyśmy razem, i że mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa albo przynajmniej pod jakimś względem spełniona.

Dana Schneider

Nie podarła listu, nie spaliła go, nie rzuciła z balkonu. Nigdy nie była skłonna do melodramatycznych gestów. Złożyła kartkę, włożyła z powrotem do koperty i zostawiła na biurku, jakby była adresowana do kogoś innego.

Wyszła z apartamentu.

Tak, pomyślała, gdy winda opadała ku biurom. Wracam do roboty.

***

Cztery lata.

Tyle czasu mieszkała w Umbai Building, zanim pokazała się publicznie z ukończonymi planami stacji. Rysunek poglądowy wystawiono w Luwrze razem z projektami innych firm. Sala wypełniona po brzegi świetnie ubraną elitą wzniosła toast na cześć jej i projektu, a potem zaklaskała, gdy ostatecznie zatwierdziła projekt własnoręcznym podpisem, piórem zamoczonym w smoliście czarnym atramencie.

Cztery stacje
F. Nakajima
23.02.2136

PrivateEyes wszystko fotografowały, otaczając ją setkami niepokojących mrugnięć.

Umbai zakontraktował sławnego biografa, by opisał proces tworzenia stacji, choć wiele informacji zostało na koniec ocenzurowanych. Fumiko, zgodnie z zapisami w umowie, pojawiała się na spotkaniach autorskich, rozdawała autografy, udzielała wywiadów. Przez ostatnie kilka miesięcy pracy w biurze szkoliła się z wystąpień publicznych i choć społecznie wciąż była trochę nieporadna i często uciekała się do ostrych lub nadmiernie naukowych odpowiedzi, matka powiedziała, że zrobiła zauważalne postępy.

Aki wciąż żyła, jej chude ciało wciąż polegało na liczniku kalorii. Nie była zła na

córkę, że się nie pożegnała, nie po tym, jak się dowiedziała, że Fumiko będzie się pojawiać na arenie publicznej. Przychodziła na wszystkie spotkania, na które fizycznie mogła, w pełnym królewskim rynsztunku, z parciem na Strumień.

– Niech moja córka będzie dla świata lekcją, że idealizacja fizycznej urody przez społeczeństwo to zło, że piękno ma wiele form, a najwspanialsze jest piękno umysłu – mówiła licznym nagrywającym PrivateEyes.

Fumiko nie mogła nie zauważyć, że świeżo napięta skóra matki rumieni się, gdy ktoś pyta, czy są siostrami.

Pierwsze parę tygodni działalności PR było dla niej wyczerpujące, odkryła jednak ze zdziwieniem, że po pewnej liczbie wywiadów, odczytów i autografów skupianie uwagi publiczności nawet zaczęło jej się trochę podobać. Choć ciągle trafiał się ktoś, kto komentował jej fizyczny wygląd, większość uwagi i pochwał skupiała się na jej dziele. Cieszyło ją, że ptaki spotykają się z należnym uznaniem, mimo że ich patroni są już na skraju wyginięcia; przynajmniej w ten sposób przeżyją.

Dana nigdy na dłużej nie znikała z jej myśli. Rozglądając się po tłumie, widziała niekiedy blond grzywkę z ostentacyjnie fioletowymi oczyma do kompletu i serce na moment jej stawało, dopóki nie dostrzegła, że to standardowa designerska twarz nieznajomej osoby, wpatrzona w nią jak w obrazek. Z czasem publiczne występy zaczęły na tyle zaprzątać jej umysł, by uznawała się za wyleczoną, tylko po to, by na nowo odkryć ten ból chwilę przed zaśnięciem, gdy najbardziej uświadamiała sobie własną samotność – w łóżku, bez nikogo u boku. Brała Handhelda, kciuk zawisał nad adresem, lecz nigdy nie dzwoniła. Za bardzo się bała i zanadto była urażona.

Niebawem ten rok miał dobiec końca. Plany Umbai biegły zgodnie z przewidywaniami i zwycięska runda Fumiko się kończyła. Kiedy w jej tylnej kieszeni zawibrował Handheld, była na dachu mieszkalnego wieżowca w Kapsztadzie, na wczesnej imprezie noworocznej w połowie grudnia. Mało brakowało, a nie odebrałaby, widząc imię na ekranie, dłoń zadziałała jednak automatycznie.

– Gratuluję – powiedziała Dana, z takim familiarnym ciepłem, jakby ostatnio rozmawiały kilka dni temu.

Dźwięk w świecie Fumiko przycichł. Wyszła z tłumu, mijając tace z wyschniętymi przekąskami i wykwintnymi wędlinami, oparła się o balustradę, znad której miała widok na spadziste dachy miasta w dole i sterowiec na niebie, unoszący się na tyle blisko, że słyszała szum płynu przepuszczanego przez chłodnice. Wszystko srebrzyło światło księżyca.

– Gdzie jesteś teraz? – zapytała.

– W Mongolii. Wczoraj podali mi spaghetti z keczupem. Kelner powiedział, że to miejscowy przysmak, ale nie uwierzyłam.

– Myślałam, że już nigdy się nie odezwiesz.

Dana parsknęła śmiechem.

– Taki był pierwotny plan. Ale potem zobaczyłam twoją twarz na okładce pisma i przeszło mi przez głowę: to nie może być Fumiko, ona się nie uśmiecha! Więc pomyślałam, że zadzwonię i sprawdzę, czy Umbai nie podmienił cię w międzyczasie na robota-sobowtóra.

Fumiko nie chciała się uśmiechnąć, ale musiała.

– Nie jestem robotem. Jeszcze nie.

– Dobrze. Naprawdę… dobrze jest usłyszeć twój głos. Przepraszam, jeśli to dziwnie brzmi po takim czasie, ale musiałam to powiedzieć. I jeszcze… chciałam, żebyś wiedziała, mimo wszystko, że zachwyciło mnie to, czego dokonałaś. Nie miałam okazji zobaczyć tych planów na własne oczy – któregoś dnia przejadę się do Francji – ale widziałam zdjęcia na Strumieniu. Piękne projekty.

Choć głos miała zaszumiony odległością, wydawało się, że jest blisko, i Fumiko miała wrażenie, że jeśli zamknie oczy, poczuje świeży, pszeniczny zapach jej włosów. Nie miała wyboru, musiała zapytać:

– Dalej z nią jesteś?

Pauza.

– Tak. Dalej jesteśmy razem.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak. – Westchnienie. – A ty?

– Wydawało mi się, że tak.

– Niepotrzebnie dzwoniłam. To był błąd. Przepraszam.

– Nie. – Fumiko prawie krzyknęła. Parę osób nawet obejrzało się na nią z niepokojem. Szepnęła: – Nie rozłączaj się. Proszę.

– Dobrze. Coś chciałaś mi powiedzieć?

Tyle rzeczy. Zamilkła, patrząc w dal z balkonu.

– Powiedz mi, że było warto.

– Mówiłam ci, projekty są fantastyczne. To znaczy, wiesz, kompletnie nie mam doświadczenia w twojej branży, ale estetycznie…

– Nie – odparła, przyciskając Handhelda tak mocno do ust, że aż poczerwieniała jej skóra. – Powiedz mi, że to była dobra decyzja.

– Ja… Fumiko? Tylko ty sama możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Fumiko poczuła pustkę. Potrzebowała coś poczuć. Potrzebowała, żeby Danę zabolało, żeby zareagowała czymś więcej niż zawodową uprzejmością.

– Jaka ty jesteś mądra. Z jakiego poradniczka na Strumieniu sobie to pożyczyłaś?

– Co? Masz coś z głową?

– Czemu po prostu nie poczekałaś? Gdybyś poczekała, wszystko by się… – Zamknęła oczy. – Wszystko by się udało. Byłybyśmy szczęśliwe.

– Ja jestem szczęśliwa. Dostałaś w ogóle moje listy? Poznałam kogoś, zajebistą osobę. Gdyby jutro mnie zapytała, czy bierzemy ślub, zgodziłabym się w okamgnieniu. Przykro mi, że czujesz się samotna, ale nie waż się na mnie wyżywać… À propos, dziękuję ci, że nie zadzwoniłaś zaraz po wyjściu spod klucza, że nie zapytałaś, czy dobrze się czuję po tym, jak widziałam Huck, po tym, jak… W ogóle nic nie rozumiesz, prawda? Nawet nie przyszło ci do głowy, że przeszłam piekło, próbując zapomnieć, co widziałam. W ogóle o tym nie pomyślałaś. Wiesz, kiedyś miałam wrażenie, że jesteś naprawdę dobrą osobą zamkniętą w twardej skorupie, ale ewidentnie się myliłam. Mimo wszystkich pozorów jesteś tak samo skupiona na sobie, jak twoja matka. Nie wierzę, że mogłaś w ogóle pomyśleć…

Fumiko się rozłączyła.

Wypuściwszy powietrze i uspokoiwszy nerwy łykiem wina, zdziwiła się, jak niewiele czuje. Schowała Handhelda do kieszeni i zamówiła kolejnego drinka; dołączyła z powrotem do imprezy.

Goście przywitali ją z radością.

***

Arka Umbai wystartowała z Windy Kolumbijskiej dwa lata później, na początku czerwca. Była to trzecia arka opuszczająca ziemię, po niej było jeszcze dwanaście innych, startujących z Windy Singapurskiej i Kenijskiej, lecących do innych stacji należących do konkurencyjnych firm. Stacje wciąż były budowane, lot miał jednak trwać tak długo, że do tego czasu będą nadawać się do zamieszkania. Sam wylot był nieprzyjemny. Wywiązały się zamieszki, bitwy o prawo do wejścia na statek, wszystkie przegrane przez buntowników przy wtórze strzałów i mętnych obietnic na Strumieniu, że któregoś dnia Arki wrócą po drugą turę. Nie wróciły.

Przez pięć lat do gwiazd odleciało ponad miliard ludzi spowitych zatrzymującym czas całunem zimnego snu, z ustami zamarłymi w pół modlitwy o pomyślne obudzenie się w lepszym miejscu i bezpiecznym czasie. Ten sen trwał dziesiątki lat, aż w końcu, kapsuła za kapsułą, rodziny budziły się i przyciskały nosy do poprzecznych pasm okien, rozdziawiając usta na widok ogromnej ptasiej konstrukcji podświetlonej od tyłu białym słońcem; para zgrabnych, przegubowych skrzydeł rozpostarta na pełną rozpiętość i wystawiona do słońca. Stacja Pelikan. Ich uskrzydlony dom, z dachem z gwiazd. Dla pierwszego pokolenia osadników adaptacja była długa i trudna, trudno się żyło tak daleko od Ziemi, w snach męczyła ich zagubiona Gwiazda Polarna, z czasem jednak, i z pojawieniem się dzieci, niemających emocjonalnych związków z błękitnym niebem, Ziemia stała się tylko historią, historią opowiadaną lekkim tonem pomiędzy nieznajomymi na tyle bogatymi, by móc sobie pozwolić na przeloty między światami. Przy gorących napojach wymieniali się spekulacjami na temat dawnych metod podróży – czy czasem nie tak czuli się ich przodkowie, kiedy wsiadali na łódź i odpychali się od brzegu, podekscytowani własnym strachem?

Życie rozprzestrzeniło się na Arę, na Pstrogłowa, na Przedrzeźniacza. Na dalekie rubieże i światy, których nieba jeszcze nie pobrużdziły ludzkie smugi kondensacyjne, na Miasta-Planety, stolice, których każda przecznica i każde skrzyżowanie było zaplanowane na dziesięciolecia naprzód. Korporacyjni kartografowie brukowali kolejne szlaki, zapuszczając się w jeszcze nieopisane prądy Fałdu, katalogując odległości i dług czasowy, na koniec dając sygnał statkom-koloniom, a potem korporacyjnym kupcom, związującym układy ze sobą w jedną handlową sieć. Statki ciągnęły za sobą nawis lat, kontrakty podpisane i ostemplowane wiecznotrwałym cyfrowym atramentem, iglice i wieże Miast-Planet rosły z szybkością bambusa, a wszędzie, od samego początku trwała ta sama tradycja i hierarchia – bogaci mieszkali ponad chmurami, a nieszczęśnicy głęboko w dole. I choć nikt nie zapominał o asymetrii tego postępu, o tym, że ludzkość zaszła tak daleko, a wciąż są ludzie, którzy nigdy nie zobaczą Stacji, ani nawet słońca, ten ustrój nigdy się nie zmieniał. Ubodzy żyli i umierali w minotaurowym labiryncie podwarstwy Miasta-Planety, głęboko w cieniach szklanych wieżowców, pomiędzy chmurami pary z rur i wymiocinami zsypów, w miejscu, gdzie nie było czasu, nie było postępowych oznak zmieniających się stuleci i tysiącleci. Były tylko upał i wieczny smród trupów zaklinowanych w szybach

wentylacyjnych pod ulicami, które miały zostać spopielone podczas czyszczenia żarowego w przyszłym miesiącu i szybko zapomniane, podczas gdy Zjednoczony Kosmos rozdziawiał paszczę i połykał kolejne gwiazdy. Jego szeregowi żołnierze nurkowali w Fałd i wynurzali się z niego, przeskakując całe ery historii i przywożąc umowy ze świeżo pozyskanymi układami planetarnymi i szlachetne bogactwo Surowcowych Światów.

***

Po czteromiesięcznej podróży przez międzygwiezdne prądy stadko statków wplotło się z powrotem w rzeczywistość, jak składane jedna w drugą papierowe serwetki. Było ich w sumie dwanaście: Roendal, Cieplarnia, Cedar Crest, Helena Basho, Brightband, Solus, Rock on Water, BGT, Mandolina, Bittedan i Ghost Dog przez cały czas leciały równo z Debby, ale nie mogły odezwać się do siebie nawzajem, nie mogły się zobaczyć, każdy w swojej rozpadlinie Kosmicznego Fałdu, głuche i ślepe ze swoim wielkim ładunkiem nasion dhuby.

– Tyle razy to robiliśmy, ale za każdym razem, kiedy wypełzam z ciemności i znów widzę wasze twarze, wzrusza mnie to do łez – powiedział na łączu stary kapitan Rock on Water.

Nia uśmiechnęła się szeroko do rozmytego wizerunku starego człowieka na ekranie.

– Jeśli się popłaczesz, to ja też, a tego nikt nie powinien oglądać.

Stary roześmiał się głośno.

– Prawda, Imani – powiedział. – Prawda.

Do przybicia do Stacji Pelikan mieli jeszcze parę godzin. Nia siadła z chłopcem w mesie, czekając na przylot. Wciąż miał na sobie tę czerwoną szatę. Dłonie kładł na kolanach. Powiedziała mu, co się stanie, kiedy wylądują. Że będą czekać Żółte Kurtki i zaprowadzą go do Gniazda. Że zostanie z nim najdłużej, jak się da, i dopilnuje, by był bezpieczny. Powiedziała, że poza tym nie ma pojęcia, co kryje odleglejsza przyszłość, ale będzie dobrze wspominać spędzony razem czas. A kiedy skończyła, on ponuro kiwnął głową.

Miała nadzieję, że zrozumiał.

Baylin zrobił ostatnią inwentaryzację. Siostra i Sonja skontrolowały ładownię, sprawdzając temperaturę skrzyń z nasionami. Durat wysłał kod statku władzom Gniazda do weryfikacji i powiedział przez radio, że chłopak jest cały i zdrowy.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku – powiedział urzędnik. – Żółte kurtki będą czekać pod statkiem, wezmą chłopca i zajrzą w wasze papiery. Długo to nie zajmie. Chwilę dosłownie.

– Świetnie. To do zobaczenia niedługo.

– Bardzo dobrze. I wszystkiego dobrego w Dniu Nakajimy.

Durat uniósł brew.

– Słucham?

– W Dniu Nakajimy. Tysiąc lat od ukończenia stacji. Powiedz załodze, że mają szczęście. – Przedstawiciel władz uśmiechnął się za szybą hełmu. – Zaraz zobaczą

największą imprezę w galaktyce.

Gdy Debby schodziła łukiem ku czekającej paszczy stacji, długo przygotowywane uroczystości już trwały – parada na Bulwarze pod wirtualnym niebieskim niebem, pełna oszałamiających projekcji przedwiecznych zwierząt, których ryki i skrzeki były tak głośne, że nawet dorośli trochę się wzdrygali. Korporacyjne kapele z brzękliwymi lynami i grzmiącymi szufflami grały Hymn skrzydeł. Przysmaki stu światów na lewitujących straganach: jabłka z Adizanu w czarnym sosie, smażone języczki bilkaczek, trzydziestopiętrowe torty – intensywne, słodkie zapachy, sprzedawane za zbyt wiele jot, ale nikt się tym nie przejmował, dziś bowiem ludzie ze Stacji Pelikan i ich goście godzili się na to zdzierstwo, na szturchańce, przepychanki, niekończące się pokrzykiwania i owacje, bo elektryzował ich widok jej, tej, bez której to by się nie ziściło – Fumiko Nakajimy, stojącej na lewitującej platformie z pyłu i światła, czekającej, by skinięciem młodzieńczej dłoni wzbudzić ryk tłumu, uśmiechającej się do nich, jak latarnia morska znacząca punkty, z których przyszli i w które niebawem się udadzą, a cały tłum był jak zahipnotyzowany jej uśmiechem, uśmiechem, który przygasł tylko raz i tylko na moment, gdy na niebie wykwitły pierwsze fajerwerki, różowe, czerwone i głośne, a ona w ich efemerycznych kształtach zobaczyła kwitnące na wiosnę wiśnie.

4.

Rozstania

Do statku napłynął portowy zgiełk – szum tryskaczy walczących z samoistnym pożarem na Rock on Water, pokrzykiwania załóg wywożących huczącymi ładowarkami skrzynie z nasionami z ładowni, kłótnie o liczby na listach przewozowych, wirowanie dronów-świadków nad głowami i zdyscyplinowany tupot butów Żółtych Kurtek, przecinających ogromną przestrzeń B-3 z pałkami w futerałach, idących prosto do Debby. Kiedy chłopiec ich zobaczył, chwycił Nię za rękę; wyczuwała szybkie bicie jego serca.

– Będzie dobrze – szepnęła, gdy Żółte Kurtki wchodziły po pochylni. – Wszystko będzie dobrze.

Ścisnął jej palce.

Oddział Żółtych Kurtek zatrzymał się w należytej odległości od Nii i załogi – jak neonowa pancerna ściana blokująca wyjście ze statku. Najniższy z nich wystąpił naprzód.

– Kapitan Nia Imani? Jestem Andetwa, pierwsza ser Ochrony Gniazda. Życzę Szczęśliwego Dnia Nakajimy dla pani i załogi. I jako pierwsza gratuluję wam zakończenia cyklu dostaw. – Szyba hełmu, jak dziób, zakrywała jej oczy i nos. Nia widziała tylko wąskie wargi w uśmiechu. – Czy to jest ten chłopiec, którego znaleźliście na planecie?

– Tak.

– Pani pozwoli…

Wyciągnęła dłoń, jakby przejmowała od niej smycz. Nia powstrzymała odruch odtrącenia tej dłoni i weszła pomiędzy ochronę i chłopca, splatając ręce na piesi.

– Nia. – Siostra się spięła. – Nie.

Uśmiech pierwszej ser zbladł. Jej oddział położył dłonie na pałkach.

– Czy jest jakiś problem?

Nia zacisnęła zęby.

Durat parsknął śmiechem.

– Pani kapitan?

Uciszyła go spojrzeniem i powiedziała do pierwszej ser:

– Dokąd go zabieracie?

Pytanie jakby zbiło Andetwę z tropu.

– Zaprowadzimy go do biur ochrony na trzynastej belce, do obsługi przyjezdnych. Jeśli ustalimy tożsamość, przekażemy go jego prawowitym opiekunom. Jeśli nie, wprowadzimy go do systemu i przekażemy do Ośrodka Opiekuńczego na piętnastej.

– Ser popatrzyła na nią, potem na chłopca, i jakby zrozumiawszy sytuację, złagodziła swój uśmiech. Uniosła dłoń znad rękojeści pałki. – Zapewniam, że przez cały czas będzie pod dobrą opieką.

– Czy będziecie mnie na bieżąco informować?

Chwila wahania, gdy Andetwa przewijała na szybce hełmu strony z prawami podróżnych. Kiwnęła głową.

– Jeśli będą jakieś warte tego informacje.

Siostra położyła dłoń na ramieniu Nii.

– Już czas – powiedziała.

Nia strząsnęła jej dłoń i kucnęła, żeby chłopiec mógł zobaczyć w jej twarzy, że nie takiego pożegnania chciała.

– Jeszcze się nie żegnam, wiesz? – powiedziała. – Jeszcze się zobaczymy. Rozumiesz?

Nagle ją przytulił.

Pachniał jak jej statek.

Uścisk był krótki. Cofnął się, zanim zdążyła pomyśleć, żeby go odwzajemnić. Poszła z nim i jego eskortą do portowych wind, jej serce ścisnęło się, kiedy pomiędzy nimi zasunęły się drzwi. Przycisnął dłoń do szkła. Oczy miał szeroko otwarte, jakby czekał, aż rozewrze drzwi siłą i go uratuje. Ona też wyciągnęła rękę, żeby zrobić coś, nie wiadomo co, dotykając szyby dokładnie w momencie, gdy próżnia pociągnęła windę w górę, w głąb brzucha stacji. Chłopiec zniknął. Własne odbicie wykrzywiło się do niej.

***

– Na Pelikanie to było piętnaście spokojnych lat – powiedział prowadzący orientację. Kiedy się uśmiechnął, delikatny tatuaż ptaka na jego policzku rozpostarł pióra. – W zeszłym roku według standardowego czasu stacyjnego był jeden incydent dotyczący rozpowszechniania kwiatowych liści na niższych belkach, dlatego ten produkt jest teraz zdelegalizowany w przestrzeni stacji i konfiskuje się go z wysoką grzywną, jeśli Ochrona Gniazda znajdzie go u kogoś. Podobnie suplikanty siatkówkowe. Ale nie mam wyłącznie złych wiadomości. Umbai otworzył nowe szlaki handlowe pomiędzy stacjami i planetami należącymi do Grammatonu, możecie się więc spodziewać, że znajdziecie na rynku wiele nowych przypraw, ubrań oraz zalegalizowanych technologii – ja najbardziej lubię herbatkę DanSen, podawaną jako spray do nosa ze szklanej butelki. Kofeina w takiej formie niezwykle oczyszcza umysł. Jak zawsze stacje Umbai bardzo ściśle kontrolują infekcje językowe. Przekonacie się, że wszyscy mieszkańcy i większość przyjezdnych nadal mówią waszą wersją stacyjnego standardowego, z paroma drobnymi dodatkami i modyfikacjami, które nie powinny wam psuć przyjemności z pobytu. Bulwar na najwyższym poziomie nadal jest w centrum uwagi podróżnych, zwłaszcza dzisiaj i przez cały tydzień, kiedy świętujemy wielkie dzieło Fumiko Nakajimy. A, i jeszcze: w ramach podziękowania za waszą ciężką pracę, Umbai zarezerwował wam pokoje w Travillionie na następne trzydzieści dni – czasu stacyjnego – które, poza znakomitym widokiem na Bulwar, mają także bez-

płatny wstęp do słynnego na wiele światów Travilion Spa. Korzystajcie z aromatycznych kąpieli i masaży do woli.

Z okazji Dnia Nakajimy i dla upamiętnienia ery na Starej Ziemi, w której żyła Fumiko, każdy członek załogi otrzymał własnego prywatnego Handhelda do osobistego użytku podczas pobytu na Pelikanie. Podano im te urządzenia na metalowej tacy, niczym wykwintne przekąski, cienkie i elastyczne jak karty do gry. Właśnie Handheldem dostała informację, że Umbai przelał na jej konto wynagrodzenie, które zaraz podzieliła pomiędzy konta załogi. Pamiętała, by obciąć wynagrodzenie pielęgniarki o dziesięć procent – mimo że już wcale tego nie chciała – gdyż mało co liczyło się dla niej bardziej niż dotrzymywanie słowa. Siostra nie zdradziła nic miną, widząc zmienioną kwotę na swoim urządzeniu. Nia podejrzewała, że to wyjdzie później, podczas kłótni o północy – wtedy będzie już gotowa.

Po orientacji nastąpiła dziesięciominutowa jazda windami na górę Pelikana. Całą ekscytację załogi powrotem zepsuła rozmowa Nii przez Handhelda z Ochroną Gniazda i jej ciche, nerwowe odpowiedzi – a rozmowa zakończyła się sfrustrowanym burknięciem, gdy sekretarka po drugiej stronie zapewniła ją wymijająco, że jej kontakt został zarejestrowany i że pierwsza ser odezwie się, jeśli będzie miała jakieś istotne informacje.

– Nic mu nie będzie – rzuciła Siostra.

Nia przesunęła dłonią po skórze głowy.

Włosy jej odrastały.

Kiedy drzwi windy otworzyły się spiralnie, wyszli w dwunastokilometrowy kanion komercji i przedsiębiorczości, biegnący wzdłuż całego grzbietu Pelikana – załoga była jednak tak przyzwyczajona do tego widoku, że już nie oszałamiała jej mnogość sklepów, rozrywek i miejsc spotkań, wyświetlających jaskrawe zjawy słów w rodzaju DOBRE CENY i PRODUKTY LUKSUSOWE. Szli do apartamentów Travillion. Po drodze Nia widziała, że od jej ostatniej wizyty niewiele się zmieniło – czy raczej, że zmieniło się wszystko, ale te zmiany były wyłącznie spodziewane i łatwo je było przeoczyć. Sklepy znikały pożarte przez konkurencję, wchłonięte przez większe firmy, z długimi, wieloczłonowymi nazwami podkreślającymi ich drapieżny rodowód. Nowe holo z nieznajomymi celebrytami, patrzącymi na nią tęsknym wzrokiem spod logo korporacji rozrywkowych. Jednakże klimat miejsca był wciąż ten sam, wzdłuż chodników nadal stały szpalery fotorealistycznych drzew, od jodeł, przez czerwone klony, po brzozy, a wszystkie kołyszące się do rytmu sztucznego wiatru; sklepiony strop wciąż był wielką i kruchą płaszczyzną cyfrowego szkła, teraz przyciemnionego do królewskiej purpury, żeby reprezentować zmierzch, i usianego białymi punkcikami, które za godzinę wyostrzą się w gwiazdy. Jedyną znaczącą różnicą była obecność trzepoczących transparentów obwieszczających tysięczne urodziny stacji oraz najrozmaitszych planetarnych i korporacyjnych flag deklarujących lojalność dla Umbai i Nakajimy – a było ich tyle, że Nia rozpoznawała ledwie drobny ułamek.

W ciepło urządzonym foyer Travilliona załoga rozmawiała o tym, jak planują uczcić pierwszy dzień urlopu. Siostra zamierzała odwiedzić stacyjny szpital i zaproponować swoje usługi. Durat zadrwił z niej, że jest aż tak przewidywalna, po czym sam nikogo nie zaskoczył swoim planem poszukania nowych pubów, nowych dragów i tańców. Mówili o tym z zapałem, ale kiedy skończyli, nikt się nie ruszył, cała piątka

nadal stała pośrodku holu, a wokół nich przemieszczali się inni podróżni, bo po czterech latach spędzonych wyłącznie we własnym towarzystwie dziwnie było rozejść się teraz do swoich spraw.

Powoli, jedno po drugim, odchodzili na urlop, kiwając głowami i rzucając „na razie", póki pod wirującym żyrandolem Travilliona, ze szkła i tańczących obrazków, nie zostały tylko Nia i Sonja.

– A ty co robisz? – zapytała ją Nia.

Weteranka spojrzała na nią z ukosa. Przyjęła zaproszenie na kolację, nie mówiąc ani tak, ani nie, jedynie niezobowiązująco wzruszając ramionami. Znalazły jakiś lokal pół kilometra dalej, restaurację w szklanej kuli ze śniegiem, pełną sypiących holograficznych białych płatków, ze stolikami okrążającymi projekcję akacji. Kiedy zajmowały stolik z tyłu, z niewidocznych głośników dobiegał śpiew ptaków, przerwany nagle obwieszczeniem na Strumieniu, że o 19:30 w Wielkiej Sali w Skrzydle Schreiberi odbędzie się występ wokalistki, której imienia Nia nie kojarzyła, ale wnosząc po erupcji okrzyków w restauracji, musiała być bardzo sławna.

– No, czyli jakaś cholera zaprojektowała tę stację – rzuciła Sonja, podnosząc głos, żeby być słyszalną w zgiełku. Odgarnęła z twarzy biały płatek. Zareagował na jej ruchy i odpłynął. – Coś wiesz o tej Nakajimie?

Nia odparła, że nic, właściwie nie słuchając, kciukiem obwodząc w kieszeni kontur Handhelda, czekając, czekając. Kiedy na jej podkładkę trafiła miska owoców kurim, zaczęła przesuwać je łyżką, nie jedząc i nie zwracając uwagi na mokre odgłosy wydawane przez weterankę połykającą paski mięsa w kwiatach w całości, jakby jej przełyk był studnią wychodzącą na nicość, a mięso wrzucaną wraz z wypowiadanym życzeniem monetą. Wiedziała teraz, że to błąd. Trzeba było zostać w swoim pokoju w hotelu albo na statku, gdzieś, gdzie dało się w spokoju czekać na telefon z Gniazda. Potrzebowała tylko paru słów, prostego potwierdzenia, że jest pod dobrą opieką. Westchnęła. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo milczały, póki Sonja nie przerwała ciszy.

– Nigdy za bardzo dzieci nie lubiłam. – Ze wzrokiem wbitym w mięso i poważną miną kroiła grube, hodowane w tanku włókna. – Moi bracia byli wrednymi gówniarzami. – Nóż przestał ciąć. – Ale on był w porządku. Ten chłopak, znaczy. – Popatrzyła na nią tak, jak według Nii mogłaby patrzeć na innego żołnierza, który stracił w walce przyjaciela. – Przykro mi, że tak to się skończyło.

Te słowa były tak niespodziewane, że Nia nie była w stanie zareagować inaczej niż śmiechem. Krótkim, ostrym śmieszkiem. Uniosła kieliszek z wódką ojai i przepiła do kubka Sonji, nie czekając, aż go podniesie. Wychyliła zawartość jednym haustem.

Po jej żołądku rozlało się ciepło od drinka – i od tego niespodziewanego dobrego słowa.

***

Po kolacji wróciła do stacyjnych wind, nie do hotelu, woląc swój statek od przepychu Travilliona. Paru dokerów łypnęło na nią z niechęcią, gdy przechodziła obok bezczynnych ładowarek i pustych skrzyń – zastanawiali się, co pani kapitan może robić

o tej porze w porcie, z dala od święta i blichtru najwyższej belki. Jeden z robotników kiwnął jej głową, puścił oko i pstryknął na jej Handhelda swoimi danymi kontaktowymi. Minęła go bez słowa.

Na Debby było ciemno. Korytarze martwe. Zatrzymała się przy niedawnym pokoju chłopca, trochę spodziewając się machającej na dobranoc małej rączki. Kabina była pusta. Zanim poszła do siebie, zasłała pościel na koi i roztrzepała poduszkę; u siebie siadła przy biurku z twarzą na pół oświetloną lampką, z piórem w dłoni, zawieszonym nad kartką, kreślącym kółka w powietrzu, niepewna, co pisać. Coś, co wyraziłoby jej mroczny nastrój. Uwięziło go w papierze zamiast w głowie. Jednakże ten przeskok nie zaszedł. Zasnęła z głową opartą na pięści, z kartką pustą i nienaruszoną.

Kiedy spała, a śniła jej się melodia fletu, Durat wszedł do Grand Hallu w skrzydle Schreiberi, ramionami obejmując znajomych, których poznał w saunie w Travillion Spa – parę, która podróżowała razem śladami słynnej pielgrzymki pewnego jakby mnicha, którego imię było w ich oczach objawieniem. Durat niezbyt interesował się samym występem w Grand Hallu, trudno mu też było nadążyć za rozmową swoich nowych znajomych, gdyż ciągle nawiązywali do wydarzeń, które go ominęły, kiedy był w Fałdzie – nie miał pojęcia, co to była Flota Pompadour i dlaczego była ważna – lecz i tak dobrze się bawił, bo po czterech miesiącach tkwienia na Debby niesamowicie było po prostu usłyszeć rozmowy niemające nic wspólnego z utrzymaniem statku czy planami lotów. Znaleźć się wśród wielu niewiadomych. Świeżo przy kasie stawiał drinki całemu swojemu rzędowi, rozkoszując się niemal maniakalną radością, którą to wywoływało, i mówił sobie, że to będą wakacje jego życia – co powtarzał po każdym lądowaniu i niemal zawsze się nie sprawdzało, bo i sam dostrzegał, że jego fantazje są szalone i niemożliwe do spełnienia.

Gdy Durat radośnie się upijał, Siostra patrolowała mlecznobiałe korytarze centralnego oddziału Szpitala Pelikan. Sterylne obuwie człapało wzdłuż sal z pacjentami, a zęby obgryzały paznokcie na prawej dłoni – odwieczny nawyk w stresie, który powrócił, kiedy chłopiec wsiadł na ich statek. W tylnej kieszeni miała rękawiczki, które wkładała, by ukryć paznokcie, kiedy wchodziła do pacjentów, i wracała do obgryzania, gdy wiedziała, że nikt nie patrzy. Podczas obchodu w myślach wykłócała się z Nią o dziesięcioprocentowe potrącenie, tłumacząc z krystaliczną jasnością, dlaczego kara nie przystaje do przewinienia i dlaczego trzeba uwzględnić także fakt, że obecność chłopca zakłóciła jej zdolność rozumowania. Doskonaliła te argumenty, ostrzyła je jak noże, póki na siatkówce nie wyświetlił się alarm. Sala 23. Pobiegła do pacjenta w potrzebie. Jej czujność nie słabła żadnego dnia. Kiedy przyjdzie najgorsze, przybiegnie na swych ognistych kopytach – a była pewna, że to nastąpi, stopami czuła już drgania – będzie gotowa rzucić mu się do gardła.

Gdy Siostra myła brudne uda mężczyzny, który już nigdy się nie obudzi, Sonja, gdzieś w skrzydle Graciliusa, w małej niszy lokalnego parku, siedziała wraz z grupką innych weteranów i wymieniała się imionami poległych. Wiek żołnierzy wahał się – dziewiętnastoletni chłopak, dziewięćdziesięcioletnia kobieta, których łączyła tylko niemożność zapomnienia odoru ciała usmażonego pociskiem z działa elektromagnetycznego. Nie opowiadali sobie wojennych historii, nie przeżywali wspaniałych dni strachu, te opowieści zostawiali cywilnym uszom. Wypowiadali po prostu imiona

ludzi, których stracili, po kolei, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dając poległym szansę na jedną noc życia. Parda. Suchong. Jura.

– Norrin – powiedziała Sonja, gdy przyszła jej kolej. – Był z Edelweissa. Raz uratował mi życie.

– Norrin – powtórzył dziewiętnastolatek.

– Norrin – powtórzyła dziewięćdziesięciolatka.

Kiedy trwał ten obrzęd ku czci poległych, kilka kilometrów dalej, w drugim skrzydle Pelikana, w tej samej sali koncertowej, co Durat ze znajomymi, Fumiko Nakajima zajmowała miejsce w prywatnej loży. Siedziała obok kobiety wybranej na jej towarzyszkę podczas tego pobytu – młodej dziewczyny z jasną grzywką w stylu Nero Claudius i oczyma zabarwionymi na fioletowo – jedno i drugie nieprzypadkowe. Trzymały się za ręce, Fumiko gładziła palcem wskazującym miękką skórę nałożnicy, obrysowując linie na dłoni, próbując wywołać z nich dawno zapomniane imię. Nałożnica nie była jej jedyną towarzyszką tego wieczoru – po lewej, przy kotarze, siedział jeden z konsulów Pelikana, którego obecność narzucił jej Umbai ze względów PR-owych. Fumiko nie zwracała na niego uwagi do połowy występu, kiedy usłyszała, że mówi coś przez neuro do nieustalonej trzeciej osoby, ściszonym i konfidencjonalnym tonem. Kiedy zapytała, czy coś jest nie tak, ze zbyt szybkim uśmiechem odparł, że tylko drobna kwestia bezpieczeństwa. Fumiko uśmiechnęła się i wróciła wzrokiem do występu, choć jednocześnie swoim wykonanym na zamówienie neuro wyśledziła rozmowę konsula z Ochroną Gniazda. Dla swych towarzyszy wyglądała na całkowicie skupioną na eliptycznej arii, lecz przed okiem jej rozszerzonego umysłu odbywał się drugi dynamiczny spektakl – neuro przeskakiwało przez dziesiątki różnych okienek, przeczesywało listy przybyłych na stację, aż odkryła chłopca z Umbai V, siedzącego w tej chwili samotnie w tymczasowej celi na trzynastej belce. Zorientowanie się, o co z nim chodzi, nie zajęło długo, może ze dwadzieścia sekund – podobnie uświadomienie sobie, że na kogoś dokładnie takiego czeka od bardzo dawna. Ścisnęła dłońmi poręcze fotela, przeprosiła konsula i blond towarzyszkę, mówiąc im, że jest zmęczona, ale ma nadzieję, że będą się fantastycznie bawić, i wyszła, zanim zdążyli przekonać ją do pozostania; mężczyzna i kobieta popatrzyli na siebie niepewnie nad pustym fotelem pośrodku.

Kiedy Kobieta Tysiąclecia jechała swoim prywatnym tramwajem do głównego korpusu stacji, daleko w dole, w Doku B-3, Baylin szedł, zataczając się, do parkującej Debby; nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego wraca na statek zamiast do podgrzewanego łóżka w Travillionie. To wszystko wina pubu-oranżerii. Zioło poplątało mu zmysły, był zbyt młody i niedoświadczony, żeby poznać, który buch poniesie go poza granicę, póki to się nie stało. Posuwał się po ciemnym statku, stawiając stopy jedna za drugą i myśląc, że to dziwne, że przeżywa czas z dziesięciosekundowym opóźnieniem, bo jego neurony reagują jak zanurzone w melasie, gdy mózg mówi stopie, że ma się podnieść i przesunąć naprzód. Miła zmiana tempa po niepokoju, który czuł przez większość dni, jednak bardzo utrudniająca powrót do koi. W głównym korytarzu potykał się o własne stopy jak małe dziecko. Znalazł wygodne miejsce, na gretingu pomiędzy drzwiami do toalety i do mesy, usiadł, wsłuchał się w ciemność i ciszę. Dziwnie być na statku, który nie leci. To w ogóle jest wtedy statek? Zachichotał, śmiał się, póki nie usłyszał zbliżających się od tyłu kroków. Odwrócił głowę i aż

się zatchnął – górowała nad nim Bogini Cienia, Nelho, ta, która schodzi w głąb nocy, i przeklął sam siebie, że nie wierzył w rodzinne opowieści, nie wierzył siostrze upierającej się, że dawne mity są prawdziwe, póki bogini też się nie roześmiała, a jej łagodna twarz nie wyostrzyła się w bystre oczy i ostre kości policzkowe Nii.

– Jesteś upalony – powiedziała.

– Chyba tak – odparł.

Pomogła mu wstać. Zaprowadziła go do kajuty. Zatrzymał się przed schodkami, bo mimo zapewnień Nii, że są tylko trzy stopnie, dla niego każdy miał dwadzieścia pięć metrów wysokości i wchodziłoby się po nich latami – pokolenia jego potomków umarłyby, zanim ktokolwiek dotarłby do szczytu. I co by tam robili? Wspinaczka była bezcelowa, duma z wysiłku była przeżytkiem z dawnych dni. Kto był pierwszym człowiekiem, który wszedł na górę, i jakiego boga spodziewał się tam spotkać? Jaką prawdę?

Nia przerwała mu spiralną jazdę w poszukiwaniu odpowiedzi, wzdychając i unosząc go jak dziecko. Poniosła go dalej.

– Fajnie – mruknął, czując jej ciepło.

Kiedy zaśmiała się, dla jego zaćmionych zmysłów każdy chichot był jak podwodna detonacja, daleka i dudniąca. Wydało mu się, że rzuciła coś w rodzaju „Nie przyzwyczajaj się", ale nie był pewien. Zamknął oczy uspokojony siłą jej uścisku.

– Wiem, czemu on jest tak w ciebie wpatrzony – wyszeptał.

Nie zapytała, o kim mówi, odpowiedź nie była konieczna, chłopiec był tu wszędzie wokół nich. Zapytała jedynie, czemu tak myśli. Odpowiedział prostą prawdą, którą znał od chwili, gdy poznał swoją panią kapitan.

– Bo jesteś silna.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko dźwięk jej kroków.

A potem mu podziękowała.

Kiedy położyła go na koi, wtopił się w poduszkę z niewyraźną świadomością, że siedzi teraz obok niego. Przycisnął koc do piersi, jakby ktoś chciał go zabrać, narzucić mu go na głowę i przycisnąć, póki jego świat nie stanie się tak ciemny i ciepły jak maszynownia na statku-kolonii jego rodziców – a w tej ciemności coś się nagle zajarzyło. Jakaś liczba. Ważna.

– Trzydzieści tysięcy – wymamrotał. – Nowy graw. Kosztuje trzydzieści tysięcy. – Ponad warstwą koca słyszał powietrze świszczące przez kratki wentylacyjne, poczuł przesunięcie materaca, kiedy Nia wstała. Zadała mu dziwne pytanie. Czy lubi mieszkać na tym statku. Zawsze myślał, że odpowiedź jest oczywista. – Tak… tak… – mruknął, odpływając. – Lubię. – Mrok był ciepły.

– A nazwałbyś go swoim domem?

Nie odpowiedział jej, bo zasnął.

A kiedy młody człowiek spał, Nia skrzywiła się, nie dostawszy odpowiedzi na pytanie, które dręczyło ją od dłuższego czasu. Liczyła, że ktoś tak młody jak Baylin podzieli się z nią swoim punktem widzenia, był jednak na to za bardzo upalony, a podejrzewała, że z rana, kiedy otrzeźwieje, będzie jej zbyt niezręcznie zapytać go drugi raz. Zostawiła go więc z jego snami i z suchym i drapiącym gardłem poszła do kuchni po szklankę wody.

Jej oczy wciąż przystosowywały się do ciemności, gdy Handheld rozświetlił się

i przesłał powiadomienie wprost do jej mózgu:

Imienne zaproszenie dla kapitan Nii Imani BC2890 na Bal pod Baldachimem na cześć Fumiko Nakajimy i Korporacji Umbai.

Impreza rozpoczyna się 14 marca o godz. 23:00 standardowego czasu stacyjnego, na Pokładzie Baldachimowym Stacji Pelikan.

Adres i wskazówki załączamy poniżej.

Prosimy o stosowny strój.

Odsprzedaż i transkodowanie tego zaproszenia będą nielegalne i spowodują natychmiastową deportację ze Stacji Pelikan oraz dalsze kroki dyscyplinarne.

Komisja Przedstawicielska Umbai

***

Kapitanowie dwunastu statków handlowych zebrali się na śniadanie w jadalni Travilliona. Zaproponował to Baruk z Rock on Water, żeby uczcić cztery lata wspólnej podróży, wspólnej, choć spędzonej w izolowanych bąblach Fałdu, a ponieważ Baruk był z nich najstarszy i wiele razy pomagał innym w trudnościach, uznali, że trzeba przyjąć jego zaproszenie, choć woleliby wszystkie inne rozrywki od pielęgnowania jego nostalgii.

Nia dołączyła do nich po bezowocnej wizycie w Ochronie Gniazda. Sekretarka spławiła ją błyskawicznie, mówiąc, że Andetwy nie ma w biurze i że skontaktują się z nią, kiedy osoby decyzyjne w tej sprawie „uznają to za stosowne”. Idąc na spotkanie z innymi, była w parszywym nastroju i miała wielką ochotę na coś ponarzekać. Gdy podano pierwsze danie – perfumowaną zupę, mlecznobiałą z niebieskim wirem pośrodku, smakującą dla Nii jak mleko ze skwaśniałego cycka – wyciągnęła temat zaproszenia, które dostała wczoraj w nocy, i zapytała, czy zamierzają się wybrać, zakładając, że był to kurtuazyjny gest Umbai wobec wszystkich kapitanów; gwałtowna reakcja Torala, kapitana Solusa, jak zawsze wybuchowego, pokazała, że to błędne założenie.

– Żartujesz sobie?! – krzyknął. – Ciebie zaprosili?

– Nie chciałam urazić – odparła. Stanowczo. – Naprawdę nie wiedziałam, że to taka wielka rzecz.

– To zaszczyt – odpowiedział. Jadowicie.

Kapitan Heleny Basho odgarnęła z oczu kasztanową grzywkę i wyjaśniła:

– Z tego, co słyszałam, ze wszystkich imprez w tym tygodniu Bal pod Baldachimem jest najbardziej ekskluzywny.

– Sama stratosfera elit – dodał kapitan Ghost Doga. – Nie poszedłbym nawet, gdyby mnie zaprosili. Zresztą cieszę się, że nie zaprosili. Nie wyobrażam sobie bardziej dusznego miejsca.

– A ja się nie cieszę – warknął Toral, bliski walnięcia pięścią w stół. – Wszyscy wykonaliśmy taką samą pracę, powinniśmy dostać taką samą zapłatę i takie same nagrody. To jest niesprawiedliwe.

Baruk pogładził się po siwej brodzie.

– Przyjacielu, życie jest niesprawiedliwe.

– Zachowaj te mądrości dla pielgrzymów.

Kapitan BGT, którego nazwa nic nie oznaczała, a została wybrana dlatego, że podobał jej się dźwięk tych głosek, nachyliła do nich swą drobną główkę i rzuciła półgłosem:

– Słyszałam, że nawet księcia Primarku nie zaprosili.

– To dlatego, że wypowiedział się przeciwko stacyjnej polityce kontroli języka – uzupełniła kapitan Heleny Basho. – A nie dlatego, że jest za mało ważny, by tam być.

– No, ale jednak go nie zaprosili – upierała się kapitan BGT. Wbiła wzrok w Nię. – A ciebie tak.

Oczy Baruka zaiskrzyły.

– A mnie to nie dziwi. Nia jest świetnym dowódcą.

– A my? – zapytał Toral.

– Toral, to miał być komplement, nie zniewaga. Jeśli mam ci oszczędzić moich uwag, musisz nam oszczędzić swoich uraz.

Na te słowa Toral wstał, omal nie wywracając krzesła gwałtownym ruchem, i wyszedł do toalety.

– Jego załoga to ma pecha – mruknęła kapitan Heleny Basho.

Baruk westchnął.

– Nia, nie przejmuj się nim. Obojętne, jaki był powód tego zaproszenia, jestem przekonany, że na nie zasłużyłaś.

Pozostali kapitanowie zgodzili się z tym, lecz Nia, choć wzruszona, nie była przekonana, że zaproszenie było nagrodą za dobrą pracę. To się kupy nie trzymało, że Umbai wybrał tylko ją jedną, bo jakkolwiek bolesne byłoby zgodzenie się z Toralem, dobrze wiedziała, że wszyscy zrobili dokładnie to samo. Jedyna różnica pomiędzy nią a nimi była taka, że to ona przywiozła korporacji chłopca-rozbitka.

Była przekonana, że to dlatego.

Właśnie wtedy stwierdziła, że jutro wieczorem pójdzie na ten bal. Znajdzie się wśród wielkich i zobaczy, czy uda jej się raz na zawsze uzyskać jakieś odpowiedzi, choć trochę denerwowała ją wzmianka o „stosownym stroju", co praktycznie zawsze oznaczało „niewygodny".

– Tylko uważaj na sobie – ostrzegł ją kapitan Mandoliny. – Ci arystokraci to najpotężniejsi ludzie w Zjednoczonym Kosmosie. Podpadniesz któremuś z nich, a zabiją cię na jakiejś planecie na zadupiu.

– Albo wyrzucą za śluzę któregoś wieczoru.

– Albo wrzucą do szybu windy.

– Albo po prostu strzelą w tył głowy!

To miały być żarty. Nia uświadomiła to sobie, kiedy wszyscy przy stoliku wybuchnęli śmiechem.

Tej nocy chodziła tam i z powrotem po Debby, przestawiała rzeczy, ponownie zmywała naczynia, przecierała płyty w ładowni, nauczona przez ojca, że najlepszym sposobem na uspokojenie jest pogrążenie się w krzątaninie i niedawanie umysłowi okazji do roztrząsania żartobliwych ostrzeżeń kapitanów. Dopiero z rękoma po łokcie w kablach oświetleniowych zaśmiała się sama z siebie, uświadomiwszy sobie, że nie ma pojęcia, który przewód prowadzi do lamp w korytarzu i że na próżno straciła

godziny, próbując to ustalić, bo serce wciąż tłukło się w piersi w wyczekiwaniu na bal, do którego miała jeszcze ponad dwanaście godzin. Z westchnieniem zajęła się ostatnim zadaniem na liście, przesyłając listę zamówień do portowego zaopatrzenia i naprawiając podejrzane grzechotanie w prysznicu w trzeciej toalecie – czyli dokręcając obluzowaną śrubę – a potem zadzwoniła Handheldem do Durata, żeby zapytać, czy jest wieczorem zajęty. Pomyślała o Baylinie, rozmarzonym od fajkowego dymu, i stwierdziła, że właśnie tego jej trzeba, jak za dawnych czasów, kiedy dni jeszcze były tanie. Durat zapytał, gdzie chce się spotkać.

Pub-oranżeria, pełen morskich i pomarańczowych światełek wędrujących po gładkich, wklęsłych ścianach, z kwartetem artystów syntezatorowych świergoczących na małej scenie dla gości palących fajki w licznych dyskretnych niszach. Powietrze było nieświeże i przepełnione cytrusowymi i słodkimi sztucznymi aromatami do fajek. Nia uśmiechnęła się, wchodząc. Uwodzicielski klimat pubu rozluźnił jej napięte mięśnie szyi, zapraszając, by rozsiadła się wygodnie i przypomniała sobie, jak to jest mieć dwadzieścia lat. Durat zarezerwował prywatną lożę z tyłu, z pluszową kanapą, gdzie pomieściłoby się dwanaście osób. Nie zapytała go, ile zdążył już przepuścić z wypłaty. Po prostu usiadła.

– Witam na moim statku, Nia Imani – powiedział, rozkładając ręce wzdłuż grzbietu kanapy. – Dzisiaj nie jesteś kapitanem. Ani nawet załogą. Jesteś moim hołubionym pasażerem. – Uśmiechnął się wszystkimi zębami. – Wystarczy, że pokażesz palcem, i zaraz tam polecimy.

Zamówili piątkę fajek. Pierwszy buch był kwaśną mieszanką jagód i znieczulającej nos granitowej przyprawy, która walnęła Nię jak obuchem. Po pierwszym, drugim, piątym dymku rozluźniła się na poduchach, czując się jednocześnie nieważka i obezwładniona grawitacją, z mięśniami jak ciągutki i bezwładnym uśmiechem, podczas gdy Durat kreślił dłońmi kształt idealnego tyłka należącego do mężczyzny, którego poznał wczoraj wieczorem w Grand Hallu. Zagrali dwie partyjki Skrzydeł Tropików talią zabraną przez Nię ze statku, póki ich umysły nie stały się zbyt rozpływne, by pamiętać, czyj ruch i kto może zagrać trzepot. Gdy fajki były puste, wspięli się po krętych schodkach do klubu piętro wyżej, w pulsujące światła i ruch, w grzmiący rytm, który obrócił w proch resztki zesztywnienia. Nia wychyliła parę luf przy barze, weszła w tłum i zsynchronizowała swoje neuro z klubowym Ruchem, oczy miała teraz zamknięte, a ciało słuchało rozkazów Ruchu, modulowane elektryczne impulsy niosły ją w ciżbę wijących się wspólnie ciał, jak jedna, synchroniczna, pulsująca masa mięśniowa.

Bywały czasy, kiedy umiała zatracić się w Ruchu, odnaleźć pomiędzy pływającymi ciałami i stroboskopami tę neurotoksyczną nirwanę. Jednakże tej nocy, kiedy z głowy wyparowywała jej najlepsza frakcja dymu i oszałamiające wzloty sensoryczne zmieniały się w obrzydliwie mdlące, nie przeżyła żadnego świętego objawienia, do jakich była przyzwyczajona w młodości – był tylko zimny paluch sunący po kręgosłupie, gdy przyglądała się gościom szalejącym na parkiecie, ich rozjarzonej czerwono radości, wiedząc, że takie noce już nie dla niej. W okamgnieniu odpięła się od Ruchu. Chwiejnie ruszyła do baru, odzyskując kontrolę w odrętwiałych mięśniach, uniosła palec, dała sygnał barmanowi, który zaraz przygotował jej coś małego i konkretnego.

Dym z fajki ulatywał, taniec nie działał – rozejrzała się po sali za kimś, z kim można by się przespać. Zobaczyła na obrzeżu samotnego mężczyznę z piwem w dłoniach. Stał, jakby ktoś mu wetknął kij w tyłek. Toral, pomyślała mętnie. Nie wyglądał źle. Szopa ognistych włosów. Mocna szczęka. Mógłby nie mieć tego permanentnego skrzywienia na twarzy, ale i tak był wystarczająco przystojny jak na teraz. Chwyciła drinka i podeszła do niego. Trochę chciała nawrzucać mu za to, że był tak wredny podczas brunchu z kapitanami, lecz kiedy dotarła do jego stolika – a ta podróż, w jej umyśle, trwała wiele godzin – bezczelny zrobił nieśmiałą minę, spuścił wzrok, gdy usiadła, nie pytając o zgodę. Coś wymamrotał, coś niesłyszalnego przez dudniące bębny Ruchu. Krzyknęła, by powtórzył.

– Mówiłem, że chcę przeprosić za to, jak się zachowałem! – odkrzyknął. – Wiem, że nie chciałaś się… obnosić z tym sukcesem. Czasami się zapominam. Pracuję nad tym.

– Przyjęte – odpowiedziała, a kiedy zobaczyła, że poczuł autentyczną ulgę, pomyślała: nada się.

Powędrowała wzrokiem po jego bicepsie, po zarysie mięśni pod koszulą. Przyszło jej do głowy, że ostatnią osobą, z którą spała, był Kaeda, i zastanowiła się, czy aby nie na tym polega problem – że potrzebuje się przespać z kimś, kto nie umrze ze starości, zanim się z nim ponownie zobaczy. Po niezbornej rozmowie o ukończonym cyklu dostaw, po wysłuchaniu niezliczonych zarzutów wobec jego załogi, która, co do jednego, zbyt luźno podchodziła do procedury inwentaryzacji, uciszyła go zaproszeniem do łóżka. Zapytał ją, czy mówi poważnie. Uśmiechnął się, gdy potwierdziła. Wyszli razem z baru i poszli do jego pokoju w Travillionie. Popchnęła go na łóżko, złapała za dłonie i umieściła je na swojej talii. Był dobry, trzeba mu było przyznać. Śmiały i awanturniczy, jak nieliczni mężczyźni. Jednakże mimo przyjemności, którą czuła pod nim, i nad nim, sam akt był jak dym z fajki – przelotny, rozwiewający się, zanim na dobre się zaczął. Dwie godziny później była w tym samym stanie co przedtem, tylko teraz miała obok siebie zasypiającego Torala, mamroczącego coś o abstrakcyjnych rozkoszach, a sama siedziała oparta o wezgłowie i patrzyła, jak minuty zlewają się w godziny. Na pograniczu dnia skrzydła Stacji Pelikan rozwinęły się, przez szklany strop Bulwaru wdarło się światło słoneczne, paski żaluzji poznaczyły jej twarz.

Nie było jej w tym pokoju. Nie było jej na tej stacji. Była na Debby i szła korytarzem. Nasłuchiwała rozlegających się za nią kroków stóp obutych w sandały. Skóry klepiącej to o piętę, to o metal.

Ten dźwięk brzmiał jak pobudka.

W ów poranek na Pelikanie, kiedy obok niej spał kolega kapitan, myślała, że zrobi wszystko, by znów usłyszeć ten dźwięk.

***

Na Bal pod Baldachimem zaproszono dwustu dwudziestu sześciu gości. Planujący imprezę zostali zaskoczeni dopisaniem w ostatniej chwili kapitan Nii Imani, polecenie przyszło jednak z góry, więc nikt go nie kwestionował, dostawiono po prostu

kolejne krzesło do bankietowego stołu. W kuchni panowała krzątanina, pośpieszne przygotowania, gdy szefowie poszczególnych stanowisk pokrzykiwali na swoich podkuchennych o więcej soli i cieńsze plasterki – każde danie było bowiem przygotowywane ręcznie, a nie, jak to zwykle na Pelikanie, automatycznie. Kiedy rozdrabniali słodko pachnące nasiona i piekli z nich dzieła sztuki, a muzycy z orkiestry stroili instrumenty i wiele razy powtarzali repertuar na wieczór, zaproszeni przygotowywali się do imprezy. Nia w swojej kajucie na Debby wkładała sukienkę. Czerwony jedwab spływał strumieniami po jej ciele. Siostra wiązała paski na plecach, powtarzając jej, żeby choć na jedną chwilę przestała się, do cholery, ruszać. Pomimo napiętych relacji pomiędzy nimi cieszyła się, że wpadła pomóc, choć była wyraźnie wyczerpana po nocnej zmianie, siwe włosy rozpuszczone w długie, postrzępione pukle, a pod oczyma worki. Zawiązała ostatni pasek i zrobiła krok w tył, oceniając swoje dzieło z marsem na czole.

– Coś nie tak? – zapytała Nia.

– Sukienka wygląda świetnie – zapewniła ją. – Po prostu się boję, że wystroiliśmy cię dla plutonu egzekucyjnego.

Nia zaśmiała się, ale nie skontrowała. Zdjęła z sukienki parę paprochów i chwyciła za torebkę.

– Według mnie źle robisz – dodała Siostra.

– Wiem.

Siostra nie westchnęła, choć było jasne, że ma ochotę; powstrzymała to, razem z wieloma innymi rzeczami, które według Nii cisnęły jej się na usta.

Na Pokład Baldachimowy nie wolno było wnosić urządzeń do publicznej łączności. Handheldy i inne rozszerzenia neuronowe oddawało się Żółtym Kurtkom pilnującym wejść do wind. Ustawiwszy się w kolejce do windy, Nia zerknęła nieufnie na zebrany za kordonem tłum, oklaskujący idących na bal wybrańców. Była tam i jej załoga, wszyscy oprócz Siostry – Durat i Baylin wychylali się tak daleko za kordon, że Żółte Kurtki odepchnęły ich z powrotem; wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe słowa, zaś stojąca pomiędzy nimi Sonja oddała Nii dyskretny salut z biodra, salut, który odwzajemniła, zanim oddała Handhelda strażnikowi i weszła do kapsuły.

Jechała na górę razem z czterema innymi osobami, arystokracją, jeśli wnosić po ich niemożliwych strojach. Przez całą dziesięciominutową jazdę stała z dala od nich i ich ubrań z ciekłego kryształu, widmowych kształtów i ideogramowych wzorów. Nie była pewna, czy powinna nawiązywać z nimi rozmowę, dopóki jedna z kobiet nie przyjrzała się jej sukience i nie zapytała, jaką korporację reprezentuje; gdy Nia odparła, że nie jest z korporacji, jest kapitanem statku handlowego, uśmiech kobiety przygasł, rzuciła tylko zdawkowe podziękowania za służbę dla Umbai i wróciła do swoich towarzyszy. Kiedy kapsuła ze szmerem stanęła i drzwi rozwarły się spiralnie, odczekała, aż reszta wysiądzie i oddali się na odpowiednią odległość, dopiero wtedy wyszła za nimi, nieznacznie myląc krok na oszałamiający widok Pokładu Baldachimowego.

Jego ogrom aż przytłaczał. Mógł pomieścić z tysiąc gości, a co dopiero obecne na nim teraz starannie dobrane dwie setki; Nia poczuła się klaustrofobicznie mała w tej sali balowej dla elity Zjednoczonych, jakby niezmierzona przestrzeń otaczająca ją ze wszystkich stron miała bezkierunkowy ciężar, z wolna sprasowujący ją na diament,

kiedy szła do nakrytych obrusami stołów pośrodku tej towarzyskiej areny. Za szklaną kopułą ślady silników dalekich statków przecinały czerń kosmosu chemicznie barwnymi smugami, kreśląc misterne wzory, w których po chwili rozpoznała logo rozmaitych korporacji. Zaś pod kopułą, grupki arystokratów i korporacyjnych szych gawędziły sobie pod stadami mechanicznych ptaków – obok Nii przechadzał się paw, rozkładając mosiężno-diamentowe pióra i stukając pazurami o podłogę. Dziecko ubrane w kostium z tysiącem maleńkich czarnych kryształków karmiło ze śmiechem przedrzeźniacza pokruszonymi ciastkami, ptak zaćwierkał i zerwał się do lotu, z powrotem do mechanika, by wyciągnął z niego jedzenie, którego nie ma jak strawić. Jednakże oprócz ptaków-automatów i ludzi ubranych jak abstrakcyjne pojęcia, Nia zauważyła coś jeszcze – różnicę w ciążeniu, słabszym niż w reszcie stacji, choć nieznacznie, tyle, by przy poruszaniu się delikatnie szybować. Plisy jej sukni zafalowały, uniosły się w powietrze i poruszały się jak pod wodą – jak wszystko pod tym baldachimem. Przytłoczona tym usiadła przy jednym z pustych stołów, żeby się rozejrzeć. Przeciętnych członków rodzin królewskich trudno było odróżnić od pracowników Umbai, nie mieli bowiem żadnego standardu stroju, a każdy z nich był bardziej spektakularny i odmienny od poprzedniego. Nie ma jak poznać tego kogoś, kto jest tu dla niej ważny, póki nie wstanie i nie zacznie z kimś rozmawiać. Gdy zastanawiała się, kogo wziąć na cel, jakiś mężczyzna zapytał ją, czy miejsce obok jest zajęte. Wskazała je okrągłym gestem.

– Jak pani służy ta grawitacja, pani kapitan? – zapytał.

Uśmiechał się. Był niższy od większości ludzi w sali, twarz miał przyjemnie okrągłą i gładką, bez zarostu, na czole wydatny wdowi szpic. Ubrany był w konserwatywny czarny garnitur, na sercu miał małą uskrzydloną broszę, a w dłoni serwetkę z małym fioletowym ciasteczkiem, którego zapach był Nii aż nadto znajomy, zważywszy, że przez ostatnie cztery lata kursowała z jego składnikami do stacji i z powrotem. Aromat i związane z nim wspomnienia sprawiły, że odpłynęła myślami do nocy, kiedy wdychała zapach Kaedy, za tym głazem, na tym wzgórzu. Stojący obok mężczyzna patrzył na nią z błyskiem w oczach, bliskim rozbawienia, jakby wiedział w przybliżeniu, w jakie ciepłe miejsce powędrowały jej myśli, choć nie znał dokładnych współrzędnych.

– My się znamy? – zapytała.

– Jeszcze nie. – Odłożył serwetkę, strząsnął z dłoni okruszki dhuby, jednym bezmyślnym gestem odrzucając dziesiątki lat pracy, i wyciągnął rękę na powitanie. Uścisnęła ją trochę zbyt mocno. – Jestem Sartoris Moth, architekt tego przyjęcia. – Rozpromienił się z dumy, wodząc wzrokiem po otoczeniu, jednocześnie pod stołem masował dłoń, którą mu zmiażdżyła. – Co pani sądzi? Ptaki to był mój pomysł. Wydały mi się stosowne, biorąc pod uwagę, jak interesowały p. Nakajimę. – Zerknął na mechanicznego drozda, który wylądował im pod stopami i dziobał upuszczone przez niego fioletowe okruszki. Skończywszy, raz elektrycznie ćwierknął, nefrytowe oko spojrzało na Nię, zanim skrzydła rozpostarły się do lotu. – Pani została wciągnięta na listę gości w ostatniej chwili. Kiedy dowiedziałem się, że nie jest pani kojarzona z żadną korporacją ani arystokratycznym rodem, pobudziło to moją ciekawość i pomyślałem „muszę się wszystkiego o niej dowiedzieć”.

– Wie pan, kto mnie dopisał? – zapytała.

– To pani nie wie? – Oczy mu zaiskrzyły. – O, to dopiero interesujące. Niestety nie mogę powiedzieć.

Było to dość nagłe, acz przyjemne wtrącenie.

Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła pod stołem rąbek obrusu i wtarła weń swój niepokój. Ktoś, kto jest na tej sali, chciał ją tu ściągnąć.

– P. Moth, może mi pan powiedzieć, czego mam się tu spodziewać?

– Proszę mi mówić „Sartoris". – Zajął się z powrotem ciastkiem. Zauważyła, że je jedną ręką, drugą cały czas trzymając w kieszeni. – Po powitalnym poczęstunku i napojach przemówi główna konsul stacji, potem nastąpi siedmiodaniowe entrée, a po nim Fumiko Nakajima zainauguruje Bal pod Baldachimem. I odtąd cały czas będzie odbywało się wiele pomniejszych wydarzeń, wszystkie nieobowiązkowe, ale dostępne, gdyby była pani w nastroju wziąć udział – będą to interaktywne prezentacje życia na różnych Światach Surowcowych. Styl życia tamtejszych ludów, ich stroje, rośliny, które uprawiają w tych jedynych w swoim rodzaju habitatach. Wzbudzi to w ludziach trochę emocji. – Dla przykładu pokazał ciasteczko z dhubą na swojej serwetce. – Gdybym był skłonny do hazardu, obstawiłbym, że zwycięzą pani nasiona. Ich słodycz nie ma sobie równych.

Nia pomyślała, jak dziwnie byłoby patrzeć na aktorów odgrywających zbieranie łodyg dhuby. Miała nadzieję, że nie będzie musiała zostać tak długo, żeby to widzieć. Nachyliła się bliżej do architekta przyjęć.

– Możesz mi powiedzieć coś jeszcze?

Powtórzył jej gest, nachylając się do niej, zadowolony z przybrania tego konspiracyjnego tonu.

– Mogę.

– Czy są tu jacyś przedstawiciele Ochrony Gniazda? – zapytała.

– O, dobre pytanie. – Wskazał grono gości naprzeciwko pod kopułą, a w nim starszego mężczyznę z gęstą siwą brodą i postawą sugerującą nie tylko długą służbę w prywatnej korporacji wojskowej, ale także, że jest to ostatnie miejsce w Zjednoczonym Kosmosie, w którym chciałby się znaleźć. – Komendant straży stacji. Ile to było roboty, przekonać go, by przyszedł. – Sartoris westchnął teatralnie. – Nie udziela się towarzysko, co dziwi mnie niepomiernie, zważywszy na jego status. Jego obecność tutaj to drugie z moich największych dzisiejszych osiągnięć.

– Bardzo przystojny mężczyzna – rzuciła Nia, licząc, że pojmie aluzję.

– Myślisz? – Sartoris wyszczerzył zęby. – No dobrze. Czy mam was sobie przedstawić?

Nia udała nieśmiałości, odegrała powstrzymywanie się od uśmiechu.

– Ja jestem tylko transportowym wyrobnikiem. Raczej nie będzie mną zainteresowany.

– Moja droga pani kapitan – powiedział. – Żyje się tylko raz i trzeba żyć odważnie.

Zauważyła w jego ciemnych oczach ostry błysk, skrytą pod zadęciem odwagę – wyuczoną śmiałość kogoś, kto musiał wywalczyć sobie miejsce przy stole. Polubiła go za to.

– Masz rację – powiedziała, wstając. – Trochę śmiałości.

Klasnął w dłonie jak dziecko.

Kiedy przedostali się przez tłum i Sartoris przedstawił ją komendantowi, a jego roztargnione dotąd spojrzenie wyostrzyło się na dźwięk jej nazwiska, stało się jasne, że on doskonale o niej wie.

– Pani kapitan, gratuluję ukończenia cyklu dostaw dla Umbai – burknął tubalnie. – Świetnie służyła pani naszej korporacji.

– Dziękuję – odparła Nia. – To było parę długich lat. Dobrze będzie przez jakiś czas nigdzie się nie ruszać.

– Państwo wybaczą… – Sartoris cofnął się o krok. – Zdaje się, że ktoś mnie wzywa. Poślę wam kolejne napoje. Miłej rozmowy. – I z mrugnięciem oka zniknął, a Nia została sam na sam z komendantem.

Rzucił jej wąski uśmiech i uniósł wzrok ku przezroczystej kopule. Poszła jego śladem. Horyzont przecinał statek niczym diament na czarnym szkle, podkreślając skrzydlate godło Korporacji Umbai.

– Wiadomo mi, że rozpytywała pani o dziecko, które nam pani przywiozła – powiedział. – Podziwiam pani upór. Ale zapewniam, że nie dzieje się z nim nic takiego, co sobie pani wyobraża. Chłopiec jest w dobrych rękach.

– Po prostu chcę się z nim zobaczyć.

– I już mówiono pani, że nie można. – Spojrzał na nią z góry. – Ile jeszcze razy trzeba odmówić, żeby dała pani spokój?

– Na razie nie wiem.

Skrzywiła się, uznawszy, że głupio dobrała słowa, ale szef straży uśmiechnął się. Uśmiech był jak przemieszczenie płyt tektonicznych, jakby jego twarz nie była przystosowana do takiego wyrazu.

– Imponuje mi, że jakimś cudem udało się pani tutaj dostać, żeby ze mną porozmawiać – powiedział. – To osiągnięcie samo w sobie. Jednak, jak już mówiłem, traci pani czas. Proszę posłuchać rady Sartorisa i cieszyć się tym, co ma pani wokół. – Odstawił pusty kieliszek na stół. – Jeszcze raz mi pani przeszkodzi, a każę panią usunąć.

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i dołączył do innej grupki, która połknęła go natychmiast i wtopiła w rozmowę, plecami do Nii, jasno rysując granicę. Był to przygnębiający moment, pocieszyła się jednak informacją wydobytą ze słów komendanta – że nie zaprosił jej tu Umbai. Uczyniła to jakaś trzecia, dotąd nieznana osoba.

Impreza trwała. Nia rozmawiała z innymi gośćmi, co okazało się bezcelowe. Na początku zawsze byli mili, zainteresowani, dopóki nie przedstawiła się jako krewna nikogo, a oni, widząc, że nie zyskają niczego na tej rozmowie i niczego nie stracą, wzgardzając nią, niemal nieodmiennie uciszali ją pełnym politowania uśmiechem i szli na poszukiwanie bardziej obiecującego łupu. Po czwartym takim odtrąceniu wycofała się do jednego z bufetów, by posilić się kebabem z jednego z wyeksploatowanych Światów Surowcowych, czując się wyczerpana jak nigdy. Jedyną informacją, jaką udało jej się pozyskać, była ta, że ludzie złościli się, że Fumiko Nakajima jeszcze nie przybyła na własny bal. Nie zastanawiała się, czy rzeczywiście traci czas.

Zadzwonił kieliszek, ludzie zebrali się pośrodku sali na orędzie głównej konsul. Przeszła przez tłum w sukni mieniącej się geometrycznymi kształtami, weszła po stopniach na podwyższenie i zaczęła mowę o nieustającej ekspansji Umbai. Dla Nii jej słowa były płaskie i nieinspirujące, choć arystokraci klaskali po każdym zdaniu,

jakby to była nowa ewangelia. Trzymała się skraju tłumu, jednym uchem słuchając przemówienia, gdy jej ramię musnęła czyjaś dłoń.

– Przykro mi, że się nie udało – szepnął Sartoris. – Komendant straży nawet w najlepszych chwilach jest ślepy na nadzwyczajną urodę.

– Starałeś się, jak mogłeś – odparła.

Konsul pokazywał gwiazdy.

– Nie pozwól, by jeden głupiec zmarnował ci wieczór. Powiedz, czego potrzebujesz, a ja się tym zajmę.

Odrzekła, że nic jej nie trzeba, i odeszła. Poszła z powrotem do wind, żeby zebrać myśli. Od obniżonego ciążenia kręciło jej się w głowie, potrzebowała stanąć na twardszym gruncie.

– Powtarzam zatem: dziękuję wam wszystkim za nieustające poparcie i życzę miłego wieczoru! – wykrzykiwała konsul za jej plecami. – Świętujmy razem tysiąc lat postępu!

Tłum wybuchnął owacją, która w uszach czekającej na windę Nii zabrzmiała jak grzmot. Kiedy drzwi rozsunęły się, zrobiła krok w bok, by przepuścić wysiadającą kobietę, ta jednak zatrzymała się i odwróciła do niej.

– A, tu jesteś – powiedziała.

Nia rozpoznała ją dopiero po minucie – twarz Fumiko Nakajimy widziała dotąd tylko w przelocie na reklamach na bulwarze.

Na żywo była o wiele mniejsza, nie tylko wzrostem, ale i aurą, ubrana w opalową bluzkę i czarne spodnie, prosty, profesjonalny strój, niemal komicznie skromny w porównaniu z miejscową arystokracją. Włosy miała czarne, spięte w kucyk zwisający luźno na kark, a w jej twarzy – przeciętnej, z rysami jakby zbyt grubo ciosanymi dla drobnej głowy – tkwiły ciemne oczy wpatrujące się w nią z niesamowitą bystrością. Czekała, aż Nia się odezwie. Przyszło jej do głowy tylko jedno pytanie.

– Po co mnie pani zaprosiła?

Fumiko zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią, po czym pochyliła się i szepnęła jej do ucha:

– Jest w moim lofcie. Nia, wytrzymaj tych debili jeszcze przez parę godzin, a zaprowadzę cię do niego.

I bez słowa zostawiła oszołomioną kapitan statku w sercu tłumu, który oklaskiwał jej wejście i szeptem budował teorie o tym, skąd kapitan małego statku handlowego nagle zna najsławniejszą kobietę na stacji, a później, kiedy skończyły się tańce, czemu wyszły razem we dwie i dokąd. Nawet główna konsul nie znała odpowiedzi i zapytana wzruszyła tylko z rozbawieniem ramionami i odpowiedziała, że trudno jest przewidzieć zachowanie p. Nakajimy.

***

Loft Fumiko znajdował się w połowie szyi stacji. I podobnie jak właścicielka nie imponował wyglądem. Miał mały aneks kuchenny, oddzielony od salonu marmurowym blatem, stamtąd odchodził korytarz prowadzący do gabinetu i jednej jednoosobowej sypialni.

– Jest wzorowany na mieszkaniu ze Starej Ziemi – powiedziała, kreśląc kółko w powietrzu. Po tym geście ze starych głośników przy kanapie popłynęła fortepianowa muzyka. – Siadaj, proszę. Czuj się jak u siebie. Zaraz go przyprowadzę.

Nie usiadła. Gdy Fumiko ruszyła korytarzem, Nia stanęła przy blacie, dla uspokojenia opierając się dłonią o chłodny marmur. Sytuacja wyglądała na niemożliwie szczęśliwy traf, aż zastanawiała się, czy czasem nie śni. W korytarzu rozległy się poruszenia, dźwięk otwieranych drzwi, cichy szmer głosów. Otarła ręką czoło, słysząc kroki na drewnianej podłodze, przygotowując się na możliwość, że Fumiko wróci sama, że cały ten wieczór jest wyrafinowanym żartem zaaranżowanym przez kobietę opętaną władzą. Tak się jednak nie stało. Gdy wróciła, szła za nią blondynka, która z kolei prowadziła chłopca.

Był ubrany w prostą koszulę i bawełniane spodnie. Policzki miał zaróżowione, jakby przed chwilą brał prysznic, a jego wielkie, ciemne oczy, wcześniej wąskie i niepewne, pojaśniały jak słońca, kiedy ją zobaczył. Serce Nii podskoczyło, gdy puścił dłoń jasnowłosej kobiety i podszedł do niej. Położyła mu rękę na ogolonej głowie, potarła meszek kciukiem.

– Jak się cieszę, że cię widzę – szepnęła.

Pociągnął nosem, kiwnął głową.

Spotkanie było krótkie.

– Poproszę do mojego gabinetu – rzuciła Fumiko z korytarza. – Mamy parę spraw do omówienia.

***

Zlecenie, jak wyjaśniła Fumiko zza swojego szklanego biurka, jest proste. Nia ma wziąć chłopca na pokład Debby, zabrać go na pogranicze, poza strefy terytorialne Umbai i jego Zjednoczonych Sojuszników. Kiedy już tam będą, mają czekać na spotkanie z Fumiko w umówionym czasie i miejscu. To, co zechcą robić na pograniczu podczas oczekiwania, jest dla Fumiko nieistotne.

– O ile nie działacie na szkodę chłopca, fizyczną czy psychiczną, możecie robić, co chcecie.

Mają też nie opuszczać rejonów pogranicza. Mogą odwiedzać stacje należące do korporacji mających neutralne lub wrogie stosunki z Umbai, lecz i te co najwyżej na kilka dni, potem muszą się przemieścić, nieważne gdzie, aby tylko byli w ruchu.

– W ramach zabezpieczenia przed ewentualnymi problemami ze strony tych stacji będziesz musiała zostać prawnym opiekunem chłopca. – Fumiko przesunęła umowę po szybie blatu.

Język był zupełnie inny niż w Umbai, zwięzły, z warunkami przedstawionymi otwarcie, bezpośrednio, w formie ponumerowanych punktów.

Jeden: chłopiec nie może zginąć.

Dwa: chłopca nie wolno pozostawić samemu sobie.

Trzy: musi być zwrócony Fumiko w ustalonym miejscu i ustalonym czasie.

Cztery: Fumiko Nakajima ma mieć dostęp do dziennika fałdowań Debby, by móc odpowiednio dostosować własne przeloty.

Pięć: jeśli z jakiegoś powodu trzeba będzie opuścić Debby i będą się fałdować innym statkiem, należy powiadomić Fumiko Nakajimę.

Sześć: natury chłopca nie wolno ujawniać nikomu niezatwierdzonemu przez Fumiko Nakajimę.

– Kluczowy punkt to to, że każde działanie uniemożliwiające spotkanie ze mną w miejscu i czasie, który wskażę, będzie złamaniem umowy – powiedziała Fumiko. – Jeśli złamiesz umowę, naruszysz korporacyjne prawo. Zabiorą ci patent kapitana, nie będziesz miała wstępu na stacje, twoje konta zostaną zamrożone.

Nia odwróciła umowę na drugą stronę, ściągnęła brwi.

– Nigdzie tu nie napisano, jak długo ma trwać to zlecenie.

– Kilka lat, a ile, to zależy od chłopca.

– Jak niby to zależy od chłopca?

Gdy Fumiko wbiła w nią wzrok, uwolniły się wszystkie sprzeciwy wyrażone wcześniej przez Siostrę i straciła wszelką pewność, za kim ona właściwie uganiała się przez cały ten czas i czemu tak żywotnie interesuje się jego przyszłością. Zdumiało ją, że w ogóle rozważa to zlecenie – każde inne podobnie podejrzane zadanie, od dowolnego innego podejrzanego zleceniodawcy, skwitowałaby, odwracając się na pięcie, wychodząc i żyjąc dalej z satysfakcją, że nie była nieodpowiedzialna wobec własnego losu.

– Kim on jest? – zapytała.

– Po podpisaniu umowy. – Wskazała kartkę w dłoniach Nii, jakby chciała to podkreślić. – Teraz wystarczy ci wiedzieć, że chłopiec w żaden sposób nie zagraża tobie ani twojej załodze i że w najlepszym interesie wszystkich jest, by miał miejsce i czas na rozwijanie się poza zasięgiem federacji.

Umowa leżała jej na kolanach jak bryła granitu. Cisnęła ją z uporczywą siłą. Fantazjowała wcześniej, jak by to było wziąć chłopca, wychowywać go na pokładzie Debby, uczyć go życia międzygwiezdnego podróżnika, lecz w tych fantazjach nie było żadnych kruczków, żadnego kontraktu dokładnie wymieniającego konsekwencje, jakie poniesie w razie niewykonania zadania. Dotąd postrzegała chłopca jako okienko na świat poza sobą. Teraz był wyrokiem, karą więzienia.

– Ile mam czasu na decyzję? – zapytała, czując suchość w ustach.

Fumiko zerknęła na zegar z kukułką na ścianie. Elegancka konstrukcja z prawdziwego drewna, o gładkich powierzchniach i sfazowanych krawędziach. Puste tyknięcie każdej mijającej sekundy.

– Niedługo – odpowiedziała. – Maksimum godzinę.

I wyszła z gabinetu, żeby Nia mogła się w spokoju zastanowić.

***

Zegar z kukułką melodyjnie tykał, a miniaturowa skalna fontanna na biurku bulgotała, rozlewając się, a potem zasysając wodę w nieskończonym cyklu. Nia schowała twarz w dłoniach. Jeśli to podpisze, nie będzie odwrotu. Życie, które sobie mozolnie urządziła, skończy się. I choć było często frustrujące i samotne, to jednak jej życie. Po podpisaniu tego papieru będzie uwiązana do losu dziecka, które, jak wiele razy

powtarzała Siostra, jest w istocie obcą osobą.

Był obcą osobą.

Nia krążyła wokół stołu. Zastanawiała się, czy Fumiko nie skłamała, czy chłopiec nie będzie bardzo namacalnym zagrożeniem dla niej i jej załogi. Rozważała możliwość, że może i Fumiko nie skłamała, ale chłopiec dorośnie i stanie się nieznośny na pokładzie, rozwinie się w kogoś, kogo by nie ścierpiała. Kogoś kapryśnego i okrutnego. Samolubnego. Upartego. W tej chwili nie widać było ani śladu tych cech, jednak wszystko jest możliwe – wiedziała z doświadczenia, że ludzie potrafią się zmienić w dowolnego lenia czy potwora. Przede wszystkim jednak bała się, że na koniec umowy, kiedy zadanie zostanie wykonane, obojętne, ile lat to zabierze, spojrzy za siebie i uświadomi sobie, że to wszystko stracony czas. Że chłopiec był tylko odwróceniem uwagi od kolein, w które wpadła przed czterdziestką. Niebezpiecznym, groźnym odwróceniem uwagi.

Wiedziała, co trzeba zrobić. Powinna pójść do Fumiko i odrzucić jej ofertę. Powiedzieć chłopcu, że bardzo jej przykro, ale nie jest w stanie mu pomóc.

Zostawić to i wyjść.

Już ruszyła do drzwi, położyła dłoń na mosiężnej gałce i nagle, jakby światło buchnęło zza odsłoniętych kotar, w jej umyśle wyświetliła się twarz Deborah, przytłaczając ją.

Puściła klamkę.

Już to przerabiałam, uświadomiła sobie.

***

Podpisała umowę. Zrobiła to jednym pośpiesznym zawijasem, bojąc się, że jeśli nie zrobi tego w pośpiechu, to straci do tego serce. Papier zamigotał od nowych danych i znieruchomiał, ustalając także kurs jej życia. Siadła w fotelu i wypuściła powietrze, walcząc z trzęsącymi się dłońmi, gdy drzwi za jej plecami otworzyły się i weszła Fumiko, bez wyrazu, jakby w ogóle jej to nie zdziwiło. Usiadła po drugiej stronie biurka i podziękowała Nii za jej poczucie odpowiedzialności. Powiedziała, że dokonała mądrego wyboru. I że cieszy się z góry na tę współpracę.

A potem opowiedziała jej o przyszłości lotów międzygwiezdnych.

***

Była szósta rano, gdy Nia wezwała ich do siebie. Czekała w mesie Debby, a reszta załogi przez następną godzinę schodziła się na odprawę. Durat był skacowany, szyję miał czerwoną od malinek. Baylin mrugał zaspany. Sonja, czujna, krzywiła się drwiąco jak zawsze, gdy działo się coś dziwnego. A Siostra marszczyła brwi, jakby już domyśliła się powodu tego porannego spotkania i przygotowywała się na najgorsze. Kiedy załoga się rozsiadła, Nia przez chwilę patrzyła na nich wszystkich, kwestionując teraz, czy to rzeczywiście był najlepszy wybór, choć wiedziała, że już nie ma odwrotu. Już zrezygnowała ze wszystkich swoich praw.

– Parę godzin temu podpisałam umowę na kolejne zlecenie dla Debby.

Zapadła cisza. Durat przetarł czerwone oczy. Kiedy się odezwał, głos miał ochrypły od pełnego flegmy gardła:

– Zaraz. To ty nie byłaś na imprezie?

– I na imprezie dostałam zlecenie.

Siostra złożyła ręce na kolanach.

– Jakie zlecenie? – zapytała.

Nie było sensu tego odwlekać. Nia usiadła i powiedziała im, co mogła.

– Fumiko Nakajima zleciła mi wywiezienie chłopca poza korporacyjną sferę Umbai. Przez pewną liczbę lat, maksimum piętnaście, czasu rzeczywistego, mam zapewniać chłopcu bezpieczne środowisko, żeby mógł żyć i dojrzewać. Podczas tego czasu Debby ma się poruszać po niesfederowanym pograniczu, brać zlecenia, jeśli się trafią, póki nie nadejdzie dzień, kiedy ma się spotkać z Fumiko Nakajimą i wypełnić kontrakt. Powtórzę: jest szansa, że to zlecenie będzie trwało piętnaście lat czasu pokładowego. – Uśmiechnęła się słabo. – Jest prawie stuprocentowa szansa, że dobiję pięćdziesiątki, zanim kontrakt się zakończy i będę mogła znowu przybić do stacji federacji. – Przerwała, żeby dotarła do nich pierwsza porcja informacji. Kac Durata wyparował. Baylin zamrugał. A Siostra wytrzeszczyła oczy na Nię, gdy ta ciągnęła. – Za złamanie warunków są poważne kary umowne. Jeśli chłopiec zginie, albo nie dowieziemy go na umówione miejsce spotkania, czeka nas zakaz wstępu na stacje, nasze konta zostaną zamrożone i pozbawią nas patentów. Stracę Debby. Żadne z nas nie będzie mogło już nigdy pracować na statku.

Gdzieś w wentylacji coś pstryknęło, uzdatniacz skończył cykl i zaczął nowy.

– Ile płacą? – zapytała powoli Sonja.

– Dwa miliardy jot za każdą podpisaną umowę.

Nikt nawet nie sapnął. To było dość pieniędzy na trzydzieści lat wakacji. W mesie zapadła cisza, gdy przeliczali w myślach tę ogromną sumę. Siostra zaczęła obgryzać paznokcie.

– Waszą czwórkę najbardziej chciałabym mieć przy sobie – powiedziała Nia. – Jesteście najlepszą załogą, jaką w życiu miałam, i będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli znowu zamustrujecie. Ale… – Tu popatrzyła na nich. – Chcę, żebyście się zgodzili tylko, jeśli jesteście na sto dziesięć procent pewni, że chcecie. Dostaliście dobrą kasę za ostatnie zlecenie. Powinna wam wystarczyć na parę lat wakacji na jakiejś ładnej skałce, a jeśli zechcecie wziąć kolejną robotę, mając moją rekomendację, będziecie mogli przebierać w statkach. Macie różne możliwości. Ja już podpisałam umowę z Fumiko. Ja – i ten statek – nie mamy odwrotu. Ale wy macie. Macie trzy godziny na podjęcie decyzji, czy wchodzicie w to ze mną. – Zabębniła palcami w stół. – To w skrócie tyle.

– To wariactwo – mruknął Baylin.

– Piętnaście lat czasu pokładowego… – Durat pokręcił głową. – Będę mieć czterdzieści pięć, kiedy znów zobaczę Pelikana.

Siostra zapytała, niemal szeptem:

– Nia… kim on jest?

Pytanie było jak wirus. Przedostało się do organizmów pozostałych – zmrużyli oczy i zaczęli kwestionować tożsamość chłopca, pośpiech w zawieraniu umowy, nie-

samowitą wysokość wynagrodzenia po latach latania po pograniczu; czyli po miejscach, do których Siostra nigdy nie zamierzała wracać.

– Czemu zlecenie ma w warunkach rozwój chłopca? – zapytała, a potem dodała ostrzejszym tonem: – Nia, kim on jest?

– Nie mogę powiedzieć. – Nie zamierzała łamać umowy po paru godzinach od podpisania, choć bardzo chciała im powiedzieć, że najprawdopodobniej jest tylko dzieckiem wplątanym w jakąś grę tysiącletniej psychopatki. – Szczegóły poznają wyłącznie ci, którzy podpiszą umowę. Mogę jedynie powiedzieć, że nie jest niebezpieczny, ani fizycznie, ani psychicznie.

Durat stęknął.

– Duża pociecha.

– Robota jest na granicy prawa, ale go nie łamiemy. Mamy po prostu stworzyć mu bąbel dyskrecji w mniej odwiedzanych rejonach galaktyki.

– Niezły eufemizm – rzuciła Siostra. – Mało co nie zginęłam w tych „mniej odwiedzanych rejonach galaktyki", kiedy mój statek trafił szlag i nie było komu odebrać sygnału alarmowego.

Baylin skrzywił się.

– Źle to wszystko brzmi, pani kapitan.

– Wiem – odparła. – Jak już mówiłam, teraz i przy każdym wcześniejszym zleceniu: jeśli jesteście przekonani, że to nie dla was, w tym momencie możemy się rozstać.

– Ale to nie jest takie zwykłe zlecenie – odezwała się Siostra. – Wszystkie były w ramach sfederowanego kosmosu. Podpisywałaś je z korporacjami i legalnymi firmami. Były różne zabezpieczenia. I nie groziło nam wygnanie w razie niepowodzenia. – Podniosła głos. Baylin kiwał głową przy jej słowach. – Przestań udawać, że to coś zwykłego, bo tak nie jest. Rzucasz nam to w twarz z samego rana, coś, co ma milion nieznanych zmiennych, kiedy jesteśmy wyczerpani, obiecujesz wszystko i nic, jakby to był dzień jak co dzień, jakbyśmy byli biurwami w jakimś biurze na Mieście-Planecie. Jakby ten statek nie był naszym domem.

Nia skrzywiła się drwiąco.

– Sama mówiłaś, że ten statek nie jest domem.

Siostra walnęła otwartą dłonią w stół.

– Bo chciałam coś podkreślić! I dalej to twierdzę. Że to nie jest dom, dom dla dziecka, które nie ma tak naprawdę wyboru. Dziecka, które, swoją drogą, ma jakieś specjalne cechy, bo cały czas to sugerujesz, ale nie zaufasz nam na tyle, żeby dać konkrety. Prawda, rozumiem, że podpisałaś klauzulę o poufności, ale pewnie sama też nie masz pojęcia, kim on naprawdę jest. – Policzki jej poczerwieniały. – Mówisz, że nie jest niebezpieczny, ale patrz na tę absurdalną górę kasy. Skąd wiesz, że Nakajima cię nie okłamała? Zanęciła cię tą kwotą, żeby odwrócić uwagę od ważniejszych rzeczy? Jak dla mnie równie dobrze może być eksperymentem naukowym, zje nie takie ciastko i będzie wybuch atomowy. I nie waż się znowu mi zarzucać, że jestem paranoiczką, bo ta sytuacja jest nienormalna.

Nia musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby nie walnąć młotkiem i nie wrzasnąć na Siostrę, że ma się zamknąć i słuchać. Niecierpliwością ich nie zjedna. Zgadzała się nawet z konsensusem, że postawiła ich w niezręcznej sytuacji. Że podpisa-

nie tej umowy jest wbrew wszelkim instynktom samozachowawczym, ale odejście oznacza pożegnanie z czymś, co było mimo wszystko ich domem przez wiele lat służby.

– Macie rację – powiedziała. – Macie absolutną rację.

Siostra zamrugała. A potem, gdy czar utrzymujący napięcie prysł, zapadła się w sobie.

– Nia – jęknęła. – Czemu ty to robisz?

– Bo potrzebuję. – Głos jej się załamał, słowa wyszły niezdarne, wyciurkały jej z ust, pozbawione choćby cienia przekonania. Pod stołem jej dłonie mocowały się ze sobą. Zlecenie było absurdalne, to prawda, lecz to nieistotne. Będzie razem z chłopcem. Musiała sobie przypominać, że tylko tego pragnęła. Tego dziecka. – Ja już podjęłam decyzję – powiedziała. Wstała. – Macie trzy godziny na podjęcie swojej. Jak to zrobicie, przyjdźcie do mojej kabiny.

Wyszła z kuchni, zostawiając za sobą ciszę. Zostawiła właz do kajuty otwarty i siadła przy biurku. Nie wyciągnęła notatnika, nawet nie udawała, że pisze. Po prostu siedziała i czekała, w żołądku kłębiły się wściekłe kwasy, chciał pozbyć się alkoholu, który wypiła pod Baldachimem, co wydawało się, że nastąpiło wieki temu. Klamka zapadła, pomyślała. Nie masz kontroli nad tym, co się teraz stanie.

Baylin przyszedł pierwszy. Stanął pod jej włazem, odpowiedź była oczywista, sądząc po niechęci malującej się na jego twarzy.

– Siostra ma rację – rzekł. – To niesprawiedliwe, co zrobiłaś. To był mój dom. – Wbił wzrok w podłogę, poruszając ustami, obracając w głowie ciężkie myśli. – Jesteś moją pierwszą kapitan. Szkoda, żebyś była ostatnią.

– Szanuję to – odpowiedziała, choć te słowa i tak ją zabolały. – Roześlę twoje statystyki po innych statkach. Helena Basho szuka drugiego mechanika. Zatrudnią cię przed końcem tygodnia.

Kiwnął głową. Jeszcze raz zerknął na wyciągniętą rękę Nii i uścisnął ją z urazą.

Patrzyła, jak jej mechanik odchodzi.

Drugi był Durat. Kac nic a nic mu nie ustąpił; policzki miał żółte, brązowe włosy jak tłusta szopa, spadająca mu na oczy i bez końca odgarniana.

– Kapitan, ja uwielbiam latać – powiedział, postukując stopą jak królik. – I uwielbiam być na stacjach. Jeść w dobrych knajpach, pić.

Kiedy odparła w żartach, że w życiu nie wiedziała, zaśmiał się, lecz nawet to uczynił bez przekonania.

– A wiesz, że lubię też przespać się z kimś ładnym? I być w moim obecnym wieku? – Z jego głosu zniknęły ostatnie ślady wymuszonej jowialności. – I że piętnaście lat z dala od wszystkiego, co lubię, to za długo. Uwielbiam cię, to prawda, ale to za mało, żeby… – Głos uwiązł mu w gardle. Zaśmiał się, odwrócił wzrok, potarł oczy. – Przepraszam. Trudno się to mówi na głos.

– Całkiem nieźle ci idzie – powiedziała.

– Jestem tchórzem – mruknął.

– Nie jesteś.

– Gdybym miał dość odwagi, tobym ci zaufał. – Znów przetarł oczy. – Służyłem u sześciu różnych kapitanów. Niektórzy byli super, jeden był wyjątkowym fiutem. Ale tylko ty mogłabyś mnie być może namówić na taki kontrakt. – Uśmiechnął się,

z czerwonych oczu popłynęła łza, uniósł palec w kierunku Nii. – Jak wrócisz bogatsza o dwa miliardy jot, to mnie odszukaj i wytłumacz, jaki głupi byłem.

Objęli się. Wymazał jej ramię smarkami. Przy każdej innej okazji upomniałaby go, powiedziała, że brudzi jej elegancką bluzkę, a on by jej przypomniał, że nie ma żadnych eleganckich bluzek. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj pozwoliła mu się roztopić.

– Będzie mi cię brakować – szepnął.

I patrzyła, jak jej pilot odchodzi.

Sonja nawet nie wyjaśniła dlaczego, kiedy w przelocie dała do zrozumienia Nii, że w to wchodzi. Po prostu rzuciła:

– Daj znać, jak będziemy odlatywać.

I poszła, a Nia po raz drugi od lądowania zaniemówiła. Miło było dla odmiany usłyszeć coś takiego.

Najtrudniejsze ze spotkań dopiero miało się odbyć.

***

Pielęgniarka przyszła, kiedy trzygodzinny termin prawie minął. Nie weszła przez właz, nie od razu. Najpierw oparła się o nitowaną ramę, zajrzała do środka, wciąż mając na dłoniach szpitalne rękawiczki z nocnego dyżuru. Dłonie na łokciach. Nieobecny wzrok.

– Nie ma o czym gadać, prawda? – zapytała zimnym, trzeźwym głosem. – Gadałyśmy i gadałyśmy. I kłóciłyśmy się. I potem znowu.

Dopiero teraz weszła do środka, omiotła wzrokiem puste szare ściany, gołą podłogę, prostą koję ozdobioną jedną poduszką.

– Moje zdanie na temat twojego pokoju zmieniło się przez lata. Kiedy wzięłaś mnie na statek i pierwszy raz coś tu razem piłyśmy…

– Cydr „Marbury” – przypomniała sobie Nia.

– O właśnie. Trochę za kwaśny jak dla mnie. – Prawie się uśmiechnęła. – W każdym razie tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłam, jak… oszczędnie masz tu urządzone, piękne biurko i nic więcej, pomyślałam: łał, ta to w ogóle nie ma żadnej osobowości. Albo że masz ciężką depresję. Albo że nie znasz pojęcia piękna. Ale potem cię poznałam. – Dotknęła dłonią ściany, jakby jej błogosławiła. – Ty po prostu byłaś skupiona, miałaś to, co potrzebne, biurko do pisania i łóżko do spania. Pomyślałam nawet, że to jest oświecone, jak u tych mędrców, co przysiadają na szczycie góry i kontemplują zmieniające się wiatry.

Nia odwróciła wzrok i tonem z nutą goryczy powiedziała:

– Nie wiedziałam, że tak poetycko o mnie myślisz.

– Banalne i kwieciste, ale tak właśnie myślałam. – Cofnęła dłoń ze ściany, stanęła pod nią zwrócona plecami do Nii. – Ale zmieniłam zdanie. Widzę, jaka jesteś pusta. I ty też to widzisz. Dlatego łapiesz się pierwszej rzeczy, która cię wypełni, nawet jeśli to tylko cień.

– Wiesz co, jednej rzeczy nie będzie mi brakować. Tego ciągłego analizowania mojej duszy.

– Będzie ci brakować – odparła. – Ale jak zawsze u ciebie, zrobisz coś z tym,

kiedy już będzie za późno.

– A co ja teraz robię, jak ci się wydaje? – zapytała Nia. – Prawie mi odebrali tego chłopaka. Powstrzymałam to, zanim było za późno. Podjęłam decyzję, żeby mu pomóc.

– Przez swoją dziecięcą impulsywność dałaś się wodzić za nos.

Nia wstała. W jej żyłach zabuzował ogień. Jeśli to ma być ich ostatnia kłótnia, niech Siostra zapamięta ją do końca życia.

– Przez impuls wyciągnęłam statek z Fałdu na pograniczu i znalazłam twoje wymazane gównem ciało. Przez impuls dałam ci miejsce, w którym mogłaś z powrotem stać się sobą.

– I bez końca będziesz mi o tym przypominać! – krzyknęła Siostra. – Co sekundę. Chwała kapitan Nii Imani za jej nieomylne instynkty. I za dobre serce! Powiedz, ile jeszcze mam grać rolę pokornej i wdzięcznej, żebym mogła ostrzec chłopca, co go czeka? Wiele lat całowania twoich stóp na tym cholernym statku!

– Przypominam ci, bo ty ciągle podważasz każdą moją decyzję. Mówisz, że po to, żebym nie oszukiwała samej siebie, ale przecież nigdy nie chodziło o moje przywództwo. Zawsze chodziło tylko o ciebie. Twoją żałosną potrzebę ważności. Ale ja cię znam. Tchórz. Chowałaś się, a twoja załoga pożerała się nawzajem. I znowu to robisz. Zostawiasz ludzi, którzy będą cię potrzebować w razie trudności.

– Jak śmiesz? – warknęła Siostra. – Tego chcesz? Żebyśmy sobie rzucały w twarz tragediami? O porzuceniu chcesz rozmawiać? O Deborze? Twojej siostrze, co…

– Zamknij, kurwa, mordę.

– Twoja siostra. Trup na ulicy. Przez ciebie. Nikt inny, tylko ty zostawiłaś ją samą w tym zadłużonym po dach domu. Wiesz, nigdy ci nie wierzyłam. Kwękałaś, że nie miałaś wyboru, musiałaś ją zostawić, żeby spłacała długi po ojcu, jakby to nie była i twoja odpowiedzialność, ale ja wiem, że mogłaś znaleźć inny sposób. Jakby ci się, kurwa, tylko trochę chciało. Ale ty to uwielbiasz. Uwielbiasz porzucać. Jaka wolna musiałaś się czuć, pozbywając się miłości do niej. Zostawiając ją na pożarcie finansowym wilkom. Możesz sobie wymalować jej imię na statku, zadedykować swoje męki jej duchowi, ale nie waż się wyrzucać mi porzucania, jakbyś była jakąś bezgrzeszną świętą. Jakbyś robiła to z serca. Ty nie masz serca. Gdybyś miała, nie zaczęłabyś tej obrzydliwej gry. Ale jak tak, to proszę! Ja już zagrałam! To był ten trup, którego chciałaś wyciągnąć?

– Nie! – Nia, trzęsąc się, zatoczyła się w tył, usiadła. Łóżko czknęło pod jej nagłym ciężarem. Przycisnęła dłonie do oczu. – Nie – powtórzyła, ciszej. A potem dodała słowo, które rzadko wypowiadała w swojej dumie i uporze. – Przepraszam.

– Kochałam cię! – zawołała Siostra. – Ale wybrałaś chłopca, nie nas. – Pociągnęła nosem. – Nie mnie.

Nia próbowała rękoma wcisnąć gorące łzy z powrotem do oczu.

– Meena – szepnęła, lecz pielęgniarka nie odpowiedziała. Nie potrzebowała podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że poszła.

Czuła to.

Tę wydartą w powietrzu pustkę.

***

Odchodząca załoga w milczeniu zbierała swoje rzeczy z kabin. Sonja pożyczyła z doków dryfowy wózek, żeby ułatwić taszczenie co większych sprzętów. Nia zadzwoniła do Travilliona i w parę minut pojawiło się czterech bagażowych, by zawieźć rzeczy do hotelu.

Siadła na pochylni Debby i patrzyła, jak się zbierają. Surrealistyczne to było. Przez lata opuszczało ją wielu członków załogi, z wielu powodów, ale zawsze pojedynczo i zawsze po przyjacielsku; były to strony, które rozstawały się, mając pewność, że wszystko jest, jak trzeba. Nia przy każdym zwożonym pochylnią pakunku zastanawiała się nad dokonanym wyborem, powodami, zastanawiając się, czy jej czyn w istocie jest tak bezinteresowny, jak twierdziła, czy też jest po prostu kolejnym wybiegiem napędzanym jakąś mroczną desperacją; i czy to w ogóle istotne. Uniósłszy wzrok, zobaczyła Siostrę mijającą ją z ostatnią walizką, turlającą ją w dół rampy, z kółkami podskakującymi na kratownicy. Stara przyjaciółka przystanęła na dole, ale nie odwróciła się, poprawiła uchwyt dłoni w rękawiczce na rączce walizki i ruszyła do windy, gdzie bez słowa zniknęła, ona i jej sari. Bez pożegnania.

Durat usiadł obok niej.

– Zostanę, póki nie odlecicie – powiedział.

– Nie ma potrzeby – odparła.

Zaśmiał się.

– Wiem. Ale i tak zostanę.

Ścisnęła jego dłoń i tak siedzieli na pochylni Debby, z Sonją stojącą za plecami. Czekali na przybycie nowych członków załogi.

Drzwi windy rozwarły się jak kwiat i wyszła z nich jasnowłosa kobieta z apartamentu Fumiko. Był z nią chłopiec. Wbił wzrok w Nię i statek, z głupim uśmiechem na twarzy. Sam jego widok uspokoił jej rozedrgane serce. Za nim stały dwie Żółte Kurtki i cztery inne osoby – Nia założyła, że to jej nowa załoga.

– Poważnie wyglądają – szepnął Durat, po czym zeskoczył i wziął chłopaka w objęcia.

Blondynka była ubrana w długą, powłóczystą żółtą suknię, skrzącą się jak słońce na wodzie.

– Przykro mi, że nie udało się dogadać z obecną załogą – powiedziała, sprawiając wrażenie, że naprawdę tak myśli.

– Nie ma problemu. – Nia nie miała ochoty rozwijać tematu. Przyjrzała się dwóm Żółtym Kurtkom przy pochylni. – Powinni tu być?

– Ochrona Gniazda ma różne frakcje – wyjaśniła kobieta. – Ci są lojalni wobec Fumiko. Nie musi się pani nimi przejmować. – Na jej skinienie czterech członków załogi podeszło bliżej. – Przedstawiam zastępczą załogę. Pilotka Vaila Jenssen, mechanik Em Reese i technik medyczny Royvan Holywell. Wszyscy są wzorowymi przedstawicielami swoich profesji. Można mieć do nich pełne zaufanie.

Trójka skłoniła się, gdy padały ich nazwiska, Nia jednak już patrzyła poza nich, wciąż czując świeże rany po rozstaniu, niezdolna i niechętna od razu zaprzyjaźniać się ze strupami. Bardziej ciekawił ją czwarty członek grupy, jeszcze nieprzedstawiony, choć jego drobna sylwetka i wdowi szpic wydawały jej się skądinąd bardzo znajome.

– Sartorisa Motha już pani zapewne poznała.

Nia dopiero po chwili przypomniała go sobie z Balu pod Baldachimem. Skłonił się głęboko w swej eleganckiej czarnej marynarce.

– Znów się spotykamy, pani kapitan – powiedział w swoim dyletanckim stylu. – Praca z panią to dla mnie zaszczyt.

– Ja również się cieszę. – Nie rozumiała, po co jej w załodze architekt przyjęć. – Nie wiedziałam, że potrzebuję czwartej osoby.

– Sartoris będzie pełnił rolę przedstawiciela Fumiko – wyjaśniła kobieta. – Jeśli będą jakieś problemy, będzie mógł skontaktować się z nią i wezwać pomoc.

– I naskarżyć, jak będziecie niegrzeczni – dodał Sartoris, puszczając oko.

Kiedy nowa załoga urządzała się na pokładzie, odbyły się ostatnie pożegnania. Durat i Sonja poklepali się po plecach. Z drwiącym uśmiechem mruknęła:

– To na razie, oszukańcu.

Zrewanżował się podziękowaniem za wszystkie pieniądze, które wygrał od niej w karty. Potem ostatni raz uściskał chłopca, odwrócił się do Nii, a kiedy się objęli, uderzyło ją, jakie to dziwne, mieć świadomość, że najprawdopodobniej ostatni raz się dotykają; że parę godzin temu nie przyszło jej do głowy, że on opuści Debby, a teraz wydawało się to nieuniknione, jakby to od zawsze miała być chwila, w której znika z jej świata. Zamrugał.

– Powodzenia, Nia.

Z góry, z kokpitu, widziała, że pomachał, kiedy silniki wystartowały, a jego zastępczyni porozumiewała się kodami z kontrolerem na drugim końcu kanału. Nia podniosła rękę, odmachnęła staremu przyjacielowi. A kiedy ruszył z powrotem do Travillionu, życzyła mu wielu pijanych i owocnych nocy, żałując, że jej też tam nie będzie. Choćby nie wiadomo jak chciała uznać wywody Fumiko za urojenia, musiała przyznać, że jej teoria jest bardzo kusząca – ta wizja chłopca, podróżującego przez galaktykę w sekundę niczym świetlny symbol. Fumiko jakoś to głupio określiła, „jaunting”[3], czy coś takiego, bo tak określił to tajemniczy człowiek z jej opowieści, lecz dla Nii ta moc, o ile istniała, była czymś o wiele większym. Oznaczała koniec pożegnań.

Nowa pilotka uniosła głowę, zerknęła na nią.

– Pani kapitan, wszystko gotowe – powiedziała.

Nia kiwnęła głową.

Chłopiec czekał na nią za włazem. Był ubrany w zawieszoną na jednym ramieniu szatę, tę od Kaedy. Dziwnie się na niego teraz patrzyło, mając wiedzę od Fumiko – świadomość, że za jego pełnym oddania spojrzeniem kryje się cała sieć myśli, cały bank pamięci, do którego ona nie ma dostępu. Zastanawiała się, czy sam zna prawdę o sobie – czy wie, że któregoś dnia, za wiele lat, będzie w stanie pomyśleć o jakimś miejscu i natychmiast się tam znaleźć. Jednakże te myśli szybko uleciały, gdy uśmiechnął się na jej powitanie. To tylko chłopiec, pomyślała. I będzie tu bezpieczny.

Kiedy nowi na pokładzie Debby przygotowywali się do fałdowania, poszła z chłopcem do ładowni pomęczyć Sonję, teraz jedyną osobę na pokładzie, którą oboje znali. Spędzili tam godziny, nużąc weterankę swoim towarzystwem, póki nie przyszła pora obiadowa, a potem kolacyjna i zakończenie długiego dnia, gdy światła w statku stopniowo się wyłączały, a Nia kładła chłopaka spać.

– Jak to dobrze, że jesteś z powrotem – powiedziała.

Okryty kocem po szyję uniósł wzrok. A kiedy światło we włazie wyłączyło się i otuliło ich czernią, straciła go z oczu – słyszała tylko jego delikatny oddech oraz chrypkę w głosie, kiedy wyszeptał:

– Dobranoc.

***

– Wiele, wiele lat temu spotkałam człowieka, który twierdził, że zrobił Jaunting z Cieśnin Węzłowych na pograniczu do Stacji Grammaton, nie postawiwszy stopy na pokładzie żadnego statku. Kiedy chwycił mnie za rękę i powiedział mi o tym, czuć go było alkoholem – mogłam go kazać za to rozstrzelać, ale bardziej mnie interesowało patrzenie, jak sam się kompromituje. Więc słuchałam i powiedziałam: „No dobrze, skoro masz taką moc, to ją pokaż. Pokaż mi, jak przebyłeś dziesięciolecia między gwiazdami na własnych stopach". A on skrzywił się drwiąco i zniknął. W miejscu, gdzie stał, na ziemi zostały dym i popiół. Powietrze było wilgotne, falowało. Kapitan Imani, ja niewielu rzeczy żałuję, ale do tej pory ubolewam, że nie zapytałam, jak się nazywa, czy o to, jak go znaleźć, kiedy zniknie. Stałam dwa metry od przyszłości i dałam jej przeciec przez palce. Potem już miałam oczy cały czas otwarte. Ja długo żyję. Niewiele jest rzeczy, do których nie mam dostępu. Jedno mrugnięcie okiem i mam w rękach demografię planet, plotki krążące wśród ludzi, ich sekrety, wszystko. Widzę tę mozaikę w całości. Niewyjaśnione zniknięcia. Ludzie, którzy znikają, jakby dokonali samozapłonu. Samotni ocaleni z kraterów po rozbitych statkach. Nagie ciała, nieuszkodzone przez pożar, wędrujące bez pamięci i znikające znów, nie zostawiając śladu. Jeśli wiedzieć, gdzie patrzeć, jest w tym prawidłowość. Myślę, że chłopiec z Umbai V jest jednym z nich, kolejnym krokiem w mutacji przybliżającej nas do naszego galaktycznego przeznaczenia. – Urwała z pojawiającym się stopniowo podstępnym uśmiechem. – A ty sądzisz, że straciłam rozum.

Nia miała minę kobiety, która sobie uświadomiła, że rozmawia z urojeniami… Fumiko uznała za bardzo atrakcyjne to, jak szybko się opanowała.

– To dużo jak na jeden raz – powiedziała ostrożnie.

– To prawda. I możliwe też, że mogę się mylić – przyznała Fumiko. – Ale drugi raz nie mogę przepuścić takiej szansy. Nie przy takiej stawce.

Kapitan kiwnęła głową. Plecy miała proste, jakby fotel, na którym siedziała, był z igieł.

– Dlaczego ja? – zapytała.

Przewidywalne pytanie. Fumiko poruszyła ramionami.

– Z kilku powodów. Po pierwsze… – powiedziała, zawieszając palec w powietrzu – …dzisiejsza technologia nie potrafi wykryć zjawiska, na którym opiera się moc chłopca. Opracowanie tej technologii zajęłoby czas, zbyt wiele czasu, to zbyt duże ryzyko.

– Ryzyko?

– Umbai. Już od jakiegoś czasu przyglądają się moim fakultatywnym projektom i wolałabym, żeby o tym akurat się nie dowiedzieli. Nie potrafią zająć się czymś dobrym, żeby tego nie zepsuć. – Uśmiechnęła się. – Trzeba, żeby chłopiec był daleko

stąd i daleko ode mnie, dopóki nie tylko nie opracujemy narzędzi, by go badać, ale też nie upewnimy się, że to jego szukałam. Ty masz statek. Masz doświadczenie w lotach po pograniczu. A z dostępnych danych wnioskuję też, że kalkulujesz i podejmujesz przemyślane decyzje. I tak oto dochodzimy do drugiego powodu… – drugi palec, znak zwycięstwa – …że, poza twoimi umiejętnościami, jest oczywiste, że chłopiec jest do ciebie przywiązany. We wszystkich studiach przypadków, które badałam przez dziesiątki lat, wszystkich hipotetycznych Jauntingowców łączy to, że nigdy nie wracają. Jak raz pójdą, to już ich nie ma. Dym i popiół, nic więcej. Jeśli chłopiec ma tę zdolność, nie mogę zagwarantować jego ciągłej obecności, chyba że wprowadziwszy go w śpiączkę, a tego wolałabym dziecku nie robić, jeśli to nie jest konieczne. Dlatego lepiej niech będzie z tobą – będzie miał powód, by zostać, i powód, by wrócić, jeśli któregoś dnia zniknie.

– Zniknie – powtórzyła kapitan. W jej minie widać było odrobinę bólu. Dokładnie taką minę przybierała sama Fumiko, kiedy musiała znosić nietrzymające się kupy bredzenie jakiegoś nieszczęśnika.

Fumiko owładnął ból głowy. Był zawsze obecny – tępe i uporczywe pulsowanie jako skutek długich okresów zimnego snu, do kompletu z lukami w pamięci, dawno zapomnianymi imionami. Tak łatwo byłoby po prostu odmówić jej wyjaśniania czegokolwiek, jednak z jakiegoś powodu chciała, żeby kapitan ją zrozumiała. Może dlatego, że w jej aktach zobaczyła bratnią duszę.

– Jestem świadoma możliwości, że to, co widziałam, nie było prawdziwe – powiedziała. – I rozumiem, że badania, które prowadziłam przez setki lat, mogą być tylko pustym gestem w stronę błędu potwierdzenia. Ale musisz zrozumieć jedno: wysyłając cię na pogranicze z chłopcem, ja nie mam nic do stracenia, a wszystko do wygrania, jeśli okaże się, że mam rację. To, czy wierzysz mi lub moim oczom, jest nieistotne. To, czy masz mnie za psychotyczkę, jest nieistotne. Jesteś uczestniczką projektu i pomożesz mi wyzerować odległości między gwiazdami.

Nia wpatrzyła się w nią. Fumiko tak się zdumiała jej następnymi słowami, że straciła wątek – słowami znikąd, wypowiedzianymi z dużą pewnością, jakby ten fakt był czymś leżącym na stole, obok małej nieskończonej fontanny.

– Pani kogoś straciła – powiedziała.

Te słowa tkwiły w głowie Fumiko, gdy czekała, aż jej nałożnica wróci do domu z wieściami o pomyślnym starcie Debby. Siedziała przy marmurowym blacie, przesuwając palcem po dolnej wardze, zastanawiając się, co miała takiego w twarzy, że kapitan przyszło do głowy akurat to, gdy do drzwi zapukała nałożnica i potwierdziła, że chłopiec jest już poza stacją. Odłożyła to zagadnienie na półkę i zabrała się do pracy; powiadomiła prywatny statek czekający w jej zarezerwowanym doku na Pelikanie, by był gotowy do startu za godzinę. Poszła do sypialni, spakowała potrzebne na wyjazd rzeczy – proste bluzki, cztery kostiumy, które lubiła, a ludzie często komentowali ich wspaniale archaiczny krój, choć dla niej był to po prostu normalny strój roboczy. Kiedy się pakowała, nałożnica czekała przy drzwiach, z dłońmi splecionymi za plecami, cierpliwa i dyskretna. Fumiko zatrzasnęła walizkę, a wychodząc, zatrzymała się przed kobietą.

– Dziękuję ci za twoje towarzystwo – powiedziała i pocałowała ją mocno w usta.

Nałożnica wydała cichy jęk, Fumiko poczuła jednak tylko dogasający ognik;

gdzieś w ruinach jej pamięci kryło się imię kobiety, którą niegdyś kochała, choć zatarte teraz przez lata spędzone w zimnym śnie. Sama nawet nie wiedziała dlaczego, kiedy przybywała na Stację Pelikan, na cały pobyt wynajmowała sobie nałożnicę – i dlaczego kazała im farbować sobie oczy na fioletowo, a włosy na blond, mieć je lekko rozwichrzone, ani dlaczego miały uśmiechać się, jakby błogosławiły. Jedyne, co wiedziała, to to, że przebywając z tymi niedoskonałymi namiastkami, czuła wyraźną ulgę, jakby wreszcie wróciła do domu po długim pracowitym dniu.

„Pani kogoś straciła".

– Z przyjemnością pani służyłam – powiedziała nałożnica.

Fumiko przelała jej wynagrodzenie, co wywołało uśmiech wdzięczności, lecz kiedy kobieta nachyliła się do następnego pocałunku, wyminęła ją i wyszła z mieszkania. Oparła się o poręcz w windzie sunącej w dół wzdłuż szyi Pelikana. Pomyślała o pijanym mężczyźnie, który zniknął na jej oczach. Jakie to było niespodziewane. Jakie piękno objawiło się w paskudnym człowieku nagle demonstrującym jej coś niemożliwego. Jak pelikan-inwalida, suszący skrzydła w sztucznym słońcu. Pociągnęła nosem, patrząc przez wypukłe okno windy na przesuwające się skrzydła Gracilius i Schreiberi, oraz na główny bulwar, biegnący grzbietem jej ptaka, jak rzeka pomiędzy równoległościennymi górami; na drobne abstrakcje ludzi świętujących ten wieczór.

Oto był jej pelikan.

Tu się znalazł.

Gdy winda opadała dalej, zacisnęła zęby.

Nic z tego nie było prawdziwe.

Pilot i załoga powitali ją na pokładzie szkunera. Mężczyzna wziął jej walizkę, kobieta płaszcz. Fumiko podziękowała obojgu za ciężką pracę i za przyszłą pracę dla niej, a oni z iskrą w oku zapewnili ją, że jej nie zawiodą, na co kiwnęła głową i poprosiła o przygotowanie komory zimnostatycznej.

Jednakże w chwili, kiedy przegubowe wieko komory zamknęło się nad nią i otuliło ją, nagle pomyślała o edamame – miseczce sojowych strączków, oprószonych solą morską, na marmurowym blacie.

Skrzywiła się. Te wizje nawiedzały ją w najmniej spodziewanych chwilach, obrazami pozbawionymi czasu i kontekstu, prześlizgującymi się przez luki w zimnym śnie, by dręczyć ją przeszłością, której nie pamiętała. Paski mięsa w sosie curry, łódź na kanale. Tysiąc mrugających oczu. Zacisnęła powieki i wysiłkiem woli odepchnęła te wizje, cisnęła miseczkę w ciemności, a curry do wody, i unieruchomiła mrugnięcia, póki tłum nie stał się bezoki i bezgłośny. Temperatura opadła, po jej skórze przeszły elektrostatyczne iskierki. Przygotowała się do długiego snu. Uznała, że znalazła spokój. Jednakże zanim zamarzła, nawiedziła ją jeszcze jedna wizja – i zdumiała się własnym wzruszeniem, łzą zamarzającą w kryształek na policzku, na widok sylwetki kobiety siedzącej na ławce na odległym nabrzeżu i czekającej na nią.

Część II

5.

Wąskie gardło

Fałd buzował celowością. Debby ruszyła Prądem Ospałym, z rozłożonymi żaglami świetlnymi, pchana leniwym, zgodnym z nazwą, nurtem. Był to pierwszy prawdziwy dzień rejsu. Załoga krzątała się, przystosowując się do nowego miejsca, do nowej sytuacji, zajęta tą trudną adaptacją; a najbardziej z nich pewien mężczyzna w średnim wieku, zamknięty w kabinie, z grubą warstwą potu na czole, piszący coś w starym dzienniku, który spakował w wielkim pośpiechu razem z najcenniejszymi przedmiotami ze swego mieszkania, otrzymawszy od p. Nakajimy nowe zadanie.

Nowe, bardzo długotrwałe zadanie.

Prąd Ospały

Dzień 1

Zaczęła się podróż, owa wielka przygoda, a ja leżę w łóżku i umieram.

Przeleżałem na wznak większość dnia, dochodząc do siebie po fałdowaniu. Dobry doktor Royvan poinformował mnie, że ludzie w pewnym wieku są bardziej podatni na te objawy – mdłości, bóle głowy, nerwowe skurcze, zimne poty, itd.

Z jaśniejszej strony miałem więc okazję dobrze zapoznać się z moją kabiną – nieco małą, nie większą niż tani pokój w hostelu z dolnych poziomów. Jest tu dość miejsca, by móc krążyć, kreśląc małe koło pomiędzy włazem, biurkiem z lampką i twardą pryczą. Metalowa ściana przy łóżku dość niepokojąco ugina się, gdy statek trafia na turbulencje prądu, miotana siłami Fałdu grozi, że zmiażdży mnie we śnie. Jest tu też zimniej, niżby mi odpowiadało, lecz niestety Debby ma centralne sterowanie temperaturą. Żadnej regulacji klimatu dla wygody poszczególnych osób.

Jest dla mnie wielkim zaszczytem, że zostałem wybrany do tej misji, jednak już tęsknię za moim apartamentem w Skrzydle Gracilius. Mile wspominam czasy, gdy wspólnie z dobrymi przyjaciółmi popijaliśmy na balkonie, patrząc z góry na Pani dzieło. Będę czule hołubił te wspomnienia, a teraz wczołguję się z powrotem do łóżka, z nadzieją, że jutro będę zdrowszy.

Dzień 2

Dzisiejszego ranka czuję się minimalnie lepiej, choć drętwienie prawej stopy nie ustępuje. Śniadanie było skąpe. Makaron białkowy z brązowym lub żółtym sosem do wyboru. Ponieważ zbudziłem się nieco później niż inni, spożywałem go sam, mając do towarzystwa tylko odgłosy uruchomionej zmywarki.

Podobno wiele mnie ominęło przez wczorajszą niedyspozycję. W ramach spóźnio-

nego wprowadzenia pani kapitan odbyła spotkanie w cztery oczy z każdym nowym członkiem załogi, a na koniec dnia zarządziła wspólny posiłek, przygotowany ze świeżych składników z zimnostatycznego magazynu. Usta wypełniły mi się śliną, gdy dobry doktor Royvan po moim śniadaniu złożonym z mdłego makaronu opisał mi pstrąga na parze.

Resztę dnia poświęciłem na zapoznawanie się z całością statku, jednocześnie obserwując, jak dogadują się starzy i nowi członkowie załogi. Interakcje są uprzejme, profesjonalne i sztywne. Należało się tego spodziewać. Nie znamy się nawzajem, łączy nas jedynie Pani. Aczkolwiek napawa mnie otuchą, że jest z nami Vaila. Dobrze było ją znów zobaczyć podczas odprawy na Pelikanie. Tyle lat minęło, odkąd pracowaliśmy razem. I z wzajemnością, choć ona była – i nadal jest – ponuro nastawiona do całego przedsięwzięcia. Co zrozumiałe. Nie może się doczekać, kiedy znów znajdzie się u Pani boku.

Jedyną osobą, której ta polityka nie dotyczy, jest chłopiec. Zgodnie z tym, co mi mówiono, jest dziwny. Drobny, cichy, ma osobliwy sposób poruszania się, jakby miał ruchy przećwiczone przed wejściem przez drzwi i szedł już optymalną ścieżką. Większość czasu spędza z panią kapitan, są wtedy skupieni wyłącznie na sobie, albo z najemniczką Sonją w ładowni. Nowa załoga unika jego wzroku. Zachowują się dziwnie, kiedy jest w tym samym pomieszczeniu, zerkają na niego, ale rozmawiają ze sobą, jakby go nie było. To dopiero drugi dzień, nie ma więc na razie powodu do niepokoju, trzeba jednak mieć na uwadze integrację załogi. Chętnie się dowiem, jak pani kapitan planuje stopniowe wprowadzenie nas, ciał obcych, w codzienne funkcjonowanie statku.

Dzień 3

Natknąłem się na chłopca w korytarzu. Był sam, nad jego ramieniem nie wisiała ani Sonja, ani pani kapitan. Okazja, by zaczepić go i się zaprzyjaźnić. Przystanąłem, uśmiechnąłem się szeroko, przywitałem się. Zdaje się, że biedaka wystraszyłem. Wydawał się niepewny, jak zareagować, skłonił się tylko nieznacznie i pobiegł pod właz kapitańskiej kabiny. Kiedy dziecko przed tobą ucieka, jak nigdy czujesz się potworem.

Nie on jeden mnie unika. Pozostali członkowie załogi, zarówno starzy, jak i nowi, opuszczają pomieszczenia, kiedy wchodzę – uprzejmie i z tysiącem wymówek, ale w sposób oczywisty i nieelegancki. Nie jest to zaskakujące. Wręcz spodziewane. Jestem w końcu Pani uszami i oczyma. To naturalne, że obawiają się skompromitować w mojej obecności, choćby przypadkowo, przez niekontrolowane uwagi czy zdania, które ktoś o wiele mniej wyrozumiały ode mnie mógłby uznać za zdradę.

To naprawdę samotne miejsce.

Dzisiejszą kolację stanowił podgrzany kleik ze słonymi dodatkami. Posypałem go przyprawami, by wzbudził choć odrobinę apetytu. Wciąż ubolewam, że ominął mnie pstrąg, i jestem trochę zły, że nikomu nie przyszło do głowy zachować trochę dla mnie. Próbowałem nawiązać rozmowę z Emem, mechanikiem, który już siedział przy stole, gdy przyszedłem, ale odpowiadał mi tylko monosylabami, szybko się mną znudził, zabrał miskę i poszedł.

Mogę dopisać go do listy.

Dzień 4

Na handlowym statku transportowym ktoś taki jak ja nie ma zbyt dużo do roboty, może się tylko włóczyć, a nie ma za wiele miejsc do włóczęgi na statku tej wielkości. Przejście go od końca do końca normalnym krokiem zajmuje mi około czterech minut. Wydaje mi się, że całą długość głównego korytarza przeszedłem jak dotąd około pięćdziesięciu razy, a każde kolejne przejście było mniej interesujące od poprzedniego, jedyne nowe szczegóły to te, które budzą lekki lęk, gdy coraz bardziej uświadamiam sobie, ile ten statek ma lat.

Ciekawe, że nie wyprawiła nas Pani nowszym modelem statku, choć rozumiem ten tok rozumowania, chciała Pani pozwolić kapitan zachować to, co dobrze zna.

Jednakże nie da się pominąć faktu, że Debby to chaotyczna zbieranina przestarzałych części. Kuchnia dalej opiera się na dawnej formie zimnostatyki, w której żywność wytrzymuje ledwo parę miesięcy, nim zaczyna się psuć. Pralnia próżniowa nadaje ubraniom metaliczny zapach. Włazy boleśnie stękają przy otwieraniu. Temperatura wody w prysznicu przeskakuje losowo między zimną a gorącą. Często ciepłej wody w ogóle nie ma. W ścianach coś ciągle grzechocze, być może obluzowana śruba, która zaraz wyrwie się z gwintu i cały ten domek z kart się zawali. I jeszcze ten napęd. Wciąż czuję resztki mdłości z naszego pierwszego Fałdu – i nadal mrowi mnie w prawej stopie! Według Vaili nowsze modele napędów mają to poprawione i nie wywołują mdłości przy przejściu. Ze wszystkiego, co należy wymienić, przecież właśnie to powinno być dla pani kapitan priorytetem! Jednak nie. Gdy zapytałem, czemu tego nie zmodernizowała, uniosła brwi. Chwilę milczała, a potem odpowiedziała coś lakonicznie o wydatkach i czasie, wracając do spisu towarów. Wydaje się, że niezbyt dobrze toleruje krytykę swojego zarządzania statkiem, choćby i ta krytyka płynęła z dobrych intencji. W przyszłości będę bardziej taktowny, poruszając ten temat. Jeśli dobrze pamiętam z jej akt, statek nazwała na cześć siostry. A mówiąc o zmarłych, trzeba starannie dobierać słowa.

Dzień 5

Rozmawiałem dziś z jedyną osobą, która chce ze mną zamienić więcej niż parę słów. Vaila jest inna, niż kiedy ostatnio współpracowaliśmy. Nie wiedziałem, że potrafi mieć taki ponury humor. I tak rozproszone myśli. Mówi o tym zleceniu tak, jakby każdego dnia mógł się przydarzyć powrót, przekonana, że piętnastoletnia umowa była po prostu testem lojalności z naszej strony, z Pani strony – i że odwoła nas Pani, zanim wlecimy na rubieże. Nie utwierdzam jej w tym przekonaniu, ale i go nie kwestionuję. Z doświadczenia wiem, że najlepiej, by każdy doszedł do prawdy na własnych warunkach. Grałem więc rolę szczerego słuchacza i obserwowałem, jak ręcznie obraca żagle radiacyjne, by złapały nadciągającą falę. Niech sobie wierzy w to, co musi, jeśli pomaga jej to w pracy.

Dzień 7

Dziś rano prawą stopę znów miałem trochę odrętwiałą, zdecydowałem więc, że pójdę do izby chorych i zasięgnę rady dobrego doktora. Odbyliśmy przyjemną rozmowę, współczując sobie nawzajem nudy długich lotów, najciekawsze było jednak to, czym się podzielił przed odejściem – mianowicie, że w drugą noc rejsu, gdy ja,

chory, źle spałem, poszedł napić się wody do kuchni, a mijając po drodze kajutę kapitan, usłyszał dobiegające zza włazu stłumione głosy. Jeden rozpoznał, to był jej głos, drugiego natomiast nigdy dotąd nie słyszał. Ani potem. Głos ów zatracił wiele szczegółów, przechodząc przez metalowe ściany, Royvan był jednak pewien jednego – to był głos dziecka.

Dzień 9

Gdyby nie Royvan, myślę, że nie zauważyłbym pewnej osobliwości ostatnich paru dni, mianowicie, że niedługo po kolacji pani kapitan i chłopiec zaszywają się w jej kajucie i zamykają drzwi. Robią to regularnie, jakby to było umówione spotkanie, a przez tę godzinę najemniczka chodzi tam i z powrotem głównym korytarzem, luźnym krokiem, choć wzrok ma czujny; wcześniej sądziłem, że to po prostu wieczorny spacer dla zdrowia, teraz, przez podejrzliwie zmrużone oczy, zaczyna mi to wyglądać na patrol.

Popełniłem błąd, dzieląc się z rana tymi spostrzeżeniami z Vailą. Pilotka i tak już była niezadowolona z tego zlecenia, obawiam się więc, że moja sugestia, że coś jest nie tak, padła na podatny grunt, błyskawicznie rozpalając wysuszone jak chrust spiskowe podejrzenia. Zaraz sama siebie przekonała, że pani kapitan jest złoczyńcą, że jakimś cudem Panią oszukała i całe to przedsięwzięcie jest monstrualną intrygą jej autorstwa, albo w roli informatorki Bezpieczeństwa Sojuszu, albo w roli pospolitej oszustki żądnej wielkich pieniędzy. W parę minut uplotła tę zaimprowizowaną koncepcję i sama w nią w stu procentach uwierzyła. Zebrała Royvana i Ema, nasza czwórka miała spotkać się w jej kajucie i wymienić się wszystkim, co do tej pory widzieliśmy na statku. Nie był to przemyślany ruch – już wtedy to wiedziałem, a teraz jestem jeszcze bardziej przekonany. Wszyscy znikamy na dwadzieścia minut, żeby porozmawiać w kabinie Vaili – to musiało przyciągnąć uwagę kapitan, najemniczki czy chłopaka. Reszta jednak uparła się na rozmowę w miejscu prywatnym, nie mogłem im tego wyperswadować, a czułem, że powinienem być z nimi, po to, by utemperować ich szalone teorie i podejrzenia, jak i, szczerze mówiąc, skrycie pielęgnować własne.

Czy to dziecko przez cały czas umiało mówić? Dlaczego kapitan to przed nami ukryła? Dlaczego najemniczka codziennie przez godzinę po kolacji stacjonuje pod jej drzwiami? I dlaczego, jeśli wierzyć Mechanikowi Emowi, chłopiec w nocy samotnie chodzi po statku? Dokąd chodzi i po co? Czy on już potrafi robić Jaunting?

Dzień 10

Złowieszcze milczenie. Korytarze są ciche jak chwilę przed rozpoczęciem kazania. Wszyscy zaszyli się u siebie. Mięśnie spięte, oczy czujne i nieufne. Ja jestem w swoim pokoju, gdzie przebywałem przez większość dnia, próbując pocieszyć umysł starymi materiałami rozrywkowymi, które noszę zapisane na Data-D. Nie udało się to. Co chwila odrywał mnie od nich dźwięk dochodzący z otworów wentylacyjnych pod sufitem. Nawet teraz go słyszę. Jak grzechot kamyków w puszce. Palce mi drgają niespokojnie, chcąc wyrwać kratkę i przyjrzeć się źródłu irytacji.

Godzinę wcześniej nastąpiła nerwowa wymiana zdań między Vailą i kapitan w kwestii naszych przyszłych planów. Wyglądało to prawie jak odgrywanie ról przez

nie obie. Jak Pani zapewne wie, pierwotny plan, kurs, który opracowała Vaila przed wylotem z Pelikana, miał prowadzić bezpośrednio z Brana-Nerudy do świata przeładunkowego Fujimoto-Set – jak słyszałem, ze światów pogranicza najbardziej przypomina Sojusz, dzięki bliskości granicy. Leży także na Szlaku Handlowym Sullivana, co znaczy, że będzie miał niezbędne zasoby, gdybyśmy potrzebowali poważnych napraw czy zabiegów medycznych. Ale znaczy to także, że ma ścisłe powiązania z wieloma firmami Sojuszu, w tym z Umbai. W Strumieniu krążyły plotki, że będzie to kolejny świat Pogranicza wchłonięty przez korporacje i zamieniony w Miasto-Planetę.

Kapitan stwierdziła, że ten kurs jest nie do przyjęcia. Po Branie-Nerudzie mamy okrążyć Fujimoto-Set i popłynąć Surowym Prądem do Czarnego Kamienia Drannon. Czyli dalej i wzdłuż mniej uczęszczanego szlaku handlowego. Niewiele o tym miejscu słyszałem, kapitan twierdzi jednak, że tam była; jest pewna, że uda nam się przemknąć niepostrzeżenie w cieniu jego ostrej krawędzi. Vaila ripostowała, że mamy trzymać się planu zatwierdzonego przez Panią. Umilkła jednak, gdy kapitan przypomniała, stanowczym i nieustępliwym tonem, że zgodnie z warunkami kontraktu wystarcza jej decyzja.

Pilotka uśmiechnęła się, mocno protekcjonalnie, i powiedziała, że oczywiście, mimo wielu zastrzeżeń, wykona polecenia swojej kapitan. Zastałem ją w kokpicie. Powiedziałem, że rozumiem jej obawy, ale w naszym najlepszym interesie jest nie nadwerężać cierpliwości dowództwa.

– Nasze dowództwo nie jest na tym statku – odparła i odwróciła się z fotelem ode mnie.

Zrozumiałem i zostawiłem ją z jej milczeniem. Podejście do stacji Bran-Neruda za cztery dni. Zbliża się koniec tego męczącego prologu i początek pierwszego rozdziału naszej długiej podróży. Jestem sceptyczny, czy w ogóle uda nam się aż tak daleko dotrzeć.

Na śniadanie była jakaś gotowana bulwa.

Dzień 13

Dziś wieczorem właz do kajuty pani kapitan był uchylony – nie na tyle, by móc zajrzeć, jedynie, by słyszeć. Głos miała ściszony. Mówiła do chłopca, zdaje się, że o czymś ważnym. Zatrzymałem się na moment, by posłuchać. Większości nie zrozumiałem – zbyt cicho. Złapałem tylko to:

– …musi się stać niedługo…

I nagle z toalety wyszła Sonja. Rzuciłem się do mesy, ciężko oddychając. Odczekałem, aż będzie czysto, i nonszalancko ruszyłem do swojej kabiny, gdzie teraz piszę i debatuję sam ze sobą, czy powiedzieć reszcie, co słyszałem. Jest za mało kontekstu, by logicznie wywnioskować, co „musi się stać niedługo”. Jeśli powiem innym, być może tylko doleję oliwy do ognia, który już płonie. Ale może to być także wiadro wody, które uchroni dom przed spłonięciem.

Za mało wiem, by zadziałać.

Zaczekam; jutro przybijamy do B-N.

Stacja Bran-Neruda

Dzień 14

Rysik ciąży mi w ręku, gdy piszę te słowa. Wciąż rozmyślam nad tym, czego się dziś dowiedziałem. Mobilizuję całą samokontrolę, żeby nie zacząć od końca.

A zatem początek. Przybijanie do stacji Bran-Neruda, bez większych problemów. Chyba wszyscy cieszyliśmy się, że możemy na chwilę wyjść ze statku. Upuścić trochę ciśnienia, co niezbędne. Załoga z radością ruszyła na ostatni rynek Sojuszu, jaki odwiedzimy przez dłuższy czas, by wydawać wszystkie posiadane joty na rzeczy mogące umilić długą podróż – kompakty muzyczne, obrazowniki, fajki, fizyczne gry. Kapitan pilnowała, by przestrzegali Pani reguł – żadnych neurali ani zmulaczy, nic z dostępem do Strumienia, co dawałoby się śledzić, choć niektórych nie zachwycało, że muszą się ograniczyć do bardziej analogowych mediów rozrywkowych. Sonja najemniczka dostała rozkaz pozostania na statku i uważania na chłopca. Kapitan stwierdziła, że dla niego wychodzenie na stację jest zbyt niebezpieczne (należy do Umbai, z licznymi żółtymi kurtkami i agentami w cywilu przepatrującymi tłumy pod kątem potencjalnych wichrzycieli). Chłopak chyba zrozumiał jej tok myślenia, choć minę miał żałosną, gdy patrzył, jak wychodzimy ze statku bez niego.

Dobrze było wyprostować nogi po wieczności na pokładzie Debby. Choć Bran-Neruda nie jest najbardziej ekstrawagancką ze stacji, po zamknięciu w tym statku i tak byłem przytłoczony wielością błyszczących wystaw oraz tłumami ludzi przylatującymi i odlatującymi z doków Zjednoczonego Kosmosu. Robiąc zakupy, chłonąłem dźwięki, pamiętając, że po tej stacji znajdę się na nieznanym terenie na nieznaną liczbę lat. W sklepie Stara Ziemia odkryłem prawdziwy skarb literatury klasycznej, dodając kilkadziesiąt książek do kapitańskiego księgozbioru w mesie – opowieści, przygody, relacje z podróży, których autorzy inspirowali moje pisarstwo i bez wątpienia zapewnią mi dobre towarzystwo podczas dalszego rejsu, tak jak uczynili w dzieciństwie.

Gdy wszyscy wróciliśmy na statek i gotowaliśmy się do odlotu, kapitan zawołała nas do mesy. Pomyśleliśmy, że to standardowa odprawa przed wylotem na pogranicze. Obowiązkowa przemowa motywacyjna. Em siadł po turecku na podłodze, Royvan i Vaila na kanapie, Sonja na krześle przyciągniętym z kuchni. Ja przysiadłem na stołku, przy dzielącym przestrzeń kontuarze, i zapamiętywałem wszystko, co słyszałem, by streścić to w niniejszym raporcie.

Odprawa była zaskakująca, mówiąc łagodnie. Kapitan popatrzyła na nas wszystkich i powiedziała, że zaraz po odlocie ze Stacji Pelikan odkryła, że chłopiec potrafi mówić. Przez ostatnie dwa tygodnie, w swej kabinie, dowiadywała się, kim jest i skąd jest. „Miał trudne życie", powiedziała. Mowa to umiejętność, której wciąż się uczy. Podobnie – zaufania. Aby uszanować jego prywatność, pierwotnie zostawiła mu decyzję, kiedy zaufa nam na tyle, by przemówić. Teraz widziała jednak, że trzeba ten proces przyśpieszyć, zanim wyjdziemy na pogranicze, gdzie musimy mieć wszystkie karty otwarte i wyłożone na stół. Rozejrzała się po mesie, zatrzymując wzrok na Vaili, i dodała, że jest bardzo ważne, abyśmy sobie nawzajem ufali, i że ona, tak samo jak chłopiec, potrzebowała czasu, aby nas ocenić. Zrozumieć, z kim pracuje. Na tym zakończyła przemowę. Wyszła, by go przyprowadzić. Ta chwila kojarzyła się z rozpoczęciem sztuki teatralnej – kurtyna podniesiona, główny aktor wychodzi na scenę, a my, publiczność, uciszamy się i czekamy, aż wygłosi pierwsze słowa swego reci-

talu.

Wchodzi chłopiec.

***

Słowa wciąż były dla niego nowością.

Potrafił je zrozumieć. To od wypowiadania ich martwiały nerwy, a język z trudem przypominał sobie kształty, w które miał się ułożyć. W głowie miał w takich chwilach chmurę słów, zderzających się ze sobą, połamanych, poplątanych.

Zacisnął dłonie przy bokach.

Zanim zebrała załogę, Nia wzięła go na bok i powiedziała, że przez najbliższą godzinę on tu rządzi. Uśmiechnęła się przy tym drwiąco, jakby dając mu do zrozumienia, że to tylko na niby. Że nie ma się czego bać. Powiedziała, że nie musi odpowiadać na pytania, jeśli nie chce. Może przerwać wszystko w dowolnym momencie, jeśli poczuje się nieswojo. Może nawet po prostu wyjść bez słowa i to też wystarczy.

– Przez najbliższą godzinę ty jesteś tu kapitanem – dodała.

Popatrzył na nich wszystkich; na tych nowych, których imion jeszcze się uczył, i na tych, którym ufał. Sonja. Nia.

Rozluźnił pięści.

I powiedział im, skąd jest.

***

Kiedy siedzieliśmy i słuchaliśmy delikatnej chrypki jego niewprawnego, nastoletniego głosu, ciszę w naszej mesie można było kroić nożem. Przekazywał swoją historię krótkimi, urywanymi stwierdzeniami, z pomocą zamaszystych gestów i min.

Cichy Statek.

Stamtąd był. Tak powiedział.

***

Zakrył usta dłonią i pokręcił głową.

– Nic – powiedział przez palce.

Mówienie było tam zabronione.

***

Udał grę na instrumentach muzycznych, przesuwając smyczkiem po niewidzialnych skrzypcach. Pokazał gestem ludzi wyższych od siebie. Swoich panów.

– Oni mówią, ja wykonuję – powiedział. – Oni każą, ja robię. Oni grają muzykę. Ja… – Urwał, zabrakło mu słowa. Zerknął na Nię błagalnie, postukując się w ucho,

podpowiadając słowo, którego szukał.

Zrozumiała.

– Słucham – powiedziała.

– Ja słucham – powtórzył.

***

Służył przyjemnościom owych zamaskowanych Muzyków, grających starożytne symfonie w wielkiej sali z czerwoną kurtyną. Statek był kastowy, on był w najniższej kaście. Dni upływały mu na obsługiwaniu swoich panów, z miseczkami kalafonii i gąbkami do polerowania, na wymianie strun w skrzypcach, wiolonczelach i mandolinach, na szlifowaniu nowych instrumentów.

***

– Miska – powiedział, trzymając niewidzialne naczynie. – Raz, wypada. – Otworzył ręce i pozwolił naczyniu spaść z brzękiem na podłogę. – Zrobiłem… bałagan. Ojej.

Załogę rozśmieszył ten dobór słów.

– Za to mnie ukarali. – Zamilkli, gdy dotknął ramienia i przesunął palcem wzdłuż kości łokciowej. – Kość – powiedział. Zawsze mu się podobało to słowo. Była w nim twardość.

Wyciągnął dwie pięści, jedna obok drugiej, jakby trzymał w nich kość.

Przełamał ją.

***

Za każdy błąd – bicie. Łamacz przytknięty do żebra, łamiący kość i spajający ją z powrotem, zostawiający tylko wspomnienie złamania, by ciało nadal mogło wykonywać swe obowiązki. Bicie za nieodpowiednie oddychanie. Był to świat, który cenił sobie opanowanie we wszystkich aspektach.

***

Nawet teraz to słyszał – charakterystyczne kliknięcie laski wysuwającej się z osłony. Czerwone światełko na czubku, jak oko, i bzyczenie, jak chitynowego żuka.

Kiedy Nia zapytała go, czy dobrze się czuje, wzdrygnął się.

– Tak – odpowiedział.

***

Cichy Statek, wypełniony po brzegi muzyką i cierpieniem.

Było o wiele więcej szczegółów, a każdy bardziej potworny od poprzednich. Języki wycinane z ust płaczących niemowląt – a jego głos niepokojąco beznamiętny, a nawet zabarwiony nutą dumy, gdy pokazywał nam swój język, różowy i nienaruszony, i gdy mówił, że on zaliczał się do grzecznych.

***

Gdy wspominał dumę, na jego ustach pojawiał się nieznaczny uśmiech. Ekstaza, gdy idealnie nawoskował wiolonczelę i pani obdarzyła go rzadkim skinieniem głowy z aprobatą; skinieniem prawie niedostrzegalnym, jeśli ktoś go nie wypatrywał. On wypatrywał. I się doczekał. To było dobre wspomnienie.

***

Żyjemy w erze, gdy statki potrafią wślizgiwać się w nieprzezroczyste fałdy wszechświata i żeglować po obrzeżach fal czasu. Potrafimy wytwarzać tkankę mięśniową i tkać z włókien nowe kończyny. Rozsypywać w proch kontynenty jednym ładunkiem wybuchowym YonSef. Życie zmieniło się, lecz nasza zdolność do absurdalnego okrucieństwa – nie. Mimo mych narzekań na zarządzanie domem przez rodziców widzę, że byłem w dzieciństwie uprzywilejowany. W naszej rodzinie brakło śmiechu, ale nigdy nie brakowało jedzenia i bezpieczeństwa. Nie kochałem tego starego domu w Orlim Gnieździe stacji, nie mogę jednak kwestionować, że był to, z definicji, dom. Mój dom. A chłopiec miał tylko piekło.

***

Reakcje były najrozmaitsze. Mężczyzna z wielką brodą, nazywany „doktorem”, mruknął coś z oburzeniem o Muzykach. Ten chudy jak szczapa, zwany „mechanikiem”, popatrzył na Ahra badawczo i powoli kiwnął głową, jakby mieli ze sobą więcej wspólnego, niż dotąd wiedzieli. A kobieta o miękkich, krągłych rysach i starannej fryzurze wpatrzyła się w róg pokoju, unikając jego spojrzenia.

Zaś ostatni, stary człowiek przy kontuarze, niemający tytułu ani stanowiska, zacisnął usta w skupieniu i pisał coś na pergaminie.

***

Galaktyka jest pełna osobliwości, a jej okropności są najrozmaitsze. Wciąż nieznany jest los setek statków wielopokoleniowych. Na pewno widzieliście w Strumieniu te historie; jedyne w swoim rodzaju kultury rodzące się w tych gigantach podczas długich rejsów przez Fałd. Ja jestem skłonny wierzyć, że opisane przez chłopca wyra-

finowane piekło jest właśnie w jednym z nich.

Jego opowieść ma luki. Nie wie, jak uciekł z Cichego Statku, nie wyjaśnia, dlaczego farmerzy dhuby odkryli go nagiego i nieprzytomnego na polu, wśród czarnych szczątków czegoś, co, jak teraz podejrzewam, było kapsułą ratunkową.

Miał natomiast wytłumaczenie tego, jak nauczył się mówić na statku, na którym mówić nie było wolno. Jakiś czas się szamotał, porządkując w głowie chaos nieużywanych słów, aż zdecydował się na „Dobrą Osobę".

To właśnie Dobra Osoba pokazała mu naturę słów, potajemnie, ich sekretne spotkania odbywały się w losowych pomieszczeniach całego statku, gdy reszta Muzyków spała. Dobra Osoba nauczyła go słów „proszę", „pomocy" w przygotowaniu na dzień, w którym będzie mógł opuścić statek. I nauczyła go, jak działają imiona.

***

– Nie ma imienia – powiedział, poklepując się po piersi. – Nie mamy. Dobra Osoba uczy. Pokazuje. – Wskazał przed siebie na wyobrażone okno. Sięgnął do niego i coś chwycił. – Znajduję imię. Mi daje.

W mesie zapadła cisza.

– Jakie imię? – zapytał w końcu Sartoris.

Opuścił ręce.

– Ahro – powiedział.

***

Wymówił to jako „Aaro". Pisownię wymyśliłem ja, bo on jeszcze nie zna liter. Nigdy takiego słowa nie słyszałem, a sądząc po minach innych, dla nich jest także nieznane. Nawet dla samego chłopca, który nie potrafi powiedzieć, dlaczego je wybrał, jedynie, że tak uczynił, wyłowił je z ekranu programu edukacyjnego Dobrej Osoby.

Kuszące jest wyobrazić sobie tamtą chwilę: siedzi przed tym ekranem podczas ukradkowego nocnego seansu, przegląda nagłówki, wypełnia umysł szczegółami zewnętrznych światów – aż nagle się zatrzymuje. Odkrywa w tej wielkiej encyklopedii jakiś zapomniany język i widzi przed sobą to słowo.

Ahro.

Może najpierw Dobra Osoba przepowiada mu je na głos, potem próbuje sam; uśmiecha się przy tych sylabach, dźwięku jak smakołyk na języku rymujący się ze słowem jego duszy; odkrywa nie tylko swe nowe imię, ale i przewodnią filozofię swego życia. Tak każdy powinien wybierać imię – ręka wsunięta do woreczka ze słowami w poszukiwaniu tego jedynego pasującego kształtu.

Royvan pierwszy wstał z miejsca i wyciągnął do chłopca rękę na potwierdzenie. Em poszedł za nim, a po nim ja, wszyscy trzej powiedzieliśmy chłopcu, że miło nam wreszcie go poznać. Tylko Vaila nie wstała. Popatrzyła na chłopca, potem na panią kapitan, z dezorientacją przetykaną frustracją, aż wreszcie zapytała, czy naprawdę nie ma nam nic do powiedzenia o swojej rzekomej zdolności. Kiedy kapitan potwierdziła,

że nie ma, wstała i wyszła, zostawiając za sobą prawie niesłyszalne „Miło poznać”, rzucone do chłopca w drzwiach.

Po zakończeniu odprawy załoga zajęła się przygotowaniami do odlotu, w milczeniu, wszyscy w jakimś wewnętrznym zamyśleniu, zastanawiający się, co chłopiec nam powiedział, a czego nie powiedział. Choć uwagi Vaili dałoby się wypowiedzieć w lepszym momencie i bardziej taktownie, nie kwestionuję ich ważności. Tego, że nasze życia splecione są nierozerwalnie z życiem tego dziecka, na niepewnej drodze donikąd.

Dziwny i otrzeźwiający dzień.

***

Nie mogę jednak nie wspomnieć o muzyce.

Skończywszy zakupy na Branie-Nerudzie, wracałem do portu, gdy za witryną punktu naprawczego i zaopatrzeniowego mignęła mi pani kapitan. Jak każdy porządny ciekawski, wszedłem do środka i rozpytałem, co tam robi – chciałem, by wyglądało na to, że sam też mam tam coś do załatwienia, od razu jednak przejrzała tę fikcję, a ja nie miałem na jej poparcie żadnych dowodów. Nie przejęła się jednak szczególnie moją obecnością i powiedziała, że przyszła po prezent. Pokazała mi, co odebrała z naprawy. Powiedziała, dla kogo to jest.

Flet. Kupiła go lata temu, w czasach, kiedy kursowała pomiędzy Arą i Pstrogłowem. Kiedy pierwszy raz spotkała Ahra, wówczas tylko „tego chłopca”, dała mu ten flet do gry. Powiedziała, że bardzo go polubił, aż do dnia, gdy po pewnym wypadku instrument przestał nadawać się do grania, bo pękł na pół. Nie powiedziała jednak konkretnie, co to był za „wypadek”.

Oboje przyjrzeliśmy się naprawionemu instrumentowi. Miejsce złamania zostało spojone wypełnieniem ze złota i srebra, a u podstawy kazała małymi, eleganckimi literkami wygrawerować jego imię. Powiedziałem, że będzie zachwycony.

Jednakże, wysłuchawszy jego historii, zacząłem się zastanawiać, czy flet jest odpowiednim darem dla chłopca, którego muzyczna historia związana jest także z bólem na Cichym Statku. Czy aby flet nie wyzwoli u niego jakichś potwornych retrospekcji, zamiast przynieść mu radość. Uznałem jednak, że to nie moja sprawa – ani prezenty, które daje pani kapitan, ani myśli w jego głowie. Wiem dziś więcej niż wcześniej, jednak tak wiele pozostaje jeszcze tajemnicą. Pewnego dnia zapytam go, co słyszy, słuchając dźwięków muzyki – czy jest to niebiańskie, czy piekielne.

Wnosząc po tym, co teraz słyszę przez otwarte drzwi – fletową melodię – jest to gdzieś pomiędzy.

Całkiem odrębne ogniste niebo.

Mamy dziesięć minut do kolejnego Fałdu, po którym popędzimy Łaskawym Prądem do świata Drannon na pograniczu. Gdy zapytałem kapitan o sposoby złagodzenia mdłości, odparła, że dobrze jest mieć coś, na czym się można skupić – przedmiot, na przykład kamień-amulet, odwracający uwagę od mdłości. Ostatnim razem, gdy się fałdowaliśmy, próbowałem ściskać jedną z poręczy na ścianach, lecz i tak, ku wielkiemu rozbawieniu Sonji, zwróciłem cały obiad. Jestem jednak człowiekiem stanow-

czym – tym razem skorzystam z czegoś mającego większą wartość sentymentalną; z grzebyka, który mam w kieszeni, niegdyś należącego do mojego ojca. Będę przesuwał kciukiem po jego wytartych zębach i wyobrażał sobie, jak byłby zły, gdybym skompromitował dobre imię rodziny moimi obrzydliwymi wymiotami. A na wypadek gdyby grzebień mnie zawiódł, uplasuję się blisko toalety w korytarzu, gotowy z niej skorzystać. No cóż, trochę wiary, Sartoris! Uwierz we własne siły!

Łaskawy Prąd

Dzień 16

Drugie fałdowanie jakimś cudem było gorsze od pierwszego, niczym fizyczny cios w żołądek. Dwie godziny nachylałem się nad toaletą w bolesnych wymiotach. Obrzydliwa przypadłość ciała, bez wątpienia słyszalna na całym statku. Mój status oddanego kronikarza zdegradował się do wiejskiego pośmiewiska. Nie ma chwili, żeby mechanik Em nie szydził z mojego „słabego" organizmu.

Zostawiwszy to na boku, atmosfera na Debby zauważalnie się zmieniła. Zniknął klimat kruchego lodu, niezręczność w naszych stosunkach jest już mniej dostrzegalna. Pojawiają się żarty.

Niektóre śmieszne, inne mniej.

Przykład: dziś poszedłem do izby chorych poradzić się w sprawie drętwiejącej stopy, odkryłem jednak, że najemniczka Sonja mnie wyprzedziła. Siedziała na metalowym stole, mając na sobie tylko bieliznę i odpowiadając monosylabami na pytania doktora. Kiedy mnie zauważyli, zapytałem, czy przyjść później, doktor powiedział jednak, że prawie skończyli, a najemniczka wydawała się kompletnie nieprzejęta swoim skąpym strojem. Zapewne doświadczenie z żołnierskich czasów. Usiadłem z boku i obserwowałem ich. Dowiedziałem się, że jej lewa noga jest wyhodowana w tanku, bo prawdziwą urwała jej mina podczas źle zaplanowanej potyczki – choć jestem świadom, że Pani zapewne już to wie. Hodowlana noga ma ciemniejszy odcień niż reszta ciała. Zdaje się, że utkano jej włókna mięśniowe w czasach, gdy nauka jeszcze nie udoskonaliła tego procesu. Co dwa miesiące potrzebuje zastrzyku reaklimatyzacyjnego, dokładnie w miejscu, gdzie zaczyna się nowa tkanka, by kończyna się nie zbuntowała i nie odłamała od jej ciała jak stary konar od drzewa. Sonja opowiedziała o tym wszystkim beznamiętnie, przez zaciśnięte zęby, pocąc się, musiała bowiem znosić powolny napór igły i wlewający się w żyły niebieski płyn o neonowym odcieniu.

Kiedy skończyli, doktor zapytał, co mi dolega. Po usłyszeniu historii najemniczki czułem się bardziej niż głupio, przychodząc do niego z mrowieniem w stopie, wydało mi się zresztą, że Sonja prychnęła, kiedy powiedziałem o objawach. Royvan kazał mi usiąść na metalowym stole. Najemniczka ubierała się z boku sali, doktor zaś delikatnie ścisnął mi kostkę i podeszwę. Potem odstąpił o krok, z nagłym poważnym wyrazem twarzy, i powiedział, że stopę trzeba będzie amputować. Krew odpłynęła mi z twarzy. Wyjąkałem coś nieartykułowanego, czego sam nie rozumiałem, nie mówiąc już o przytoczeniu tutaj. Royvan i Sonja spojrzeli po sobie, po czym doktor zaśmiał się i przyznał, że żartował. Najemniczka zaśmiała się. Poczułem się głupkiem. Odkręcił fiolkę i wysypał mi na dłoń dwie szare tabletki, zapewniając, że to do jutra zaradzi

moim objawom. Zauważyłem, że patrzy za wychodzącą najemniczką, wyczuwając w tym nutę przyciągania, byłem jednak zbyt poirytowany, żeby spostrzec coś więcej. Upokorzony powlokłem się do kabiny.

Muszę oddać doktorowi, że później przyszedł do mnie, żeby przeprosić. Oczywiście przyjąłem przeprosiny. Po chwili. Wpierw bowiem sam zażartowałem – powiedziałem mu, że napiszę do p. Nakajimy i zalecę jego egzekucję.

Tak więc trwa postęp. Pomaga nam to, że mamy dla chłopca nie tylko imię, ale i kontekst – dla Ahra – muszę się odzwyczaić od pisania o nim per „chłopiec" – i nie czuje się już tej niezręczności, kiedy wchodzi; choć językiem posługuje się niezdarnie, acz jest w tym pewien urok, jest to o wiele lepsze od wcześniejszego nieprzeniknionego milczenia.

Kiedy powiedziałem mu w korytarzu „Cześć", zatrzymał się i odpowiedział: „Także cześć!". Było to miłe, mimo że dalej staliśmy tylko, nic nie mówiąc. Na szczęście zadał tej interakcji cios miłosierdzia, zimny i szybki, odchodząc po prostu bez słowa czy gestu.

Małe kroki, wielkie cele, Sartoris.

Dzień 17

Wygląda na to, że otrzymałem awans – nie w wymiarze finansowym (niestety), lecz w poziomie zaufania. W połowie dnia kapitan zapukała do mojego włazu i poleciła, bym kontynuował od miejsca, gdzie przerwała „Dobra Osoba", i zaczął uczyć Ahra sztuki mówienia i pisania. Przyznała, że jest to poza moim zakresem obowiązków i że nie będzie miała do mnie pretensji, jeśli odmówię. Natychmiast się zgodziłem, nie tylko dlatego, że ta prośba niezmiernie mi pochlebiła – dostrzegłem także dodatkową korzyść ze zbliżenia się do najściślejszego serca Debby, mocno ze sobą związanego tria Pani Kapitan, Najemniczki i Dziecka z Gwiazd. Podejrzewam, że wiele będę się mógł w ten sposób dowiedzieć. A dodatkowo, chłopiec, jeśli zyska umiejętności językowe, być może z większą dokładnością poinformuje nas o swojej przeszłości, a może nawet w jakiś sposób podpowie naturę swej uśpionej zdolności.

Od jutra na poważnie zaczynamy lekcje. Już nie mogę się doczekać, kiedy będę miał na tym statku coś zbliżonego do zajęcia.

Dzień 18

Odbyliśmy pierwszą lekcję w mesie, kapitan dołączyła w roli obserwatora. Było to krótkie zapoznanie się, nie chciałem go od razu przeciążyć. Ponieważ mowę już rozumie całkiem dobrze i potrafi przeczytać proste zdania, nie musimy zaczynać od samego początku. Skoncentrujemy się na pisaniu i ćwiczeniu wypowiadania sylab.

Ma osobliwy sposób słuchania nauk. Nie do końca patrzy mi w oczy, kiedy mówię. Wydawało mi się zrazu, że jest niezainteresowany, a mnie brakuje owej smykałki do wciągającego przedstawiania rzeczy, jaką mają wszyscy dobrzy nauczyciele – niebawem jednak uświadomiłem sobie, że wskutek swojej przeszłości wciąż nie czuje się komfortowo, patrząc dorosłym w oczy. Rysikiem wypisał pierwsze litery alfabetu, gdy podpowiadałem mu, gdzie rozpocząć dany kształt i gdzie zakończyć. Spodobała mu się litera Q. Napisał ich tyle, że musiałem przerwać mu trans i nalegać, abyśmy przeszli do kolejnej.

Dzień 20

Mieć stałe zajęcie to tutaj niezbędne.

Kapitan, kiedy nie przebywa z małym Ahrem, lubi pisać haiku, co wydało mi się zaskakujące i dość ujmujące, choć odmawia pokazania swych wierszy, utrzymując, że nie są zbyt dobre. Mały Ahro ma swoją wspaniałą muzykę, którą gra w ramach ustalonych przez kapitan dozwolonych godzin. Sonja-najemniczka wiele czasu poświęca na ćwiczenia fizyczne w ładowni oraz na rozkładanie i czyszczenie swego potężnego zbioru broni, co do której mam nadzieję, że nigdy się nie przyda, a zajmuje się nią z powagą żałobnika na grobie przodków. Oczywiście każdej sztuce nadała imię. Jej ulubioną bronią jest dzwonowato zakończony karabin, który nazywa Błaznem. Em zajął się naprawianiem i remontowaniem różnych elementów Debby, które były dotąd zaniedbane. Pomaga mu w tym Royvan. Ci dwaj zgrali się jak starzy przyjaciele, bez końca przerzucający się prywatnymi żartami. Kapitan z zadowoleniem stwierdziła, że drzwi do trzeciej toalety wreszcie zostały naprawione i nikt nie musi przypinać kotary spinaczami, żeby mieć odrobinę prywatności, zasiadając na tronie. Vaila, nasz albatros w kokpicie, wciąż dystansuje się od reszty wpatrzona w kurs przed nami. Kiedy z rzadka ją mijam, słyszę, jak modli się nad swoimi paciorkami ladeum. Owe modlitwy z każdym dniem wydają się bardziej żarliwe.

Ja zaś zająłem się czytaniem kupionej na Branie-Nerudzie literatury. Aktualnie zaprząta mnie autobiografia Luki Assayi, byłego korporacyjnego kartografa Błogosławionych Prądów. Ciekawi mnie, jakie on miał stałe zajęcie podczas długich okresów ciszy w Fałdzie, jak zabijał te niezmierzone odcinki czasu. W tak młodym wieku, nie ma wątpliwości, że wściekłą masturbacją.

Dzień 24

Z alfabetu przeszliśmy do pisania i czytania prostych słów. Rozumie różnicę między czasownikami i rzeczownikami, trudność natomiast sprawiają mu spójniki i przyimki. Nie ma trudności z wypowiedzeniem słów z krótkimi samogłoskami, boryka się za to z zestawami samogłosek wymagającymi modulacji, typu „automat” czy „teatr”.

Dzień 27

Dokonałem dziś zdumiewającego odkrycia – kapitan posiada komplet tomów Sześciu królestw! Nie wydawała mi się wcześniej osobą lubiącą historyczne romanse. Kiedy jej to powiedziałem, zaśmiała się i powiedziała, że dla niej mają przede wszystkim wartość sentymentalną, a nie literacką, bo ta tetralogia była niegdyś ulubionym dziełem jej matki, historyczki specjalizującej się w Starej Ziemi. Zapytałem, czy ma te książki po matce, odparła jednak, że nie, i z nagłym zdystansowaniem w oczach dodała, że książki jej matki przepadły, a potem zmieniła temat. Wyczułem w tym jakąś historię, nie drążyłem jednak.

Porozmawialiśmy natomiast chwilę o samych książkach. Cykl został napisany przez dawno nieżyjącego autora, Samuela Palena, znanego w swoim czasie z gęstych i pełnych rozmachu epopei. Fabuła Sześciu królestw toczy się na równoległej Starej Ziemi i skupia na drodze do władzy młodej kobiety z chłopstwa, która staje się pierwszą królową południowych ziem fikcyjnego kontynentu Szumar. Podczas czytania serii wielką przyjemność sprawia obserwowanie zmagań tej kobiety z potworną pre-

są posiadanej władzy politycznej oraz jej powolnego demoralizującego wpływu. Choć wiem, że nie cierpi Pani, gdy porównuję ją do wielkich historycznych czy fikcyjnych postaci, mimo wszystko zauważam w niej odrobinę Pani, czy też odrobinę niej w Pani. Usiedliśmy z kapitan na sofie w mesie i rozmawialiśmy o fabule, o trudnych wyborach, których Faydra Faneuil musi dokonywać pomiędzy odpowiedzialnością a ukochanymi mężczyznami czy kobietami. Kapitan powiedziała, że podoba jej się przedstawienie życia uczuciowego Faydry – jego swobodnej poliamoryczności. Zgodziłem się, choć musiałem przyznać, że gdy czytałem ten cykl jako chłopiec, liczne sceny miłosne aż tak mnie nie interesowały – i choć mój charakter zmienił się z czasem, owa obojętność dla fizycznej strony romansów pozostała nienaruszona – zachwycałem się natomiast podstępnymi machinacjami wojujących cywilizacji. Mój ojciec i ja bardzo się różnimy – on jest ze szkoły twierdzącej, że sukcesy w życiu są mierzalne – obaj mamy jednak słabość do opowieści o wielkich strategach.

Rozmowa z panią kapitan była stymulująca i wciągająca. Mam nadzieję, że sądzi to samo. Zanim poszedłem, pożyczyła mi pierwszy tom i dodała, że jest zadowolona z wyników moich lekcji z Ahrem. Sądzę, że rokuje bardzo dobrze.

Oto dzieło mojego pilnego ucznia, który sprawnie przeskoczył od liter, przez słowa, do pełnych zdań.

Brudnopis – ćwiczenie zdań

Nazywam się Ahro. Mam trzynaście lat. Moi przyjaciele to Nia i Sartoris i Sonja i Vaila i Royvan i Em. Nia to moja najlepsza przyjaciółka. Jest silna i ładna. Sartoris to też mój dobry przyjaciel. Jest stary i nie ma włosów.

Następna lekcja: nauka taktu.

Dzień 33

Zbliża się Drannon. Chwila wyjścia z Fałdu napawa mnie lękiem. Już i tak osoby, których nie wymienię… Em, to zawsze jest Em… wytykały mi bezlitośnie moje słabości.

Parę dni temu pani kapitan, zauważywszy moje lęki, a być może także zmęczona słuchaniem, jak wypróżniam wnętrzności do wspólnej toalety, delikatnie zasugerowała, by najemniczka Sonja nauczyła mnie pozycji jogi, żeby przygotować moje płuca i mięśnie do przesunięcia się rzeczywistości. Zgodziłem się, naiwnie zakładając, że ćwiczenia będą dostosowane do mojej budowy i wieku (jakże się myliłem). Dopilnowałem, aby zaprosić także Vailę, ona jednak, jak się spodziewałem, odmówiła, kontynuując swą niesamowitą samotność w kokpicie.

Ćwiczenia będą trwały dwie godziny każdego popołudnia, aż do przylotu. Dwie godziny Sonja składa mnie jak pranie i wygina moje ciało w groteskowe pozy, jakby się spodziewała, że zacznę oddychać odbytem. Część załogi przyłączyła się do nas, nie wiem, czy z solidarności, czy z pragnienia uspokojenia własnych mdłości. Nadal mam trudności z większością ćwiczeń Sonji, daleko mi do dotknięcia dłońmi palców u nóg, czy głową kolan, przez co Em z wielką przyjemnością mi docina. Nie mówiąc już o naszej diecie, która jest prawie w stu procentach płynna. Woda, woda, przez całe życie nie wypiłem tyle wody. To wszystko prawie wystarczyłoby, żebym zupełnie zatracił ekscytację celem podróży.

Prawie. Oprócz kapitan nikt z nas nie wylatywał poza Zjednoczony Kosmos. To nasza pierwsza okazja, by zobaczyć, jak żyją mieszkańcy pogranicza, bez narzuconej korporacyjnej perspektywy. Podczas lekcji z chłopcem powiedziałem mu, co wiedziałem o Drannonie i jak sobie go wyobrażam – jako centrum kulturalne ożywione dzięki położeniu tak blisko granicy Zjednoczonego Kosmosu, punkt przesiadkowy dla podróżujących, wiele historii zbiegających się w jednym świecie, jednym mieście, budującym się na drugim i tworzącym nowe i piękne formy; ludzka rafa koralowa. Ucieszyło mnie, że chłopiec chłonął moją wizję i zachwycał się jak ja tajemnicą, rozkoszą odkrywania. Nie zdziwię się wcale, jeśli dziś będzie miał takie same jak ja trudności z zaśnięciem.

***

Ahro przez większość nocy nie spał.

Przez złe sny.

Przez wiele rzeczy.

Szedł boso, bez sandałów, bo bał się ich klapaniem obudzić innych, czuł pod podeszwami chłód metalowych gretingów i paneli podłogowych; budził w nim dreszcze, ale to nic takiego, to żywe uczucie nawet mu się podobało, przypominało, że jest na jawie i w miejscu, które bardzo lubi. Spacerował z wyciągniętą ręką, sunąc palcem po ścianie. Przesuwał palcami po nitach, przechodząc przez gródź do kuchni i mesy, muskał nimi włazy do prywatnych kabin, do kabiny Nii – tu przystanął, zanim poszedł dalej, korytarzem łączącym kadłub statku z kokpitem, gdzie zawsze lądował w takie noce i gdzie kończył się jego spacer.

Usiadł w fotelu drugiego pilota i założył na głowę wielkie słuchawki. Posłuchał Fałdu i jego osobliwej materii ocierającej się o czujniki na kadłubie Debby. Podprzestrzennego trzasku-iskrzenia. Białego szumu wypełniającego mu mózg jak woda, zatapiającego niepokoje i koszmary. Wreszcie zasnął, odchodząc do miejsca, w którym nie było symfonii i łamanych kości, tylko ciche szepty i pstryknięcia palcami. Do ożywionej pustki, nad którą był zawieszony. I tam pozostał. Palce zaczęły pstrykać wolniej, a usta zamknęły się w pół szeptu, zapadła cisza, która trwała, dopóki statek nie wyłonił się z Fałdu, cały ociekający po rozfałdowaniu.

Kiedy się obudził, w ustach miał suchość, a język szorstki jak stara szmata. Oblizał usta, dochodził do siebie.

Vaila siedziała obok w fotelu pilota, z dłońmi wetkniętymi w kocią kołyskę, obok niej stała Nia, opierająca się o pulpit z kubkiem czegoś gorącego w dłoni. Nie rozmawiały. Patrzył na nie chwilę spod wpółprzymkniętych powiek, dziwiąc się tej ciszy, dopóki Nia nie zauważyła, że się obudził.

Wskazała brodą przednie okno.

– Jesteśmy – powiedziała z łagodnym uśmiechem.

Port Drannon na pograniczu

Dzień 34

Na statku dopiero zapaliły się światła, a ja nie śpię już od dwóch godzin, nie mogąc się doczekać przylotu. Czuję arytmię w sercu i słyszę, jak kapitan zwołuje nas do kokpitu. Oto jest, mój pierwszy świat pogranicza. Czuję się niemal jak Assaya docierający na koniec Błogosławionego Prądu po tak długiej podróży – oczy szeroko otwarte i pragnące chłonąć rozpościerające się przed nim nowości.

***

Krążymy po niebie nad miastem, podchodzimy do lądowania. Przez górne okno niewiele widać, jedynie upiorne, szare i złowrogie chmury. Strugi wody lejącej się po szybach. Em jako jedyny nie jest z nami w kokpicie, jest w maszynowni, dokręca luźną osłonę, która wyskoczyła, kiedy wchodziliśmy w atmosferę. Chłopiec siedzi przypięty w fotelu drugiego pilota, kapitan stoi nad nim, a Vaila przekręca kocią kołyskę i sprowadza statek w dół.

***

Siedzę na krześle w kapitanacie portu, obok trójki dzieci bez opieki, które dość gwałtownie tłuką się po dłoniach. Mam nadzieję, że to jakaś gra. Wokół mnie meandruje reszta załogi. Sonja nie spuszcza chłopca z oczu, a my czekamy na powrót kapitan. Widzę ją teraz, pewna siebie rozmawia z jednym ze strażników przy wejściu do portu. Podejrzewam, że zajmie to trochę czasu. Opiszę zatem, co się wydarzyło, kiedy wylądowaliśmy pół godziny temu i opadła rampa.

Od razu to poczuliśmy, w mroźnym powiewie, który wpadł do Debby jak fala powodziowa – trupi zapach. Tak silny, że aż elektryzował. Vaila zasłoniła twarz kołnierzem kurtki. Nawet Sonja, tak często przechwalająca się makabrycznymi sytuacjami, które przeżyła w wojsku, odwróciła twarz od wiatru, zaciskając zęby w pełnym złości uśmiechu. Chłopiec, ze łzami w oczach, na swój wyważony sposób zapytał panią kapitan, co to za zapach. Skrzywiła się w uśmiechu i powiedziała mu, że na oko komuś udał się połów. Nikt z nas nie zrozumiał tego stwierdzenia, dopóki nie wyszliśmy ze statku i nie zobaczyliśmy tego truchła. Leżało na końcu portu, za dziesiątkami statków na lądowiskach – olbrzymi morski potwór, co najmniej jak pół Debby, wyciągnięty za ogon na wielkim metalowym haku. Robotnicy przekłuwają lancami galaretowate worki pod jego brzuchem, a ich kompani łapią lepką ciecz do podstawionych wiader. Gdy na nich patrzę, kojarzą mi się z obrazami wielorybników ze Starej Ziemi. Niezły początek naszego pobytu na Drannonie.

W kapitanacie jest tłoczno. Wielu zirytowanych ludzi – młoda dziewczyna sprzedająca jakąś nieznaną smażeninę na patyku, facet chodzący w kółko i pokrzykujący na cyfrową projekcję, jak się zdaje dawnej ukochanej. Trójka dzieci obok mnie cały czas rży. Rozglądam się i nie widzę nikogo, kto mógłby być ich opiekunem.

***

Wreszcie okazja, żeby usiąść po wielu godzinach chodzenia. Jesteśmy w biurze informacji dla przyjezdnych. Dziwne miejsce. Jak mały, elegancki mikrokosmos tego miasta. Przestronne, wysoko sklepione pomieszczenie; ciemne, z licznymi cieniami, oświetlone tylko rozpiętymi pod wielką kopułą błyskolampkami oraz okrągłym świetlikiem rzucającym dość nieziemskie światło na arenę, wokół której teraz siedzimy.

Kapitan mówi, że to jest ring. Miejsce, gdzie przyjezdni szukający zleceń spotykają się ze zleceniodawcami. Negocjacje – szumne słowo na to, co się tu dzieje – odbywają się przy akompaniamencie wrzasków na ringu. W ruch idą twarde łokcie, lądują na sąsiadujących brzuchach, podniesione głosy przekrzykują się. Kapitan rozpycha się teraz wśród kobiet i mężczyzn, wykrzykując kwalifikacje swoje i swej załogi, markę i model statku, liczbę lat doświadczenia, i pomiędzy okrzykami nasłuchując reakcji na swe zachwalanie. Zadziwiająco analogowy sposób załatwiania spraw. W powietrzu jest gęsto od rozmaitych dymów i cielesnych zapachów. Potworny żar otwiera pory, tracę esencję życia w wielkich kroplach potu moczących pergamin, na którym piszę. Chłopakowi nie przeszkadza ani gorąco, ani smród. Jest zachwycony, wychyla się przez poręcz i patrzy, jak kapitan rozpycha się wśród ciżby na ringu. Chociaż jest pod nami, i tak mam wrażenie, że chłopiec patrzy na nią z dołu w górę.

Reszta radzi sobie lepiej ode mnie, choć tylko nieznacznie. Royvan, Em i Vaila pogrążyli się w grze w karty, Sonja zaś stoi prosto jak posąg, z Błaznem w pogotowiu, tworząc wokół chłopca krąg, w który nikt nie odważa się wtargnąć.

Latami marzyłem, by zobaczyć, jak wygląda życie nierządzone silną ręką Zjednoczonych, i proszę, mam to, czego chciałem – zbieraninę najróżniejszej architektury, bez żadnej myśli przewodniej, ponastawianej bez ładu i składu; kręta spiralna iglica strzelająca w niebo obok parterowej rudery z płaskim dachem. Domy na dachach domów, niektóre przechylone, opierające się o swoich sąsiadów jak zmęczeni kochankowie, wbrew wszelkim kodeksom bezpiecznego budowania. Zaimprowizowane kładki z blachy falistej i drewnianych odpadów, łączące poziomy miasta i przesłaniające naturalne światło. Żadnej dbałości o osie widokowe, symetrię, estetykę czy atrakcyjność wyłaniających się zza rogu widoków. Wszystko inaczej niż w Miastach-Planetach, zupełnie jakby tutejszy architekt celowo chciał zaburzyć wszelkie poczucie estetyki Zjednoczonych. Przewrotność. Wiem jednak, że tak nie jest. Musiałby być geniuszem najwyższego rzędu, by stworzyć taki chaos.

Kapitan wraca. Mówi, że ma robotę.

Patrzy na Sonję i jej broń.

Dzień 35

Najemniczka odjechała z karawaną, którą ma chronić, na górską przełęcz z ładunkiem piżmowych przypraw. Powinna wrócić jutro, możemy więc cały dzień do woli zwiedzać miasto.

Sama radość, pomyślałem.

Poszliśmy grupą, postanowiwszy, że zwiedzimy miasto. Zgodnie z rozkazem pani kapitan mieliśmy trzymać się razem, co wzbudziło delikatne przewrócenie oczyma przez Ema, ewidentnie przyzwyczajonego do takich miejsc i nielubiącego nadopiekuńczości, mnie zaś ucieszyło, bo poczułem się nerwowo na myśl o powrocie na te

dzikie ulice. Miałem nadzieję, że wczorajszy dzień był tylko fuksem, zbyt szybkim zanurzeniem się w nowości, trochę jak nieartykułowane rzężenie wyrywające się z gardła po skoku do lodowatej wody. Może dzisiejszy dzień pójdzie łatwiej.

Pomagało mi patrzenie na miasto z perspektywy wytrzeszczonych oczu Ahra. Nie miał innego porównania niż krwawe korytarze Cichego Statku, więc osoby i rzeczy przerażały go i zachwycały zarazem. Prawie przez godzinę stał przed pękniętą witryną sklepu, pokazywał kolejne przedmioty i słuchał pani kapitan po raz kolejny tłumaczącej, do czego służą.

Ja sam także patrzyłem urzeczony, póki nie zauważyłem, jak patrzy na nią, gdy idziemy, i jak powoli zaczyna naśladować jej pewny siebie krok.

Z przykrością jednak stwierdzam, że samo miasto ponownie mnie odtrąciło. Nie zobaczyłem mianowicie ani chodników dla pieszych, ani windorur, ani botów sprzątających śmieci z ulic, ani pomocnych ekranów, które wyświetlą mapę i pomogą zorientować się w magmie… ulic, nielogicznych ulic kończących się bez uprzedzenia, ulic stromych, które da się przejść, tylko łapiąc się poręczy, ulic pozbawionych jednolitej konwencji nazewniczej, czasem ponumerowanych, lecz bez zauważalnej prawidłowości, a czasem ponazywanych, długimi i dezorientującymi słowami w wielu językach, których nie potrafię przeczytać, nie mam bowiem neura do pomocy. Podczas naszej długiej wędrówki przez ten Styks przyszło mi do głowy, że przez całe moje życie na terytoriach Zjednoczonych nigdy się nie zgubiłem – że nie znam tego okropnego poczucia, nie wiem, dokąd prowadzi kolejna ulica. Rozpaczliwie brakuje mi neuronalnej mapki. Kompletnie się bez niej gubię. Z perspektywy czasu widzę, że żenująco się zachowywałem, klejąc się i trzymając naszej małej grupki, bojąc się zgubić ją pośród zgiełku. Musieli mnie uznać za kompletnego tchórza, sądząc po morderczych spojrzeniach Ema. Zauważył mimochodem, że muszę się czuć bardzo nieswojo tak daleko od klimatyzowanego raju Gniazda Pelikana, na co nie miałem żadnej riposty. Czymże można odpowiedzieć na prawdę, jak nie milczeniem jedynie?

***

Zapada noc, ja jednak nie mogę spać. Miasto także nie śpi. Siedzę na rampie Debby i słucham zgiełku i hałasu, który jednocześnie denerwuje mnie i intryguje. Odstręcza mnie zapach sików i tłuszczu, przyciąga pikantna nuta przewijająca się przez odór śmieci. Męczy mnie, że nie wiem dlaczego.

Zastanawiam się, czy naprawdę jestem istotą z krwi Zjednoczonych i czego potrzeba, oraz ile czasu, bym mógł się wyzbyć skrępowania tamtym światem.

Dzień 36

Jest ranek. Poprzedniej nocy na miasto opadł smog i pozostał do teraz. Sonja miała wrócić dwie godziny temu, lecz na razie nie ma ani śladu jej karawany. Kapitan poszła do biura informacji po wiadomości, podczas gdy doktor zaczął nerwowo chodzić w tę i we w tę i pytać, mnie, wszystkich, co się mogło stać podczas misji. Mimo moich zapewnień, że nic się jej nie stało, pozostał spięty i co minutę wypatruje jej

w bramie portu. Chłopak siedzi obok mnie. Widzę, że i on jest podenerwowany, bo ciągle wygładza sobie ubranie. Nawet ja, choć nie miałem jeszcze okazji dobrze jej poznać, nawet ja muszę się przyznać do pewnej dozy niepokoju, gdyż bez niej nie mamy żadnej obrony.

***

Sonja wróciła do nas. Wszyscy siedzieliśmy i z wielką uwagą słuchaliśmy komediowego horroru jej opowieści, zaś dobry doktor opatrywał jej ranę postrzałową na ramieniu.

Miał to być przewóz robaków przyprawnych z portu Drannon do pobliskiej miejscowości w czarnych górach i miał trwać dwa dni i jedną noc. Sonja powiedziała, że przez całe dwa dni się męczyła. Nie chodziło o ostry mróz na wysokościach. Ani o trupy, które odkryli wzdłuż drogi, z rozciętymi gardłami i kieszeniami. Ani nawet o wolne pełznięcie ośmiokołowca i budzące mdłości kołysanie na wilgotnych skalnych bułach. Chodziło o towarzystwo. Dwie piskliwe hieny, które ją zatrudniły. Dwóch mężczyzn, którzy nie wiedzieli, co to cisza, i głośno komentowali każdy kamień, każdy krzak i każdego trupa, jaki się nawinął. Jednakże nawet to było jeszcze do wytrzymania – jak powiedziała, jest w stanie wyłączyć się i nie zwracać uwagi. Gorsze było to, że jednej z hien wydało się, że widzi wyłaniającego się zza kamienia napastnika, i strzeliła ze strzałkowca z biodra, bez celowania, robiąc Sonji dziurę w ramieniu, podczas gdy druga hiena chichotała, że nie, to nie bandyta, to kundel bez nogi.

Temu, który strzelił, złamała nos.

Drugi wrzasnął.

Na koniec wszystko się ułożyło, dostawa się udała, jazda z powrotem na szczęście przebiegła w ciszy. Za postrzał dostała ekstra skrzynkę prowiantu i potrącono jej buszel za złamany nos. Bywały gorsze zlecenia, bywały też lepsze.

„Była i wojna”, powiedziała.

Nie wiedziała, jak zareagować, kiedy na koniec opowieści chłopiec wziął ją za zranioną rękę i przytknął jej dłoń do czoła. Nikt z nas nie rozumiał tego osobliwego błogosławieństwa. Sonja burknęła coś w podziękowaniu, tak samo jak wcześniej podziękowała pani kapitan, mówiącej, że dobrze się sprawiła i że przykro jej, że tak wyszło. Zaraz potem pozostawiła ją pod opieką lekarza, który w poważnej ciszy zaczął opatrywać jej ranę. Odchodząc, usłyszałem, jak parska cichym śmiechem w odpowiedzi na jego ciepły, żartobliwy głos. Kiedy później wyszli ze statku, czuło się między nimi coś dziwnego, jakieś iskrzenie, którego nikt nie chciał skomentować. Robiłem, co mogłem, by unikać kontaktu wzrokowego z jej raną, bo na samą myśl czułem, że zaraz mogę zemdleć. Zerkałem jednak na nią samą, naszą zranioną wojowniczkę – imponowało mi, jak mało się tym postrzałem przejmuje. W tym też jest lekcja, Sartoris. Dotyczy naszych zdolności przystosowania.

Teraz patrzymy, jak dokerzy kończą obrabiać morskiego potwora, a kapitan idzie do portu dokończyć sprawy. Zrzucają z haka resztki szkieletu, oskrobawszy je drucianymi szczotkami z resztek tłuszczu. Aby uczcić koniec ciężkiej pracy, wyciągają

szklaneczki i zanurzają je w wiadrach z cieczą z pęcherzy. Patrzyłem, jak przepijają do siebie, przełykając płyn wielkimi haustami. W żartach proponują go przechodzącym podróżnym i zaśmiewają się, gdy ci zielenieją i uciekają od smrodu z wywracającym się żołądkiem. Piją to od dłuższego czasu i nie przestają, rzucają sobie wyzwania, kto wypije kolejną szklankę. Jeden już zemdlał. Obstawiają, który będzie następny. Kątem oka widzę, że Em się wzdryga. Ach, czyli i on nie może powstrzymać obrzydzenia.

Interesujące.

Wpadł mi do głowy pomysł – może gdybym podszedł do tych dokerów i przyjął od nich szklaneczkę tego obrzydlistwa, zapunktowałbym u reszty załogi? Rana Sonji i jej triumfalny powrót tylko wzmogły moje pragnienie, by im dorównać. Jak dotąd udowodniłem tylko, że jestem na tym statku balastem. Słabym ciałem nienawykłym do życia w drodze. Jaki może być lepszy sposób, by im pokazać, niż kwaśny chrzest cieczą wyciśniętą z pęcherzy owego obrzydliwego stworzenia?

Kiedy ponownie czytam te słowa: nie. To fatalny pomysł.

***

Zrobiłem to. Jestem w mojej kajucie na Debby i zastanawiam się, gdzie się podział mój instynkt samozachowawczy.

Retrospekcja. Poszedłem do doków i znalazłem dokerów. Było ich w sumie sześciu. Na początku nie zwracali na mnie uwagi, jeden zerknął i odwrócił się plecami, jakby to mu wystarczyło, żeby postanowić, że nie jestem kimś interesującym. Przełknąłem strach, wcisnąłem się w ich krąg i przez translatora zapytałem, czy mogę ich prosić o poczęstowanie szklaneczką tej… intrygującej esencji. Wywołało to gremialny śmiech. „Lepiej nie, cudzoziemcu”, powiedział ten wysoki. „To się nie nadaje do picia”. Zauważyłem, że oni nie mają z tym problemów. „Lata praktyki”, odparli. Kolejne śmiechy. Jeszcze raz poprosiłem, aby mnie poczęstowali, żeby wiedzieli, że mówię poważnie, i zaraz śmiechy ucichły. Żarty się skończyły. Wysoki kiwnął na tego ze szklaneczkami. Tamten zanurzył szkło w wiadrze i podał mi. Było oślizgłe. Poczułem w gardle gulę żółci. Znalazłem jednak jakąś ukrytą rezerwę siły woli i przetrzymałem. Powiedziałem sobie, że to nie jest naprawdę. To teatr. A zatem, jak w teatrze, odwróciłem się do Debby, której załoga wytrzeszczała oczy z przerażenia, wzniosłem toast na cześć Ema i wlałem zawartość do gardła.

Trudno opisać sam trunek, łatwiej jego skutki. Skurcze w szyi. Drgające mięśnie nóg. Nowe kolory i powabne kształty rozpryskujące się przed oczyma. Żołądek podszedł mi do podbródka. Rozkaszlałem się, oddając im szklankę, jakimś cudem udało mi się nawet podziękować, choć z ust ciekła mi ślina. Kiedy wróciłem na Debby, spotkałem się z różnymi reakcjami. Ahro nie zrozumiał ani ważności, ani absurdalności mojego czynu. Sonja zaśmiała się zdumiona. Za to Royvan nie owijał w bawełnę. Nazwał mnie „głupim fiutem” i kazał natychmiast iść do izby chorych na płukanie żołądka.

Em nie powiedział nic.

Posłusznie poszedłem, dobry doktor próbował mnie zmusić do wymiotów, nawet

mimo protestów wtykał mi palec do gardła. W końcu mój upór wziął górę. Splotłem ramiona jak krnąbrne dziecko i doktor po krótkiej sprzeczce odpuścił, mówiąc, że to, co się dalej wydarzy, to wyłącznie mój problem.

Oparł się o stół i westchnął, jak bez wątpienia wzdychał w przeszłości nad wieloma trudnymi pacjentami. Powiedział, że to bez znaczenia, i tak pozbędę się tego z żołądka podczas fałdowania. Ja jednak nie zamierzam do tego dopuścić.

Kiedy będziemy się fałdować, będę się starał utrzymać wszystko, co do kropli.

Prąd Wulkaniczny

[Bez daty]

Trzeba było tego nie pić.

[Bez daty]

Nie wiem, jak długo potrwa ta chwila przytomnej myśli, zapiszę więc, co mogę, póki dam radę, bez gwarancji, że ukończę ten wpis. Tonę we własnym pocie. Cuchnącym pocie. Świadomość przychodzi i odchodzi bez ceregieli. Odwiedza mnie załoga. Czuwają przy mnie na zmianę, znoszę ich rozmowy przy moim łóżku, a potem nagle jestem sam, statek hibernuje podczas ciszy nocnej, do towarzystwa mam tylko stłumione odgłosy uzdatniacza powietrza i niewidzialną igłę wbijającą mi się w miękkie ciało za oczami. Royvan powiedział, że ryzyko, że umrę, jest niewielkie, ale przez następne kilka dni będę się czuł najgorzej w życiu, a mówił to z szatańskim uśmiechem. „Tak się dzieje, Sartoris, kiedy się nie słucha lekarza". Mówił, że nie umrę, ale ciało mi płonie i nie mogę się wyzbyć lęku, że serce zatrzyma mi się w tym maleńkim pokoiku tak daleko od domu. Gdzie jest [tekst nieczytelny]…

[Bez daty]

Tęsknię za moim dawnym mieszkaniem w skrzydle Graciliusa. Piękne miejsce. Szkoda, że nie miała Pani okazji go zobaczyć. Wygodne fotele, przestronny balkon wychodzący na Bulwar. Wiszące na balustradzie donice z wiecznie kwitnącymi bruniami. Moje ulubione kwiaty. Najprawdopodobniej dawno uschły. Od wylotu z Pelikana spędziliśmy w sumie półtora miesiąca w Fałdzie, a z uwagi na dylatację Prądu Wulkanicznego oznacza to rok w czasie rzeczywistym (uściślenie na mój użytek, nie Pani). Nie ma wątpliwości, że to mieszkanie zostało już sprzedane nowym mieszkańcom. Dawno się w nim urządzili, wyprawiali przyjęcia, obchodzili przy dobrym winie korporacyjne święta. Na pewno już nazywają to miejsce domem, zupełnie nie czując się z tym dziwnie, późno w nocy kłócą się, kochają się w salonie, może nawet mają dzieci, jeśli są ambitni. Umierając tu, w łóżku, widzę ich bardzo wyraźnie. Ogarnia mnie głupi lęk, że wyrzucili moje kwiaty. A brunie nie są przecież kłopotliwe. Łatwo się nimi zajmować. Niech to szlag, trzeba było zostawić im instrukcje. Odręcznie napisane i przywiązane ładnym sznureczkiem do łodygi, by pokazać, że to ważne. Jedna godzina światła, odrobina wody, tylko tyle byłoby tam napisane. Tylko tyle potrzebują, by zachować swój piękny fiolet, nawet zimą.

[Bez daty]

Moje dawne życie przepadło. Moje kwiaty przepadły. Zostało mi tylko piętnaście

lat na tym pieprzonym statku. I mam jeszcze Pani dziękować. Za to wszystko.

[Bez daty]

Pamięć przecieka jak woda przez palce. Czasem uda się pochwycić pół wspomnienia. Chłopiec przychodzi do mnie pokazać swoje zdania, zagrać na flecie. Piękna melodia, przeciwieństwo jego niepewnego i chrypiącego głosu. Em odwiedza mnie, opowiada o swoich dniach w podwarstwie na Galenie, swojej uliczce slumsów. Ponure historie, wyciąganie dawnych upiorów, patrzenie w górę na eleganckie ulice zasłaniające mu słońce. Coś o jakimś kocie. A potem cień Vaili nad moim łóżkiem, jedynym światłem w pokoju jest łagodny poblask paciorków ladeum, kiedy szepcze modlitwy, których nie rozumiem.

Dziwne zmiany wart tych twarzy. Jestem uwięziony w pokoju, nie mam pojęcia, kiedy następuje cisza nocna i są zgaszone światła, nie dostrzegam upływu czasu, poza chodzeniem do toalety i momentami, gdy mój właz otwiera się ze stęknięciem, obwieszczając nowego gościa. Załoga sprawdza, czy Sartoris nie jest trupem. Ich wizyty są pragmatyczne, tyle wiem. Mimo wszystko. Wbrew sobie wzruszam się, kiedy przychodzą i niańczą mnie w mroku.

[Bez daty]

Resztki choroby wciąż trzymają się wyściółki mojego żołądka. Dziś jednak stało się coś, co sprawiło, że poczułem się… lżej. Vaila zapytała, dlaczego tak głupio postąpiłem. Po co piłem tę obrzydliwą substancję? Odpowiedź przyszła do mnie wraz z halucynacyjnym promieniem słońca. „Pijesz albo cierpisz pragnienie", odpowiedziałem. „Jesz albo głodujesz. Nasza podróż jest bowiem długa i nie da się jej przeżyć na samej nadziei". Spojrzała na mnie, jakbym zwariował. Może i tak jest. Zatem po wariacku spojrzałem w jej kasztanowe oczy i powiedziałem prawdę, której unikała od wylotu – nie wrócimy i nie zobaczy Pani przez bardzo długi czas. Słowa utkwiły w celu. Zacisnęła palce na paciorkach ladeum, a wstając, zapytała na głos, dlaczego stałem się tak okrutny. Kiedy wyszła, sam się nad tym zastanawiałem w moim zaimprowizowanym hospicjum, to wpadając w koszmary, to z nich wypadając.

Perada

Dzień 54

Huragan minął. Otwórzcie drzwi piwnic i wyjdźcie na światło, albowiem choroba Sartorisa wreszcie ustąpiła! Należą się przeprosiny za jego szorstkość w obejściu podczas rekonwalescencji. Oto stoi przed wami wśród bujnej zieleni Perady, głęboko zaciągając się najświeższym powietrzem, jakim miał przyjemność oddychać w życiu.

Jakaż to była ulga, kiedy rampa opadła i nie przywitało nas nic poza chłodną sosnową bryzą. Royvan poszedł bawić się w doktora w miejscowym ośrodku medycznym, a reszta mogła do woli zwiedzać ów zalesiony region pogranicza. Za radą jednego z tubylców z informacji turystycznej kapitan, Ahro, Sonja i ja udaliśmy się na forsowny spacer na najwyższe z pobliskich wzgórz, by zobaczyć jedno z największych drzew na kontynencie. Vaila została, żeby razem z Emem dokonać jakichś czynności serwisowych. Zaskoczyła wszystkich, życząc nam miłego spaceru. Pierwsze miłe słowa od wylotu. Kapitan również to zauważyła. Cieszę się, że i Vaila się

otwiera, choć bardzo powoli.

Trasa była piękna, liście wokół nas miały żywe kolory – wszystkie odcienie zieleni, jakie można sobie wyobrazić, razy dwa. Byłem zdziwiony moją własną energią, dotrzymywałem bowiem kroku pani kapitan, ale nie chłopcu, który biegł przed nami z Sonją, naśladując technikę najemniczki. Pod koniec wycieczki wszyscy byliśmy spoceni. Dzień był upalny i wilgotny. W drodze powrotnej wyczuliśmy z panią kapitan zmianę w powietrzu.

W nim.

Nie, nie chodzi o Jaunting. Przykro mi stwierdzić, że chodzi o coś tak mało spektakularnego jak zapach – choć mocno zauważalnego. Pachniał jak stara, mokra szmata wyciągnięta z kratki ściekowej prysznica na siłowni. Nikt z nas nie zająknął się słowem, póki nie wróciliśmy do miasta i kapitan nie kupiła na targu dezodorantu. Pokazała mu, jak go używać, myślę jednak, że nie do końca zrozumiał po co, gdyż następnego dnia przy śniadaniu młodzieńczy smog powrócił.

Och, męki dojrzewania. Nie zazdroszczę mu tego etapu życia. Czasu, gdy ciało przechodzi swoje mutacje, rozpala umysł, zniekształca wszelką percepcję. Dni zbyt długich, gdy się je przeżywa, i zbyt krótkich z perspektywy czasu.

Gdybym mógł, ostrzegłbym go przed tym zjawiskiem, powiedziałbym, by czerpał z życia przyjemność i delektował się każdą jego sekundą. Wiem jednak aż za dobrze, że każdy musi to przeżyć sam, żeby zrozumieć, jak szybko to się dzieje – jak w delirycznej chorobie – odwracasz głowę dosłownie na chwilę i zaraz dociera do ciebie, że minął cały okres twojego życia.

Ot tak.

Rok 3., dzień 22

Czarne wieże. Posterunek-sonda Kai. Siatka ulic Suda-Sulai. Lodowe krajobrazy Gallahadu. Braliśmy niezliczone zlecenia w miejscach dużych i małych. Przewoziliśmy szczepionki na inne kontynenty. Eskortowaliśmy trzy bogate siostry pielgrzymujące do dawnych świątyń swojej religii. Diagnozowaliśmy tajemniczą przypadłość trapiącą syna księcia Primarku, w razie rozwoju mogącą zagrozić jego życiu. Zataczaliśmy koła i kreśliliśmy zygzaki na całym pograniczu, pozostawiając po sobie całe lata opowieści. Wędrowaliśmy jako lwy. I mimo to, po tym wszystkim, wszystkich tych rejsach, czekaniu, chłopiec nie przejawia ani śladu swojej zdolności. Ja już się tego po nim nie spodziewam. Nikt się nie spodziewa. Jedynie Vaila, która bardzo za Panią tęskni, przejmuje się, że to tak długo trwa, choć i ona uspokoiła się w ciągu ostatnich paru miesięcy, pogodzona z faktem, że to była tylko przelotna miłostka.

I w porządku.

Przed moim namiotem dogasają węgielki ogniska. Jest spokojnie i ciepło. Słyszę wiatr szeleszczący w wielkich liściach drzew. Wodę pluskającą o piasek. Cichą grę Ahra na flecie.

Dziś ma szesnaste urodziny. Cały dzień wylegiwaliśmy się na słońcu w tym umiarkowanym regionie Hodasu. Reszta kąpała się w chłodnej wodzie, ja z Vailą siedzieliśmy w cieniu palmy, opowiadała mi tajemne historie pewnych statków, które uwielbiała i chciałaby zobaczyć, okrętów wojennych Umbai, o których marzyła jako dziewczynka w gabinecie ojca. O zmierzchu rozpaliliśmy ognisko. Zjedliśmy razem

posiłek pod krwistoczerwonym słońcem topiącym się w horyzoncie nieskończonego oceanu. Widzieliśmy łączące nas linie. Gładką przyjaźń Ema i Royvana. Śmieszek Vaili w reakcji na obcesowe żarty Sonji. Nię, obserwującą nas wszystkich, z Ahrem u boku.

Kiedy przynieśliśmy ze statku świeżą wodę, Nia zauważyła, że to niesamowite, jak bardzo chłopak urósł. Miała rację. Nie jest już chłopcem, lecz młodym mężczyzną. Nie jest bardzo wysoki, mniej więcej mojego wzrostu, ale porusza się z gracją, jakiej zwykle brakuje młodzieńcom w jego wieku, rozgaszcza się w nowych przestrzeniach swego ciała, a jego ruchy przypominają gnące się wierzby. Włosy strzyże w stylu młodzieży z Suda-Sulai – boki wygolone, tylko czarny pas przez środek głowy. Napełniając kanister wodą, Nia patrzyła, jak śmieje się radośnie z Royvanem, i nagle, ni stąd, ni zowąd, zauważyłam, że chłopak zrobił się bardzo przystojny – zaś ja wyczułem w tym stwierdzeniu nutę jakby strachu. Gdy powiedziałem jej to, zaśmiała się i dodała, że zastanawia się, kiedy trafimy gdzieś, gdzie chłopak się w kimś zakocha. „A ja nie będę mogła pozwolić mu zostać", powiedziała ze smutkiem. „Wtedy mnie znienawidzi".

Odparłem, że to możliwe, choć nadejdzie także dzień, kiedy już nie będą musieli się przemieszczać – zadanie dobiegnie końca, i ona, i Ahro będą mogli robić, co zechcą. Niezbyt to ją jednak uspokoiło. Na lęk, że ludzie i rzeczy odchodzą, nie poradzi się nic. I dla Ahra ten dzień wciąż się zbliża, choć może jest odległy.

***

Przed namiotem Sartorisa Nia słuchała, jak Ahro gra na flecie przy dogasającym ognisku, zastanawiając się, gdzie się podział czas. Dopiero co był ranek, a już zapadła noc, wyszły gwiazdy i urodziny prawie dobiegły końca. Niedawno nad swoją prawą skronią znalazła pierwszy siwy włos. Niedawno młody człowiek siedzący teraz koło niej był małym chłopcem. Nie mieścił się już w szatę Kaedy zarzucaną na jedno ramię. Gdzie się podział ten czas? Młody człowiek zagrał wysoką nutę, uśmiechnął się spokojnie.

Zamknęła oczy.

Zapamiętaj ten dzień.

Chwila minęła. Była już tylko czułą migawką, gotową do zastąpienia przez bardziej użyteczne wspomnienia lub intensywniejsze żale. Tak właśnie funkcjonował jej umysł. Bardzo trudno było zapamiętać dobre chwile, spychane natychmiast w głąb przez lęki przed nadchodzącymi kłopotami. Oto miała przed sobą dowód, że czas mija bardzo szybko. Oto dziecko, które wiele już przeżyło, lecz ciągle jest bardzo naiwne. Oto ogieniek, który trzeba podtrzymać.

– Podobało ci się? – zapytał, skończywszy melodię.

– Tak – odparła.

Uśmiechnął się.

Osłonić ogień przed wiatrem. Dokarmić suchymi gałązkami. Czas ucieka, a on musi nauczyć się ważnych rzeczy, póki nie jest za późno.

Tej nocy postanowiła, że rozpoczną lekcje. On grał, a ona formowała w myślach

plan. Nauczy go, jak negocjować umowę, jak korzystnie handlować. Załoga wtajemniczy go w swoje specjalności. Vaila pokaże mu podstawy pilotażu, tyle, by bez większych szkód mógł wystartować i wylądować. Royvan pokaże, jak się opatruje rany. Em opowie o organach statku i podstawowych naprawach. Sartoris będzie kontynuował ogólne lekcje z życia galaktyki i historii. Sonja zaś pokaże, jak obronić się w razie konieczności. Decyzję podjęła w przerwie pomiędzy melodiami, choć jemu na razie o tych planach nie opowiedziała – nie chciała go stresować w dniu urodzin. Kiwnęła natomiast głową, by zagrał coś jeszcze.

– Coś wesołego – poprosiła.

Uśmiechnął się szeroko i spełnił tę prośbę.

Od jutra zaczną się lekcje.

***

Przychodzi do głowy passus z Sześciu Królestw. Pojawia się pod koniec ostatniego tomu. Faydra Faneuil zostaje pojmana przez wrogie księstwo. Po miesięcznym namyśle władze postanawiają ją publicznie ściąć, w ramach ostrzeżenia dla obywateli, którzy mogą jeszcze myśleć o powstaniu. Widząc szafot, Faydra mówi: „Zakrzywiałam rzeczywistość, niszczyłam imperia, zbudowałam z niczego spuściznę, która będzie pamiętana przez tysiące lat – lecz teraz, gdy moje dzieło się dopełniło, myślę tylko o mojej pustej młodości w Arkadii. O letnim próżniactwie. O słońcu na plecach i dłoniach odgarniających włosy z oczu”.

Wielu rzeczy się po tym rejsie spodziewałem.

Nie spodziewałem się, że zyskam rodzinę.

Pani Fumiko. Pani umysł, jak zawsze, jest dla mnie nieprzenikniony i choć jestem pewien, że najprawdopodobniej zupełnie Pani nie obejdzie, co mam do powiedzenia, mimo wszystko uważam za swój obowiązek to zapisać: jeśli Jaunting istnieje, to nie tkwi w chłopcu. On jest zwykłym chłopcem. Cała ta wyprawa to nonsens. Po trzech latach już się z tym pogodziliśmy i proszę, by i Pani się z tym pogodziła. Upraszam, by zechciała Pani anulować naszą umowę i pozwolić tym ludziom, do których wielce się z czasem przywiązałem, wrócić do Zjednoczonego Kosmosu czy dowolnie wybranej lokalizacji. Zasługują na życie nieskrępowane sztywnymi warunkami umowy. Zasługują na wolność. Proszę darować sobie ten kaprys i uczynić to, co w głębi serca uważa Pani za słuszne.

Naszym kolejnym celem jest księżyc Ariadna. Nia już kiedyś na nim była. Podobno jest to enklawa muzyków. Chce, by Ahro poznał ludzi podobnych do siebie; ludzi, z którymi będzie mógł porozmawiać o swej sztuce, zanim, co nieuniknione, wystartujemy do kolejnego lotu. Może i ja kupię sobie tam jakiś instrument. Nigdy w życiu nie grałem, muszę więc zacząć od czegoś prostego. Bębenek albo dwustrunowy instrument. Zacznę od prostych piosnek, wyzwaniem będą gamy. Może z czasem jakaś własna kompozycja.

Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

6.

Robota na długie lata

Poranek rozciągnął się nad pustymi domami Ariadny, nie zagrała jednak żadna trąbka, muzyków bowiem nie było. Nie rozległ się żaden dźwięk poza szelestami jaszczurczych kształtów na ciepłych skałach, przygotowujących się na słońce mające zaraz wyjść zza wydm na wschodzie. Żaden dźwięk poza chrapaniem setki psów, gdy palce czerwonego światła zakradały się w zaułki boleśnie cichego miasta na pograniczu.

W dawnej enklawie artystów psy były teraz wszędzie. Leżały na boku w zakurzonych bocznych uliczkach, zwijały się w kłębek na gankach opuszczonych domków z prefabrykatów. Większość spała; było jeszcze wcześnie, jeszcze ciemno. Powietrze szumiące od zbiorowych oddechów. Dywan unoszących się rytmicznie brzuchów. Z nielicznych nieśpiących poruszał się tylko jeden – tłusta mastiffka. Szła powoli główną ulicą.

Jej zapach, zapach Najstarszej, pobudził inne; gdy przechodziła, głowy unosiły się jedna za drugą i zaraz ruszyła za nią procesja. Zatrzymała się przed miejską bramą, zamkniętą od wielu dni. Reszta stanęła w pełnej szacunku odległości, a ona siadła na tylnych łapach i wycelowała spojrzenie zaropiałych oczu w maszt z antenami na szczycie wysokiej wydmy, za bramą. Miał wiele metrów wysokości i przecinał sine niebo na pół. Mastiffka wiedziała, jeśli nie świadomie, to instynktownie, że kiedy pierwsze światło wydostanie się zza zębatego horyzontu i wypełni talerz najwyższej anteny na maszcie, zmieniając go w jasny księżyc, przyjdzie Człowiek. Zawsze przychodził rano i przynosił jedzenie. Reszta psów także to wiedziała, ślina napływała im do pysków, gdy nadchodził ranek, a z nim szarobiałe światło ześlizgujące się po maszcie.

Szczekanie zaczęło się, gdy zza wzgórza wyłonił się czarny punkcik, ciągnący za sobą chmurę pyłu.

Nadchodził Człowiek.

***

Nazywał się Gorlen. Był jedynym człowiekiem mieszkającym na tym księżycu. I obawiał się, że ostatnim.

Ściśle przestrzegał planu dnia. Godzinne segmenty poświęcone na różne czynności, by uniknąć szaleństwa z samotności, albo czegoś jeszcze gorszego w jego oczach

– nudy. Dziś jednak karmił psy nieco dłużej niż zwykle, nie sypał w pośpiechu karmy do koryt, albowiem z psami bawili się goście; młodzieniec, który był z nimi, uśmiechał się szeroko, choć ręce miał przyciśnięte do piersi przez doga.

Gorlen przypatrywał im się przez jakiś czas.

Podrapał się po bliźnie za prawym uchem.

Kiedy nasypał wygłodniałym psom granulek ze swojej ciężarówki, zagwizdał na mastiffkę, która wgramoliła się na siedzenie pasażera, by jak co dzień pojechać razem z nim. Skończyli tu pracę, zamknął więc bramę wymarłego miasta i rozpoczął stromy podjazd pod maszt łącznościowy. Jechał z jedną dłonią na kierownicy, drugą opierał na krawędzi otwartego okna, opalonym palcem wystukując rytm muzyki grającej mu w głowie. W normalne dni do tej muzyki śpiewał, dziś zaś wolał oszczędzić gościom swego chropawego głosu. Zerkał na nich w lusterku. Cała trójka milczała. Pani kapitan kiwnęła na młodego, żeby napił się z manierki, a siedzący obok mechanik o wydatnych kościach policzkowych spał z głową beztrosko opartą o grzechoczącą szybę. Gorlen mógł się założyć, że miał doświadczenie w spaniu w niewygodnych miejscach.

Poprzedniego dnia, kiedy wylądowali, zgodził się użyczyć im zapasów na podróż, jeśli pomogą mu w codziennej pracy, choć tak naprawdę nie potrzebował pomocy w karmieniu psów, sprawdzaniu stanu masztu i ustawianiu talerzy przekrzywionych przez weekendową burzę.

Po prostu dobrze było mieć towarzystwo.

Zaparkował ciężarówkę przy pierwszym odciągu masztu, a młody człowiek zbudził mechanika, szturchając go łokciem. Gorlen zapytał, czy mają jakieś pytania. Nie mieli. Kapitan powiedziała, że pamięta jego instrukcje, że zaraz skończy, i uspokajająco się do niego uśmiechnęła, tak że miał ochotę wziąć to za flirt, choć dobrze wiedział, że przez lata spędzone samotnie na tej skale zatracił ostatnie gramy swej charyzmy, chyba że akurat przypadkiem gustuje w mężczyznach bez trzech zębów na przedzie.

– Dobrze – powiedział. – Jak coś, jestem tutaj.

Kiedy wchodzili po zardzewiałych stopniach masztu, strząsając z nich przylepiony piasek, Gorlen wysiadł z ciężarówki, rozprostował ręce i nogi, a suka krążyła wokół niego jak rekin. Razem siedli w cieniu jednego z odciągów. Położyła się na brzuchu blisko niego, chociaż nie za blisko, on zaś masował odciski na stopach. Ziewnęła, pokazując zepsute zęby. Popatrzył na nią i pomyślał z rozbawieniem: niezła z nas para paskud. I ogarnęła go czułość.

Poczuł, że taka chwila domaga się pieśni. Zamknął więc oczy, wyciągnął szyję i z bolesnym skrzywieniem włączył dysk pamięciowy umieszczony pod tą blizną za prawym uchem. Z listy w lewym oku wybrał noc, kiedy usłyszał Kłótnię kochanków, lata temu. Prosta ballada, śpiewana przez dwoje młodych osób, które teraz na pewno zajęły się czymś lepszym. Wspomnienie o tym koncercie zabrzmiało w limbicznym teatrze jego mózgu dźwiękiem czystym, jakby był z wczoraj. Powoli się uśmiechnął. A potem spojrzał, upewnił się, że goście są już blisko pierwszej anteny i poza zasięgiem słuchu, przepłukał gardło ciepłymi resztkami z manierki i nieśmiało zaśpiewał razem z nimi.

A kiedy zaśpiewał, a nuty uleciały z jego ust, stało się to: wiele metrów nad nim,

w miejscu, gdzie dało się jednocześnie mieć w polu widzenia miasto psów i bazę kosmiczną, najmłodszy członek grupy gości zatrzymał się w pół kroku, wyczuwając w powietrzu delikatne wibracje, które powinny być niewykrywalne – przeszedł go dreszcz, od nasady kręgosłupa po czubek głowy, i mrowienie, gdy jego serce otwierało się jak dłoń.

***

– Dobrze się czujesz? – zapytała z tyłu Nia.

Chwila minęła, wrażenie się rozwiało.

Ahro zamrugał, po czym założył plecak na ramiona.

– Tak – powiedział. – Przepraszam.

Ruszyli dalej. Imponująca wysokość, na którą się wspięli, wystarczała, by odwrócić jego uwagę od echa tego, co przed chwilą poczuł. Kiedy doszli do pierwszego talerza, jakby nigdy tego nie było.

Kiedy pracowali, wiatr szarpał ich luźnymi ubraniami, grożąc, że wyrwie mu z uścisku torbę z narzędziami, on jednak trzymał ją mocno i na żądanie Ema podawał mu potrzebne narzędzia, czując się winny, że to mechanik wykonuje całą ciężką robotę, choć Nia postawiła sprawę jasno: ma obserwować i zapamiętywać wszystko, co się da. Stała parę stopni wyżej i opowiadała, jaki był ten księżyc, gdy odwiedziła go poprzednio, ponad dziesięć lat temu – jej czasu. Wtedy miejsce, gdzie mieszkają psy, było prawdziwym miastem. Ale, tak jak powiedział Gorlen, gdy kolonia podupadła, wszyscy się wyprowadzili.

– Dawniej było tu wielu muzyków – stwierdziła. – Niektórych mogłabym nazwać przyjaciółmi, ale oni zapewne też się wyprowadzili albo zmarli.

– Wcześniej – odezwał się. – To miasto. Jak wyglądało?

– Większe było. Za domkami z płyt stały wielkie namioty, takie na parę tysięcy osób, w większości handlowców, jak ja, nim zajęłam się transportem. Dopiero wyniosłam się z domu, mało jeszcze rozumiałam. Myślałam, że wolność pogranicza mnie uratuje. Miałam wtedy inny statek.

– Jak się nazywał? – zapytał.

– Też Debby. – Zaśmiała się. – Debby 1. Tani model z Pelikana, z takim tępym nosem z kokpitem w środku. Najpaskudniejszy złom, jaki w życiu widziałeś. Ale na nic lepszego nie było mnie stać. Kupiłam i od razu zwiałam ze Zjednoczonego Kosmosu. Parę miesięcy handlowałam. Tędy też przelatywałam; żywność i inne niezbędne rzeczy, za dzieła artystów, wtedy całkiem wartościowe, kiedy nazwa „Ariadna” jeszcze ludzi obchodziła. To miejsce żyło z handlu. – Westchnęła, patrząc na pustkowie. – I od handlu pewnie umarło.

– Była muzyka?

– Wszędzie. – Teraz już się uśmiechała. – Cała hala, dwa kilometry długości, tylko z instrumentami. Basy, lyny, wiolonczele. Koncerty uliczne. Nocne chóry na wydmach. Dobrzy byli. Naprawdę dobrzy.

Wiele cech Nii wciąż go dezorientowało. Głównie to, jak mówiła o własnej przeszłości. Przenikało ją wtedy tyle sprzecznych emocji, że trudno było poznać, co

naprawdę sądziła.

– Skoro byli tacy dobrzy, to czemu stąd odleciałaś? – zapytał.

Nia zamilkła, pod każdym względem. Ahro przez chwilę bał się, że powiedział coś, co ją zdenerwowało, szybko jednak zdał sobie sprawę, że ona po prostu myśli, jakimi słowami objaśnić tę trudną kwestię.

– Byłam szczęśliwa i nie byłam. Czegoś mi tu brakowało – powiedziała, poklepując się po piersi, po sercu. – Albo nie brakowało. Po prostu to coś spało i nic tutaj nie było w stanie tego obudzić. Czułam się z tego powodu samotna. Nie mam pojęcia, jak to inaczej wytłumaczyć.

Nie oczekiwała, że zrozumie; zdziwiła się, że po namyśle Ahro kiwnął głową.

– Znam to uczucie – powiedział.

– Znasz?

Postukał się w pierś w tym samym miejscu.

– Coś śpi. Tutaj.

Przez kratkę, na której stali, powiał wiatr, mierzwiąc im włosy. Przez chwilę Nia patrzyła na Ahra, jakby się zastanawiała, jak zinterpretować to, co powiedział. Wreszcie po prostu się uśmiechnęła.

– Dobrze, że to rozumiesz. Człowiek się wtedy samotnie czuje, prawda?

– Tak – przyznał.

Zerknęła na mechanika.

– Em, jak tam idzie?

– Trochę idzie, a trochę się cofa. – Mechanik miał ręce zanurzone po łokcie w terminalu, kable spływały mu po ramionach, po twarzy spływał pot. – I ten upał też nie pomaga.

– Mam to samo. Jak ten Gorlen to wytrzymuje, codziennie?

– Brak chłodzenia. Brak ludzi. Puste łóżko. Piasek, kurwa, we wszystkim. Aż dziw, że jeszcze mu nie odwaliło. – Przerwał na moment i uniósł wzrok. – A ty ile byś wytrzymała?

Nia westchnęła z namysłem.

– Dałabym radę rok, dwa, gdybym coś za to dostała. A ty?

– Miesiąc. Najwyżej.

– Miesiąc? Tylko?

– To znaczy, gdybym cały czas miał być sam. – Sięgnął po coś w terminalu. – Ale zmienić trochę parametry, przysłać mi od czasu do czasu specjalnego gościa i dałbym się przekonać, żeby zostać dłużej.

– Biedne kobiety.

– Wtedy mógłbym nawet dostrzec zalety pustej planety – ciągnął, puszczając złośliwość mimo uszu. – Można się zachowywać dowolnie głośno. – Wyszczerzył zęby do Ahra. – I nie ma obaw, że kogoś w środku nocy obudzisz.

Ahro przestąpił z nogi na nogę, doskonale wiedząc, do czego on nawiązuje, i żałując, że pozwolił mu wydobyć z siebie akurat tę historię.

Nia oparła się o poręcz i poprosiła Ema, żeby doprecyzował.

– No wiesz, jego kabina sąsiaduje z Sonją.

– Wiem. I? – zapytała.

– Sąsiedzi słyszą wszystko. Dajmy na to, energiczne badanie w środku nocy przez

dobrego doktora.

Kiedy pojęła, przycisnęła dłoń do oczu.

Ahro, spłoszony, przyznał:

– Nie byli zbyt cicho.

– Nie można mieć do nich pretensji – powiedział Em. – Trzecią rocznicę trzeba hucznie uczcić.

Nia z trudem powstrzymywała uśmiech.

– Przykro mi, że cię obudzili. Powiem im, że muszą być bardziej dyskretni, to nie jest coś, co powinieneś znosić. Ale jeśli ci znowu przeszkodzą, nie rozpowiadaj plotek po całym mieście. – Em przewrócił oczyma. – Tylko powiedz mi, a ja się tym zajmę. Bo chcemy też szanować prywatność załogi, prawda?

– Prawda.

– Statek rozplotkowany to…

– Statek niezdyscyplinowany – dokończył Ahro, znający już na pamięć wszystkie jej ulubione powiedzenia.

– Cieszę się, że słuchałeś. – Kiwnęła na Ema. – Ile to jeszcze zajmie?

– Prawie kończę. – Pstryknął palcami na Ahra, który na dany sygnał zanurkował do torby i podał mu pojemnik ze spaklegumą i nakrętkę łączącą.

Parę szczęknięć później siłowniki ze szmerem ożyły i talerz na boku masztu przesunął się z wielką pompą o parę stopni na lewo. Em zamknął pokrywę terminala, a Nia kiwnęła głową i poprowadziła ich do kolejnego, parę biegów schodów wyżej. Pomiędzy nimi robili sobie przerwę na wodę i zrecyklowane przekąski z jej plecaka, podziwiali pustynię, która z tej wysokości wydawała się nieskończona.

– Tam wylądowaliśmy – powiedziała Nia, wskazując na prawo.

Podczas pracy Em tłumaczył Ahrowi, co robi; jak najlepiej nakładać spaklegumę, jak się zabezpiecza, żeby serce mu nie eksplodowało od porażenia, okraszając to historiami o głupcach z przeszłości, którzy nauczyli się tego na własnych błędach. Ahro zaś, choć szczegóły techniczne zanadto go nie interesowały, słuchał, bo Nia go o to prosiła; te lekcje były ważne dla niej, a więc i dla niego.

Więcej nie zająknęli się słowem o nocnych schadzkach Royvana i Sonji, wisiało to jednak cały czas w powietrzu: obraz obudzonego chłopca, usiłującego nie słyszeć stłumionych jęków i klapsów. Ten obraz został z nimi nawet, gdy skończyli pracę i wpakowali się z powrotem do ciężarówki, Em bawił się świstkiem papieru, a Ahro oparł głowę o chłodną szybę, obrysowując palcem fale mijanych wydm i myśląc o tej dziwnej chwili na maszcie, gdy wydało mu się, że widzi nieskończoność; obaj otrząsnęli się nagle z własnych myśli, kiedy kapitan się roześmiała.

***

Gorlen widział w lusterku, jak śmiech ogarnia ich po kolei. Zazdrościł i żałował, że nie zna powodu i kontekstu, by móc się przyłączyć. Miał wrażenie, że zawsze jest w takich kwestiach poza nawiasem.

Droga od masztu do bazy zajęła dwadzieścia minut. Wjechawszy na szczyt ostatniej wydmy, widzieli już tarasowe lądowiska i Debby zaparkowaną na najwyższym

z nich, jak pszczoła na płatku kwiatu.

Gorlen wjechał na parking i zaprowadził panią kapitan do magazynu, gdzie czekały obiecane racje. Pokazał skrzynki, które były jeszcze w dobrym stanie, niepogryzione przez szczuropodobne. Kapitan sprowadziła najsilniejszą osobę, potężną kobietę, którą poznał dzień wcześniej. Przyjechała ładowarką i przewiozła skrzynki do windy, a stamtąd pod statek. Kiedy uporała się z ostatnią skrzynką, pomyślał, że na tym koniec – jednocześnie obawiał się ponownej samotności i cieszył się na nią, jak zawsze wyczerpany nowościami – kapitan powiedziała jednak, że jeśli mu to nie przeszkadza, odlecą dopiero rano, i zapytała, czy przyjdzie do nich na kolację.

Od bardzo dawna nikt go nie zapraszał. Kiedyś takie rzeczy były naturalne. Teraz już nie. Delektował się chwilą, gdy czekała na jego odpowiedź.

– A może ona też przyjść? – zapytał, pokazując mastiffkę, akurat robiącą kupę na piasku.

Suka patrzyła, jak Gorlen goli się przed wizytą, sunąc ostrzem pod włos i wytrząsając ścinki do zlewu. Golił się nieregularnie, mało miał ostatnio okazji, więc dłoń miał niepewną, parę razy zaciął się w podbródek i musiał tamować krwawienie ręcznikiem. Otworzył szafkę i pogrzebał w ubraniach. Westchnął, widząc, że jedyny reprezentacyjny strój to ostatni, jaki chciałby włożyć. Rozłożył go płasko na biurku i przez dziesięć minut trudził się nad usunięciem skrzydlatej oznaki Umbai z jego piersi za pomocą ostrza z maszynki do golenia. Wyrzucił swą hańbę do kosza i podciągnął spodnie, których od lat nie nosił. Były o dwa numery za duże. Pasek pomógł je podtrzymać. Zapytał sukę, jak wygląda. Spojrzała na niego bez zainteresowania, jakby już to wszystko widziała w jakimś proroczym śnie i teraz grała tylko skromną rolę beznamiętnej obserwatorki.

– Wiem, wiem – powiedział, pocierając podbródek i patrząc w lustro na ranki po tępej maszynce. – Nikt się nie nabierze.

O umówionej godzinie wjechał z psem windą na lądowisko Debby. Młody chłopak stał na zewnątrz z dwojgiem innych ludzi – mechanikiem i kobietą z szerokimi barami. Zmywali wodą z węży maszty radiacyjne statku, rozmawiając ze sobą, a pod nogi spływała im czarna maź Fałdu. Zastanawiał się, czy nie przyszedł za wcześnie, ale kiedy młody go zobaczył, pomachał i powiedział:

– Jedzenie już prawie gotowe. Musimy to skończyć, ale pan, jak chce, niech wchodzi. – Podjęli rozmowę, gdy ruszył po rampie. Idąc przez wysoką ładownię i schodami do głównego korytarza, nerwowo przebierał dłońmi. Denerwował się nadchodzącym posiłkiem.

Od wejścia słyszał głosy niosące się echem w korytarzu. Dotknął się pod pachą. Pocił się. Ledwie pamiętał, jak się mówi „Cześć”. Aby się uspokoić, z powrotem włączył swój dysk i puścił nagranie koncertu na Słonym Płaskowyżu.

Grzmiące bębny ukoronowały jego marsz naprzód, lecz siła, którą mu dała muzyka, uleciała natychmiast po wejściu w światła mesy.

Zatrzymał się niepewnie w drzwiach. Kapitan siedziała na kanapie i rozmawiała z łysym mężczyzną, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć. W przyległej do mesy kuchni groźnie wyglądająca kobieta rozstawiała na stole talerze, a przysadzisty facet z brodą uwijał się przy kuchence, rzucając przyprawy na ogień jak szalony alchemik. Łysy zauważył go pierwszy.

– Nasz gość! – wykrzyknął. Wszyscy się odwrócili. Gorlen pomachał do nich. Łysy facet wstał i gestem zaprosił go do środka. – Proszę, proszę, niech pan siada, niech pan się czuje, jak u siebie w domu. Tak, gdzie tylko pan zechce. Royvan już kończy gotować. Podamy za parę minut. I… o mój Boże, jak ja dawno nie widziałem psa… nie pamiętam właściwie kiedy. Mastiff, jeśli dobrze pamiętam? Czy mogę…?

– Nie lubi, jak się jej dotyka – powiedział Gorlen.

– Sartoris – rzuciła zażenowana pani kapitan. – Daj im trochę spokoju.

– Oczywiście. – Sartoris się zaczerwienił. – Przepraszam najmocniej. Po prostu dawno nie mieliśmy gości i ja… ojej, Vaila! Serwetki tak nie mogą leżeć!

Surowa kobieta nakrywająca do stołu rzuciła mu mordercze spojrzenie. Zaczęli kłócić się o właściwy układ sztućców, a kapitan usiadła obok Gorlena na kanapie.

– W poprzednim życiu był organizatorem imprez – wyjaśniła. – Od dłuższego czasu potrzebował się wyżyć. Przepraszam, jeśli będzie trochę zbyt nachalny.

– Nie ma problemu – powiedział.

Mastiffka obwąchała upuszczony kawałek hodowlanego mięsa pod kontuarem.

– Jak się nazywa?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Nie jest moja. Właściciel ją zostawił, tak jak wszyscy inni.

Poczuł lekki dreszcz, gdy zobaczył, jak kapitan mu się przygląda – jak intensywnie.

– Całe to miejsce – powiedziała. – Co się z nim stało?

Rzucił coś pośredniego między prawdą i kłamstwem.

– To samo co z milionem innych światów. Korporacja Zjednoczonych chciała go przejąć. Układ leży na zbiegu pięciu różnych prądów. Dobre miejsce na szlakach handlowych. Złożyli ofertę. A ludzie odmówili.

Kapitan kiwnęła głową. Chyba wiedziała, jak potoczyła się dalej ta historia. Mimo to opowiedział ją dokładnie, może dla własnego spokoju, nie był pewien. Skrzywił się, wyłączył dysk muzyczny w głowie i powiedział, co było dalej.

– Kiedy odrzucili ofertę, korporacja obeszła układ szerokim łukiem. Ariadna żyła z handlu, sprowadzała z innych światów żywność i narzędzia do napraw. No to korporacja pozbawiła ją tego handlu. Zmieniła szlak handlowy, żeby ją omijał. Zalała rynek tanią wtórną sztuką, „inspirowaną” oryginalnymi dziełami. Rozpuściła plotki o przestępczości i pladze pasożytów. Przekupiła duże firmy handlowe, żeby przeniosły się gdzie indziej. Biznes w dwadzieścia lat skurczył się do małego strumyczka, a przedstawiciele korporacji cały czas szeptali do ucha tutejszym władzom, że nie warto się już męczyć. Więc wyjechały, a za nimi wszyscy inni.

– Jedzenie gotowe! – zawołał facet z brodą.

– Dzięki, Roy – odpowiedziała kapitan. – Zawołasz resztę? – Kiedy kucharz wyszedł, zerknęła na niego. – A ty czemu zostałeś?

Gorlen wzruszył ramionami.

– Ktoś musiał zająć się psami.

Uśmiechnęła się.

Weszła trójka, którą widział na zewnątrz, z rękoma lepkimi i śmierdzącymi od pracy przy masztach; Sartoris powiedział, że muszą się umyć w łazience, zanim wolno im będzie przyłączyć się do reszty. Były architekt przyjęć usadził Gorlena

pomiędzy barczystą kobietą a mechanikiem – żałował, że nie ma lepszej pamięci do imion – i zanim zaczęli jeść, powstrzymał łapczywe dłonie.

– Proszę państwa, kultura! Najpierw należy obsłużyć gościa.

Gorlen miał ochotę mu powiedzieć, że nie trzeba, ale nie był w stanie znaleźć słów, wydukawszy tylko ciche podziękowanie, gdy młody chłopak nakładał mu smażone warzywa z patelni.

– Jeśli mogę, Nia, chciałbym wznieść toast – odezwał się Sartoris, wstając z uniesionym kieliszkiem.

Wszyscy jęknęli.

– Ale spróbuj się tym razem streścić w minutę – powiedziała kapitan.

Monolog Sartorisa o walorach dobrego jedzenia i jeszcze lepszego towarzystwa był dłuższy niż minuta, trwał około pięciu minut. Gorlen chciał na ten temat zażartować, żeby zaskarbić sobie życzliwość stołu, ale po skończeniu toastu wszyscy zaczęli jeść i moment przepadł. Kiedyś był w tym dobry. Potrafił z królewską pewnością siebie i książęcym wdziękiem zdobyć serca pelikańskiej arystokracji. Wtedy jednak był kimś innym.

Młodszym.

Kimś, kogo kochał i nienawidził.

Jedzenia nie było dużo, dość, by swobodnie ugościć cztery osoby na kolacji u Zjednoczonych. Gdy jedli te skromne porcje, został ponownie wszystkim przedstawiony, choć imiona uleciały mu z głowy natychmiast po usłyszeniu. Siedział oszołomiony, gdy oni odzywali się do siebie, warknięciami, śmieszkami, złośliwostkami, „nie wyżeraj mi z talerza", swobodnie, jak to w zaimprowizowanych rodzinach. Strasznie gorąco tu było. Czuł zapach własnego ciała. Do barczystej kobiety obok chyba nie dotarł, ale i tak się denerwował. Aby się uspokoić, puścił sobie pamięć muzyczną z czasów, gdy poszedł na randkę na występ Take Me Down, w hali na wydmach. Czuł miękkość jej dłoni w swojej, pijąc szarowino, które dostał przy tym stole, w kieliszku uzupełnianym przez Sartorisa gdy tylko go odstawił.

– Prawda, porcje jedzenia są małe, ale wina na ostatniej stacji kupiliśmy całe skrzynki. Ekspresowa wyprzedaż. Musieliśmy skorzystać. Niech pan pije, ile ma ochotę.

I pił, choć wino nie pomagało nadążać za kilkoma jednocześnie toczącymi się rozmowami.

– Ktoś mi doleje? – pytała kapitan, nadstawiając kubek.

– No przecież nie miałem wyboru – mówił brodaty kucharz do barczystej kobiety. – Więc mówię im: rękę trzeba amputować.

Młody chłopak obok nich starannie nakładał wszystkim porcje warzyw, aż kapitan powiedziała mu, żeby przestał i zaczął wreszcie jeść. Kobieta z pamięci muzycznej Gorlena uśmiechnęła się do niego, gdy zaczęła się kolejna piosenka, szepcząc, że ta jest świetna, a rozmowa na statku toczyła się bez niego.

– Zabrakło ryżu.

– Przyniosę – powiedziała surowa kobieta.

– A gdzie mój widelec?

– No i on patrzy na mnie, stuprocentowo poważny, i mówi: dobrze, panie doktorze, rękę możecie uciąć, ale możecie zostawić palce?

Barczysta wybuchnęła tubalnym śmiechem.

– To jest problem Ema, nie mój – rzuciła groźna kobieta do kapitan. – Zawieszenie zużywa się po iluś lądowaniach. To mechanik ma coś z tym zrobić. Widzę, że robi się ze mnie kozła ofiarnego.

– No nie, naprawdę tak powiedział?

– Kto ma butelkę?

– A pan się tutaj urodził?

Do Gorlena dopiero po chwili dotarło, że w tym gwarze Sartoris zadaje mu pytanie. Wyłączył pamięć muzyczną, jedynym śladem pozostało łaskotanie na uchu, w miejscu, gdzie skubnęła go wtedy dziewczyna.

– Nie – odparł, czerwieniąc się. – Na Falstaffie.

– Na Mieście-Planecie? – Łysy rozważał to przez chwilę. – To spory kawał drogi pan przeszedł.

– Przeszedłem. – Widział, że Sartoris jest wyćwiczony w umiejętnościach społecznych. Patrzył na niego, jakby był tu najciekawszą osobą. Jednakże miło mu było nawet po tym, jak zauważył tę technikę. Wszystko by mu powiedział. Prawie wszystko. – Usłyszałem, co mówią o tym miejscu. Więc przyjechałem. I zostałem.

– Ale zdaje się nie był pan muzykiem?

– Nie. Ale… – Ugryzł się w język i nie dokończył. – Po prostu fanem. Ciągle chodziłem do miasta na koncerty, kiedy jeszcze były koncerty. – A pomiędzy koncertami realizował plan korporacji, prowadzący do likwidacji koncertów.

– Musiało być pięknie.

– Tak. – Uśmiechnął się, nadstawił kieliszek, pozwolił Sartorisowi dolać wina. Przyswoił sobie historię dawnego znajomego i opowiedział ją jako swoją. – Byłem operatorem w bazie kosmicznej. Długie godziny, ciągłe odloty i przyloty, nielegalne dokowania, pomieszane rezerwacje, ciągle trzeba było być na gwizdek. To męczyło. Ale warto było, kiedy się posłuchało, jak grają.

Energia wokół stołu łagodnie się przemieściła. Nie zauważył, że reszta zamilkła, kiedy sam naprawdę się rozgadał. Dalej poniósł go już rozpęd, do spółki z jedzeniem i winem.

Opowiedział, jak wyglądało miasto, zanim władzę przejęły psy. Powiedział, że nie było piękniejszej muzyki niż ta, którą słyszało się rano z okna sypialni. „Jest takie stare przysłowie”, rzekł, „że uszy słyszą, ale słucha serce”. I w tamtych czasach jego serce było nasycone. Opowiedział o godzinach drzemania w fotelu operatora i weekendach spędzonych w mieście w towarzystwie nieznajomych ludzi, oklaskujących nowe dźwięki płynące ze sceny. Opowiedział o piciu. O tym, jak znalazł się wśród tej publiczności, o aspekcie swego charakteru, którego istnienia nie podejrzewał, dopóki nie odszedł ze Zjednoczonego Kosmosu.

Kiedyś marzył, o tym, że zagra z muzykami na scenie, ale szansa przepadła, bo muzyków już nie ma.

Nie ma, a przecież są.

Poklepał bliznę za uchem.

– Mam tysiące nagrań na dysku pamięciowym. Koncerty, które zapamiętałem. Rzućcie dowolny tytuł, a on pewnie tam będzie.

I zaczęli bawić się w tę grę. Ktoś przy stole wymieniał tytuł ulubionej piosenki

z dawnych lat, albo takiej, którą uważał za całkowicie nieznaną, a on szukał w swojej bazie, zaciskając pięści i spinając palce u stóp, aż prawie za każdym razem znajdował, albowiem to kiedyś było miasto muzyków, było ich wielu, a on prawie każdego dnia był na widowni i słuchał. I przybliżał im te wspomnienia, nucąc melodie i dośpiewując słowa, które był w stanie wyłapać, rozkoszując się zaskoczeniem i nostalgicznym zachwytem załogi. Wiedział, jak by to było na tej scenie.

– O, założę się, że znam piosenkę, której pan nie zna – powiedziała kapitan.

– Proszę spróbować – odparł z wyzywającym uśmiechem.

Załoga zaryczała.

– Piosenka z Surowcowego Świata – dodała. – Umbai-V. Rolnicy śpiewali ją pod koniec dnia. Pieśń na powrót do domu, tak ją chyba nazywali.

Zamknął oczy i poszukał.

Nia splotła ramiona.

– No, chyba go masz – stwierdził Royvan.

Jednakże Gorlen uśmiechnął się.

– Nie. Mam.

Był w jednej z mniejszych sal. Namiot Nayli. W prawej ręce trzymał wydrążony owoc, napełniony słabym, słodzonym drinkiem. Człowiek po lewej miał w nosie bardzo denerwujący gwizdek. A na wąskiej scenie stała kobieta w złotym, brokatowym kostiumie i mówiła, że następnej piosenki nauczyła się od swojej matki, a ona od swojej i tak dalej. Przekład był jej własny. Gorlen skrzywił się, przypominając sobie, jak niecierpliwy był dawniej – to przeciągłe westchnienie, którym przywitał gadającą bez końca piosenkarkę. „No, dawaj, zaczynaj”. W swoim czasie zaczęła. A gdy śpiewała, Gorlen, z miejsca w swej przeszłości, powtórzył jej słowa echem w kuchni Debby.

Plony z mych pól zebrane już,
Kosz dźwigam do miasta bram.
Idę do domu po ciężkim dniu,
Za światło piosenkę mam.
Dzień sobie weź, lecz noc mi daj.
Dzień sobie weź, lecz noc mi daj.
Do ognia drwa i piwa dzban na stół,
Pół dla mnie i dla ciebie pół
Droga bez końca ciągnie się,
Kamienie ranią do krwi,
Lecz przejdę pola, góry, wsie,
Bo u bram czekasz ty.
Weź sobie dzień, lecz noc mi daj.
Weź sobie dzień, lecz noc mi daj.
Do ognia drwa i piwa dzban na stół,
Bo wracam już,
Do ciebie wracam już.

Tłumaczenie było bezbarwne. Dawny Gorlen krzywił się, widząc kulawy rytm i dziecinne rymy, choć jego dzisiejsza jaźń bardziej pobłażliwie patrzyła na te cechy;

zresztą jego zdanie było i tak nieistotne, bowiem załoga była tak pijana, że oklaskiwałaby go nawet, gdyby zlał się na podłogę. Urządzili mu owację na stojąco, dyrygowaną przez Sartorisa, nie tylko za wygraną w tej zaimprowizowanej grze ale i za występ, który, choć przetykany fałszami i nerwową tremulacją, był pełen autentycznego uczucia. Tylko dwie osoby nie wstały – kapitan i chłopak. Nia klaskała bez energii, piosenka wprawiła ją w melancholijny nastrój, przypomniawszy noc spędzoną z głową na piersi Kaedy, czułą i dawno minioną. Myślała, jak mało prawdopodobne jest, że jeszcze kiedyś coś podobnego przeżyje.

Natomiast Ahro czuł teraz coś, czego nie potrafił wyjaśnić. Był zbyt zdumiony tymi odczuciami, by móc sformułować spójną myśl czy teorię; mógł tylko dać się im ponieść – jakby do piersi miał przyczepioną niewidzialną linę, która pociągnie go w górę, bez tchu, prosto w niebo, jak wielobarwny wir na olejnym obrazie, gdy tylko uśpiona w nim siła zatrzepocze powiekami.

***

Niedługo po występie posiłek dobiegł końca, osuszono ostatni kubek i przyszła pora, by się pożegnać. Stojąc w drzwiach do ładowni, Gorlen podziękował wszystkim za wspaniałą kolację i poczłapał do windy zjeżdżającej z płyty lądowiska. Myślał, że będzie to wspomnienie hołubił do końca życia, a potem przeklinał sam siebie, gdy wrócił do pokoju i zobaczył, że niczego nie nagrał.

Zresztą może i dobrze. Dysk pamięciowy był stary, a on tego wieczoru używał go dość lekkomyślnie. Usiadł na wytartej sofie, ściskając głowę, próbując wymasować z niej pulsujący ból po tym, jak dysk miał chwilowe zacięcie i rzucił w niego serią urywków muzycznych wspomnień, jakby chciał go gniewnie spoliczkować. Suka patrzyła z ciemności drugiego pokoju, gdy grymas zmieniał się w krzywy uśmiech. Należało się, pomyślał, za to, że użyłem duchów świata, który zniszczyłem, do tandetnej imprezowej sztuczki.

Jutro i pojutrze nadal będzie robił za opiekuna porzuconych psów i masztu łącznościowego, aż któregoś dnia Umbai się odezwie i powie, że flota budowlana jest w drodze. Nie będzie ostatnim człowiekiem na tym satelicie, lecz na pewno ostatnim, który pamięta koncerty. Będzie jeździł do miasta i z powrotem, zabijając czas, lata całe, słuchaniem wspomnień. Na pewien czas odnajdzie w tym spokój ducha i pogodzi się z koleją swego życia, aż nadejdzie taki dzień, gdy podejdzie do bramy i nie będzie już żadnego psa, który by zaszczekał.

Zapadając w sen, widział to wszystko przed sobą, jak na dłoni.

I mimo wszystko uśmiechał się.

***

Kiedy poszedł, załoga zajęła się sprzątaniem, rozmawiając o innych sprawach; jedynym wspomnieniem po jego obecności była zaimprowizowana recenzja jego występu, autorstwa Royvana, w której stwierdził, że jak na początkującego całkiem

nieźle, ale ten człowiek ma przed sobą długą drogę, jeśli chce kiedykolwiek jeszcze ściągnąć ludzi na ten świat dla samej muzyki – na co Sonja przewróciła oczyma, a potem trąciła go czule w łokieć. Chwilę później już tylko Ahro wciąż myślał o nim i jego śpiewie, marszcząc brwi na wspomnienie własnej fizycznej reakcji na tę muzykę, tańca nerwów na czubku głowy, wiatru dmącego z nagle otwartej przestrzeni.

Nie wiedział, co ma z tymi odczuciami począć.

Podniósł miskę psa i zaniósł do zmywarki, myśląc o piosence. Zerknął na Nię na drugim końcu mesy. Przyjrzał się wyrazowi zagubienia w jej oczach.

Też była wstrząśnięta.

– Idę zapalić – obwieściła, wycofując się z kuchni. Kobiety i Sartoris wyszli za nią, żeby podzielić się fajką.

Ahro stał w wejściu do mesy i patrzył, jak idą, niezdolny pójść za nimi, Nia powiedziała mu bowiem, że nie powinien oddawać się temu nałogowi. Przeszedł z powrotem do kuchni i usiadł przy stole z Emem i Royvanem, choć nie był w nastroju do gry w Skrzydła Tropików. Nie chciał być sam. Oparł policzek na dłoni i patrzył przez parę rund, dwie grzędy, całe gniazdo, zanim poszedł do pokoju i wrócił z fletem, żeby rozpracować melodię, którą uwięził mu w głowie ten człowiek, podczas gdy w grze Royvan robił z Emem, co chciał.

Kiedy odkrywał na nowo te dźwięki, kobiety i Sartoris wystawili na zewnątrz składane krzesełka, blisko krawędzi płyty lądowiska, by mieć widok na czarną pustynię, z reflektorami Debby za plecami. Na tej wysokości wietrzyk był chłodny, osuszał pot z czoła Nii i zwijał dym z fajki w przyjemne spirale. Wciąż czuła silną melancholię. Podała fajkę Sartorisowi i ostatkiem trzeźwości wspomniała rozmowę z Emem i Ahrem na wieży. Popracowała mięśniami szyi i zapytała resztę, jak długo mogliby żyć na takim świecie, gdzie nie ma nikogo innego. Sartoris kaszlnął dymem, co zabrzmiało jak piszcząca zabawka, i zapytał, czy można mieć książki; kiedy odpowiedziała, że nie, tylko pustynię i psy, odpowiedział:

– No to tylko parę tygodni – i przekazał fajkę Sonji.

– Pięć lat – rzuciła Sonja i podała fajkę Vaili.

Pilotka nie wzięła jej jednak, ani nie odpowiedziała na pytanie, była myślami daleko stąd, przesuwając w palcach żarzące się paciorki ladeum.

– Przepraszam – powiedziała, zorientowawszy się, że wszyscy na nią patrzą. – Jakie było pytanie?

– Jak długo byłabyś w stanie tu żyć, sama?

Nia musiała wytężyć wzrok w ciemności, żeby dostrzec jej uśmiech.

– Tyle, ile trzeba – odparła.

***

W kuchni Debby zagrana została ostatnia karta i rozmowa zeszła na pracę. Royvan rozparł się na krześle, a Em siedział nachylony, opierając podbródek o kubek. Ahro, pomiędzy nimi, z fletem na stole, słuchał uważnie, jak doktor mówi, dlaczego dołączył do tej załogi.

– Przyszedłem, bo tak mi powiedziała Nakajima. Tak samo Em. Prawda, Em?

Em, naprzeciwko, kiwnął głową, ze wzrokiem utkwionym w swoich kartach.

– Tylko dlatego?

– Nie dowierzasz. Rozumiem to. Piętnaście lat to spore wyrzeczenie. Ale musisz rozumieć, Ahro, że wystarczy, że stracisz jednego pacjenta… – Zaśmiał się niewesoło. – Jednego znanego, zdolnego i kochanego pacjenta… i oni cię zniszczą. Ukarzą za wszystko, na co nie miałeś wpływu, i wrzucą do zsypu na śmieci. Tak właśnie było ze mną. W jeden dzień zmieniłem się z najbardziej uznanego lekarza na Stacji Przedrzeźniacz w mieszkańca slumsów na Mieście-Planecie. – Westchnienie. – I trochę tam pożyłem.

– Pewnie byliśmy sąsiadami.

– Z sąsiednich kartonów. – Royvan uśmiechnął się, pocierając bokobrody i przywołując dawne wspomnienia, o których wolałby nie mówić. – I tam znalazła mnie Fumiko. Jeszcze chwila i bym ze sobą skończył. Zaoferowała mi swoją służbę. Kiedy najsłynniejsza kobieta w galaktyce zagląda do twojej okropnej nory i proponuje nowe życie, bierzesz.

Historia Ema była krótsza.

– Próbowałem ukraść jej statek. Złapała mnie i powiedziała, że zaimponowałem jej. I zatrudniła mnie.

Royvan zaśmiał się.

– Aż takie proste to nie było.

– No, nie było – przyznał tamten, ale nie rozwinął tematu, co nie zaskoczyło Ahra. Dobrze wiedział, że mechanik uwielbia plotki, ale we własnych sprawach jest bardzo dyskretny.

– Fumiko często tak robi – powiedział Royvan. – Wciąga zagubionych na swoją orbitę, wychowuje na lojalnych służących, dla spraw, o których wie tylko ona. Uruchamia ich, kiedy trzeba. Ma dostęp do takiej masy informacji, że wie, kiedy po kogo wyciągnąć rękę. – Napił się, zgrzytnął zębami. – Kiedy mnie znalazła, myślałem, że jestem kimś specjalnym, dopóki się nie dowiedziałem, że takich „wyratowanych” przez nią są setki. – Westchnął. – Więc teraz robię, co mi każe.

– Nie lubisz jej? – zapytał Ahro.

Royvan parsknął śmiechem.

– Kocham ją – powiedział. – Ale w ogóle jej nie znam.

– A kto kogoś zna? – burknął Em do kubka.

– Dobrze mówisz, głupku.

– A Vaila? – odezwał się Ahro.

Dwaj mężczyźni zerknęli po sobie. Żaden się nie odezwał. Ahro bał się przez moment, że popełnił jakiś nietakt, aż wreszcie Em odparł szeptem:

– Była jedną z jej nałożnic.

***

Terminal linii awaryjnej zatańczył Sartorisowi w kieszeni. Rozwinął go, a kiedy zrobił ponurą minę, Nia otrzeźwiała, pozostałe kobiety także. Wszyscy usiedli prosto

na krzesełkach.

– Co mówi? – zapytała.

– Twoja prośba o skrócenie kontraktu zostaje odrzucona – odczytał na głos. Chwila ciszy. Pusty dźwięk wiatru. – Kontynuujcie podróż, dopóki chłopiec nie ujawni swoich zdolności, tak jak jest zapisane w kontrakcie. Spodziewajcie się pełnego wymiaru kar, jeśli ty lub ktokolwiek z załogi wrócicie, zanim to się stanie albo przed upływem piętnastoletniego okresu. Odtąd wszystkie raporty mają dotyczyć rozwoju chłopca i tylko tego. Wszelkie zbędne szczegóły zostaną zignorowane. Podpisano: Nakajima. – Westchnął, odkładając urządzenie. – Spodziewałem się, że powie coś takiego.

– Myślisz, że wrócimy przed upływem piętnastu lat? – zapytała Sonja.

– Nie – odparła Nia, a noc dopadła ją szybciej, niż się spodziewała. – Nie myślę.

Nikt z nich nie wierzył, że Jaunting jest możliwy. Od dawna był przedmiotem dyżurnego żartu. Nia udała kiedyś, że zostawiła w którymś mieście szczoteczkę do zębów – nie pamiętała w którym – i zapytała Ahra, czy nie mógłby tam po nią „zjauntingować". Kiedy zamknął oczy, jakby w wielkim skupieniu, wszyscy w mesie zamilkli, zastanawiając się, czy coś się wydarzy – póki nie przycisnął palców do skroni i nie pierdnął, w definitywnej odpowiedzi na ich pytanie. Zatem, usłyszawszy najnowszą wiadomość od Fumiko, Nia wzięła jeszcze pożegnalnego bucha z fajki, zanim z westchnieniem wypuściła dym z ust. Zamknęła oczy, lecz otworzyła jedno, gdy Vaila dziwnie spokojnym głosem zapytała Sartorisa:

– A powiedziałeś jej, że za nią tęsknię?

Pauza.

– Tak – odrzekł cicho Sartoris. – Powiedziałem.

Skłoniła głowę.

– Dziękuję ci.

Nia patrzyła na nią przez dym.

***

Trzeba było wyjaśnić kontekst. Royvan zaczął od samego początku:

– Fumiko nieregularnie zagląda na Pelikana, czasem dwa razy w roku, czasem raz na dziesięciolecia. To zawsze wielkie wydarzenie. A na czas wizyty jedna szczęśliwa kobieta zostaje wybrana na jej nałożnicę. Farbują jej włosy, barwią oczy, co nie tylko. – Nalał sobie kolejną szklankę. – Vaila była jedną z jej ulubionych. Kiedy tydzień z nałożnicą dobiega końca, płacą jej tyle, że może z tego żyć przez kilkadziesiąt lat, i nigdy więcej nie widzi Fumiko na oczy, natomiast Vaila… Ona zatrudniła Vailę, wzięła ją tak, jak wzięła nas.

– Była dla niej kimś szczególnym – dodał Em.

– Bardzo szczególnym. Osobistą pilotką spędzającą czas na podróżach z najsłynniejszą kobietą w galaktyce.

– Ale nie aż tak szczególnym – dorzucił Em i szepnął do Ahra: – Fumiko miała inne nałożnice.

– I co z tego? Widziałem gramy. Vaila wyglądała na szczęśliwą, jakby zupełnie jej

to nie przeszkadzało.

Em prychnął.

– No i patrz, co z tego ma. Rzuciła ją tutaj razem z nami. Zapomniana na pograniczu.

– Diament w blaszanej puszce – podsumował Royvan.

– To się nadaje na tytuł piosenki – stwierdził Em.

– Bo to jest tytuł piosenki, przygłupie.

Zamilkli, usłyszawszy kroki reszty załogi. Ahro bał się, że słyszeli ich plotki, lecz zaraz się wyzbył tej obawy, gdyż Nia siadła przy stole i wyjaśniła, czemu mają tak przygnębione miny; wieść od Nakajimy sprawiła, że czekające ich lata były już pewne. Jak to ujęła, robota na długie lata. Wiedział, że ta nowina powinna go ucieszyć, że będzie w miejscu, które bardzo kocha, lecz słysząc napięcie w głosach innych, mówiących „dobranoc", poczuł wielki ciężar, każący mu powłóczyć nogami przy każdym kroku. Poza tym miał rozproszone myśli. Leżał w łóżku, myśląc o tym niewytłumaczalnym pociągnięciu za serce i tańcu w głowie, które wcześniej poczuł. Przypominało to trochę wrażenia budzące się przy słuchaniu białego szumu Fałdu, lecz podkreślone, uwydatnione i silniejsze. Dotknął piersi niepewny, co zwiastują te odczucia, co znaczą.

Z sąsiedniej kabiny dobiegały odgłosy miłości – cichsze niż poprzednio, lecz wciąż słyszalne; krótkie, ostre jak nóż sapnięcia, nie był pewien, czy Sonji, czy Royvana; szelest ręki przesuwającej się po pościeli i ramieniu kochanka. Szepty zza ściany. Wprawiały go w trans, który przeżywał ostatnio prawie każdej nocy. Nia powiedziała mu, że w ten rok nauczy się radzić sobie w życiu, jednak dzisiejszej nocy, słuchając odgłosów miłości, dostrzegł, że niektórych rzeczy nigdy się na tym statku nie nauczy. Że są lekcje, których nie udzieli mu nikt z załogi.

Wyobrażał sobie, jak to jest być tak blisko kogoś. A kiedy wspomniał tę siłę, która ciągnęła go ku wirowi gwiazd na niebie, zaczął się zastanawiać, jak daleko musi pójść, by znaleźć takie towarzystwo.

7.

Rok nauki

Następnego dnia rano czekały na niego w kokpicie. Vaila w fotelu pilota, Nia stojąca obok niej, najbardziej przytomna ze wszystkich, kiwająca na Ahra, by podszedł bliżej.

– Popatrzysz na procedurę startu – powiedziała. Jej dłoń ugniotła jego bark na plastelinę. – Vaila ci wszystko po kolei opowie. Tak jak z Emem na maszcie, nie spodziewamy się, że wszystko złapiesz za pierwszym razem. Wystarczy, że będziesz patrzeć i słuchać. Praktyka przyjdzie później.

Zajął miejsce w fotelu drugiego pilota, zastanawiając się, co myśli Vaila, pokazując gestem konsolę – czy nawet teraz, zaczynając lekcję, marzy o Fumiko.

– Jest pięć testów bezpieczeństwa, które każdy dobry pilot robi przed startem – powiedziała. – Paliwo. Silniki. Struny. Tryby. Żagle. Nawet w sytuacji awaryjnej trzeba przez nie przejść. Jedna z tych rzeczy jest zagrożona, to zagrożony jest cały lot. – Objaśniła mu wszystkie wykonywane czynności, przestawiając przełączniki na tablicy nad nim, kręcąc małą gałką obok imponującej dźwigni, a kiedy skończyła, zapytała: – To jakie są testy bezpieczeństwa?

– Paliwo. Silniki. Struny – powtórzył.

– I?

Spojrzał na Nię, szukając pomocy.

– Tryby i żagle – dokończyła za niego. – Zapamiętaj to. To ważne. – Machnięciem dłoni otworzyła okienko konsoli i pokazała mu, jak rozwinąć skrzydła.

***

Rok nauki zaczął się od obserwowania. Przychodziło mu to naturalnie, bo Cichy Statek nauczył go, jak być cieniem na ścianie i wyprzedzać potrzeby osób, którym służy. Na posterunku-sondzie zakażonym czerwoną grypą podawał Royvanowi świeże rękawiczki z pudełka, tak jak niegdyś Pani Wiolonczelistce pudełko z kalafonią. Słuchał doktora zadającego kolejnemu pacjentowi pytania z listy: kiedy pojawiła się wysypka? Jak bardzo swędzi i czy postrzega kolory bardziej intensywnie, czy mniej?

Podczas startów i lądowań siedział w kokpicie, obserwując intensywne zmarszczenie czoła Vaili i błysk w jej oczach, gdy targała sznurki kociej kołyski, podrywając Debby z ziemi. Choć niewiele mówiła, dużo się o niej dowiedział. Dokładnie widział,

kiedy jest najszczęśliwsza – podczas manipulowania kocią kołyską statku. Przez podeszwy butów czuli grzmiące detonacje silników korekcyjnych.

Sonja wręczyła mu rozładowany karabin i kazała zapoznać się z jego ciężarem, jego siłą, zrozumieć, jak złudna to siła.

– Za spust może pociągnąć każdy debil – powiedziała. – Człowiek inteligentny wie, że w większości wypadków nie trzeba.

Siadł przy niej po turecku na niebieskiej plandece i słuchał szczęknięcia przesuwającego się zamka, gdy wzięła tę siłę z jego rąk i zaczęła ją rozkładać, część za częścią, aż przywróciła broń do pierwotnego stanu, czyli niczego.

Z Emem siadał na ławeczce obok cykających trybów rdzenia fałdowego, pulsującego światłem szklanego tronu, i odliczał prawidłowy rytm napędu, w metrum na sześć ósmych.

– To jest jak z sercem – powiedział mu mechanik. – Jak już usłyszysz ten rytm, nietrudno się zorientować, kiedy jest coś nie tak. Wystarczy posłuchać. Przyłożyć palec do szyi i policzyć puls.

Zdjął osłonę pod rdzeniem i pokazał Ahrowi żyły statku. Pokazał, jak działają światła i automatyzacja. Sploty kabli, których przeznaczenia nie dało się ustalić tylko po kolorze.

Sartoris wygłosił wykład o pierwszej kobiecie, która wyprawiła się do Fałdu, dawno temu; o tym, jak chwycił ją Prąd Energiczny i wróciła na Ziemię dwadzieścia lat później, sądząc, że wyruszyła zaledwie wczoraj. To była pierwsza podróżniczka.

– Historia to kontekst! – zawołał. – Ludzie rozumieją tylko przez kontekst!

A po skończeniu wykładu, mając wolny czas, Ahro siadł w kabinie i przez dozwolone dwie godziny grał na flecie, czując mrowienie skóry głowy, kiedy ćwiczył pieśń na powrót do domu. Przestraszyło go to uczucie, czy raczej to, co mogło znaczyć. Zaintrygowało. Przeszedł z piosenki spiralnie w nowe formy, nowe melodie, tak przyzwyczajony do tego rezonansu, że nie uświadomił sobie, że jego moc i amplituda narastają.

Nia wypełniała mu dzień zadaniami, jakby wiedziała, czego chce, i obawiała się, co się stanie, jeśli będzie miał czas, by samemu tego poszukać. Nie wolno mu było już chodzić po osadach i miastach odwiedzanych światów z Sonją w roli ochroniarza – miał być u boku swojej pani kapitan, gdy ta szukała pracy w centrum dla przyjezdnych; przytłoczony jazgotem tłumu na ringu, śliną pryskającą z rozkrzyczanych, zdesperowanych ust; łokciami zderzającymi się z jego głową; głośnymi i agresywnymi atakami na tej ciemnej arenie. Próbował chwycić Nię za rękę, rozpaczliwie szukając jakiejś otuchy, jej dłoń wymykała mu się jednak jak ryba, dlatego że, jak mu później powiedziała, nikt nie zatrudnia kapitana, który wygląda na słabego. Stał przy niej w ciżbie ludzi walczących o swoje i robił, co mógł, by uczyć się, gdy wykrzykiwała, kim jest i co potrafi, pod balkonem pełnym pracodawców, z kartą informacyjną nad głową. Przez resztę dnia starał się pozbyć dzwonienia w uszach, wspomnień z dni koncertów, gdy struny skrzypiec cięły korytarze Cichego Statku, a jego ręka leżała na stole, z łamaczem przyłożonym do kości promieniowej. Trzasku kości. Przebywanie na ringu podniosło mu poziom adrenaliny i ten stan utrzymał się aż do wieczora, gdy w swojej kabinie Nia tłumaczyła mu, dlaczego przyjęła lub odrzuciła dane zlecenie i komu można zaufać.

– Nauczyłam się na własnych błędach – mówiła. – Ty możesz skorzystać z moich lat doświadczenia.

Nie powiedział jej o ożywionych wspomnieniach, wiedział, jak bardzo smucą ją te opowieści. Po prostu słuchał.

Podpisywały się kontrakty, przyjmowały się zlecenia. A on obserwował. A potem stopniowo zaczynał brać udział. Nosił wodę czy torbę z narzędziami. Zasypiał na ramieniu Sonji podczas długiej nocy na warcie, budzony szturchnięciem jej łokcia. Mówiła mu, że na sen będzie czas później. Uczył się prowadzić wypożyczoną ciężarówkę, choć lekcja skończyła się szybko, gdy zderzył się z jednym z odbojników na kei. Skurczył się w fotelu, a Nia potarła skroń. Przewrócił ładowarkę, źle oceniwszy jej udźwig, i jak żółw mozolnie próbował przekręcić się z powrotem, zaś nad nim rechotał Em. Sięgnął po dłoń Nii w ringu dla pilotów i został odtrącony.

– Powiedz, dlaczego nie możesz trzymać mnie za rękę.

– Wyglądałabym przez to na słabą.

Wolny czas miał racjonowany. Spędzał go wyczerpany w kajucie, grając na flecie, uspokajając się przed snem tą samą powtarzaną w kółko melodią. Niewidzialne iskry tańczyły mu nad głową, gdy nabierał coraz większej pewności, co się dzieje, kiedy gra pieśń na powrót do domu, i zapytywał sam siebie, wstrząsany rezonansem, gdzie jest tamten inny świat, kiedy go znajdzie i dlaczego tak tego pragnie.

Tylu rzeczy o sobie nie wiedział.

Wiedział za to wiele o pograniczu. Składało się ze skał, morza i nieskończonej pustyni. Nieskończonej przestrzeni przetykanej ludzkimi wykrzyknikami. Posterunki i z rzadka miasta wykwitały jak dzikie ogrody po drugiej stronie czarnych gór. Większość światów, które odwiedzali, była niezamieszkana, nie licząc paru wież na wzniesieniach i kopułowatych budynków na polanach wśród dżungli. Byli tam ludzie, niektórych przyjezdni ciekawili, większość jednak była nieufna i wycofana. Słabo uspokajały ich zapewnienia, że nie współpracują ze Zjednoczonymi i nie przyjechali przejmować planet. Ciekawili go ci ludzie. Nigdy jednak nie miał okazji z nimi porozmawiać – zjeść wspólnego posiłku przy ogniu i dowiedzieć się, jak to jest żyć pod niebem rozświetlanym żyrandolami zielonych krystalicznych chmur; większość z nich płoszył sam widok karabinu Sonji. Trzymali się na dystans, zostawiali mu szeroki pas drogi, kiedy szedł w ślad za Nią po kolejne zlecenie. Na jednym z oceanicznych światów dostrzegł kątem oka nurków wracających ze świeżym połowem, a poblask wody spływającej z ich szerokich barków rozpalił w nim żar, gdy usiłował się skupić na myciu żagli Debby – wciąż zerkał na nich kątem oka, a czarna kałuża pod stopami plamiła mu buty. Jeden uśmiechnął się do niego, iskra na moment buchnęła płomieniem, aż został tylko dym, gdy zza wspornika podwozia Debby wyłoniła się Sonja, z ostrzegawczo szeroko uśmiechniętą lufą Błazna, i mężczyzna zniknął.

Czasem roboty nie było i brakowało zapasów. Trafiały się wieczory, gdy posiłek był skąpy i kładli się spać z rozdrażnionymi żołądkami, zapadając w niespokojne sny. Jemu takie noce nie przeszkadzały. Głód poznał dużo wcześniej niż Nię – i w dziwny sposób uspokajało to dobrze znane uczucie, wiedział bowiem, że nikt nie obudzi go okutym czubkiem buta i nie będzie łamał mu kości. Głód był przydatny jako odwrócenie uwagi; hamował inne myśli, które miewał przed snem, myśli zainspirowane widokiem mężczyzn wracających znad wody z ciałami jak węgorze i rekiny, myśli,

jak to by było śpiewać z nimi piosenkę, której nauczył się na psim księżycu. W noce, gdy go tak nie męczył, gmerał w ciemności przy własnym ciele, udając, że nie jest sam; obejmował się własną ręką; palcem wodził po własnych wargach; te noce kończyły się frustracją, przyciskał twarz do poduszki, napominając sam siebie, że jest późno i trzeba trochę odpocząć przed kolejnym dniem pracy.

Najpierw jednak grał kolejną melodię.

A spomiędzy jej nut wyłaniała się wizja czarnego oceanu.

***

Im bardziej mu się udawało, tym bardziej załoga traktowała go jak równego sobie. Nie było już dziecka, z którym trzeba się pieścić. Otwierali części swojej jaźni, które wciąż bolały; wyjawiali skojarzone z nimi imiona. Zaciskając pasy mocujące skrzynie do podłogi ładowni, Em wyśpiewywał historię ze swojego dawnego życia na Galenie. Chaotyczne budy slumsu, który był jego domem, gdzie mieszkał z Nandą, kotem o dwóch ogonach, i gdzie co drugą noc odwiedzał sypialnię brutalnej królowej czarnego rynku, Morissy Algernon, która po nocnych obłapiankach szorstko rzucała, że jeśli kiedyś rozczaruje ją w łóżku, każe go zabić, mimo że powszechnie było wiadomo, że jest jej jedynym kochankiem. Nigdy się nie dowiedział, czy żartowała.

– Dalej nie wiem, czy mnie lubiła – dodał z rzadką u niego nieśmiałością.

Sonja, uprawiająca jogging w pustej, wąskiej dolinie, opowiedziała mu pomiędzy haustami powietrza historię o człowieku, który uratował ją na polach gazowych Surowcowego Świata. Pacyfikowali bunt rolników, wyjaśniła, szli pomiędzy rzędami rur i tupali, szukając przykrytych kryjówek, gdy jakiś nerwowy przygłup uaktywnił minę wciśniętą pod kołnierz zaworu od argonu. Blask eksplozji był jak kwiat. Jednym błyskiem zmiótł pół oddziału. Ją cisnęło na plecy. Po szybie hełmu przeskoczyło cieniutkie pęknięcie. Neurotoksyny wdarły się ze świstem do środka. W tym momencie opowieści przestała biec. Odwróciła wzrok od niego, opowiadając coś, czego nigdy nie zapomni – jak pewien człowiek uratował ją, ściągając własną maskę i wciskając jej ją siłą na głowę, a jego ostatnią reakcją był maniakalny, krwawy śmiech, gdy toksyny wypalały mu mózg na groszek.

– Norrin – powiedziała. – Dzieciak. Niewiele starszy od ciebie.

Pojawiały się imiona ludzi, którzy zmarli i żyli jedynie w ich wyrażanym szeptem żalu. Pacjentka, której nie uratował Royvan, zgon, który zniszczył jego karierę.

– Justyna Najwyższa, królowa twoich mokrych snów. Nieśmiertelna, do czasu. – Nalał sobie resztkę wina, aż wybrzuszyło się meniskiem. – Nie każdego da się uratować. Niektórzy po prostu umierają. I nie ma znaczenia, jak się przyłożysz, umarł to umarł. Umarł to umarł. – Napił się, uśmiechnął czerwonymi zębami, szepnął ponownie to imię, spotykając się z Sonją pod jej włazem i znikając w tym wyrozumiałym i nieznanym mroku razem z nią.

A Vaila… w historiach, którymi się dzieliła, jej własne imię nigdy nie występowało; mówiła o innych ludziach – o kobiecie, która zaprojektowała pierwszy fałdoakcelerator, o mężczyźnie, który stworzył dzieło sztuki, jakim była wojskowa żmija Przedrzeźniacz. Historie z innych czasów. Jej nerwowość z dnia egzaminu na pilota

i to, jak o mało co nie zderzyła się z namiotem obserwatora. Nigdy nie wypowiedziała imienia ukochanej osoby, lecz nie musiała. Ta opowieść tkwiła w ściskanych przez nią paciorkach ladeum, w całych dniach, kiedy nie odzywała się do nikogo, zamknięta w przeznaczonych tylko dla siebie fantazjach. Tak oto poznał imiona Nandy, Morissy, Norrina, Justine i Fumiko. Oraz Deborah – imię, które wyszeptywała Nia po zgaszeniu świateł, będąc z nim sam na sam w swojej kabinie. Siostra, którą pozostawiła, żeby zacząć nowe życie bez obciążenia długami ojca-hazardzisty.

– Matka miała taką serię książek – powiedziała. – Ze Starej Ziemi. Pierwsze wydanie. Były bezcenne. – Zaśmiała się ponuro. – Sprzedałam je za jeden bilet. A i to było tanio w porównaniu z dzisiejszymi cenami.

Słuchał, gdy wyznawała mu dawne żale – dawno nieobecnych przyjaciół, za którymi tęskniła, Siostrę, Durata, Baylina, imiona z innego życia, których twarze były już rozmyte w jego pamięci, za to u niej ostre, jakby to było wczoraj. Był przy niej, kiedy mówiła na głos o wszystkim, co chciałaby w życiu zrobić inaczej, o słowach, które powstrzymała z dumy, a on następnego dnia uśmiechał się wyrozumiale, gdy przepraszała go za swoje zachowanie i powtarzała, że nie jest odpowiedzialny za jej samopoczucie.

– Jedyną osobą, o którą musisz się troszczyć, jesteś ty sam – mówiła.

Nie powiedział jej o muzyce.

O tym, co się z nim dzieje.

Praca nie była zła. Lubił być przydatny, czuć, że przynależy do ich towarzystwa. Były dni, kiedy to wszystko się spinało – kiedy i praca, i lekcje dawały mu największe szczęście, jakie czuł w swoim krótkim, choć pełnym perypetii życiu. Był też dzień, kiedy naprawdę poczuł się dorosły. Wreszcie pozwolono mu włożyć jeden ze skafandrów w śluzie i wyszedł ze statku z Nią, w kosmiczną pustkę, z pępowinami kreślącymi za nimi sinusoidy, kiedy wspinali się po szczeblach na kadłubie, kiedy tupali magnetycznymi butami po dachu swego domu, idąc nad kokpit, gdzie pokazała mu bikon ratunkowy oraz jak w razie konieczności ręcznie rozłożyć jego antenę. A kiedy skończyła wykład, zapadła cisza, bo do obojga jednocześnie dotarło, jak wyraziste są gwiazdy – plamisty wir pogranicza, kleks farby, niedokończone dzieło sztuki. Wszystko bardzo daleko, wszystko nieważne, nic, tylko ich dwoje uśmiechających się do siebie za szybkami hełmów, ona unosi rękę i pozwala mu na wyłączenie magnesów w butach, żeby mógł się unieść nad nią, jak to robił wiele razy wcześniej w kuchni, z ciepłą pewnością, że jest bezpieczny, że ona go nie opuści, i mroczną wątpliwością, co by było, gdyby jednak, i gdzie by się znalazł, gdyby nie trzymająca go dłoń.

Podczas zleceń obserwował nieznajomych ludzi w swoim wieku łażących po słabo oświetlonych zaułkach co większych miast, pięknych w swojej niemal dzikiej energii, z wyciem poznających świat, którego on nigdy nie dotknie. Marzył, żeby zawyć wraz z nimi. Z rozmarzenia wyrywały go szturchnięcia Nii, jej dłoń na przegubie, spokojne, lecz stanowcze napomnienia, że trzeba iść dalej.

– Robota czeka.

Zawsze odlatywali.

Paliwo. Silniki. Struny. Tryby. Żagle. Pod koniec roku stał się jednym z nich. Sam jeden rozwijał ręcznie żagle, spawał złamane wsporniki; nakładał żel zasklepiający na

powierzchowne rany na rękach Ema poranionych przez ostre mosiężne zęby trybów rdzenia; robił zaimprowizowaną szynę z materiałów znalezionych w izbie chorych, kiedy Vaila skręciła kostkę, schodząc z kokpitu, za co podziękowała mu parę fałdowań później, obdarowując go różańcem, który zrobiła z różnokolorowych kamyków. Kiedy wchodzili z Sonją na płaskowyż, a ona ustawiała na kamieniu pustą butelkę, na tyle daleko, że wyglądała jak punkcik, on rozbijał ją jednym strzałem z karabinu Gaussa, czując aż mdlącą dumę. Pod koniec roku pozbył się także lęku przed ringiem. Nia promieniała, kiedy przepychał się przez ludzi i ich dym, z trzymaną wysoko sygnaturą Debby i krzyczał: „Kapitan Nia Imani! Frachtowiec klasy Pstrogłów! Lekarz po Graciliusie! Żołnierz po dziesięciu ekspedycjach! Maksimum trzy dni! Kapitan Nia Imani! Pstrogłów! Siedem osób fachowej załogi! Gotowi od zaraz! Tak! Pan! Tędy!”. I kiwał na zleceniodawcę, żeby poszedł za nim do czekającej pani kapitan. Kolejna robota, kolejny posterunek widziany tylko zza szerokich barów Sonji. Zmęczony i ociężały pod koniec dnia. Zamykające się oczy, umysł pomiędzy światami, gdy przyciskał flet do ust i czuł iskrę, która niedługo miała rozkwitnąć w płomień, zaraz po jego siedemnastych urodzinach.

***

Uczcili je jego pierwszą fajką. Zapalili ją pod zielonym niebem usianym białymi balonami odmierzającymi równymi odstępami tkaninę nieba. Dym rozdął mu umysł i natchnął palce, gdy grał na lynie, flecie, stukał dłońmi w bębenki – kolekcję instrumentów zebraną podczas kolejnych rejsów. Grał melodie, które skomponował w myślach podczas pracy; balladę dla Sonji i Royvana, którzy wolno tańczyli razem, ich związek już nie był tajemnicą poliszynela, a pijany Em pląsał wokół nich. Później, kiedy Nia i Vaila zaczęły grać w karty na odwróconej skrzynce i rozkładanych krzesełkach, Ahro zwolnił tempo gry na lynie i zerknął na Sartorisa, swego nauczyciela, a w głowie kipiały mu myśli o miłości.

– Byłeś z kimś kiedyś? – zapytał z głupia frant.

Starszy pan otworzył jedno oko.

– Masz na myśli w romantycznym sensie?

Trącił struny, kiwnął głową.

– To tak – odparł. – Byłem. – Teraz otwarte było oboje oczu. – Chociaż mój związek był nieco inny niż to, o czym, jak sądzę, myślisz. Byłem z grupą podobnie myślących ludzi. Żyliśmy razem przez kilka lat, dzieląc się wszystkim oprócz fizycznych ciał. – Uśmiechnął się, myślami był daleko stąd. – Wiele się od nich nauczyłem. Rzadko zdarza się dzień, bym o nich nie pomyślał.

– A co się z nimi stało?

Poruszył głową z boku na bok, jakby mówiąc „to i tamto”.

– Z tego, co wiem, dalej są razem, z paroma nowymi osobami. Jeśli jednak pytasz, czemu ja z nimi nie jestem… No cóż, powiem tylko, że byłem młody i źle postąpiłem. – Uśmiechnął się bez radości. – Byłem okrutny.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

Zaśmiał się.

– Możesz sobie myśleć różne rzeczy, ale jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem, a śmiertelnikom zdumiewająco łatwo przychodzi okrucieństwo, kiedy się boją.

Gdy westchnął ciężko, Ahro zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział go tak smutnego. A potem, jakby uświadamiając sobie, jak wypada przed swoim uczniem, Sartoris się wyprostował.

– Mam jednak nadzieję, że to cię nie zniechęci do uczenia się miłości samemu, jakakolwiek by była – powiedział. – Chciałbym ci powiedzieć, że choć żałuję, to i tak zachęcam do miłości. Sam powtórzyłbym to wszystko, gdybym tylko mógł, mimo niefortunnego zakończenia.

Kątem oka spostrzegł, że Nia położyła zakryte karty na skrzynce i odchyliła się na krzesełku – wiedział, że słucha.

– Raczej nie będę miał okazji – powiedział do Sartorisa.

– Czemu tak mówisz?

Ahro tylko spojrzał mu w oczy.

– Ach tak. Nasza sytuacja. – W oczach Sartorisa widać było litość, w głosie nieprzekonującą lekkość, gdy mówił. – Przyjdzie taki dzień. Przyjdzie.

– Ahro – rzuciła Nia, wstając z krzesełka. – Chodź, pomożesz mi pozbierać butelki.

Odłożył lyn i poszedł za nią.

***

W ładowni było ciemno, na całej Debby pogaszono światła. Jedyne światło, które wpadało do środka, pochodziło z ogniska i rzucało ich cienie naprzód, gdy szli do pojemnika pod schodami na galeryjkę. Otworzyła nogą pokrywę, wrzucili do środka puste butelki, do napełnienia na następnym przystanku. Przez to padające z tyłu światło nie widział wyrazu jej twarzy, kiedy mówiła:

– Wszystko w porządku, prawda? – Dostrzegł za to, że znieruchomiała. – Choć nie jest idealnie. Nigdy tak nie jest. Ale chyba jest całkiem w porządku.

Kiwnął głową. Wrzucił do pojemnika ostatnią butelkę, z brzęknięciem spadła na swoje siostry.

– Możesz ze mną porozmawiać. Jeśli coś cię dręczy. – Odwróciła głowę do niego, w ciemności powoli zarysowała się troska w jej oczach. – Jest coś?

Zawahał się.

– Nie – odparł z uśmiechem. – Jest w porządku.

– Wszystkie te decyzje, które podejmuję… – ciągnęła. – Wiem, że mogą być frustrujące. Ale mają na celu twoje bezpieczeństwo. Chcę dopilnować, żebyś potrafił o siebie zadbać, jeśli ja… jeśli nie będzie nikogo, kto ci pomoże. Rozumiesz?

Nic nie powiedział.

– To wszystko dla ciebie – zakończyła.

***

Tej nocy melodia fletu była tęskna. Przepływała przez kratki, włazy, korytarze, mijała kajuty, gdzie smacznie spała załoga szczęśliwa w swoich snach, przez kadłub wysnuwała się ze statku. Nuty wpadały w próżnię, pomiędzy mityczne gwiazdozbiory pierwszych podróżników i głębiej, aż melodia uwięzła w przyciąganiu czarnego oceanu i zniknęła. Odsunął flet od ust. Postukał się nim w pierś. Są rzeczy, których będzie musiał nauczyć się sam.

Postanowił więc, że odejdzie. Nie na zawsze, tylko na jedną noc. Na swoją własną noc.

Żeby zobaczyć, co się stanie.

Miesiąc później – okazja. Wylądowali w porcie Malowanego Miasta, gdzie ściany były jak murale, a ludzie świętowali koniunkcję księżyców Dyack, Rohindra i Essex. Odczekał, jak przyczajona na belce wrona, aż załoga głęboko uśnie. Wtedy się wymknął przez klapę ratunkową w suficie, pomiędzy kokpitem a kajutą kapitan. Zszedł po zewnętrznych szczeblach. Wyszedł z portu. Z nerwowym uśmiechem przyłączył się do świętujących tłumów na ulicach. Na niebie wisiały rozsunięte teleskopowo trzy niebieskie księżyce, niczym trzy coraz mniejsze głowy jedna nad drugą. Dawały tyle światła, że na ulicach było jasno jak w dzień. Spacerował pomiędzy ludźmi – stary człowiek w wielowarstwowych kosztownych szatach przyzywający go z krzywego zaułka, kobieta z koralikami w warkoczykach i długimi paznokciami poznaczonymi cyfrowymi urokami – popatrywał z oddali na swoich rówieśników, czując otaczający ich oszałamiający klimat, tak różny od aury starszych mężczyzn i kobiet z Debby, iskrzący językami, których w życiu nie słyszał. I pomimo pouczeń Nii poszedł za nimi, godząc się z konsekwencjami, zapuścił się głębiej w miasto, zobaczył, dokąd idą ci ludzie. I tam odnalazł siebie.

Było to w parku pod gołym niebem, w którym tańczono pod elektrycznymi księżycami do rytmu dudniących bębnów. Było to pomiędzy zniszczonymi fasadami starych budynków, wśród białych jak kość drzew strzelających helisami w niebo. Wśliznął się pomiędzy tancerzy, mijając obojętnych palaczy i kochanków szepczących sobie do uszu, wszedł w tłum, jak w ring dla podróżników, lecz z ciałami poruszającymi się w jednym rytmie, z mięśniami opanowanymi przez nurt muzyki. Wpadł w ten świat, w te dawne odczucia, w ten rezonans, wdychając zapach ciał i pot, ruszył ku miejscu, gdzie dźwięk stykał się z dźwiękiem, jak dwie zderzające się spienione fale. Uśmiechnął się szeroko, gdy wpadł na niego inny człowiek, także szeroko uśmiechnięty. Uniósł dłonie jak wszyscy inni. Krzyczał do księżyca Essex. Niebo przecięły kolorowe serpentyny, gdy dał się wchłonąć nowości; kończyny poniosły go do środka, gdzie muzyka była najgłośniejsza. Gdzie elektryczność była jak sunący po kręgosłupie palec, gdzie świat falował i zakrzywiał się, kiedy ściskał dłońmi oszołomioną głowę, a rezonans rozbijał mu myśli na diamentowy pył, przenosząc go w delirium, w którym poczuł crescendo żaru.

I przypomniał sobie wszystko. Wszystkie wspomnienia niedostępne dla jego świadomego umysłu. Impresjonistyczny potok obrazów z ostatnich chwil na Cichym Statku – czyli, jak uciekł. Siła, z którą Dobra Osoba cisnęła go do kapsuły ratunkowej. Ostatnie pożegnanie, w formie jej dłoni w rękawicy na jego policzku. Dotyk, dopóki inni Muzycy ich nie znaleźli, nie przybiegli i gwałtownie ich nie rozdzielili. Trzask kości, gdy łamali Dobrą Osobę swymi łamaczami. Dobra Osoba połamana, jej

ciało jak pojękująca masa. Potem przerażenie, gdy maski odwracają się do kapsuły. Jego ciało skulone przy pulpicie, pragnące tylko uciec. Przesycone lękiem pragnienie zmaterializowane jako jaskrawa i gwałtowna iskra. Iskra, która strzeliła, gdy liczne dłonie Muzyków wyciągały go z kapsuły. Żar buchający z jego pleców. Spalające się na popiół ubranie. Zapach odejścia.

Dokładnie wiedział, co to takiego.

Na placu w Malowanym Mieście, pod triadą księżyców, wywrócił oczyma, złapał się dłonią za pierś i dał się temu ponieść. Oddał swe ciało tancerzom, księżycom, czarnemu oceanowi i hukowi. Czas wziął wdech i zatrzymał ruch tego świata. Tancerze uwięźli w powietrzu, pijący zamarli w królewskich pozach z uniesionymi do ust kielichami, kolorowe serpentyny nad nimi przykleiły się do nieba, a jego ostatnią myślą był gardłowy pomruk zachwytu nad tym wszystkim, jakie to piękne, to zamrożone morze miłości i aktywności, aż ta jego moc, dawno zapomniana, powróciła i z błyskiem światła spadł z tego świata; ciało zniknęło pomiędzy kolejnymi radosnymi uderzeniami bębna.

8.

Dom

I wtedy się obudził.

Było ciemno.

Zimno.

Całe ciało miał odrętwiałe, kończyny nie były w stanie się poruszyć. Synapsy w mózgu odpalały leniwie i ospale, patrzył martwo w górę na płachtę czerni nad sobą. Powieki mrugnęły raz. Drugi raz. Był przekonany – i nieprzejęty tym – że nie poruszy się przez całe dni czy stulecia.

Przebudzenie było powolne. Szczegóły docierały powoli, jak gaz przesączający się przez pęknięcie w ścianie i zatruwający jego letargiczną beztroskę. Ruch liści falujących nad nim na cienkich, szkieletowych gałązkach. Nieregularna powierzchnia leśnego podłoża pod jego plecami, mokra darń, ostra gałązka kłująca w klatkę piersiową. Chłód mgły zaścielającej ziemię i obejmującej wilgotnymi mackami nagie ciało, zostawiającej ślady rosy na piersi i udach. Dotarło do niego, że jest nagi. Szczegóły przestały ciurkać i zalały go ulewą. Liście szurające jak połamane paznokcie na piszczącym pomiędzy gałęziami wietrze, mdlące szelesty i cykanie owadów na kończynach, oślizłe łaskotanie czegoś małego i wielonogiego ocierającego się o jego skórę i nurkującego w liściaste podłoże. Powolna i straszna świadomość, że to nie wiatr tak gwiżdże, że to coś całkiem innego, napędzanego jego ostrymi podmuchami; że to pisk czegoś zbudowanego przez człowieka, pustego i – jeśli ten chór mówił prawdę – bardzo licznego. A pod tym nieziemskim piskiem delikatne drgania gruntu, miarowo narastające, zwiastujące tupot czegoś wielkiego i ciężkiego, co zbliża się szybko, jakiegoś stworzenia w szalonym galopie i wydającego barytonowy pomruk tak obfity w nuty śmierci, że kiedy go usłyszał, stara, zardzewiała zasuwa w jego wnętrzu puściła i obudził się raptownie, odmieniony, zrzuciwszy z siebie jak starą skórę powierzchowność wychuchanego nastolatka z Debby, i stał się ponownie małym, twardym stworzeniem w cieniach korytarzy Cichego Statku, którego ciało znało tylko jeden czasownik.

Przetrwać.

Zerwał się na nogi i zanurkował w kupę liści usypaną wokół pnia drzewa o gładkiej korze, lecz chwilę później drzewo zostało uderzone – bestia zderzyła się z nim z taką szybkością, że przestało być drzewem, stając się eksplozją drewnianych odłamków. Pozostał w trupim bezruchu mimo deszczu drzazg sypiących się na jego odsłoniętą głowę, wstrzymując oddech w zaciśniętej pięści gardła i wytrzeszczając oczy w przerażeniu, gdy blade, skórzaste dłonie, niepokojąco ludzkie w kształcie i kon-

strukcji, lecz na tyle duże, by zmieścić w środku dorosłego człowieka, popędziły na lewo, potem na prawo, wielkie cielsko stwora nad nim zakołysało się, dochodząc do siebie po zderzeniu z drzewem. Wielki ryj powęszył; gardłowe chrząknięcie, gdy zwietrzył jego trop i opuścił się ku kupie liści pod pniem. Serce wyrywało mu się z piersi, gdy wykonywał być może ostatnią kalkulację w życiu – uciekać czy pozostać bez ruchu.

Decyzję podjął za niego ten gwizd, trafiający potwora jak dźwiękowa fala. Zatoczył się na bok i… ze swej odległości Ahro mógł zobaczyć jego starą twarz, podświetloną snopem czerwonego księżycowego światła przebijającym się przez korony drzew… i zwarł szczęki pomiędzy obwisłymi policzkami. Gęste nitki śliny wyleciały spomiędzy nich i opadły ciężko, długimi, lepkimi pętlami na posłanie z liści.

Zza drzewa wyszła młoda kobieta. Miała na sobie czerwoną szatę na jedno ramię, w ustach trzymała drewniany gwizdek, w który cały czas dęła, podchodząc do zdezorientowanego cielska w przedśmiertnym przysiadzie, w dłoniach ściskając drewnianą włócznię. Potwór kulił się w sobie na ten dźwięk. Powietrze rozdarły kolejne gwizdki, z mgły wyłoniły się kolejne osoby – mężczyźni i kobiety odziani w podobne stroje, także uzbrojeni w gwizdki i włócznie. Było ich w sumie pięcioro, każde zranione tak, że wymagało wielodniowego gojenia. Wszyscy byli zmęczeni, przerażeni, powłóczyli stopami, włócznie kiwały im się w dłoniach. Okrążyli potwora, zamykając go w pentagramie dźwięku, a bestia, kojarząca się Ahrowi z powiększonym dziesięciokrotnie zdemenciałym starcem, wbijała długie palce w luźną i bezwłosą skórę swej głowy, jakby chcąc wydrzeć z niej ten dźwięk. Zwinęła się w kłębek. Im bliżej podchodzili do rozdygotanego stwora pośrodku polany, tym bardziej wydawało mu się, że to już koniec.

Nagle błąd.

Młoda kobieta wyrwała się przed szereg i podbiegła naprzód. Reszta wytrzeszczyła oczy w przerażeniu. A kiedy wbiła włócznię w wydęty brzuch, potwór uniósł się i pacnął ją wierzchem jednego ze swych ośmiu ramion. Nawet ze swojego miejsca Ahro usłyszał chrupnięcie kości i poczuł dziwnie bezgłośny powiew powietrza, gdy potwór cisnął kobietę poza polanę. Stało się to tak nagle, że kilku myśliwych przestało gwizdać, gwizdki wypadły z rozdziawionych ust, zwisły bezwładnie na sznurkach na ich szyjach. Potworowi wystarczyła ta jedna chwila. Rzucił się na nich, od ryku zatrzęsły się drzewa, sypiąc czerwonymi i rudymi liśćmi, rozsiewając je przez mgiełkę. Wielkie łapy zamachnęły się w powietrzu. Sandały zachrupotały na liściach. Łowcy biegali wokół giganta, robiąc uniki przed jego ciosami na oślep. Jeden był zbyt wolny. Mlask trafionego ciała. Krzyk.

Gdy toczyła się ta bitwa, w Ahro walczyły ze sobą dwa głosy, przekrzykujące się nawzajem po dwóch stronach serca. Pierwszy był głos z cienia. Ten, który przez dwanaście lat utrzymywał go przy życiu, mimo najgorszych czynów Muzyków. To był głos, który powstrzymywał go, gdy obserwował z ciemnych zakamarków bicie i łamanie innych, który uważał, że ma szczęście. Mówił mu teraz, żeby skorzystał z tej rzadkiej okazji, gdy i potwór, i łowcy są zbyt zajęci, by go zauważyć, i uciekł.

Natomiast drugi głos mówił co innego. Wciąż był młody, wciąż dojrzewał. Wypielęgnowany w kabinie, w mesie, w ładowni, wykarmiony głosami przyjaciół, prosił go, żeby poszedł śladem wzburzonych liści w miejsce, gdzie poleciało ciało młodej

kobiety.

I jej pomógł.

Pewnie dawno nie żyje, mówił pierwszy głos.

Na co drugi odparł: To niech nie umrze samotnie.

Przekradł się przez leśne poszycie, przez zarośla i cienie. Cisza była jego drugą naturą, podobnie jak spokój. Poszedł za śladami i znakami lasu i znalazł ją pod starym, krzywym drzewem.

Kucnął przy niej. Pojękiwała. Nie była wiele starsza od niego. Może parę lat. Popatrzyła na niego nie nieprzytomnie, lecz z wyraźną żądzą, na którą, patrząc na jej obrażenia, niewiele mógł zaradzić. Oddarł z jej szaty kilka pasków i zacisnął je ponad ranami na jej rękach i nogach, by powstrzymać obfity krwotok, zwinął szmatkę i przytknął ją do dziury wydartej w jej brzuchu, przytrzymał, czując przez kości rąk puls powoli ulatniającego się życia. Od uderzenia w skałę wgniotła jej się klatka piersiowa, oddech miała szybki, chrapliwy i pusty. Pomimo trudności z oddychaniem odezwała się, słowami w niezrozumiałym dlań języku, tak pośpiesznymi, że go zasypały. W najgorsze noce, kiedy leżał z głową na kolanach Nii i opisywał jej szeptem brutalność, która tkwiła mu w głowie, nie mówiła mu, że to tylko sen, że to już minęło, że nie ma się czego bać. Ona nie kłamała. Mówiła tylko, że jest jej przykro – tylko to chciał usłyszeć; mogła to powiedzieć dowolnie obca osoba i wystarczyłoby, aby mógł dalej spać. I właśnie tych słów, z drugiej ręki, użył teraz wobec umierającej kobiety przed sobą.

– Przykro mi.

Jeśli nawet go usłyszała, nie dała po sobie poznać. Patrzyła poprzez niego w nicość, we wszystkość, a słowa wychodziły z jej ust w kłębach piany i spływały po bladych policzkach.

Bestia wydała ostatni ryk. A potem odbiegła, ścigana jeszcze przez chwilę przez jednego z łowców, póki towarzysze go nie odwołali.

Koniec, wydawali się mówić.

Daj już spokój.

Kobieta znieruchomiała. Poczuł to, zanim zobaczył – bezruch w miejscu, gdzie dotykał dłońmi tkaniny na jej brzuchu, gdy ostatni dech uszedł z sykiem z jej płuc. Spojrzał na bezwładną twarz. Woskową martwotę oczu. Usta, otwarte jakby w pół słowa. Nie rozpłakał się. To nie były pierwsze zwłoki w jego życiu. Wytarł zakrwawione dłonie o uda i zrobił to co zawsze na Cichym Statku, gdy podczas swych codziennych tras znajdował leżące we własnych odchodach ciało. Poczekał przy niej, żeby miała towarzystwo, póki ktoś po nią nie przyjdzie.

Mężczyźni i kobiety podeszli do swej zabitej siostry jak koty. Usunął się na bok i przez jakiś czas nie zwracali na niego uwagi, zajmując się zwłokami. Stanęli wokół niej w luźnym kręgu, skłaniając głowy i jedno po drugim wypowiadali, jak się domyślał, słowa pożegnania. Próbował analizować ich język, jego faktura była irytująco znajoma dla jego ucha, umysł miał jednak zbyt rozproszony na znaczące skojarzenia. Czekał po prostu, aż skończą.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, zwrócili się do niego, spięci, silni, jakby gotowi do skoku. Drżącymi dłońmi okrył swą nagość. Zebrali się wokół niego. Mężczyzna o małym nosie szturchnął go drugim końcem włóczni. Mówili szybko i ostrym

tonem. On pozostał mały i milczący.

Dopiero kiedy zauważyli, że obwiązał jej rany szarpiami, ich miny złagodniały, bo wiedzieli, że przynajmniej próbował. Po chwili namysłu kobieta, najwyższa z łowców, zdjęła ubranie i narzuciła na niego swoją szatę na jedno ramię. Starła mu ziemię z policzka i krzyknęła na resztę. Zaczęli wychodzić z lasu, kierując się w stronę przeciwną niż potwór i wulkaniczny ślad z połamanych drzew, który pozostawił.

Szedł pomiędzy nimi, z niekontaktującymi nerwami, nie mając energii, by choć się zastanowić, jak znajome są te ich czerwone jak lawa szaty albo melodyjna kadencja ich mowy; by się zastanowić, gdzie jest; dopiero gdy wyszli z lasu na poranek z niesamowicie szybko rozwiewającą się mgłą, zobaczył ostatni kluczowy szczegół zdradzający, jakie to miejsce.

Czerwone słońce uniosło się już nad dolinę. Ze wzgórza, nad którym stali, rozciągał się widok na pola dhuby. Były równie fioletowe i bezkresne jak w jego pamięci i w blasku świtu płonęły złotem swych łodyg. Fantastyczny widok, od którego martwy supeł w jego piersi tylko się mocniej zacisnął: dotarło do niego, jak daleko przeskoczył.

***

Po paru kilometrach zatrzymali się na odpoczynek w zagłębieniu na wzgórzu, dołku zarośniętym ciepłą trawą. Gdy myśliwi szeptali do siebie, Ahro usiadł i zajął się podeszwami bosych stóp, obtartymi po długim marszu. Skrzywił się, wyciągając ze stopy cienką drzazgę. Myśliwa, która dała mu swoją suknię, wyciągnęła rękę i podała mu dwa plastry pomarszczonego suszonego mięsa i bukłak z wodą. Przeżuwał je powoli, patrząc, jak jeden z nich przysiada przy ciele zabitej kobiety, której twarz zasłaniał kwadrat ciemnoniebieskiej tkaniny. Ujął ją w dwa palce i zaczął rozcierać kciukiem, jakby chciał je ogrzać. A potem się rozpłakał.

Kolory nieba nabierały intensywności wraz z porankiem, w świetle czerwonym jak otwarta rana. Wciąż było widać gwiazdy, choć coraz słabiej, a Ahro, patrząc w nie, nic nie czuł – zupełnie inaczej niż w Malowanym Mieście, tamte intensywne uczucia spod trzech księżyców były dlań teraz tak odległe, jakby przeżyła je jakaś inna osoba, mimo że wiedział, że to był on sam, otoczony zewsząd dowodami, że przeskoczył z jednego świata na drugi.

Dawno temu, gdy Nia zdradziła mu cel ich podróży, parę dni po wylocie ze Stacji Pelikan, nie wiedział jak zareagować. Sama idea natychmiastowej podróży wydała mu się wówczas tak dziwna, że informacja przeciekła przez niego jak przez sito – pomogło także to, że i Nia nie za bardzo wierzyła w to, co mówi, wykrzywiając usta szyderczo, gdy pytała, czy rozumie tę nietypową sytuację.

Sens Jauntingu nie mógł się wtedy w nim zakotwiczyć, bo tak naprawdę nie rozumiał jeszcze odległości. Żył małym życiem w norkach pomiędzy ciemnymi korytarzami niezmiennego Cichego Statku. Dopiero kiedy zaczął podróże z Nią i przeżył powolne tygodnie lotu, doświadczył niesamowitego i niepokojącego przeżycia, jakim jest powrót lata na odmienioną planetę, dopiero wtedy pojęcie Jauntingu wypełniło się magią. Jednakże nawet wtedy wyglądało to jak życzenie z bajek, jałowa fantazja,

budząca tylko westchnienie i uśmiech, kiedy usypiał w ciepłej kabinie na Debby. Myślał wtedy, że jeśli nadejdzie dzień, gdy niemożliwe stanie się możliwe, będzie czuł tylko bezbrzeżną radość, a nawet dumę.

Teraz jednak, obserwując obcych wokół siebie, ich puste spojrzenia, człowieka szlochającego nad trupem przyjaciółki, czuł tylko lęk. Lęk o przyjaciół. O Nię. O ludzi, których kochał. Nie wiedzą, gdzie się podział. Lęk o trudną decyzję, którą będą musieli podjąć, kiedy po bezskutecznym przeszukiwaniu ulic Malowanego Miasta nie znajdą ani śladu po nim i odlecą.

Lęk, że już nigdy się nie spotkają.

Zwinął się w kłębek, z podciągniętymi pod brodę kolanami, i tkwił w tej dziecięcej pozie, rozmyślając i zamartwiając się, póki przywódczyni grupy nie wstała i nie kiwnęła brodą na znak, że pora iść dalej.

***

Bramy wioski otworzyły się na gwizdek przywódczyni, trzech ludzi rozwarło wrota i jak zza rozsuniętej kurtyny ukazały się przed nim kryte strzechą dachy Piątej Wsi, razem z wyniesionymi uliczkami. Słuchał krakania głosów, gdy wieśniacy witali ich na rynku, żałobnej ciszy, gdy pokazali ciało zabitej łowczyni. Wydało mu się dziwne – o ile cokolwiek tego dnia mogło go jeszcze dziwić – że ledwo pamięta to miejsce, a jednak jego dźwięki i słodkie zapachy wywołują w nim takie emocje, jakby jakaś milcząca część jego jaźni kryła w sobie tajemnicę i potrafiła ją zakomunikować jego świadomości tylko przez wzbierające w oczach łzy.

Nastąpiła ceremonia, w której w oczywisty sposób nie brał udziału. Stał z boku, a łowcy pozdrawiali sześcioro starych mężczyzn i kobiet, którzy wystąpili z tłumu i ustawili się w szereg. Gdy przywódczyni ukłoniła się, reszta poszła w jej ślady.

Zdławionym głosem zdała starszym relację z walki, słuchali z pozbawionymi wyrazu twarzami. Ahro zwrócił uwagę na szóstą ze starszyzny, kobietę tak ogorzałą, że cerę miała jak wyprawiona skóra, niską i w przeciwieństwie do reszty o prostym kręgosłupie i postawie zdumiewająco młodzieńczej jak na swój wiek; jej wzrok przeniknął ludzi i wbił się w niego jak wzrok drapieżnego ptaka, jakby znała go i nienawidziła.

Pierwsza łowczyni wciąż opowiadała, gdy w tłumie rozległ się okrzyk i, roztrącając ludzi, wyszła zeń piątka mężczyzn i kobiet. Wzniecając za sobą pył, wpadli na środek rynku. Ludzie w średnim wieku – Ahro widział, że na ich twarzach malowały się gniew i żal. Odwrócił uwagę od starej kobiety i patrzył , jak nowo przybyli odpychają łowców na boki i padają zwłokom do stóp. Ich okrzyki były jak stłumione kwilenie piskląt. Choć nie znał słów w ich języku, poznawał ton wyparcia i żądań, które najpotężniejszy z nich wykrzykiwał w twarz łowczyni. Spuściwszy wzrok, stanowczo odpowiedziała na te pytania. Starsi i parę osób z tłumu starali się go uspokoić, ale tylko jeszcze bardziej się najeżył. Wskazał znów na trupa, jakby oskarżycielsko, i ruszył w stronę łowczyni. Pokazał go jeszcze raz, jakby chciał dobitnie wykazać, że zawiodła. Powietrze zmieniło się w szkło, tłum na rynku w lód, gdy wykrzyknął kolejne słowa. Przywódczyni myśliwych z zimnym spokojem uniosła głowę i spoj-

rzała mu w oczy, a to, co szepnęła, te wyzywające słowa, sprawiły, że na czole wystąpiła mu żyłka.

Uderzył ją w brzuch. Pięść trafiła z taką siłą, że Ahro się skulił. Wytrzeszczyła oczy. Kiedy na czworakach z trudem łapała oddech, jej myśliwi rzucili się na napastnika i w okamgnieniu pod nieustępliwym skwarem czerwonego słońca rozgorzała kolejna tego dnia bijatyka. Pośród wściekłych ciosów i potwornego wycia za zmarłymi wzrok starej kobiety ani na moment nie oderwał się od Ahra, nawet gdy jedyny łowca i trzech innych ludzi, których dotąd nie widział, złapali go za ręce i brutalnie wyciągnęli z rynku. Grupa mężczyzn popchnęła go na wzgórze, z dala od bijatyki, w kierunku górującego nad wsią dużego domu. Nawet w drodze cały czas czuł na sobie wzrok starej kobiety.

Kiedy szli na górę, słońce stało dokładnie nad nimi. Domy i inne mijane przedmioty rzucały krótkie, południowe cienie. Odwrócone wiadro. Grabie oparte o ścianę szopy. Ich cienie jak ostre czarne kreski pośród czerwonego dnia, sprawiające wrażenie, że pocięły świat, który teraz zalewa jego własna krew.

Jeden z mężczyzn pchnął Ahra naprzód.

Duży dom, gdzie kiedyś mieszkał razem z dobrym starym człowiekiem i jego żoną, teraz górował nad nim groźnie. A kiedy załomotali do drzwi i wyszedł gubernator, Ahro już wiedział, że więcej dobroci tu nie zazna, bowiem w oczach gubernatora widział tylko podejrzliwość, gdy myśliwy szeptał mu do ucha. Zaczęli przesłuchiwać go na dziedzińcu. Pytania, na które nie umiałby odpowiedzieć, nawet gdyby znał ich język. Był na dnie oceanu i patrzył na to jak na abstrakcję, jak na światło łamiące się na powierzchni wody. Jakby to były tylko kształty.

Nie wiedział, jak długo go przepytywali, jedynie, że nie zadowoliło ich to i że był bardzo zmęczony. Nie szarpał się, kiedy sprowadzili go ze wzgórza do domu ze starymi drewnianymi schodami prowadzącymi pod ziemię. Po prostu tam stanął, pośrodku piwnicy, w kwadracie światła, i patrzył na nich, aż zamknęli drzwi na klucz.

***

Ciemność była całkowita. Nie widział własnych dłoni. A kiedy usłyszał swój przyśpieszony oddech, po raz kolejny tego dnia przeszedł przemianę – nie tyle przemianę, ile regres, bowiem mała, twarda istota z Cichego Statku wyszła, zostawiając tylko zagubione i przerażone dziecko.

Wbiegł na drewniane stopnie, potykając się w ciemności, uderzając policzkiem o coś twardego. Poczuł w ustach smak krwi.

Powlókł się na górę i załomotał do drzwi. Drapał je, krzyczał. Wykrzykiwał imię Kaedy, które przypomniało mu się dopiero teraz, za późno, w tej ciemnej dziurze, gdzie nikt go nie usłyszy i z której być może nigdy nie wyjdzie, krzyczał, że już kiedyś tutaj był i że był wtedy sobą. Krzyczał, wydawało mu się, przez całe godziny. A gdy nikt nie odpowiadał, zaczął wykrzykiwać jej imię, przez jedną nieprzytomną chwilę sądząc, że Nia jest tuż za drzwiami i jeśli zawoła dość głośno, usłyszy go i otworzy drzwi. Krzyczał, aż nie był w stanie, aż głos stał się wyciśniętą do sucha gąbką, wysuszoną na wiór w ciepłej piwnicy. Cofnął dłonie od drzwi, po omacku

zszedł po schodach, wycofał się w najdalszy kąt tego zaimprowizowanego więzienia, zwinął się w kłębek obok wielkiego, pustego garnka. Zbyt zmęczony, by utrzymać głowę prosto, oparł ją o twardą glinianą ścianę i przypomniał sobie sekretne nauki Nii; sztukę poezji, której nauczyła go w pewną samotną noc. „To cię nie uratuje”, powiedziała. „Złe sny i tak przyjdą”.

Ale pomoże.

Liczył sylaby na palcach, wydobywając z zaschniętego, schrypłego gardła szept:

Jestem daleko stąd.
Nie wiem jak do was wrócić.
Ona mnie znajdzie.

Szept:

Bardzo tu ciemno,
Bolą nogi i głowa.
Ona mnie znajdzie.

Wyszeptywał haiku pustemu nocnikowi, drewnianym schodom, kurzowi. Zamkniętym drzwiom piwnicy. Jego ciało znajdowało oparcie w słowach, które z siebie wydobywał.

Nia Imani,
Kapitan statku Debby
Ona mnie znajdzie.

***

Elby, córka Jhige i Yotta, a także byłego gubernatora Kaedy, Matka Łowców, była rozczarowana.

– Jest dwa razy starszy od ciebie. Kilka razy, gdy zdarzyło mu się kogoś uderzyć, zawsze to było po pijaku i dotyczyło tylko jego dzieci. Można o nim wiele powiedzieć, ale nie to, że jest wojownikiem.

Uniosła wzrok znad przygotowywanej herbaty na kobietę siedzącą przy stole, krzywiącą się i rozcierającą coraz większego siniaka na brzuchu.

– Jak to się stało, że dałaś mu się uderzyć?

– Nie myślałam, że to zrobi.

– Czyli niczego się nie nauczyłaś.

Kobieta – Taya – opuściła wzrok i skłoniła się nieznacznie, gdy Elby postawiła przed nią parujący kubek. Objęła go dłońmi, ale nie ruszyła, póki Elby nie dolała mocnego alkoholu z łodyg. Policzki zaróżowiły się jej od tego napoju. Mruknęła:

– Przykro mi strasznie.

Elby chrząknęła. Siadła naprzeciwko niej.

– Mów, jak to było.

Taya napiła się jeszcze raz, nim zaczęła, na brodzie została jej niezauważona kro-

pla napoju.

– Poszliśmy do lasu Południowa Latarnia poszukać łatwych łupów. Zgodnie z twoimi poleceniami myślałam tylko o tym, jak zachęcić nowych myśliwych łatwym zwycięstwem. Pokazać, gdzie chodzą mondrady, o jakie drzewa lubią się ocierać. Chciałam, żeby je znaleźli. Ale las był pusty. Nie było zwierząt, nie było słychać nic poza owadami. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Czułam to, wszystkie znaki tak przemawiały. Powiedziałam im, że idziemy. Przyjdziemy którejś innej nocy albo pójdziemy w jakieś inne miejsce, ale Gede… ona nie usłuchała.

Słysząc to imię, Elby mocniej ścisnęła kubek w dłoniach.

– Jesteś od niej starsza. Czemu jej nie opanowałaś?

– Była zdeterminowana, żeby nie wrócić bez zdobyczy. I jest… była… mocna w gębie. Wiesz tak samo dobrze jak ja. W życiu byś nie poznała, że pierwszy raz jest w lesie, taka była pewna siebie. I jak mówiła… wiem, że to błąd, nie zapomnę sobie tego błędu do końca życia, ale dałam się jej przekonać. Ustąpiłam. Powiedziałam, że jeszcze godzinę i idziemy. – Zamknęła oczy. – I zaraz znalazł nas Rzeźnik. Kiedy go usłyszeliśmy, kazałam im uciekać. Sama zaczęłam uciekać. Mogło się udać. Ale za bardzo byli przerażeni. Ja też. Nie zdążyłam im kazać przygotować gwizdków, zanim pochwycił Reja.

– Jego ciała nie przynieśliście.

– Nie było co przynosić. Połknął go w całości. – Siedziała bardzo nieruchomo, tylko jej palec drgał na kubku. – Straszne to było. Ale walczyliśmy. Według mnie wszyscy nowi zasłużyli sobie na status łowców. Cud, że udało nam się go ranić na tyle, żeby uciekł.

– On próbował uciec?

Taya kiwnęła głową.

– Ale Gede zaczęła go gonić. Nie mieliśmy wyjścia, albo idziemy za nią, albo zostawiamy ją samą sobie. Otoczyliśmy Rzeźnika na polanie. Gdybyśmy zaatakowali jednocześnie, może, może udałoby się go zabić i stracilibyśmy tylko Reja, tylko że Gede, niech ją szlag! W ogóle nie była na to gotowa. Żadnej mądrości. Sam głód. Rzuciła się na niego sama, chyba po to, żeby zebrać całą chwałę dla siebie. I on ją pacnął. Odrzucił, jak lalkę. – Taya uśmiechnęła się, nie z radości, ale jakby coś w niej pękło. Jakby twarz zaczęła sama ustalać swój wyraz. Głos miała pusty. – Nie powinno jej tam być.

– Masz o to do mnie pretensję.

– Mam – rzuciła szybko, bez namysłu. – Najlepiej ją znałaś. Wszystkie jej pasje. Od dziecka. A jednak…

– Nie mieści mi się w głowie, jaką złą przywódczynią się okazałaś – przerwała jej Elby. Taya skurczyła się jak uderzona. – Wysyłam na wyprawę początkujących myśliwych, pod twoją opieką, i wracasz bez dwojga z nich, bez mięsa, bez choćby zioła na przyprawę, i wylewasz potok oskarżeń na ludzi, których w ogóle tam nie było. Gede była młoda, ale ja na moim pierwszym polowaniu byłam jeszcze młodsza i – co za cud – wróciłam do wsi cała i zdrowa. Z zabitym długouchem w torbie. Wiesz, jak mi się to udało? To nie był mój talent ani szczęście. Udało mi się, bo nie miałam za przywódcę słabego głupca. Gdybym nie uznała cię za potrzebną, pozwoliłabym wtedy Churowi pobić cię na śmierć. Z uśmiechem zbierałabym twoje zęby.

Te słowa zdegradowały kobietę do dziecka. Elby czekała niecierpliwie, aż przestanie szlochać. Z czasem przestała, mamrocząc: „Co mam robić, co mam robić?” i próbując doprowadzić się do porządku rzuconą przez mentorkę chusteczką.

– Ten chłopak. Mów. Wszystko.

Taya zaczerpnęła tchu. Oczy miała czerwone.

– Nikt z nas nie widział, kiedy podszedł – wykrztusiła w końcu. – Po tym, jak potwór uciekł, znaleźliśmy go nad jej ciałem. Był nagi. Pomyśleliśmy, że to jeden z tych paskudników z Ósmej Wioski. Z początku potraktowaliśmy go ostro. Dalej nie wiem, skąd on jest, ale jasne, że jest niegroźny.

– Jasne, bo?

– Próbował jej pomóc.

Elby nieznacznie uniosła brew, gdy Taya kontynuowała.

– Nieudolnie. Bandażami zatrzymał niektóre krwawienia, ale rany były zbyt głębokie i zbyt poważne. Wyglądał na bardziej zdezorientowanego niż my. Potrzebował pomocy. Tak pomyślałam. Dlatego dałam mu swoje ubranie i przyprowadziłam go tutaj. Ale teraz myślę, że to był mój kolejny błąd dzisiaj.

– Czemu.

– Noro. W drodze powrotnej szeptał wszystkim do ucha. Opowiedział, co mu mówiła matka, o chłopcu, który spadł z nieba. Że to zła wróżba. Że przez niego rok później był nieurodzaj. – Skrzywiła się ponuro. – Masz rację. Jestem złą przywódczynią. Straciłam dwoje myśliwych i ściągnęłam klątwę na wioskę.

– Nieurodzaj był przez słabe mgły i upały. Nudny powód, słaby do opowiadania.

Jednakże Taya, która odziedziczyła po matce upodobanie do takich historii, nie odezwała się.

Ach tak. Noro znał tę opowieść. Elby drgnęła, przypominając sobie, kto zabrał chłopaka z rynku – Noro i jego koledzy-przygłupy. Poszli do domu gubernatora. Potarła skroń. Jeszcze nigdy nic dobrego nie wyszło z bandy głupków próbujących rozwikłać tajemnicę. Zaczęła się zastanawiać, czy on w ogóle jeszcze żyje, czy te prymitywy wymierzyły mu już swoją chybioną sprawiedliwość. Nie pozostało nic innego, jak tylko sprawdzić samej. Odprawiła Tayę machnięciem ręki i poszła opróżnić czajnik za okno. Kiedy reszta wody wyciekła z dzióbka, zauważyła, że Taya nie poszła, lecz stoi tępo na progu.

– Co jest? – zapytała.

– Idziesz od razu do gubernatora?

– Tak.

– Wszyscy są u Osana, przygotowują Gede do ostatniej drogi. Nie mogą skończyć bez ciebie.

– Wiem.

– Będą na ciebie czekać.

– I przyjdę, od razu po spotkaniu z gubernatorem.

– Każesz im czekać?

– Ona już nie żyje. Co to dla niej godzina dłużej?

Przez przelotną chwilę Elby była w stanie z bolesną łatwością wyczytać myśli z jej twarzy, lecz w przeciwieństwie do sytuacji na rynku, z Churem, nie wypowiedziała tych buntowniczych sądów. Powiedziała natomiast po prostu:

– Zanim znaleźliśmy potwora, opowiadała o tobie, kiedy szliśmy przez las. O twoich dawnych polowaniach. Historiach, które jej opowiedziałaś.

Elby słuchała, nie patrząc.

– Chciała, żebyś była z niej dumna – dodała.

– Naprawdę?

– Tak – powiedziała. – Naprawdę.

I z martwym uśmiechem otworzyła drzwi.

***

Naprawdę zaś chciała odwlec pójście do Osana, choć mimo własnej, iście byczej skłonności do konfrontacji nie ważyła się zastanowić, dlaczego właściwie uważa, że ta zwłoka jest konieczna. Od myślenia o uczuciach, zwłaszcza własnych, robiło jej się nieswojo. To, co się działo w jej głowie, najchętniej pozostawiała bez nadzoru i nie analizowała. Łatwiej było, odkryła, po prostu coś robić.

Kiedy dotarła na wzgórze, było późne popołudnie. Cienie wsi były już długimi palcami rzucanymi przez dachy, sznury, włócznie zostawione bez dozoru pod ścianami i płotami. Owijały się wokół drogi, jakby miały zamiar ją udusić. Gdy z trudem szła pod górę, z ogniem w płucach i tyłkiem niemogącym się doczekać, kiedy usiądzie, przyszło jej do głowy, że nigdy tej wsi nie lubiła. Jej siostra Yana darzyła każdy szczegół tych ludzi i tych dróg głębokim, trwałym uczuciem, miłością, do której Elby nie miała dostępu, a ponieważ go nie miała, uznawała ją za skazę na charakterze siostry.

Myśląc o niej, mimo woli zanuciła jeden dźwięk, nutę wewnętrznego muzycznego tła. Przechodząc przez bramę domu gubernatora, myślała o nich wszystkich. O Jhige i Yotcie, śmiejących się razem na werandzie i dzielących się szklanką czegoś mocniejszego; cieszących się tą godną pozazdroszczenia przyjaźnią ludzi, którzy zaznali intymności i pogodzili się z jej końcem. O Kaedzie, stojącym pod oknem, niepatrzącym na nikogo, tylko w niebo. Zawsze był dla niej nieprzenikniony i pozostał taki do swych ostatnich dni. Kryła się w nim podobna tajemnica, co w ludziach chodzących przez sen; jakaś logika nie z tego świata, gdy tak idą przez noc, trzymając w pustej dłoni nieistniejący kubek, z którego co chwilę popijają. Mogła mówić doń godzinami, o problemach wioski, o zaopatrzeniu dla ludzi, tylko po to, by na koniec odkryć, że rozmawiała ledwie z ciałem. Umysł był gdzie indziej, poza krótkimi chwilami, gdy się budził i uśmiechał.

Nie, pomyślała, pukając do drzwi. To nie jest prawda.

Był czas, gdy był w pełni przytomny.

Przypomniała sobie wszystko z tamtej nocy – huk, który zatrząsł ścianami domów, linię ognia na niebie, wyrazistą i zgrabną, jakby narysowaną pewną dłonią niebiańskiego artysty. Sama właśnie została pełnoprawną łowczynią i poprowadziła grupę tropicieli na pola, na rozkaz Kaedy, dumna i w żaden sposób nieprzygotowana na to, co zastanie na miejscu katastrofy. Nagie dziecko, bez obrażeń, w małym kraterze pośrodku rozrzuconych czarnych strzępów wraku. Zatoczyła się, czując nagły zawrót głowy, jakby stanęła na brzegu wielkiej przepaści, dzielącej wszystko to, co uważała

za możliwe w tym świecie, od niezbitego świadectwa własnych oczu, i przytłoczyła ją niesamowita odległość między tymi dwoma brzegami. Przypomniała sobie, jak niosła go do wsi. Jaki lekki był w jej ramionach. Jak kupka liści. Przelotne pragnienie, które poczuła podczas tego powrotu, by skręcić mu ten delikatny kark, bo czy nie będzie prościej dla wszystkich, gdy okaże się, że na miejscu katastrofy znaleźli tylko trupka?

Nawet teraz, czekając, aż gubernator otworzy, uważała, że odpowiedź brzmi „tak". Jednakże, mimo że nienawidziła tego miejsca, rodzinę kochała zawzięcie i choć denerwowała ją fascynacja Kaedy tym dzieckiem, czułość, która z czasem rozwinęła się u Jhige, zbulwersowała się też, usłyszawszy, że Yana przychodzi co tydzień posłuchać jego gry na flecie. Mimo to stłumiła to pragnienie jak ostatni jasny płomień w życiu i pogodziła się, że jest elementem ich opowieści. A teraz postąpi tak, jak oni bez wątpienia postąpiliby, gdyby nadal rządzili we wsi.

Odeśle go do domu.

Drzwi się otworzyły.

***

– Nie powinnaś być u Osana? – Takie były pierwsze słowa, które padły z zasznurowanych ust gubernatora Jhoala, kiedy wbił wzrok w Elby.

– Nie bardziej niż ty na rynku, by powitać myśliwych. Ale pewnie tak jak ty miałam ważniejsze sprawy. Wpuścisz mnie czy każesz mi tak stać?

– Czego chcesz, Elby?

Spojrzała na niego. Patrzyła, aż zrozumiał.

– Nie ma go tu – powiedział po dłuższym „eee". – W odróżnieniu od moich poprzedników nie jestem… nie mam ochoty trzymać w domu obcego o niewiadomych zamiarach. Kazałem go odizolować, dla bezpieczeństwa, jego i nas, póki sprawy się nie uspokoją.

– „Odizolować".

– I uwolnić, kiedy sprawy się wyjaśnią. – Jhoal był wielkim, barczystym mężczyzną. Podejrzewała, że dlatego wybrano go na to stanowisko. Bo na pewno nie dzięki zdolności rozwiązywania problemów czy odwadze. Jego ton złagodniał, fałszywym spokojem powierzchni rzeki, pod którą kryją się gwałtowne prądy. – Elby, proszę. Naprawdę dawno powinnaś być u Osana. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale…

– Gdzie go wsadziłeś?

Westchnął.

– Jest w piwnicy u Dawarów. Pod kluczem i strażą. I nie pytaj mnie, czy możesz go odwiedzić, bo nie możesz. Nie dzisiaj. Pod koniec tygodnia być może. Nie odpowiadał na nasze pytania i, jak dla mnie, ma w sobie coś, co zapowiada kłopoty. Niech trochę sobie posiedzi sam, może będzie bardziej posłuszny.

– Nie będzie posłuszny. Nie zna naszego języka.

Wzruszył ramionami.

– Są inne metody komunikacji.

– Chyba nie wierzysz, że jest niebezpieczny.

– Wiem, że już tu był i wrócił, mimo naszych wielkich starań, by go odesłać. To

chyba wystarczający powód, żeby być nieufnym. – Oparł się o ościeżnicę. – Ludzie wciąż dochodzą do siebie po zabójstwach nad rzeką. Spór o ziemię z Czwartą Wsią robi się coraz gorszy. Dzisiaj myśliwi wrócili z pustymi rękami, dwoje nie żyje. Niedługo inni zaczną się martwić o jedzenie. To cud, że Noro przyprowadził mi go, zanim został na dobre zauważony. A walka na rynku mogła zakończyć się dużo gorzej. Ostatnie parę tygodni było ciężkie dla wszystkich. Nie chcę pokazywać kolejnego problemu. Nie w tej chwili.

Przestąpiła z nogi na nogę, niewygodnie stało się tyle czasu w jednej pozycji. Cham mógłby mi chociaż krzesło zaproponować.

– Mam plan. Ale żeby się udał, trzeba zadziałać szybko – powiedziała.

Uniósł dłonie.

– Oboje się zgadzamy, że nie powinno go tu być – dodała. – Ale niedawno mieliśmy Dzień Dostawy. Statki z nieba będą dopiero za piętnaście lat. Nie chcemy, żeby tu został na piętnaście lat.

– Na razie się w pełni zgadzamy.

– Ale wsie za wodą jeszcze nie miały Dnia Dostawy. Nastąpi dopiero za trzy żniwa. I tyle czasu będzie się do nich szło. Musimy go tam wysłać, teraz, zanim statki wylecą w drogę. I dać mu przewodnika, albo odpowiednie wskazówki i listy polecające do wsi. Będziemy mieli jeden problem z głowy i będziesz mógł dalej robić… cokolwiek tu robisz.

– W długą drogę go chcesz wysłać.

– Jeśli nie pójdzie, będzie czekał jeszcze dłużej.

Kiwnął głową. Zastanawiał się nad jej propozycją tylko przez parę sekund, zanim zbył ją kolejnym wzruszeniem ramion.

– I kto z nim pójdzie? – zapytał. – Nie poświęcę sprawnego człowieka na taką wyprawę. Potrzebujemy każdej pary rąk. Ale to zostawmy – nie możemy dać mu przewodnika, nie możemy dać mu zapasów na drogę – ja powtórzę rzecz najważniejszą, bo wyraźnie nie chcesz tego słuchać: nie wiemy, czego on chce. Nikt nie przychodzi dwa razy w to samo miejsce bez jakichś zamiarów. Mamy tak niewiele informacji. Uwolnienie go to duże ryzyko.

– Nie możesz go trzymać przez piętnaście lat w piwnicy.

– Mniej, jeśli będzie się dobrze sprawował.

– Ale to już będzie za późno.

– No to będzie. Przynajmniej nic nam nie zagrozi. Ale dzisiaj, Elby, nie działamy, bo nie mamy nic do działania. Pozwolę ci z nim porozmawiać. Kiedyś. Ale poza tym niczego nie obiecuję. A teraz to tobie grozi spóźnienie. – Spojrzał na nią, jakby nie mógł uwierzyć w oziębłość niektórych ludzi. – Ile będą czekać na ciebie?

***

Najbardziej nienawidziła tego zapachu. Rzadko się zdarzało, by niechęć można było tak dokładnie umiejscowić w konkretnym punkcie w czasie, chwili, która odmieniła ją nieodwracalnie. Była mała, miała pięć lat i przyszła z matką do szop, gdzie rozdrabniano nasiona dhuby na miazgę – odwiedzała ciotkę czy jakąś przyjaciółkę

matki, nie pamiętała. Pamiętała tylko nagłe przerażenie, gdy wielkie i stwardniałe dłonie uniosły ją i usadziły na brzegu długiego koryta, żeby lepiej widziała ich pracę. I jak wyciągnęła ręce do matki po drugiej stronie pomieszczenia, pogrążonej głęboko w rozmowie z kimś innym, z każdym, tylko nie z nią, aż spadła z krawędzi, twarzą prosto w pulpę. Złamała nos na zaschniętej warstwie mazi. Zabrzmiało to jak pstryknięcie palcami. Kiedy zaciągnęła się w panice tym zapachem, ciało się zbuntowało, zadygotało całe, jakby mdląca fioletowa słodycz przytłoczyła zmysły. Uspokajające objęcia Jhige nie były w stanie zatrzymać bólu i mdłości. Od tego dnia usta same jej się krzywiły na widok ciasta przy kolacji, na zapach pól przenikający do wsi na dłoniach rolników, na północny wiatr. Rodzinę kochała mimo przynoszonych przez nią zapachów. A kiedy dorosły i Yana obejmowała ją po długim tygodniu pracy przy nasionach, Elby brała jej sfioletowiałe dłonie w swoje i czuła silną żądzę szczyszczenia z nich tych plam, tego paskudztwa, które dla Yany było jak najlepsze perfumy.

Idąc do Osana, na drugą stronę wzgórza, też czuła dhubę. Ten zapierający dech zapach w powietrzu.

Jak kwiaty wyrastające z ust umarłych.

***

– Ech, ty! – Inni próbowali Askę zatrzymać, odepchnęła ich jednak. Wyglądało na to, że nic nie przeszkodzi jej w starciu z Elby. – Dwie godziny czekaliśmy na ciebie, ty samolubny demonie.

– I przyszłam.

– Tak. Przyszłaś. Gdyby nie twoje opowieści, ona by nigdy tam nie poszła. Gdyby nie twoje słowa. W śmierci nie ma żadnej dumy. Byłaś głupia, że ją tego uczyłaś, i teraz… nie, nie wejdziesz do środka. Nie zasługujesz na nią.

Stanęła Elby na drodze z rozpostartymi rękoma, jakby tylko tak dawało się powstrzymać starą kobietę i siłę jej woli. Inni krewni, stojący na zewnątrz, obserwowali tę grę. Elby szła do Aski, aż zbliżyła się na długość liścia i choć zawsze była niska, niższa od Aski o dwie głowy, jej historia to kompensowała – wystarczyło, że wbiła wzrok w swą siostrzenicę, bez słowa. W końcu Aska cmoknęła i wbiegła z powrotem do środka.

Tłum krewnych, a z wieloma z nich Elby rozmawiała tylko raz czy dwa w życiu, rozstąpił się przed nią. W duchocie podłużnego domu Osana spojrzała na zwłoki na stole.

Oto ona. Wnuczka Yany.

Gede przypominała swoją babkę tyloma szczegółami, że dla Elby zawsze było to jak objawienie. Nie chodziło tylko o ostry nos, wygięcie brwi czy drobny podbródek. Czy upartą dumę, często źle skierowaną. Ogień zapału. Chodziło o wszystko. I dlatego właśnie Elby pchała w tę młodą dziewczynę swe opowieści o przelanej w lesie krwi – podczas tych wieczorów przy ognisku, gdy jednocześnie przerażała ją i zachwycała mrocznymi historiami o mondradach wyjących pod ciosami włóczni – dlatego że chciała znów mieć Yanę. Yanę nieskażoną niezdrową miłością dla wioski, Yanę leśną myśliwą, jak ona, z którą mogłaby się cieszyć czystym zapachem mgieł

o właściwej porze roku i razem milczeć w zaroślach, czekając na poruszenie się cieni i krzyk zwierzęcia.

Czysta szata, w którą ubrano Gede, była rozsunięta na środku, ukazując natłuszczoną skórę na piersi. Elby wetknęła kciuk do miseczki z sadzą, po czym przyłożyła go do skóry nad zatrzymanym sercem dziewczyny, zostawiając odcisk palca obok wielu innych, należących do ciotek i wujów, siostrzeńców i siostrzenic, oraz ukochanego, którego Gede wzięła sobie dopiero niedawno.

Skłoniła się.

Ciało miało zostać spalone na polach cmentarnych, na wielkim stosie. Pierwszą żagiew miała rzucić Aska, to był jej obowiązek jako matki, lecz kiedy przyszedł czas, stała przed stosem sparaliżowana, z tak całkowitą bezradnością, że odrzuciła na moment wszelką nienawiść i wzrokiem poprosiła Elby o pomoc. Elby delikatnie wzięła żagiew od siostrzenicy i cisnęła ją bez wahania. Płomienie powoli rozrosły się w wielkie języki, liżące ciało i strzelające na wzmagającym się wietrze. I Elby uśmiechnęła się, bo miłość miała wiele postaci, a jej postać była zębata i ostra. Jej ręce nie były przeznaczone do miękkich rzeczy, od urodzenia były stwardniałe i gotowe do trzymania myśliwskiej włóczni. Gdy ogień trawił zwłoki, nie miała żalu w sercu. Czuła tylko dumę, zazdrość i głęboką wdzięczność dla duchów tego świata, za obdarzenie jej siostrzenicy śmiercią w tak piękny dzień; tej wspaniałej młodej kobiety, która i w najgorsze, i w najlepsze dni była jak cień Yany i równie miło – i boleśnie – było na nią patrzeć. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, gdy ogień pochłonął drewno i ciało. Pożegnała się z Gede, prosząc, by jej ostatnia podróż nie była długa – i by dziś wieczorem sama mogła przyłączyć się do niej i swej siostry nad brzegiem wielkiej rzeki.

***

Po wrzuceniu prochów do dołów na wilgoć, kiedy wszyscy chętni poszli topić żal w trunkach, a ci zmęczeni zdarzeniami dnia udali się spać, Elby wróciła do małego domku na skraju wioski i zaczęła przygotowywać się do czekającej ją długiej nocy. Były to przygotowania wojowniczki. Zdjęcie włóczni ze ściany, naostrzenie jej grotu. Zdjęcie ciepłego stroju, włożenie szaty łowcy, starej, na jedno ramię. Po raz pierwszy od dawna odsłoniła skórzaste i usiane plamami ramię; zaciągnęła się znajomym chłodem. Spakowała jedną torbę, wypchała ją jedzeniem ze spiżarni, dość suszonego mięsa, zieleniny, chleba, wody, by wystarczyło na kilkudniową drogę do Drugiej Wioski. Naszkicowała mapę dróg, którymi się tam idzie. Dalszych dróg nie znała. Ta wiedza będzie musiała przyjść z czasem. Na koniec napisała na pergaminie ze skóry korowca krótki list, podpisany i opatrzony jej znakiem.

Do Uvay, Matki Drugich Łowców. Młody człowiek mający ze sobą ten list ma moją opiekę oraz wsparcie wszystkich mych przyjaciół i znajomych. Nie mówi naszym językiem i nie zna naszych zwyczajów. Musi za wszelką cenę zdążyć do wsi po drugiej stronie Wody przed ich Dniem Dostawy. Ma przed sobą długą drogę, zaopatrzcie go więc we wszystko, co potrzeba, i dajcie mu nową mapę, która poprowadzi go z Waszych ziem nad Wodę, a także nowy list, taki jak ten, przeznaczony

dla kolejnej Matki.

Była równo północ, gdy zapukała do drzwi dawnego domu Dawarów, wiele lat temu opuszczonego przez mieszkańców i wykorzystywanego teraz okazjonalnie przez wioskę, to jako magazyn, to jako więzienie. Strażnikiem, który otworzył drzwi, był Seeva, drobny mężczyzna o twardym wyrazie oczu, zdziwiony widokiem starej kobiety w pełnym myśliwskim rynsztunku.

– Tylko ty tu pilnujesz? – zapytała.

– Tak, Matko – rzucił nieufnie. – Późno już. Nie powinnaś być w łóżku?

– Przyszłam zobaczyć chłopaka.

Pokręcił głową.

– Wybacz, Matko. Nikomu poza gubernatorem nie wolno tu wchodzić.

– Nie rozumiesz. – Uniosła wzrok. – Przyszłam, to go zobaczę.

Mocne uderzenie drzewcem włóczni powaliło go na podłogę. Zrobiła krok nad nieprzytomnym ciałem i weszła do głównego pomieszczenia, nasłuchując dźwięków domu, żeby się upewnić, czy mówił prawdę. Gdy była pewna, że nikogo więcej tu nie ma, przekradła się korytarzem do pokoju na tyłach, gdzie w rogu tkwiło parę desek o niepasujących słojach. Klapa z haczykiem łatwym do otwarcia od góry. Uniosła ją i przy świetle świeczki, którą przyświecał sobie Seeva w głównym pomieszczeniu, zeszła po starych stopniach w pył i mrok piwnicy.

Odkryła go za wielkim garncem, skulonego w cieniu, ze spiętymi wszystkimi mięśniami.

– Nie powinieneś tu być – powiedziała.

Powoli uniósł głowę, przypomniała sobie wtedy te oczy, wielkie i nawiedzone jak las.

***

Z dala od światła pochodni, gdzie świat był ciemną drogą wijącą się wokół wzgórz, a z góry patrzył zmęczonym okiem czerwony księżyc, oboje ujawnili swoją prawdziwą naturę. Łowczyni i młody człowiek z Cichego Statku nie rozmawiali, idąc, oboje nieskłonni tej nocy do słów, i być może dlatego czuli nawzajem otuchę w swoim towarzystwie – to zrozumienie, że nie ma potrzeby tłumaczyć ani siebie, ani następnego kroku. Droga wyjaśniała się sama.

Na trzecim zakręcie drogi Elby się zatrzymała. Spojrzała na wzgórze, gdzie ziemia wydymała się pod lasem zwanym Południową Latarnią, z jakichś bajkowych przyczyn, nad którymi nigdy się nie zastanawiała, jej życie skupiało się bowiem na rzeczach praktycznych i na krwi. Odwróciła się do młodego człowieka. Jej mina jasno mówiła, że tu rozchodzą się ich drogi i choć chyba nie wiedział dlaczego, to zrozumiał, że nie ma dyskusji. Zaczęła rysować na piasku końcem włóczni. Długa, kręta linia opływająca trójkąty wzgórz, przecinająca równoległe linie rzeki i wędrująca po kropkowanej równinie. Obok tej prostej mapy narysowała słońce i księżyc i postawiła trzy kreseczki. Młody człowiek zrozumiał. Droga do Drugiej Wioski zajmie trzy dni. Wręczyła mu skrawek pergaminu, list napisany w jej języku, z imieniem nakreślonym

dużymi literami na wierzchu, oraz kopię mapy, którą właśnie dla niego narysowała. Odegrała to, co powinien zrobić – że kiedy tam dotrze, ma pokazać ten list strażnikowi i kazać się zaprowadzić do jej przyjaciółki. Ona się nim zaopiekuje. Kiwnął głową.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego Kaeda tak cię polubił – powiedziała.

Zadarł głowę, rozpoznając imię.

– Moja siostra nie potrafiła zająć jego uwagi na więcej niż kilka minut. Ze mną rozmawiał o pracy. Za to tobie oddał całe swoje dni. Całą swoją muzykę. Nigdy tego nie rozumiałam. Dlaczego tak przemówił do niego ktoś obcy. – Nie poruszył się, gdy mówiła do siebie tym ciężkim szeptem. – Wtedy denerwowało mnie, że nigdy mi nie odpowiedział, kiedy pytałam dlaczego. Ale już mi to nie przeszkadza. Pogodziłam się z tym. Wiem teraz, jak trudno wyjaśnić, co nas w życiu napędza.

Wskazała go brodą, a potem, sama nie wiedząc dlaczego, uklękła, polizała kciuk i wcisnęła go w piaszczystą ziemię. Potem pociągnęła go za szatę, odsłaniając pierś, gdzie przytknęła kciuk tuż ponad szybko bijącym sercem, zostawiając odcisk. Nie miał pojęcia, co to za rytuał, wystarczył jednak, żeby już tylko trochę bał się czekającej go drogi.

Potem odeszła.

Weszła samotnie w las, idąc myśliwską ścieżką przez Południową Latarnię, w poszukiwaniu połamanych drzew wiodących do paszczy Rzeźnika. To już nie była ta wędrówka przez mgłę co za młodu, nogi zbyt szybko się męczyły, oczy nie potrafiły odróżnić kształtów od cieni. Parła jednak naprzód, z włócznią w dłoni, bowiem, pomimo skarg ciała, sercem nigdy nie była bardziej pewna swej drogi. Szła na śmierć bez żalu, nie żałując nawet dni, którym pozwoliła przeciec przez palce, nie mówiąc kochanym osobom, jak wiele dla niej znaczą. Tak jak Kaeda, spędziła życie we śnie na własną prośbę i dopiero teraz się obudziła, dopiero teraz dowiedziała się, dokąd powinna iść. Z dala od wsi, która nigdy nie była jej domem. Z dala od słodkiego smrodu otulającego zorzą pola. Tu jest jej miejsce, między złamanymi na pół pniami, gdzie powietrze jest gęste od krwi. Między drzewami, między snopami czerwonego światła księżyca. Zadęła w gwizdek Gede, przyzywając tych, co odeszli przed nią, a odchodząc, zabrali ze sobą jej dom.

Gdzieś daleko usłyszała wycie. Zaczerpnęła tchu i wyciągnęła włócznię.

Niedługo znów się z nimi zobaczy.

***

Słyszał w oddali granie jej gwizdka. Chwilę słuchał, po czym zarzucił tobołek na ramię i ruszył zgodnie z jej wskazówkami w długą drogę, przez noc, wokół wzgórz. Widok miał na mgły ścielące się nad wzgórzami jak chłodny oddech, unoszące się ku niebu, które do niego nie przemawiało. Drobne kamyki na ścieżce przegryzały się przez podeszwy sandałów. Nie zwracał uwagi na szelesty pomiędzy drzewami, na wygłodniałe wycie. Jego życie przeszło w nadrealną domenę, wiedział, że nie ma się czego obawiać po śnie. Najgorsze, co mogło mu się przydarzyć, już się stało, dawno temu.

Zresztą tak dobrze było wyjść z ciemności.

Droga opadała w dół wzdłuż wzgórza, a w oddali znów się wznosiła – według starej kobiety to miało powtarzać się godzinami, aż dojdzie do rzeki. Szedł więc w górę i w dół, miarowa rutyna kroków uspokajała strach, a z czasem, jak to zdarza się ludziom, gdy droga jest długa i nie ma czym zająć myśli, zaczął zastanawiać się nad sobą. Z jakich elementów składa się zdolność, która go tu pozostawiła, i co to za świat, który co jakiś czas go przyzywa. Pytania bez odpowiedzi. A gdy otoczenie zmieniło się z lasu na szerokie zagony łodyg dhuby, zaniepokoiła go własna nostalgia, wypływająca z czasu na długo przed jego pierwszą wizytą na tym świecie. Echo echa, prawdziwy przekaz dawno zatracony w odbiciach, pochodzący ze wspomnienia, do którego już nie miał dostępu. Dwa razy pojawił się na tym świecie, rysowała się prawidłowość, której nie rozumiał, którą potrafił tylko wykryć tuż nad wzburzoną powierzchnią podświadomości. Ale nie miał klucza, nie miał też zamka, do którego można by go włożyć. Zepchnął te myśli na bok i szedł dalej. Otarł strugę łez i popatrzył w górę, na czerwony księżyc, i dalej, wypatrując jej współrzędnych.

***

Wykrzykiwała jego imię w ulice oświetlone mocnym blaskiem latarń. Krzyczała, aż gardło poczerwieniało i opuchło. Koraliki latarń kreśliły ścieżki przecinające ciemne miasto jak setka barwnych naszyjników, prowadzących ją zaułkami, w kółko. Ignorowała Sartorisa błagającego, by wracać na statek.

– Nia – powiedział, doganiając ją. – Trzeba wracać.

– Wrócimy i go znajdziemy.

– Trzeba wrócić i się zastanowić.

– On tu jest. I jest sam.

– Z rana Haus roześle strażników. To miasto jest za duże, żebyśmy je przeszukali we dwójkę. Nia – powtórzył. – Trzeba mieć jakiś plan, a nie łazić bez ładu i składu.

Gdzieś wysoko trzasnęło zamykane okno. Wokół worka ze śmieciami zakręciło się małe zwierzątko. Nie miała pojęcia, na jakiej są ulicy, jak daleko od portu.

– Ty wracaj – szepnęła. – Ja też zaraz do was wrócę.

– Nia…

– To rozkaz. Nie propozycja.

Sartoris raz jeszcze poprosił, żeby się zastanowiła, unosząc błagalnie ręce, aż rzuciła mu ostateczną odpowiedź i pokonany wrócił samotnie na statek. Nia szła dalej ciemnymi ulicami, bocznymi uliczkami, tłocznymi, wzdłuż cieni, które wyrastały jakby znikąd. W pustych zakamarkach trzymała dłoń na pożyczonym od Sonji kieszonkowym pistolecie. Nigdy nie strzelała do człowieka, teraz jednak uważała, że byłaby w stanie. Każdy mięsień jej ciała był ożywiony i gotowy do ataku. Kiedy usłyszała stuk, błysnęła latarką w ciemny kąt, gdzie wydało jej się, że widzi jakiś ruch – małą dziewczynkę o błędnym wzroku, spłoszoną, która zaraz uciekła.

Latarka zamigotała. Nia potrząsnęła nią mocno parę razy, a kiedy światło zamrugało ponownie, świecąc alfabetem Morse’a w zaułek przed nią, przyszło jej do głowy, ni stąd ni zowąd, że może on zjauntingował. Że Fumiko miała rację i teraz go nie ma,

jest gdzieś daleko. Niebo, czarne i bezgwiezdne, zanieczyszczone światłem, wyprane z drogowskazów i kierunków. Mapa bez legendy i bez kontynentów. Może rzeczywiście zniknął. Walnęła pięścią w latarkę, aż przestała migotać, i przeszukała kolejny zaułek, wiedząc, że obojętne, co się stało, te poszukiwania to jedyne, co ma. Szła tak przez długie i bezowocne godziny.

Wróciła do statku z pustymi rękoma. Przeszła zimnymi korytarzami, miejsce, które niedawno było domem, wydało jej się obcą plątaniną blach i drutów. Załoga siedziała w mesie, słuchając Sonji, która referowała plany poszukiwań na następny dzień, przydzielając wszystkim sektory miasta. Nia miała zostać poinformowana później; na razie mogła być sama. Niebawem stwierdziła, że stoi na środku jego kabiny. Sama kabina miała długą historię. Była Yvon, która pokryła ściany swoim drzewem genealogicznym, bardzo rozgałęzionym, a zeskrobanie go trwało chyba tyle, co namalowanie. Był Ponchi, trzymający pod łóżkiem swą ukochaną fajkę, którą utulał się do snu, a następnego dnia przy śniadaniu opowiadał wszystkim swe ekstatyczne sny. Nikogo nie bawiły poza nim samym. Był też czas, kiedy nikt w niej nie mieszkał, kiedy była tylko czekającą na wypełnienie pustą przestrzenią.

Wypełniała ją teraz muzyka – dziesiątki najrozmaitszych instrumentów ze światów, które odwiedzili. Kula, która wydawała różne tony, zależnie od tego, jak się ją masowało. Zębaty, brzękliwy metalowy grzebień. Bęben z mocno naciągniętą membraną, który Sonja i Em zmajstrowali na piętnaste urodziny Ahra, ze skóry zwierzęcia upolowanego na pustynnym kontynencie i drewna wyrzeźbionego zręcznymi dłońmi Ema. Wspomniała, jak zabłysły mu oczy, kiedy go dostał, tę głupią, a tak drogocenną rzecz, jak grał na nim całymi dniami pod parą słońc.

Flet.

Uniosła go, przyciskając kciuk do jego wygrawerowanego imienia. Właściwie nie wiedziała, dlaczego uniosła go do ust i zagrała; dlaczego to było tak ważne, przypomnieć sobie te nuty, jego dźwięk, akurat w tej chwili.

***

Młody człowiek na Umbai V stanął jak wryty.
Usłyszał dobiegający z wielkiej, wielkiej odległości ten dźwięk.
Jej dźwięk.

***

Znała tylko kilka piosenek.
To była ta najprostsza.
Kołysanka.

***

Czuł to jak swędzenie z tyłu głowy. Przychodziło z miejsca, które było jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz niego. Wietrzyk wzmógł się do porywistego wiatru, wzniecając pył z drogi. Słyszał dochodzącą z góry muzykę – szarpanie strun gwiazd. Coś pod sercem, jakiś pradawny odruch, kazało mu zamknąć oczy i wyciszyć umysł. Świat wokół zawęził się, droga, pola, lasy, aż zawisł w pustej przestrzeni, jak wtedy, dawno temu, gdy zepsuł się graw, jedzenie pofrunęło w powietrze, a on pierwszy raz radośnie się roześmiał. Nagle dostrzegł ścieżkę – prąd strzelający łukiem w niebo, wielokolorowy, opalizujący nie prawdziwymi kolorami, lecz czymś wykraczającym poza domenę zmysłów; jakby czekał właśnie na tę chwilę, żeby się ukazać.

Popłynął prądem z tego świata, przez mgławice, przez pyłki asteroid i gazowe olbrzymy, gwiezdne pierścienie i mityczne gwiazdozbiory, sam jak przedwieczna i nowa istota, przebijająca się na wylot przez prawa tej rzeczywistości, przez mury i ściany, możliwości i niemożliwości, w drodze do domu, mijając tysiące, miliony innych linii splatających się w nieskończoną sieć, starych, już znanych dróg i nowych, jeszcze nieprzebytych. Śmigał przez to wszystko, póki nie zawirowało przed nim Malowane Miasto, powiększające się przerażająco, a on jak nieskończenie mały okruch opadał ku niemu, ku gładkim kamieniom portu kosmicznego, jego budowlom, warstwom metalu, lastyku i szlifowanej skały, teraz wolniej dryfując, przez spokojny mrok doku, ku Debby, przez jej osmolony, wiekowy kadłub, który spędził niezliczone wieki w drodze, wioząc ze sobą tysiączne opowieści, i w dół, delikatnie, przez właz do jego kabiny; świat ugina się i pulsuje, wreszcie wraca do pierwotnego, solidnego kształtu.

Oto był na miejscu, pośród wszystkich swoich rzeczy. Łóżka. Ubrań. Instrumentów. Aż trudno mu było opisać radość. Starł z ciała popiół ze spalonego ubrania i przebrał się w stare rzeczy trzęsącymi się rękami – przeskoczył przez kosmos, był nieskończony, nie więziły go żadne ściany, nie krępowały żadne odległości. Miał wrażenie, że musi wykrzyczeć z dachów, że ma tę moc, najpierw jednak powie o niej swojej rodzinie.

Wypadł na pusty korytarz. Usłyszał dobiegający z mesy pomruk rozmów. Z radosnym uśmiechem na ustach podszedł do drzwi, wziął głęboki wdech i zrobił wielkie wejście. Vaila wrzasnęła. Przestraszony Sartoris upuścił kubek, wylewając coś niebieskiego na dywan. Nia podbiegła do niego, zapalczywie, niemal brutalnie wzięła go w objęcia, ścisnęła.

– Gdzie byłeś, do cholery?! – krzyknęła. Odepchnęła go. Potrząsnęła nim, przytuliła jeszcze raz. – Gdzie łaziłeś?

Omal jej nie powiedział, omal, lecz gardło mu się skurczyło i powstrzymało słowa już mające paść z półotwartych ust – ciało było świadome, jaka jest prawda; że to jest jego dom i nie chce mieć innego. Kiedy powie im, co potrafi, że niemożliwe jest w istocie możliwe, to będzie koniec zlecenia. Wrócą do Fumiko. A potem, co będzie potem, nie wiedział – tylko że to będzie koniec. Straci tych ludzi. Swój dom. A jeszcze tyle mają do zrobienia.

Powiedział jej więc półprawdę. Że się zgubił. A Nia wpatrzyła się w niego, w głąb niego, tym samym co zawsze badawczym spojrzeniem, lecz teraz przesyconym złością, zmieszaniem i radością.

– Szlag – szepnęła w końcu, gładząc go kciukiem po policzku. – Niech cię szlag.

Tej nocy ułożył dla nich bajkę. Opowiedział o spotkanych rówieśnikach. O alkoholach, które wypił. O tańcach. O nocy zabaw, w trakcie której wywieźli go na daleki posterunek, ranku, kiedy zbudził się na kanapie w nieznajomym domu. Opisał długi dzień wędrówek. Miłą osobę, która pomogła mu wrócić. Wiedział, że trzeba opowiadać ogólnikowo; twierdził, że dużo wypił i niewiele pamięta, zaczął nawet udawać ból głowy. Nia patrzyła na niego zza stołu, lecz nic nie mówiła, poza tym, jak bardzo się cieszy, że wrócił. A kiedy opowieść się skończyła, wszyscy, wyczerpani długim dniem, poszli spać, a każdy wykonał jakiś drobny gest świadczący o tym, jak się cieszą. Podziękował im wszystkim i przeprosił. Włożył serce w te przeprosiny, odegrał je, a w głębi duszy wciąż cieszył się, że udało mu się wywieść ich w pole.

Dopiero później, gdy wrócił do swojej kabiny i otoczyły go jego własne rzeczy, dopadło go poczucie winy za to, co zrobił.

Jak tępe, puste dudnienie.

***

Poczucie winy było jak twarda gula w gardle. Dławiło go, gdy Nia znienacka dotykała jego pleców, jakby upewniając się, że wciąż tu jest. Z czasem nauczył się sobie z tym radzić. Niebawem zresztą poczucie winy zastąpiła duma – miał już bowiem pewność, że jest kimś niezwykłym, tak jak twierdziła Fumiko. Kto jeszcze miał tak niezbite dowody, że jest nadzwyczajny? Radość wysączała się z niego podczas lekcji z Sartorisem, budząc dezorientujące starszego pana ataki śmiechu; śmiał się, bo wreszcie wiedział coś, czego oni nie wiedzieli.

Z czasem zaczął trenować swoją nowo odkrytą moc. Odczekał miesiąc, licząc od dnia, w którym Nia przestała się domagać, by spał w jej kabinie podczas wizyt na planetach, i przestała drobiazgowo pilnować każdego jego ruchu. Wtedy wymykał się w ciemność i sprawdzał swoje własne granice.

Były to miesiące odkryć. Nocnych wypraw.

9.

Nocne wyprawy

Szedł samotnie przez rozległe, naprzemienne pola CzarnoKwiatu i SzaroPszenicy na Mondrianie, podczas gdy załoga spała w zajeździe, nieświadoma, że zniknął. W miejscu, gdzie był pewien, że nikt nie patrzy, rozebrał się do naga, wiedząc, że ubranie i tak spali się podczas wyjścia. Bosy na oszronionej ziemi, z odrętwiałymi nerwami, wzmógł koncentrację, uciszając wiatr dokoła i zmysłowe wrażenia węchu, smaku, dotyku, aż zapanowały ciemność i bezruch. A kiedy to zrobił, usłyszał odległą falę muzyki, wykrył niewidzialne prądy i zaraz zniknął z tego świata. Czas zatrzymał się, a on, lecąc wysoko i bezcieleśnie nad planetą, tropił miriady prądów oplatających kosmos jak kocia kołyska, aż został wciągnięty na ścieżkę, która wyrzuciła go na…

Wirującego derwisza gazowego olbrzyma, gdzie spadał przez parszywą i trującą atmosferę, dławiąc się i dusząc, niesiony wiatrami tak gwałtownymi, że każde inne ciało, nienaładowane energią kinetyczną niedawnego skoku, rozdarłyby na strzępy, w słabnącej świadomości myśląc, że to już, że zginie, czemu był tak głupi… lecz nagle, pradawny odruch… jak wędka, która zahaczyła się o jego serce i wyszarpnęła go ze szponów obejmującego całą półkulę huraganu, ciskając na drugą stronę galaktyki, prosto w czerwone niebo Umbai V.

Spalone źdźbła pod jego ciałem połamały się, gdy wstawał. Oszołomiony ścisnął głowę, doszedł do siebie. Kiedy się zorientował i zobaczył, gdzie wylądował, ponownie przytłumił wrażenia zmysłowe i popłynął prądami z powrotem na planetę, która tuliła do siebie Debby, lądując z niebezpiecznym łupnięciem obok pozostawionych ubrań, na czarnym kwadracie mondrianowskiego pola, wyginając plecy w łuk, zataczając się po wstrząsie, od którego stanęły mu w oczach wszystkie gwiazdy, kaszląc gwałtownie. Ubrał się i pokuśtykał do zajazdu jak zbity pies, niegotowy, by tej nocy próbować jeszcze raz. Pocieszył się faktem, że już wie na pewno – kiedy jest w niebezpieczeństwie, zawsze przerzuca go na Umbai V; nie wiedział jak i dlaczego, ale miał tę siatkę bezpieczeństwa.

W miarę ćwiczeń nabrał wprawy. W lodowatym wietrze rozbierał się, skakał i odkrywał, że przeskok na bezpieczne światy, z atmosferą do oddychania – światy, które nie rozerwą go na strzępy, kiedy zakończy skok – da się rozpoznać, wsłuchawszy się w ton jego muzyki. Nie była to muzyka, nie w dawnym sensie tego pojęcia; bardziej jak szpik kostny muzyki, coś, co ciekłoby ze złamanej kości piosenki; rytmiczny prąd; melodia śpiewana nie ustami, lecz ciałem. Jego ciało zaśpiewało tak pomiędzy gwiazdami i opadło w plamisty od słońca leśny zagajnik. Jakieś kwieciste stworzenie uciekło, widząc jego nagłe pojawienie. Delirium, które przeżywał podczas

pierwszych skoków, złagodniało, teraz był to szybko ustępujący tępy ból. Uśmiechnął się szeroko i wskoczył z powrotem na linię wychodzącą z zagajnika, przeskakując na drugą stronę planety, na skalny występ z widokiem na rozległą dolinę z rozpłaszczonym na dnie srebrzystym jeziorem. Wskazał na najwyższy szczyt w polu widzenia; grzbiet zwężający się do punktu na tle nieba barwy zielonej herbaty. Chciał się przekonać, jak dokładny może być skok. Jednakże skok wciąż nie był do końca okiełznany, wciąż był nieprecyzyjny; żołądek podskoczył mu do gardła, gdy wylądował dobre pół metra od skały i spadł, tak gwałtownie, że zabrakło mu powietrza, by krzyknąć, twarda ziemia zawirowała, zbliżając się, tym razem na pewno zginie, zanim obudzi się ten pradawny odruch i poniesie go prądami w niebo, zabierając ze szponów śmierci i opuszczając na środek fioletowego pola uprawnego. Stamtąd z powrotem do śnieżnych wiatrów, bosy, ale stojący na własnych nogach. Dopiero tam nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Dobrze śpisz w nocy? – zapytał przy śniadaniu Royvan, wyciągając rękę i dotykając jego czoła.

Ahro podjął grę i powiedział doktorowi, że całą noc kaszlał. Dostał wodę i polecenie pozostania w łóżku przez resztę dnia. Nia co godzinę zaglądała do niego, żeby sprawdzić, czy robi, co mu kazano. Niepokoił się, że sprawdza go, bo nabrała podejrzeń i zaraz przyłapie go na kłamstwie, jednak nic z tego nie wynikało poza kolejnymi szklankami wody i kolejnymi dłońmi sprawdzającymi mu temperaturę.

Pływał w nietkniętych ludzkim ciałem jeziorach, krzyczał na całe gardło, spadając przez wiry różowych chmur. Odpoczywał w rozwidlonych gałęziach drzew wysokich na setki metrów, patrząc na zamglony horyzont. Robił, co chciał.

– Dokąd idziesz? – szepnął pewnego wieczoru Sartoris z drugiego końca korytarza.

– Przewietrzyć się – odszepnął.

Żył w locie pomiędzy światami. Te niezamieszkane miały w sobie wolność, nie było tam ważne, jak się zachowuje, jak się ubiera czy nie ubiera. Sikał, gdzie chciał, wypróżniał się z dużej wysokości, wykrzykiwał w powietrze zakazane słowa i słuchał, jak odbijają się niczym kamienie od pionowych skał. Wygadywał głupoty do słuchających go ptaków grudzików i wyśpiewywał do wielkiej czarnej jamy swe sekrety, fantazje, spowiadał się z mokrych snów. Śmiał się sam do siebie. To były jego zwierzęce dni. I były dobre. Ale jak to się zdarza, po jakimś czasie znudził się tymi niezliczonymi i pustymi Edenami.

Zapragnął ludzi.

Dotąd starał się unikać zamieszkanych światów. Słuchając prądów, poznawał, gdzie są ludzie, po tempie i agresji melodii; na takich światach zawsze była hałaśliwa i dysonansowa. Unikał ich, bo bał się, że go wykryją, albo, co gorsza, schwytają. Pokusa była jednak zbyt silna. Niebawem zaczął stawać na skonstruowanych ludzką ręką latających kluchach, patrząc na tłoczne ulice w dole i przeskakując ze statku na statek, a piloci wykrywali drobne fluktuacje ciężaru, zanim znów zniknął. A kiedy jego zdolność nabrała precyzji, wskakiwał ludziom do domów, wyjadał ciastka z kuchni i wyskakiwał, zanim go znaleźli, tak że zdążyli tylko się zdziwić, co to za dźwięk słyszeli w sąsiednim pokoju. Przeskakiwał z kultury do kultury. Słuchał piosenek Nowych Przypływów. Był tam, gdzie kapłani wspinali się na drzewa po moc-

nych płóciennych drabinach, żeby być bliżej bogów. Słuchał jazgotu ludzi w dole, zawsze ze zbyt daleka, by odróżnić słowa. A potem chodził pomiędzy nimi, kradł ubrania, by lepiej wtapiać się w tłum, był na tyle blisko, by widzieć niuanse artykulacji na ich twarzach, włosy w brodach, oczy zaczerwienione od alkoholu, czuć poranny zapach ich ciał.

Jednakże ze wszystkich miejsc, które odwiedził, ze wszystkich obejrzanych widoków, żaden nie mógł się równać z Kilkari, wyprażonym słońcem miastem, w którym ukradł z suszarki parę spodni, oliwkową koszulę i szedł po glinianych schodach. Kilkari, gdzie niedbale sunął palcem po pomalowanych na błękitno ścianach, idąc nad brzeg, gdzie o filary pomostów chlupotało spokojne morze. Gdzie w oddali rybacy zarzucali do czystej wody sieci statyczne i wyciągali z głębin oszołomione stwory, miotające się przy wrzucaniu do pojemników. Kilkari, miasto świeżo wcielone do Zjednoczonego Kosmosu – to tam, gdy stał na skraju nabrzeża i patrzył na łagodne fale, ktoś za jego plecami zapytał:

– Sanpa?

***

Sanpa, to było po kilkarańsku. Oznaczało jednocześnie „Cześć” i „Czy my się znamy?”. Jedno z wielu słów, których Ahro nauczył się tego dnia od chłopaka, który podszedł do niego na kei i jeszcze raz powiedział:

– Sanpa?

Był nieco wyższy od niego, z oczyma wyciętymi z zimnego kamienia i nosem odrobinę przekrzywionym, jakby był wiele razy złamany i nigdy porządnie nienastawiony. Patrzył teraz na Ahra jak na starego przyjaciela. Powtórzył to słowo.

– Przepraszam – rzucił zdziwiony Ahro. – Nie rozumiem.

Uśmiech tamtego zgasł.

– Mówisz po stacyjnemu.

Ahro kiwnął głową.

– Ty też.

– Większość u nas mówi – odparł. – Ale nie z wyboru.

Machnął ręką o chudym nadgarstku, jakby to była jakaś banalna niedogodność. Ahra bardzo ujął ten gładki gest. Chłopak skłonił się.

– Twoje ubranie mnie zmyliło. Wziąłem cię za kogoś innego. Przepraszam.

Zanim poszedł, Ahro poprosił, by został na chwilę. Chłopak ze zniecierpliwioną miną czekał, wszelkie ciepło dawno się ulotniło.

– No? – rzucił.

Ahro pierwszy raz rozmawiał z kimś w swoim wieku i pierwszy raz miał kontakt z kimś nieznajomym bez towarzystwa Nii czy Sonji. Nie można było zaprzepaścić takiej chwili.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Oden. – Wbił w niego wzrok. – A bo co?

To pytanie zbiło go z tropu.

– Nie wiem – odpowiedział, a potem czując się głupio, podał własne imię: – Ja

jestem Ahro.

– Dobra, Ahro. – Powtórzył jego imię jak żart i poszedł, schodami prowadzącymi w górę z nabrzeża, nie obejrzawszy się ani razu.

Ahro patrzył za nim. Zastanawiał się, co źle zrobił. Tylu rzeczy nauczyła go załoga, ale do nawiązywania znajomości jakoś nie doszli. Szedł więc spacerowym krokiem po nabrzeżu, szepcząc „Sanpa" – podobało mu się ułożenie ust w tym słowie, to, jak ostatnia sylaba brzmi jak krótki wydech przez rozchylone wargi.

Nie musiał wracać jeszcze przez wiele godzin, spacerował więc po mieście, w którym bez końca trwał zachód słońca – słońce wisiało tuż nad horyzontem oceanu, kąpiąc Kilkari w bursztynowym blasku. Patrzył, jak kobieta rozcina nożem węgorza. Z jaką łatwością wyciąga chrzęstne ości. Doskonała znajomość ciała węgorza, nonszalancka mina, gdy chwyta kręgosłup i wyciąga go z ciała. Stał jak zahipnotyzowany jej pracą, póki nie usłyszał krzyków w głębi ulicy – za nim coś nagle huknęło, coś wybiegło zza otwartych drzwi budynku. Oden. Patrzył, jak pędzi sprintem w zaułek, goniony przez starszego mężczyznę, który zdyszany zatrzymał się u jego wylotu, na całe gardło wykrzykując coś, co Ahro uznał za przekleństwa. Mężczyzna tupnął nogą. Musiał pogodzić się ze stratą. Kobieta, którą wcześniej obserwował Ahro, parsknęła śmiechem, po czym wzięła z wiadra kolejnego bezwładnego węgorza i odcięła mu głowę.

Znalazł go dość szybko. Parę ulic dalej, otwarty park pośrodku miasta.

– Znowu ty – powiedział Oden. Przykucnął za rudym drzewem, wyrastającym agresywnie spomiędzy kamieni brukowych. Dyszał, kropelki potu płynęły mu po twarzy. – Czego chcesz?

– Wszystko dobrze? – zapytał Ahro.

– Nie. – Uspokoiwszy oddech, chłopak wstał i obejrzał się w kierunku, z którego przybiegł. Tam, daleko, mężczyzna wciąż krzyczał. – Nie. Wszystko niedobrze. – Potem obejrzał się na Ahra. – A ty nie masz statku, którym się trzeba zająć? Kapitana, który potrzebuje twojej pracy?

W myślach Ahrowi błysnęła twarz Nii. Szybko zbliżała się pora powrotu. Nie był jednak gotowy.

– Jeszcze nie muszę wracać – powiedział. – Pomóc ci w czymś?

Oden parsknął śmiechem.

– Jaką pomoc proponujesz? Jak planujesz rozwiązać moje problemy?

Ahro przypomniał sobie Dobrą Osobę z Cichego Statku, jak pytała go, czego potrzebuje, i jak okazało się, że odpowiedź na takie pytanie jest niemożliwa; jakby próbować wyrwać korzeń zbyt głęboko tkwiący w ziemi. Przypomniał sobie jej arogancję, to, że chciał jej powiedzieć – lecz nie umiał się jeszcze wysłowić – jak mało wie i jak o niczym nie ma pojęcia, mówiąc o jego życiu.

– Masz rację – odparł. – Pewnie nie mogę pomóc.

– Nie możesz. – Mimo to mina Odena trochę złagodniała. – A ty czego chcesz?

– Chcę mieć z kim pogadać.

Słowa wypadły z ust prawie bez zastanowienia. Wiedział, jak żałośnie to brzmi, wiedział, że zasługuje na śmiech Odena, lecz ten śmiech był nieco mniej oschły niż poprzedni. Brzmiała w nim nuta rozbawienia.

– Sahave – mruknął, ocierając resztki potu. A potem: – Widzisz tę górę? – Wska-

zał przed siebie i powyżej, na góry wystające tuż zza glinianych budynków jak uniesione palce. – Idę na szczyt. Jak chcesz, to chodź.

I ruszył tak szybkim krokiem, że Ahro musiał w parę sekund zdecydować, czy przyjąć propozycję. Wiedział, że Nia będzie rozczarowana, że postanowił wyjść za tym nieznajomym poza bramy miasta, ale nie było jej tutaj, żeby go powstrzymać.

Idąc, niewiele mówili. Każde pytanie Ahra Oden zbywał ogólnikami, nawet proste, typu: „Co robisz dla rozrywki?".

– Zależy od dnia – odparł.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj dla rozrywki idę na górę z chłopakiem, który lubi ciągle zadawać pytania. – Wyciągnął dłoń, żeby pomóc mu wejść na stromą skałę. Ahro zignorował tę pomoc i z łatwością wskoczył na górę. Oden wpatrzył się weń badawczo. – A ty? – zapytał. – Ty co robisz?

Ahro wyszczerzył zęby.

– Dzisiaj dla rozrywki idę na górę z chłopakiem, który nie lubi odpowiadać na pytania.

Śmiech Odena brzmiał prawie jak warknięcie.

Był cały z ostrych krawędzi, a szedł, jakby strząsał sobie wodę z pleców. Ahro, idąc obok niego, czuł się zarazem dobrze i niepewnie, każdym nerwem ciała uświadamiał sobie moment, gdy zetknęły się ich łokcie albo gdy przyłapał Odena na taksowaniu go swymi surowymi zielonymi oczyma. Podobało mu się to nawet – ta niepewność, co myśli osoba obok niego, połączona z nadzieją, że może myśli o tym, czego chcesz.

Obeszli część wzgórza, wspięli się na kolejną stromiznę i dotarli do grupki glinianych domów stojących wzdłuż brzegu urwiska, z którego rozciągał się widok na miasto, wiele metrów w dole. Tutaj budynki były o wiele skromniejsze, często popękane, a drogi pomiędzy nimi zasypane śmieciami, powbijanymi w ziemię jak stalowe kwiaty. Pachniało błotem.

– Tu mieszkasz? – zapytał Odena, lecz ten znów odpowiedział wymijającym wzruszeniem ramion.

– Mieszkam w różnych miejscach.

Przez następną godzinę Ahro szedł za Odenem jak bezpański pies, podczas gdy on zaglądał do najrozmaitszych domów, coraz bardziej zapuszczonych: to wręczył paczkę drobnej staruszce, to wetknął głowę przez okno i zagadał w swoim języku do jakiejś niewidocznej osoby. Zupełnie jakby zapomniał, że Ahro tu jest, jakby stał się niewidzialny i tylko obserwował bieg dnia tego nieznajomego. Ludzie lubili Odena. Ich kamienne miny zamieniały się w uśmiech, kiedy podchodził, lecz Ahro nie rozumiał, o czym rozmawiali – czasami dana osoba przekrzywiała głowę i zerkała, ciekawie choć nieufnie, w jego kierunku, pytając o coś, a Oden wykonywał ten gest nadgarstkiem i coś zdawkowo rzucał, jakby mówił: „A, jakiś typ, co cały czas za mną chodzi". Albo: „Nie przejmuj się, jest nieważny". Trwało to jakiś czas, póki nie odwiedzili prawie wszystkich domów i niewiadoma procedura, którą wypełniał Oden, nie dobiegła końca. Spojrzał Ahrowi w oczy po raz pierwszy, odkąd weszli na wzgórze.

– Bardzo jesteś cierpliwy – powiedział; to nie była pochwała, lecz zwykłe spo-

strzeżenie. – Nie zmęczyłeś się jeszcze?

Ahro nigdy nie był bardziej przytomny.

– Mogę iść dalej.

Wyszli ze wsi po przeciwnej stronie, niż weszli. Tu ścieżka robiła się coraz bardziej stroma; Ahro pocił się, wspinając się po skalnych stopniach, zastanawiając się, czy może na tym świecie są góry, które nie przestają się wznosić i nie kończą się szczytami. Godzinę później jego teoria została obalona – pokonali ostatnią półkę i dostali się na szczyt, płaski jak stół i usiany czarnymi głazami. Słońce wciąż stało w swojej południowej pozycji, kiedy gramolili się na jedną z wystających z płaskowyżu skał. Oden z ciężkim westchnieniem opadł w zagłębienie w skale, pasujące do jego grzbietu, jakby sam je wysiedział, całymi latami spędzając dni na patrzeniu w przestwór oceanu. Ahro znalazł sobie miejsce metr wyżej. Nawet stąd czuł zapach morskiej soli i słyszał szum fal w dole. Zmrużył oczy przed pomarańczowym światłem.

– Kiedy zajdzie słońce? – zapytał.

Oden zaśmiał się.

– Nie zajdzie. Jeszcze przez parę waszych standardowych tygodni.

Powiedział „waszych”, jakby to Ahro wymyślił system standardowego pomiaru czasu. Chciał go poprawić, wyjaśnić, że nie ma nic wspólnego ze Zjednoczonym Kosmosem, wiedział jednak instynktownie, że Oden ani go nie posłucha, ani nie uwierzy. Tamten uniósł wzrok.

– Dziwne, że tego nie wiesz. Przeważnie kupcy wiedzą.

– Nie jestem kupcem.

– To kim jesteś?

– Tak sobie przyleciałem.

– Nikt tu nie przylatuje „tak sobie”. Nie teraz. – Splunął w dół, kropla śliny poleciała idealnym łukiem z urwiska. – Jesteśmy najnowszym „Światem Surowcowym Umbai” – dodał z udawaną dumą. – Jedyne statki, jakie mogą zawijać do naszych portów, to transportowce Zjednoczonych.

– Nie lubisz Zjednoczonych?

Kolejne splunięcie.

– Wykupili nas. Potem odcięli nam dostęp do Strumienia. Reeda mówiła, że tak będzie, i tak było.

– Kto to Reeda?

Oden jednak już był myślami gdzie indziej.

– Mówiła, że kłamią, kiedy twierdzą, że chcą ochronić naszą kulturę. Że chcą nas okaleczyć. Zlikwidowali większość szkół. Niedługo będziemy tu umieć tylko łowić węgorze szawiwan, żebyście mogli handlować rzadkimi atramentami. – Westchnął. – Miała rację, co do słowa, ale nikt jej nie słuchał.

Ahro nie był pewien, co powiedzieć. Podczas pobytu na Debby nauczył się – zwłaszcza od Nii – że czasami ludzie muszą po prostu wyrzucić coś z siebie i wtedy najlepiej tylko słuchać. Słuchanie jest bezpieczne. Mało wiedział o przejęciach światów przez innych, o hibernacji kultur, te akurat lekcje Sartorisa go przerastały, a nie chciał wyjść przed Odenem na głupka, rzucając jakąś nierozważną uwagę. Więc kiedy tamtemu skończyło się ulewać, powiedział po prostu:

– Przykro mi.

Takie słowa były do przyjęcia. Oden burknął coś i zamilkł.

Wielotygodniowy zachód słońca rozjarzał skórę Ahra, grzał ją jak przegarnięte węgle. Chłopak opadł na ciepłą skałę, na wpół zamykając oczy. Wiedział, że czas mu się kończy, że niedługo trzeba będzie wrócić, lecz dobrze się tu czuł, przy tym nieznajomym. „Jeszcze minutkę", powtarzał sobie, „minutkę i wracam do domu". A na głos, nagle, dodał:

Słońce nad nami
Nie działa tak, jak trzeba.
Nie chce zachodzić.

Odwrócił nieznacznie głowę. Nie był pewien, ile czasu właściwie minęło, kiedy Oden wspiął się do niego, kucnął, z twarzą o centymetry od jego twarzy; mogły to być godziny albo minuty. Z tak bliska widział, że jedną powiekę ma nieco opuszczoną, jakby była zbyt ciężka, żeby ją unieść do końca. Widział osobliwe okruchy kolorów w jego oczach – zieleń nakrapianą złotem.

– Jesteś kupcem – powiedział niskim głosem, jakby celowo obniżał go o całą oktawę. – Mam dla ciebie ofertę.

– Nie jestem kupcem – powtórzył Ahro.

Oden i tak dokończył.

– Moje ciało za twoje – powiedział.

***

Na Cichym Statku było wiele sposobów mierzenia czasu. W każdym pokoju stały najrozmaitsze metronomy. Niektóre trapezoidalne, z nakręcanym wahadłem odmierzającym takty rytmicznym łukiem; inne były małymi krążkami z lampkami bezgłośnie wymrugującymi rytm – raz, dwa, trzy, cztery. Całując Odena pomiędzy pionowymi skałami, Ahro nie był pewien, dlaczego przypomniały mu się metronomy. Może chodziło o ten rytm. O to, jak kołyszą się tam i z powrotem, jak igła, mierząc czas.

Oden sapnął. Kazał mu siąść, Ahro usiadł. Głos brzmiał ostrym rozkazującym tonem, łagodzonym przez nerwowość w jego ruchach. Przełknął ślinę, gdy Oden chwycił go z przodu za spodnie i rozwiązał sznurek. Ten ruch był jednocześnie powolny i szybki, sznurek odskoczył na boki jak ogon węża. Oden ściągnął mu spodnie.

– Nie krzycz za głośno – powiedział.

Ahro wygiął plecy w łuk, w głowie zaczął słyszeć kształty, czuć kolory i ciepło. Mimo to robił, co mu kazano. Był cicho. W tym miał lata wprawy. Wbijał palce w ziemię, zaciskał zęby, lecz nic nie powiedział, bojąc się, że wystarczy jedno słowo i czar pryśnie, a przyjemność ustanie. Poczuł ostre siekacze, potem mokrą falę języka; dłoń Odena naparła mu na pierś, każąc położyć się na twardej skale.

To się dzieje, pomyślał.

Ja tu jestem.

Jednym z jego ulubionych metronomów był automat należący do Pani Wiolonczelistki. Raz, mając dzień dobroci, pozwoliła mu go nakręcić. Zachwycił go rzeźbiony palec wskazujący, kiwający się do taktu, jakby drapał niewidzialne, swędzące miejsce. Choć za kotarą z gazy Wiolonczelistka szykowała się do snu, siedział przy metronomie i patrzył, jak drapie palcem powietrze, przepędzając kolejne sekundy.

– Powiedz mi, czego chcesz – powiedział Oden.

Ahro dotknął palcem zwisającej mu z ust nitki śliny.

Oden parsknął śmiechem.

Często zastanawiał się, kto wykonał tę automatyczną dłoń; z jakiego starego drzewa została wyrzeźbiona; ile godzin pracy kosztowało skoordynowanie takiego ogromu małych trybików w środku. Zastanawiał się, czemu metronom to dłoń, a nie stopa. Czemu nie jest po prostu pudełeczkiem z migającą lampką, jak inne, po co taki kształt i czemu służy jego piękno?

Niczemu, pomyślał z dłonią w zmierzwionych włosach Odena.

Po prostu jest.

***

Kiedy schodzili z góry, żaden z nich się nie odzywał. Pot stygł w martwym bursztynowym blasku. Chwilami ich wzrok spotykał się, usta wyginały się w uśmiech, lecz zaraz ukazało się miasto, krojące niebo mury, i znaleźli się z powrotem w jego cieniu. Ahro wiedział, że już nigdy nie zobaczy Odena. Miał potrzebę wykonania jakiegoś pożegnalnego gestu, czegoś bardziej osobistego niż słowa, lecz kiedy wyciągnął rękę, by go dotknąć, chłopak się odsunął.

– Pora wracać na statek, panie kupiec – powiedział. Miał na twarzy zbolały uśmiech. Potem przebiegł przez bramę i już go nie było.

Ahro samotnie wrócił z miasta na pustkowie, pełny i pusty zarazem; jednocześnie przegrany i zadowolony. Uśmiechnął się, przypominając sobie dotyk języka Odena, mając nadzieję, że i jego język był tak dobry; myśląc, czy mógł zrobić – powinien zrobić – coś więcej. Przewijał to wspomnienie, przeżywał je od początku. Dłoń, która ściskała go za kark akurat na tyle, by odczuł nacisk. Zastanawiał się, czy uda mu się powrócić w to miejsce i znów odnaleźć Odena, kiedy Debby przepłynie do kolejnego świata; i czy o kilka miesięcy starszy Oden będzie go jeszcze pamiętał. Zatrzymał się na linii drzew i chwilę rozważał, czy nie zawrócić. Postanowił jednak nie ryzykować. Wiedział, że Oden miał rację; pora iść.

Na pustkowiu, wśród skał i drzew, skoczył. Popłynął prądami z tego świata, szybując wysoko i bezcieleśnie przez czasoprzestrzeń, myśląc o cieple skóry i niesamowitych oczach Odena. Zamyślił się tak, że ze zdumieniem stwierdził, że droga powrotna dobiegła końca. Oto znowu był na planecie Debby i stał na omszałej ziemi obok swojego złożonego ubrania. Oszołomiony ubrał się, najpierw włożył spodnie, potem luźną koszulę. Uśmiechnął się szeroko. Nie widział mężczyzny, który siedział na kamieniu za jego plecami. Zauważył go dopiero, kiedy ten się odezwał.

– Cześć, Ahro – rzucił Sartoris, uśmiechając się ze smutkiem.

10.

Stoper

Kiedy przybyli na księżyc, obudzili Fumiko. Palec w rękawicy podkręcił temperaturę komory statycznej, jej powieki zatrzepotały i popatrzyła na ulatniającą się mgiełkę, na wklęsłą ścianę metalowej trumny otulającej jej ciało w koszuli nocnej. Kiedyś, budząc się z zimnego snu, przeżywała delirium, teraz dawno przyzwyczaiła się do tego procesu; obudziła się w pełni przytomna, słuchając uporczywego pikania, jakby cykady w uchu.

– Dzień dobry, Fumiko – powiedział lekarz, gdy uniesiono pokrywę i ponownie narażono ją na ostre światło w komorze. Pomógł jej wstać. – Jak się spało?

Rozciągnęła palce stóp. Szyję.

– Czas? – zapytała.

– Rok trzy tysiące trzysta dwudziesty. Wtorek, godzina ósma, czasu standardowego. Za trzy godziny lądujemy na Stoperze.

Nie wiedziała, co to Stoper. Dezorientacja chyba odmalowała się na jej twarzy, bo doktor wyjaśnił:

– Stoper to twoja prywatna baza badawcza.

Teraz sobie przypomniała.

– Stoper to moja prywatna baza badawcza.

– Tak, Fumiko – powiedział lekarz. – Nie ma powodu do obaw. Za kilka godzin pamięć powróci.

Zaprowadził ją do sypialni, gdzie ubrała się i poczekała, aż statek wyląduje. Włożyła dopasowany czarny blezer i luźne spodnie, związała włosy w ciasny kok, wszystko to we mgle rutyny, gdy umysł dochodził do siebie.

Nazywam się Fumiko Nakajima. Zaraz lądujemy w mojej prywatnej bazie badawczej. Baza jest na krawędzi krateru. Tam pracuję.

Ale co robię?

– Dzień dobry, Fumiko! – rzuciła pogodnym tonem jakaś kobieta stojąca w drzwiach. – Coś do picia?

– Wody – odparła bez namysłu.

Zamknęła oczy. Od chwili, gdy się obudziła, do otwarcia źrenicy śluzy minęły trzy godziny, które prawie w całości uleciały jej z pamięci. Tym się nie przejmowała. To był efekt długiego przebywania w zimnej statyce. Zamulona głowa. Przycięty czas. Wiedziała to. Ale i tak czuła irytację.

Nieznajomi ludzie powitali ją, kiedy wyszła ze śluzy i zeszła schodkami na lądowisko. Garstka mężczyzn, kobiet i innych. Przodownikiem stada był jeden ze star-

szych mężczyzn. Miał gruby płaszcz, na piersi identyfikator, który kołysał się na wietrze i nie mogła go przeczytać. Bardzo się palił do rozmowy z nią, choć nie miała pojęcia dlaczego. Nie znała go.

– Miło mi znowu cię widzieć.

Może go jednak znała.

– Kto ty jesteś? – zapytała.

Jego uśmiech przygasł na moment.

– Hart Solumen – powiedział. – Kierownik naukowy Grupy Badawczej Stoper. – Skłonił się. – Bardzo się cieszę, Fumiko, że bezpiecznie tu wróciłaś.

Tłumek czekał, aż się odezwie. Sądząc po ich minach, miała wygłosić jakąś ważką przemowę.

– Zimno mi – powiedziała.

Z czasem świat wyostrzył się w zrozumiałe kształty i pojęcia. To był Stoper. Stworzyła to miejsce wiele lat temu, jej czasu. Niegdysiejsza zbieranina modułowych budynków wzdłuż krawędzi krateru stała się teraz wielkim kompleksem wgryzającym się głęboko w kredowe ciało tego błękitnego satelity; dyskretnym miejscem z dala od oczu Umbai. Kobieta, która ją znała, choć jej imię na razie umknęło Fumiko, prowadziła ją po kolejnych piętrach, każdym bardziej przepastnym od poprzedniego. To musiało powstawać dziesiątki lat. Za każdym razem, gdy wchodzili do jakiegoś pomieszczenia, pracownicy zamierali i patrzyli na Fumiko z milczącą ekscytacją. Starszy pan z zapałem perorował o wszystkim, co zostało osiągnięte od jej ostatniej wizyty, o nowych lekkich stopach, które będą stawiać mniejszy opór w ciśnieniach Fałdu, lecz jej to nie interesowało. Choć jej pamięć była jak podarta pajęczyna, wiedziała, że to, co on mówi, jest nieistotne dla całokształtu.

– Jakieś wieści z Debby? – zapytała, przerywając mu.

– Czekamy na najnowszy meldunek od Sartorisa Motha. Powinien przyjść w ciągu paru godzin.

– Więcej tematów nie mam – powiedziała.

Otworzył usta, zamknął je, jakby po namyśle.

– Oczywiście. – Skłonił się. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Tak – powiedziała. Zasznurowała usta. – Gdzie jest mój pokój?

***

Kobieta. Kobieta na ławce, na promenadzie, z łyżką curry w ustach. To było to – prosty, pozbawiony ozdóbek sen, z którego obudziła się, kiedy przy łóżku zadźwięczał budzik i przypomniała sobie, że jest rok 3320, wtorek i przebywa w swojej prywatnej bazie nazywającej się Stoper. Zdrzemnęła się przed kolacją powitalną, która miała się odbyć w amfiteatrze. Sam fakt, że jest tu amfiteatr, był dla niej zaskakujący. Podejrzewała, że nie wydawała na niego zgody, bo nie widziała zastosowania dla czegoś takiego w ośrodku naukowym. Gdy po raz drugi tego dnia wykąpała się i ubrała, myślała o kobiecie ze snu, próbowała przypomnieć sobie coś konkretnego, jednak szczegóły jej umykały; blond mgiełka w pamięci, całkiem pozbawiona imienia.

– Fioletowe oczy – wyszeptała, zapinając ostatni guzik eleganckiego żakietu. –

Miała fioletowe oczy.

Uśmiechnęła się niepewna, dlaczego ucieszył ją ten szczegół.

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem czas się przyciął, smukły kieliszek z musującym winem stuknął się z jej kieliszkiem, odgłos toastu zadźwięczał czysto w całym amfiteatrze. Basowy pomruk stu rozmów ucichł, gdy kobieta, która ją znała, wzniosła toast na cześć Fumiko Nakajimy.

– Za zbudowanie nam tego miejsca do badań, możliwości nieskrępowanego rozwijania nauki z dala od Korporacji Zjednoczeni-Umbai, za to wszystko dziękujemy. Zdrowie Fumiko!

– Zdrowie!

Morze kieliszków zaiskrzyło pod jaskrawym, mechanicznym kandelabrem. Dopiero kiedy cała sala zaśpiewała „Sto lat", Fumiko przypomniała sobie, że ma siedemdziesiąt lat. Nie. Siedemdziesiąt jeden. Przyjrzała się sobie w całościennym lustrze. Sztucznej, kupionej przez Umbai młodości. Przesunęła palcem po gładkiej skórze ramienia, mięśniach przy każdym przebudzeniu ożywianych i cofanych do młodszej wersji. To ciało miało siedemdziesiąt jeden lat. Blisko siedemdziesiąt dwa. I ciągle obchodziła urodziny. Długi, niekończący się ciąg urodzin.

Wbiła widelec w świetnie przyprawione mięso z tanku. Z nakłuć wyciekła krew, mięso zaraz zniknęło, a ludzie zaczęli grupowo wstawać. Zbierać się wokół niej. Mówić do niej. Jeden pracował w laboratorium hydroponiki. Inny był serwisantem. Jeszcze inna była nauczycielką w szkole o jeden przystanek tramwaju stąd, na trzeciej godzinie krateru. Kolejny ktoś pracował w szybach, przy drążeniu skał na kolejne piętra, na miejsce dla nowych rodzin. Słuchając, jak wyjaśniają, czym się zajmują, doszła do wniosku, że niechcący stworzyła miniaturową cywilizację. A potem przypomniała sobie, że to samo pomyślała podczas poprzedniej wizyty – nie było to konkretne wspomnienie, jedynie mgliste przeczucie. Ludzie przedstawiali się jej imionami, które już zdążyła zapomnieć, kiedy wymawiała się od kolejnych rozmów, czując klaustrofobię. W drodze powrotnej z amfiteatru przechwycił ją facet, który ją znał. Powiedział, że liczy na rozmowę w cztery oczy o jej przyszłych planach dla bazy, Fumiko zgubiła jednak wątek rozmowy, trafiona wspomnieniem, że to się już działo Bardzo podobna chwila. Być może.

Byłam na imprezie… przyjęciu… i chciałam wyjść… i wtedy ją spotkałam… i powiedziała…

– Mam wrażenie, że niezbyt dobrze się dziś spisałem – powiedział tamten z łagodnym uśmiechem. – Ale gdybyś znalazła czas, żeby ze mną na chwilę usiąść, być może udałoby się…

– Debby się odzywała? – zapytała.

– Nie. – Odwrócił wzrok. – Jeśli meldunek Sartorisa nie przyjdzie dziś wieczorem, musi przyjść najpóźniej jutro rano. Nie zdarzało mu się bardziej spóźnić. Jesteś pewna, że nie chcesz zostać dłużej?

Wpatrywała się w niego, aż westchnął ciężko, odsunął się i dał jej przejść.

***

Stukot, jakby deszczu w parasolkę. Wiosenny deszcz.

Wiosna.

Dzieci wyprzedzały ją i roześmiane pędziły korytarzem, gonione przez starsze dziecko, które uśmiechnęło się jakby przepraszająco i z powrotem przyśpieszyło, wołając za nimi imionami, jakich Fumiko w życiu nie słyszała. Dziwnymi sylabami. Zniknęły za zakrętem korytarza. To i dzieci tu są, pomyślała. Gdzieś z tyłu głowy też miała dziecko, jakiegoś chłopca. Unosił kwiat wiśni. Dla mnie? Fumiko dotknęła policzka i strąciła łzę, a potem pobiegła do swego pokoju. Budzenie się z zimnostatyki zawsze było dla niej męką, nie przypominała sobie jednak, by kiedykolwiek było aż tak wyczerpujące – a może było, tylko po prostu nie pamiętała. Poprawiło się trochę po prysznicu, kiedy skóra rozgrzała się od wody, a mięśnie się rozluźniły, lecz kiedy położyła się do łóżka, nie mogła zasnąć.

To był kolejny objaw.

Sięgnęła do wezgłowia i przełączyła wirtualny obraz w oknie z ciemnego, bezgranicznego nieba na widok staroziemskiego miasta. Podkręciła odgłos tła, by słyszeć łoskot tramwaju, trąbienie taksówek, nostalgiczny klimat, w który można odpłynąć, lecz niewiele to pomogło. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić na statek, do komory zimnostatycznej, potem się opamiętała. Niedobrze było tak szybko hibernować się z powrotem. Ubrała się zatem, trzeci raz tego dnia, i poszła na spacer po bazie; łaziła po piętrach bez celu. O tak późnej godzinie ludzie wciąż pracowali. Kłaniali się, kiedy przechodziła, i machali do niej zza szklanych ścianek działowych. Co odważniejsi próbowali nawiązywać rozmowę – tych tolerowała przez parę wyrecytowanych kwestii, a potem odchodziła, nie uprzedzając żadnym sygnałem, że rozmowa jest skończona, zostawiając ich zdumionych w połowie zdania. Była świadoma tego, że szepczą za jej plecami. Nie przejmowała się tym.

To chyba było nieuniknione, bo znów natrafiła na starszego człowieka. Wyglądało na to, że jest wszędzie. A może ten świat jest aż taki mały?

Tym razem był na patio wychodzącym na wielki, błękitny krater, palił papierosa i strząsał popiół za balustradę, w nicość. W górze Fumiko widziała przeświturającą powłokę pseudosfery, która utrzymywała w środku powietrze i nie dopuszczała trującej atmosfery księżyca – była jak wielkie, załzawione oko, rozmazujące gwiazdy i roztapiające niebo. Kiedy ją zauważył, zaproponował papierosa. Odmówiła. Wiedziała, że jej ciało jest zbyt wrażliwe na dym.

– Masz skutki uboczne? – zapytał. – Dlatego nie śpisz?

– Chyba tak.

– Ostatnim razem, jak się budziłaś, nie było aż tak źle.

Stanęła przy balustradzie, położyła dłoń na połyskującym, gładkim metalu.

– Nie pamiętam tego patia. Dziwna rzecz jak na bazę naukową. – Rozejrzała się po pustych stolikach. – Trochę jak w hotelu.

Spojrzał na nią prawie z politowaniem.

– Od zawsze tu było – powiedział. – Chciałaś, żeby to wszystko było dla ludzi jak dom.

– Już mi to przypominałeś.

– Prawda.

Cofnęła dłoń z balustrady i splotła ją z drugą za plecami; spojrzała na krater jak

wielka błękitna łyżka; starała się nie okazać, jak jest zbulwersowana, że on wie o niej więcej niż ona sama.

– Ty naprawdę mnie nie pamiętasz – powiedział.

Nie było sensu zaprzeczać.

– Nie pamiętam – przyznała.

W jego uśmiechu pojawił się ból. Niesamowite, jak łatwo złamać mu serce.

– Są sposoby, żeby odzyskać wspomnienia, które tracisz w zimnym śnie – dodał. – Rozszerzenia pamięci. Taki twardy dysk, który wszczepiają tutaj. – Dotknął skóry za uchem, gdzie miał małą soczewkowatą bliznę. – Chwilę boli, czasem pojawiają się niepożądane wspomnienia, ale generalnie to działa. Nigdy nie zapominasz.

– Niektóre wspomnienia nie są warte zachowania.

– Skąd wiesz, skoro ich nie pamiętasz?

– Intuicja. Żyję już bardzo długo.

– Oboje żyjemy bardzo długo – powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona. Ale nie miała okazji zapytać, bo rozległ się alarm – wycie syren i wiadomość, na urządzeniach ich obojga, że okręt wojenny Umbai wyszedł z Fałdu na orbicie wokół ich księżyca.

Mężczyzna cisnął papierosa w ciemność.

– Znaleźli nas – mruknął.

***

Fala ekscytacji w piersi. Podobało jej się, kiedy pędziła z tym człowiekiem korytarzami, podobały jej się niebieskie światła pulsujące hipnotycznie na płytach ze stali węglowej i pośpiech zaspanych pracowników, wychodzących z pokojów na dźwięk nadciągającego niebezpieczeństwa. Był to zachwyt jak po ciśnięciu kamieniem w ul, kiedy patrzy się na eksplozję ruchu. Jak chlapnięcie zimną wodą w twarz śpiącego. Mężczyzna, który ją znał, dostrzegł jej szeroki uśmiech, ale nic nie powiedział. Było jasne, że nie jest tak jak ona zachwycony estetyką tej sytuacji.

W amfiteatrze przyjrzeli się projekcji mapy układu, z czerwoną kropką sygnalizującą pozycję okrętu Umbai. Właśnie wtedy, gdy zdała sobie sprawę, jak blisko było, jak niewiele brakowało, by stracić wszystko, coś w niej zaiskrzyło – pamięć planów, które przygotowała na właśnie taki dzień.

– Połączenie ze statku! – zawołała kobieta z platformy na górze.

– Daj tutaj! – odkrzyknął mężczyzna.

Martwy głos poniósł się echem przez wysokie pomieszczenie.

– Mówi okręt wojenny Eufrat. Jako przedstawiciel Floty Umbai-Pelikan przybywamy podjąć kroki dyscyplinarne wobec Fumiko Nakajimy, która naruszyła warunki naszego kontraktu, oraz przejąć własność intelektualną korporacji. Posłuszeństwo spotka się z pokojową reakcją.

– Wysłać rodziny do podziemi – powiedział mężczyzna i stanął obok Fumiko, rysik, który trzymał, cały czas wysuwał mu się ze spoconych rąk. – Nie mamy czym z nimi walczyć – powiedział. – Będziemy musieli pozwolić im wejść do układu.

Fumiko jednak nie słuchała – cały czas odskrobywała zwapniałe wspomnienia,

dokopywała się do czynności wykonanych przez dawną nią, zabezpieczeń, które kiedyś zainstalowała.

Z drugiego końca sali dobiegł kolejny głos:

– Dostałam wiadomość z Debby!

– Czytaj!

– Początek. Fumiko, dziecko przejawiło zdolność do skoków. Jesteśmy gotowi do powrotu. Proszę o współrzędne miejsca spotkania. Podpisano: Sartoris Moth. Koniec wiadomości.

Wiadomość uciszyła wszystkich: operatorów, naukowców, ochronę. Uśmiech Fumiko wyostrzył się w coś przerażającego. Jej przeczucie się ziściło. Oto miała, co swoje, po tak długim czasie.

Jaunting.

Trzeba tylko było się stąd wydostać.

Przecież, skarbie, całe to miejsce jest obłożone ładunkami wybuchowymi.

Wtedy sobie przypomniała, jakie to było zabezpieczenie.

– Otworzyć połączenie z Eufratem – rozkazała.

Kobieta potwierdziła, że połączenie jest nawiązane. Mężczyzna, który ją znał, spojrzał na nią błagalnie.

– Do okrętu wojennego Eufrat – powiedziała do mikrofonu. – W Kraterze Stoper osadzone są ładunki wybuchowe YonSef. Jeśli wasz okręt nie wyfałduje się stąd, wypowiem słowo kodowe i zniszczę tę bazę, razem z własnością intelektualną, po którą przybyliście. Stracicie dziesiątki lat istotnych, postępowych badań, które zmienią bieg waszej historii. Powtarzam: fałdujecie się albo powstanie tu drugi krater.

Mężczyzna odsunął się od niej, przytknął dłoń do szyi.

– To prawda? – zapytał zduszonym głosem. – YonSefy? Kiedy ty…? Fumiko, w tej bazie mieszka dwieście rodzin!

Zignorowała go.

– Umbai, proszę potwierdzić, że otrzymaliście ostrzeżenie.

– Potwierdzamy.

Na linii zapadła cisza.

A potem:

– Odrzucamy propozycję.

– To nie jest pusta groźba – powiedziała do mikrofonu, z sercem bijącym, jak nie biło od dawna, potem na czole, światem skurczonym do mikrofonu, jej głosu i okrętu Eufrat. – Fałd w ciągu pięciu minut albo wypowiem słowo kodowe. Czy…

Usłyszała gdzieś daleko puste łupnięcie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to był odgłos czegoś twardego uderzającego w tył jej głowy. Zachwiała się, padła na podłogę. Człowiek, który ją znał, uderzył ją końcem latarki. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, było rozczarowanie na jego twarzy, zanim wszystko zapadło się w czerń.

***

Żadnego dźwięku. Żadnego budzika, gdy obudziła się po raz kolejny. Był tylko człowiek o pospolitej twarzy, siedział obok jej łóżka z papierami w dłoniach; gdy

zobaczył, że się obudziła, zaczął czytać je na głos beznamiętnym tonem.

– Niniejsza umowa o współpracy zostaje zawarta w środę w lutym dwa tysiące sto trzydziestego drugiego roku pomiędzy dwiema stronami: Umbai Company i Fumiko Nakajimą.

Usiłowała opanować podwójne widzenie i wielowymiarowe pulsowanie w mózgu. W ustach miała sucho, wargi były spękane prawie do krwi.

– Jeśli kontekst nie wymaga inaczej, słowo lub słowa wymienione poniżej w cudzysłowie będą używane w znaczeniu poniżej zdefiniowanym…

Próbowała dotknąć warg, lecz dłonie miała przytwierdzone magnetycznymi złączkami do ramy łóżka.

– Wszelkie przedsięwzięcia badawcze i twórcze realizowane przez Fumiko Nakajimę podczas obowiązywania obecnej umowy współpracy z Umbai Company bezterminowo należą do Umbai Company…

Leżała, kiedy mówił, zdawało się, całymi godzinami, aż dotarł do końca, do błędu, który popełniła tak dawno temu.

– Podpisane tutaj przez niejaką Fumiko Nakajimę. – Pokazał jej urywany atak serca jej podpisu. – Czy potwierdza pani, że to umowa z panią i pani podpis?

– Czemu ma służyć to pytanie? – zapytała głosem pozbawionym siły.

– Czy potwierdza pani, że to umowa z panią i pani podpis? – zapytał ponownie.

– Tak.

– Dziękuję. – Napił się wody z metalowego kubka. Wydatna grdyka podskakiwała mu przy każdym łyku.

Fumiko uznała to za obrzydliwe. Miała ochotę wydrzeć mu ją z gardła.

– Fumiko – powiedział. – Wiesz, po co tu jesteśmy, prawda?

Miał włosy w nosie. Nie była pewna, czemu się tak na tym fiksuje, ale tak było.

– Po „kroki dyscyplinarne” wobec mnie.

Kiwnął głową.

– Twoje obywatelstwo Zjednoczonych zostało anulowane, podobnie jak wszelkie stopnie naukowe z uczelni wyższych. Kiedy byłaś nieprzytomna, skonfiskowaliśmy dane z banków pamięci, wyniki badań i materiały głównych, drugorzędnych i trzeciorzędnych laboratoriów, statki na lądowiskach oraz znaczną większość surowców z podziemi. Komputery zdemontowano, a generator energii na Stacji B został rozładowany.

– Dokładny pan był.

– Dokładni byliśmy – poprawił. – Proszę zrozumieć, że ja jestem tylko wykonawcą, nie trybunałem. Szczegóły kroków karnych zostały ustalone wcześniej, przez Sąd Pelikana-Ary-Przedrzeźniacza-Pstrogłowa.

Parsknęła śmiechem. Jej własne ptaki były przeciwko niej.

No i świetnie.

– Czyli to wszystko?

Westchnął. Zdumiał ją poziom uczucia w tym jednym westchnieniu – dziwne, że on w ogóle coś czuł.

– Nie – odparł spokojnie. – Są jeszcze dwa postanowienia. Po pierwsze, po wszystkim zostaniesz tutaj. Cała i zdrowa. Nie możemy cię zabrać ze sobą do Zjednoczonego Kosmosu. Sąd postanowił, że to będzie miejsce twojego wygnania.

Jaki dramatyzm.

– A druga rzecz?

– Twoi pracownicy. – Zabębnił palcami. – Zostaną zredukowani.

– Zredukowani. – Rozśmieszył ją ten eufemizm, ale nie miała energii się śmiać. Zdołała jedynie przywołać na wargi słaby uśmiech. – Zabici.

Zawahał się. Mimo to powstrzymał się przed korektą, którą planował.

– Godzinę temu chciałam ich wszystkich wysadzić. Co to zmienia? – Westchnęła. Nie zachwycała jej wizja ponad tysiąca ludzi ginących przez nią, ale ta obcesowa odpowiedź była tego warta, po prostu, by zobaczyć zdumienie na jego przeciętnej twarzy. Zresztą przecież to już nie od niej zależało. Tak sobie mówiła. Lecz maska nie wytrzymała długo. Bardzo cichym głosem dodała: – Dobrze.

– Sąd postanowił także, że masz obserwować ich likwidację – powiedział. – Abyś, cytuję, „zrozumiała konsekwencje złamania kontraktu". – Wstał, nie patrząc na nią. – Przykro mi – powiedział, wychodząc.

Ból suchych ust był nie do zniesienia. Niestety, kiedy sięgnęła po szklankę wody, więzy na przegubach zatrzymały ją w pół drogi.

W życiu niczego bardziej nie pragnęła niż tej wody.

Kiedy wyprowadzali ją z izby chorych, oblizała usta językiem jak papier ścierny. Likwidacja miała się odbyć na najniższym poziomie podziemia, w pomieszczeniu wielkości magazynu pachnącym suszoną gliną. W miejscu, gdzie kiedyś składowano surowce do rozbudowy bazy, teraz stało 2590 mieszkańców miasteczka-zabawki Fumiko.

Byli tam dorośli, byli dzieci. Nikt się nie poruszał, nikt nie wydał choćby dźwięku, jakby myśleli, że jeśli będą słuchać rozkazów i stać bardzo nieruchomo, pociski ich ominą. Żółte Kurtki kazały Fumiko stanąć pośrodku plutonu egzekucyjnego, zgodnie z postanowieniami sądu. Z dziwnego zachowania żołnierzy wywnioskowała, że to nie jest normalne postępowanie, że nawet ich dziwi surowość takiej kary. Mimo to wykonali rozkaz. Fumiko przełknęła ślinę. Zmusiła się do patrzenia. Powiedziała sobie, że to po prostu kolejny koszt działania i że po tylu latach, które przeżyła, tylu życiach, których koniec w przelocie widziała, nauczyła się, że życie to tani odpadek, który można wyrzucić przez ramię. Odpad bez imienia, bez twarzy, bez…

Na rozkaz porucznika uniosły się automatyczne karabiny. Ludzie, jakby odepchnięci wielką, niewidzialną falą, uciekli pod przeciwległą ścianę. Wśród tumultu, tego piekielnego fresku, dostrzegła człowieka, który ją znał; tego, który ją ogłuszył. Stał nieporuszony, wyprostowany, pot ściekał mu z czoła. Patrzył na Fumiko w sposób, który ją ujął. Bez gniewu i bez ciepła.

I nagle przypomniała sobie, skąd go zna i jak się poznali.

***

To samo zimne, neutralne spojrzenie rzucił jej na Starej Ziemi, ponad tysiąc lat temu, gdy zastała go przed domkiem matki rąbiącego drewno na opał. Spojrzenie mówiące: „A, to ty".

Ciągle zastanawiała się, co się stało z człowiekiem, któremu zniszczyła karierę,

demonstrując jego niechlujną pracę na suchościeralnej tablicy w sali konferencyjnej Cybelusa; zastanawiała się, czy prawdziwe są plotki, że ta niesława doprowadziła go do samobójstwa.

– Nie doprowadziła – powiedział, wbijając siekierę w pieniek. – Ale nie opuszczałem tej działki od trzech lat. – Ściągnął rękawice z dłoni. – Chłopak z miasteczka kupuje mi jedzenie.

Działka znajdowała się pośrodku północnoamerykańskiego lasu, na wzgórzu, usiana cienkimi sosenkami zakorzenionymi głęboko w czarnej ziemi. Trochę jej zajęło, zanim go znalazła, ale musiała to zrobić przed odlotem Arką z tego świata – musiała załatwić ostatnie sprawy.

– Nigdy nie chciałam, żeby z tego się zrobił wiral – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli przyszłaś przeprosić, to daruj sobie. Pogodziłem się ze światem.

Kiwnęła głową.

– Cieszę się.

I to byłoby tyle – wsiadłaby do samochodu i zostawiła go z jego samotnością, gdyby nie zatrzymał się w drzwiach, nie przeczesał dłonią rzednących włosów i nie zapytał, czy chce herbaty. Czas miała ograniczony, czekało ją jeszcze wiele przygotowań przed jazdą Windą Kolumbijską za tydzień, jednak przyjęła zaproszenie.

Usiadła na domowej roboty stołku, który przekrzywił się w prawo, kiedy nastawiał wodę w czajniku. Opowiedział jej o swoim życiu. O nudnych szczegółach dnia codziennego – makaronach, które lubił gotować, weekendowym łowieniu ryb w strumieniu parę mil na wschód.

– Drzewa to dobre towarzystwo – rzucił bez związku.

Powiedział, że wciąż pracuje nad swoimi matematycznymi umiejętnościami. Że nie jest już tym aroganckim młodym facetem z wiralowego wideo. Stwierdził to z dumą. Było oczywiste, że jest samotny, że od samej możliwości rozmowy trzęsą mu się ręce. Znała samotność i wiedziała, że to jej działania ją stworzyły, choć może nieumyślne; dlatego przerwała mu historię jego życia i zapytała, czy chciałby wsiąść z nią do odlatującej Arki. Z ust pociekła mu gorąca herbata, gdy powiedział, że tak, że bardzo tak, i dostrzegła w jego oczach, że zmieniła się ze Zmory w Zbawczynię; kulawy pelikan rozkładający usta i piękniejący; upajające uczucie, za którym będzie uganiać się przez stulecia.

Hart był jej pierwszym lojalnym ptakiem, później przyszły setki kolejnych. Zdarzały się dni, gdy był jedynym jej przyjacielem w całym wszechświecie, kiedy siedzieli we dwójkę w sali konferencyjnej i dzielili się wspomnieniami ze Starej Ziemi. Bez wahania zsynchronizował swój zimny sen z jej snem i szedł razem z nią przez strzępy czasu. Przypuszczała, że ją kocha. Swoistą miłością, której nie potrafiła odwzajemnić, lecz i tak doceniała. Lepsze to było niż brak miłości.

W głębinach krateru, w grocie pełnej krzyku, przypomniała go sobie. Już miała wykrzyknąć jego imię, gdy nacisnęły się spusty. Skurczyła się, słysząc huk karabinów, lecz nie zamknęła oczu, kiedy zabijali jej ludzi i przyjaciela, o którym zapomniała.

***

Człowiek o pospolitej twarzy był ostatnią osobą, z którą rozmawiała. Żołnierze wsiadali do transportowca na lądowisku, a on mówił jej, że zostawili w magazynie żywność, wystarczającą dla jednej osoby do końca życia. A gdy miał pewność, że nikt ich nie widzi, podszedł do niej bliżej i wcisnął jej w dłoń pistolet.

– Jest pusty – szepnął. – Ale w amfiteatrze zostawiłem nabój. – A potem odwrócił się, wsiadł do statku i z hukiem odleciał z księżyca.

Została sama.

To, co przeżyła w podziemiu, wciąż było zbyt potworne, by ogarnąć to umysłem. Stres pourazowy przychodził partiami, to powalając ją na kolana, gdy schodziła schodami, to ściskając jej pierś, gdy szła korytarzem. Potrzeba było czasu i wysiłku, by wziąć się w garść na tyle, by móc dotrzeć do amfiteatru, gdzie odkryła, że człowiek o pospolitej twarzy mówił prawdę – komputery zniszczone, obwody pozbawione zasilania, brak światła, poza latarką, którą znalazła w skrzynce ratunkowej na głównej klatce schodowej. Wszystko, co mogło zapewnić łączność z innymi światami, było martwe. A na okrągłym stoliku, przy którym Hart ją ogłuszył, stał nabój do jej pustego pistoletu.

Zostawiła go tam na razie. Przez następne kilka dni przeszukiwała bazę, mając cień nadziei, że Umbai przeoczył jakiś kluczowy element, a jej dawna osoba to przewidziała. Jednakże wykryto i usunięto wszystkie zabezpieczenia, które zainstalowała w trzewiach bazy. Izolowany terminal linii awaryjnej. Rezerwowe moduły łączności dla statków. Nawet stary nadajnik radiowy. Bez dostępu do konsoli nie mogła przeszukać logów okrętowych, żeby sprawdzić, czy są jakieś statki, które odleciały i mają planowo wrócić, podejrzewała jednak, że nie, że po przylocie widziała na lądowisku komplet. Wiedziała w głębi serca, że wszyscy piloci znaleźli się w podziemiu razem z resztą; że od dawna nie żyją, tak jak ona powinna nie żyć.

Skończyła próżne poszukiwania ratunku, wróciła do amfiteatru i usiadła na krześle przy okrągłym stoliku, patrząc na pożegnalny prezent od człowieka o pospolitej twarzy. Jedyne narzędzie, które pozwoli jej opuścić ten księżyc. Wzięła w palce nabój i wsunęła go do pistoletu z przyjemnym pstryknięciem. Zrobiła to powoli, przeciągając wszystkie ruchy i wyobrażając sobie, co teraz będzie – silny wiatr, który wywieje jej kłopoty przez bok głowy, jakby wyczyścić fajkę wyciorem. Po załadowaniu zawahała się – wydało jej się, że czuje dobiegający z korytarza zapach curry, że słyszy bębnienie deszczu w witrynę kawiarni – zanim te sensoryczne wrażenia rozwiały się w okamgnieniu.

Przytknęła pistolet do głowy.

Ten ruch to sprawił. Przesunęła lufę po prawej skroni, aż stała się kwiatem wiśni, zatkniętym za ucho przez jasnowłosą kobietę z fioletowymi oczyma. Pistolet wysunął się z drżącej dłoni, upadł ze szczękiem na podłogę, a jej ugięły się kolana i zaszlochała, bowiem po setkach lat przypomniała sobie imię Dany.

***

Tama pękła. Przez następne dni wspomnienia napływały, wypełniając pustkę w jej umyśle. Prawdziwe wspomnienia – ławki przy molo, wstążek makaronu z curry,

stopy Dany dotykającej jej stopy w tej kawiarni, kiedy na zewnątrz padał deszcz; sterowca dryfującego na tle pergaminowego księżyca. Pojawiały się jak krople wody na wyschniętym języku. Żywiła się nimi. Wystawa w muzeum. Kanały. Świeże obrazy z jej dawnego życia. Było ją nawet stać na uśmiech, gdy przypomniała sobie licznik kalorii matki, bo i on się jej wyświetlił razem z innymi obrazami. Szybko zapomniała o pistolecie, delektując się na nowo rozżarzonymi węgielkami w swym mózgu i mistycznymi kształtami, które rysował ich dym.

Minęły dwa tygodnie, zanim zebrała siły, by zapuścić się do podziemia. Za pierwszym razem, gdy tam weszła, omal nie zemdlała od przytłaczającego smrodu. Wróciła z maską filtrującą na twarzy, żeby móc obejść górę trupów. Hart był łatwy do znalezienia. On jedyny leżał pośrodku pomieszczenia. Zerwała mu z piersi zakrwawiony identyfikator i wrzuciła go do torby – potem zrobiła to samo z tysiącami innych, stłoczonych po przeciwległej stronie kawerny, przewracając ciała, przesuwając kończyny, by zebrać ich nazwiska. Dzieci nie miały plakietek, ale łatwo było rozpoznać rodziców, obejmujących małe ciałka i próbujących je osłonić. Zajęło to wiele godzin, a kiedy była pewna, że ma wszystkie plakietki, wróciła na górne poziomy bazy, do pokojów mieszkalnych i apartamentów rodzinnych, roznosząc nazwiska po odpowiednich domach. Ułożyła identyfikatory na spoczynek na łóżkach pojedynczych, małżeńskich, dziecięcych, czasem zgadując, kto gdzie spał. Tylko tyle mogła zrobić, bo windy nie działały, a nie byłaby w stanie wnieść wszystkich ciał po tylu schodach. Kiedy przywróciła nazwiska wszystkim domom, kilka godzin przesiedziała w jednym z salonów, wyobrażając sobie dzień z życia Stopera.

On pierwszy wziął prysznic. Potem się ubrał, tutaj, wszedł do wnęki kuchennej. W lodówce trzy paczki soi. Przekroił jedną na pół i pomieszał z ryżem. Posypał odrobiną słodzika i przyniósł jej do łóżka.

A gdy przyszła noc, położyła się we własnym łóżku, nieruchomo, bo nadal wracały do niej dawne wspomnienia, a z tymi wspomnieniami ból czegoś, czego już nigdy nie przeżyje; tego, jak Dana przekrzywiała głowę, gdy była zdziwiona, zapachu jej włosów. Bzu.

Nie było już Fałdu, nie było zimnego snu. Fumiko znów musiała żyć w czasie rzeczywistym, nie miała wyboru, musiała witać i żegnać każdy dzień, powoli. Odliczała je na stronicach notatnika i cały czas metodycznie odwiedzała kolejne pokoje mieszkalne i poświęcała każdemu zmarłemu parę godzin swej wyobraźni, poznając ich z dokumentów i wyobrażając sobie, jak poruszali się po swoich domach. Procedura zmieniła się w rytuał. Powtarzała ich imiona, chodząc po bazie, ich historie, jak mantry. Jayne pracował w trzecim laboratorium. Cardet był ogrodnikiem. Córki Cardeta – Sufa i Delon. Nie można było się sfałdować. Nie dało się zabić czasu inaczej niż wspominając zmarłych. To było jej nowe życie – odkrywanie na nowo przeszłości.

Harta, który poszedł za nią przez czas.

Noce spędzała w swoim pokoju na trzydziestym trzecim poziomie, gdzie było jeszcze ciepło, choć nie dość, i dygotała, czytając książki przy świeczce. Świeczkę zaimprowizowała sama, z tuby org-tłuszczu znalezionej w głównej kuchni. Światełko migotało i nie najlepiej nadawało się do czytania, wolała jednak ten słaby pomarańczowy blask od ostrego światła latarki. Często wpatrywała się w niego, hipnotyzował ją. Wspominała, że Dana pracowała nad żarówką bioluminescencyjną, swoim darem

dla ludzi, których Arki pozostawią na Starej Ziemi.

Miała rację wtedy, pomyślała jednej nocy, przypomniawszy sobie ich rozmowę z kawiarni. Nie każdy będzie mógł odlecieć.

Pośliniła palce i zgasiła płomień.

We śnie szła ku ciemnemu brzegowi, mijając stragan z jedzeniem, ku ławkom na nabrzeżu, gdzie czekała na nią ukochana, z pustym miejscem obok.

– Czekaj – powiedziała Dana, gdy Fumiko miała usiąść. – Jeszcze nie.

Zapytała dlaczego.

– Bo jeszcze nie skończyłaś.

Fumiko odparła, że już nie ma nic do zrobienia, lecz Dana pokręciła głową.

– Podłożyłyśmy wszędzie ładunki wybuchowe, nie pamiętasz? – Uśmiechnęła się, pokazując zęby, i położyła dłoń na jej dłoni. – Jeśli my nie możemy mieć tego świata, to nikt nie będzie go miał.

Serce jej stanęło. Odrzuciła koc. Przypomniała sobie ostatnie zabezpieczenie. Ładunki YonSef, które dawno temu zakopała w kraterze – i że można je przerobić na awaryjne źródło energii. W głowie Dana zagrzewała ją do pracy, gdy szukała na placu budowy na niższych poziomach prostego sprzętu, którego nie chciało się zniszczyć Umbai. Była wiertarka bez baterii. Łomy i rurki. Kilof. Z kilofem w dłoni zeszła niżej, biegnąc po schodach i wertując banki swej pamięci, z nadzieją, że to dobrze pamięta. O, tutaj, pomyślała, przyciskając dłoń do betonowej ściany Podwarstwy D, trzydzieści metrów stąd w głąb skały krateru czekał ładunek YonSef.

Dana zmaterializowała się obok niej. Fumiko wiedziała, że jej tu nie ma, że to tylko projekcja i najprawdopodobniej pierwszy objaw jej obłędu. Ale i tak cieszyła się, że ją widzi.

– Pewna jesteś, że to tutaj? – zapytała Dana.

Nie, nie była pewna, lecz uniosła kilof i rozpoczęła atak.

11.

Ostatni przystanek

Inni stali tuż za włazem. Nia wiedziała, że mają uszy przyciśnięte do niego, by nie uronić ani słowa z tego, co powie ona czy chłopak, mimo że poprosiła o odrobinę prywatności. Nie otworzyła jednak włazu i nie krzyknęła na nich, żeby się rozeszli, byli bowiem w miejscu, gdzie nie sięgały procedury, nie sięgały nawet jej rozkazy – w miejscu niemożliwym, gdzie cuda się ziszczają, a szalone spekulacje tysiącletnich kobiet okazują się prawdą; w miejscu, którego bała się Nia, patrząc z góry na chłopaka. Na swego obcego.

Siedział w jej fotelu przy biurku, tam kazała mu usiąść, głowę miał zwieszoną, wzrok wbity w stopy, nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. I dobrze. Wiedziała, że nie znajdzie w nich prawdy.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytała.

Nie odpowiedział, więc zgadywała.

– W Malowanym Mieście? Kiedy zaginąłeś?

Cały znieruchomiał, pierś prawie nie unosiła się w oddechu, jakby liczył, że jeśli wysiłkiem woli zamieni się w kamień, to ona zapomni, że tu jest.

– Wtedy, prawda? – dodała. I poczuła, jak kamień spada jej do żołądka, gdy kiwnięciem głowy potwierdził jej podejrzenia. – Ahro. – Głos miała napięty. – To było cztery miesiące temu.

Zawinął jedną stopę za drugą.

– Cztery miesiące mi kłamałeś.

Ramiona mu zadrżały.

– I co ja mam z tym zrobić? Z tobą?

Gdy się rozpłakał, otworzyła szufladę i wyciągnęła pudełko chusteczek. Wyszarpnęła jedną i podała mu. Wysmarkał nos.

– Nie wiem nic o twojej zdolności – powiedziała. – Wiem tylko, że nie jestem w stanie cię powstrzymać, obojętne, co to takiego, ja tym nie rządzę. – Przykucnęła przed nim, spojrzała ostro. – Więc poproszę raz. Tylko raz. Czy zostaniesz, dopóki nie wypełnimy umowy?

Kiwnął głową z twarzą zakrytą serwetką.

– Musisz to powiedzieć. Powiedz, że się zgadzasz.

– Zgadzam się – powiedział cichym, zbolałym głosem.

Wstała.

Otworzyła właz.

– Idź do swojego pokoju. Porozmawiamy później.

Wybiegł. Mignęła jej jeszcze jego opuchnięta od łez twarz, gdy skręcał za róg i znikał.

– Sartoris! – zawołała. Drobny człowiek wyszedł zza włazu, ze splecionymi dłońmi i miną wyrażającą niezmierny dyskomfort. – Wysłałeś już wiadomość Fumiko, tą swoją linią?

– Dziesięć minut temu przesłali współrzędne spotkania. Będziemy gotowi do wylotu, jak tylko Vaila wróci.

– A gdzie Vaila?

Uniósł puste dłonie.

– Powiedziała, że zapomniała czegoś w mieście. Nic konkretnego.

Nia podrapała się gwałtownie po głowie.

– Powiedz Emowi, żeby grzał napęd. Vaila wróci na pokład i startujemy. Ani sekundy później.

– Tak jest, pani kapitan. – Odwrócił się, po czym przystanął przy włazie i rzucił jej zaniepokojone spojrzenie.

– Już! – warknęła.

Pobiegł korytarzem, ścigany krokami innych, którzy też podsłuchiwali.

I wtedy została sama.

Wzięła do ręki filiżankę z biurka. Uniosła ją w dłoni jak szklane jajko. Poczuła jej ciężar, w tym niemożliwym miejscu. Nie więcej niż kilkanaście gramów. Przyjrzała się jej sześciokątnym ściankom. Temu, jak ugina światło. Zbyt rzeczywista, by być snem. Był tylko jeden sposób, by przekonać się na pewno. Cisnęła filiżanką o podłogę. Eksplodowała – odłamki rozsypały się po całym pokoju, połyskujące jak piasek w świetle lampy. Wszystko to jest prawdziwe, pomyślała, idąc do schowka po zmiotkę, żeby posprzątać.

Vaila wróciła godzinę później, zdyszana. Przebiegła wzdłuż i wszerz całą kolonię, szukając zgubionych paciorków ladeum, o czym opowiedziała pani kapitan, choć Nia dała jasno do zrozumienia, że nie potrzebuje tej historii, że teraz interesuje ją tylko oderwanie statku od ziemi. Dłonie w kociej kołysce ożywiły silniki manewrowe, Debby zniknęła z nieba i weszła do Fałdu. Rejs do punktu spotkania Prądem Chimerycznym miał zająć dwa tygodnie – dość czasu dla Nii, by znalazła słowa, które chce mu powiedzieć.

***

Przez parę dni unikali się nawzajem. Jego miejsce było puste na posiłkach. Zanoszenie mu jedzenia z kuchni zostawiła Sartorisowi. Idąc korytarzem, spostrzegła kątem oka cień ruchu, zamykające się drzwi toalety, ale nie zaczekała, aż stamtąd wyjdzie. Nie była jeszcze gotowa.

Załoga była równie zagubiona. Korytarze i kabiny Debby były jak martwe od ich milczenia. A kiedy już się do siebie odzywali, to tylko szeptem, bo wszystko w nim było podejrzane i nie mieli pewności, jakie są ograniczenia jego percepcji, co słyszy, a czego nie. Słuchali Sartorisa relacjonującego, co zobaczył na równinie – falujące powietrze i nagłą materializację jego nagiego ciała, jakby zestaliła się myśl – i zapy-

tywali się nawzajem, jak możliwa jest taka moc i co ona właściwie oznacza.

Drugiego dnia Nia podsłuchała jedną z takich rozmów. Stała przed wejściem do ładowni i słuchała niosących się głosów, gdy jej załoga przerzucała się myślami po drugiej stronie pomieszczenia.

Byli tam wszyscy. Wszyscy oprócz Vaili.

– Ja w ogóle nie spałem – powiedział Em.

– Ktoś w ogóle może spać? – zapytał Royvan. – Mamy na statku boga. – Wypowiedział to słowo ze śmiechem. Półżartem.

– Według mnie nic nam nie grozi. – Usłyszała kroki chodzącego w kółko Sartorisa. – Ta moc wydaje się nieszkodliwa.

– Pewien jesteś? – sprzeciwił się Royvan. – Prawie nic nie wiemy… wielu rzeczy i chłopak może nie wiedzieć. Pamiętasz ten raport? Że znaleźli go na polu dhuby otoczonego szczątkami? Co, jeśli zrobi Jaunting, a statek jakoś… zareaguje? Pociągnie nas razem z nim. Spali statek i nas na popiół. To może się zdarzyć w każdej chwili.

– Trochę dużo tych przypuszczeń.

– Sarty, mamy tylko przypuszczenia.

– A ktoś z nim rozmawiał? – zapytała Sonja.

Sartoris westchnął.

– Nie odzywał się do mnie, kiedy mu przynosiłem jedzenie. Chyba tylko z kapitan będzie gadał.

– O ile to nastąpi.

– Nastąpi, nastąpi – powiedział. – Z czasem.

Przerwa.

– To niesamowite – rzucił Em. – Nie licząc Fumiko, nigdy nie byłem tak blisko kogoś tak ważnego. Może zmienić bieg ludzkiej historii. Sprawić, że fałdowanie stanie się przestarzałe.

– Koniec ze straconym czasem – dodała Sonja.

– Nawet sobie tego nie wyobrażam – rzekł Royvan.

– Jak myślicie, co Fumiko z nim zrobi? – zapytał Em.

– Podejrzewam, że będzie chciała jakoś zreplikować jego moc – stwierdził Sartoris. – Rozproszyć ją. To znaczy, o ile jej badania przyniosą efekt. Może upłynąć wiele czasu, zanim coś z tego wyjdzie. Wiele lat.

– Ale nasze zadanie dobiegło końca – powiedział Em.

– Tak – potwierdził Sartoris. – Nasze tak.

Zamilkli.

– Zupełnie jakbyśmy dopiero co wylecieli.

Nia odsunęła się od wejścia.

Wieczorem usiadła w kabinie przy biurku i przekartkowała stronice starych notatników. Zapiski z kolejnych rejsów, wiersze inspirowane drobiazgami, które razem robili. A potem pomyślała o nich. O Deborah i Siostrze. Wyobraziła sobie rozmowę ich dwóch, o niej – jak siedzą na jej pryczy, uśmiechają się do siebie drwiąco i przerzucają prywatnymi żartami, których ona nie rozumie. I przyszło jej do głowy – nie, przypomniało się jej – jak łatwo jest przegapić okazję do powiedzenia ważnych rzeczy. Odłożyła notatnik.

Następnego dnia po obiedzie zapukała do włazu chłopaka. Już wszystko w tej

kwestii miała przemyślane.

– Wchodzę – powiedziała.

W kabinie było ciemno. Oczy dopiero po chwili zaczęły odróżniać cienie i dostrzegły drobny kształt ukryty pod kocem. Zapytała go, czy nie śpi, i uznała delikatny ruch w miejscu, gdzie domyślała się ułożenia głowy, za skinienie. Podeszła do łóżka, potykając się o rozrzucone buty. Usiadła obok niego. Materac odrobinę się ugiął. Ciało pod kocem nie poruszyło się. Aż ją bolało, kiedy widziała, jak oddycha. Jaki jest kruchy. Zależało jej, by zrozumiał.

– Mamy za mało czasu – powiedziała. – Muszę być na ciebie zła. Chcę, żebyś zrozumiał, ile kosztowały twoje kłamstwa, ile mogły kosztować, ale nie mamy na to czasu. Może kiedy to wszystko się skończy i jeszcze będziemy… wtedy pokrzyczę. Pokażę ci, jaka jestem wściekła, że nadużyłeś mojego zaufania. Ale ten dzień może nie nadejść. Zostało nam tak niewiele dni, a ja tyle z nich zmarnowałam. – Delikatnie zsunęła z niego koc. Odsłoniła go pocierającego dłońmi mokre oczy. Ścisnęła jego ramię. – Ahro, posłuchaj mnie. Ja cię kocham. Słyszysz mnie? Nieważne, kim jesteś. Kocham cię.

– Przepraszam – wyszlochał. Położył głowę na jej kolanach.

Pogładziła go po włosach.

– Zawsze będę cię kochać – wyszeptała ze złością. – Zawsze.

***

Wyjaśnił jej, że to tak, jakby czuć wiatr, którego nie czuje nikt inny. Wiatr, który widzi i za którym może podążyć, jeśli zechce. Wiatr z muzyki i czasu.

Wyjaśnił swoje skoki. Pierwszy, w kapsule ratunkowej Cichego Statku, i drugi, w Malowanym Mieście, kiedy trwała koniunkcja księżyców, a muzyka była głośna. Na tyle głośna, że odblokowała zakleszczone drzwi w jego umyśle. Powiedział o tym, jak znalazł się z powrotem na Umbai V, gdzie pomogła mu starsza kobieta z włócznią i gdzie, wśród fioletowych pól, usłyszał muzykę Nii. Dodał nieśmiało, że to ta muzyka, jej początkowa nuta, doprowadziła go tu z powrotem. Nie wiedział dlaczego. Dlaczego Umbai V i dlaczego muzyka. Tak po prostu było. Opowiedział jej o wielu miejscach, które odwiedził. Lodowych światach, szczytach gór, szalonych miastach. Oddechu przestrzeni między gwiazdami. I opowiedział, z wahaniem, ostrożnie, o czasie spędzonym z Odenem, uważając, które szczegóły wyjawić, a które zachować dla siebie.

Słuchała. Na koniec, kiedy opowiedział o wszystkim, opadła oszołomiona w fotel.

– Żyłeś całym drugim życiem – powiedziała. To stwierdzenie zawisło na chwilę w powietrzu, gdy pocierała tył głowy. – A co ci się najbardziej podobało? – zapytała.

– Powrót do domu.

Wbiła weń wzrok.

– Pierdzielisz – powiedziała. – Oden, nie? – Kiedy zaczął się śmiać, wycelowała w niego palec. – Wiedziałam! Mały kłamczuch. Powrót do domu, akurat. Myślisz, że parę takich słodkich tekstów i o wszystkim zapomnę?

Uśmiechnął się spłoszony.

– Zadziałało?

– Trochę – przyznała. Odchyliła się w fotelu. – Małe trochę.

Potem porozmawiał z resztą, przeprosił wszystkich za przeciągnięcie kontraktu dłużej, niż to było konieczne. Za kłamstwo. Ich jednak bardziej niż przeprosiny interesowała jego odmieniająca świat moc, postarał się więc jak najprecyzyjniej odpowiedzieć na tysiące pytań, którymi zarzucił go Sartoris, odwróciwszy dotychczasową dynamikę ich relacji uczeń-nauczyciel – próbował opisać muzykę i linie wiążące ze sobą gwiazdy, przy herbacie DanSen w mesie. Sonja, dowiedziawszy się o fizycznej sytuacji Ahra na koniec skoku, wybuchnęła śmiechem, tubalnym, z waleniem dłonią w stół.

– Co, u licha, cię tak śmieszy? – zapytał poirytowany Sartoris.

– Świetne to jest – odparła, ocierając łzy z oczu. – Goły typ lata sobie po kosmosie.

Westchnął.

– Możemy dyskutować na trochę wyższym poziomie? To jest zwiastun nowej ery.

Ale Ahro także się śmiał.

To był dobry rejs. Royvan, najbardziej nieufny z nich wszystkich, również się przekonał i przestał go unikać. Jednakże wśród ogólnego podekscytowania nikt nie zauważył, że Vaila izoluje się od nich w kokpicie – tak byli zachwyceni mocą chłopaka i tym, że po wielu latach ich zlecenie niedługo dobiegnie końca, jedenaście lat wcześniej, niż się spodziewali. Właśnie Sartoris zauważył, że ziścił się najbardziej optymistyczny scenariusz. I nikt tego nie zakwestionował.

Ahro denerwował się trochę tym, co go czeka przy Fumiko, jej planami, nadal będącymi tajemnicą, starał się jednak za wiele o tym nie myśleć, skupiając się na czekających go dobrych rzeczach. Na Odenie. Sam w kabinie gapił się w sufit, wspominając wszystko, co czuł między dwiema skałami. Jego dłoń wędrowała poniżej pępka, żeby zająć się tym, co było konieczne, gdy na nowo przeżywał dotyk jego rąk, jego ust. Spojrzenie utkwione w jego oczach, przygważdżające go do samego sensu natury. Może kiedy to wszystko się skończy, a Fumiko zrozumie, co pozwala mu na przeskoki, i nie będzie już jej potrzebny, znajdzie trochę czasu dla siebie. Może będzie mógł jeszcze raz odwiedzić Kilkari. Poczekać w porcie, aż pojawi się Oden. Spędzić jeszcze kilka godzin na tej górze.

Przez większość czasu myślami był jednak przy statku. W ostatnią noc rejsu obszedł całą Debby, chcąc wchłonąć wszystko, co się da. Z brzuchem pełnym po posiłku przygotowanym przez Royvana, po zieleninie, owocach i dzikiej fasoli, po solidnych szklankach trunków, na które pozwoliła mu Nia, płynął przez echa w ładowni, gdzie rozciągali się przed każdym wyfałdowaniem, przez izbę chorych, gdzie Royvan, robiąc mu comiesięczne badanie, opowiadał historie ze swoich skacowanych studenckich czasów. Usiadł przy kuchennym stole i przypomniał sobie ryż z cukrem. Przejrzał książki w mesie. Przygody królowej-wojowniczki, które Nia czytała mu na głos. Potem poszedł na górę do kokpitu, gdzie usiadł w fotelu drugiego pilota i założył słuchawki. Słuchał białego szumu Fałdu. Dlaczego zawsze wracał do tego fotela, do tych dźwięków? Nie miał pojęcia. Może Fumiko znałaby odpowiedź. Westchnął. Nie miało to znaczenia. Niezależnie od wyjaśnienia miał w sobie coś pierwotnego, co jednoczyło się z tym szumem i usypiało go – tak właśnie stało się tej

ostatniej nocy; zasnął głęboko w kokpicie Debby, wśród muzyki wszechświata, zupełnie nie wiedząc, że do pomieszczenia weszła kobieta ze strzykawką w kieszeni, póki sen nie pękł na pół, kiedy unieruchomiła mu głowę ramionami i ukłuła go w szyję, a jego świadomość zgasła razem z ostatnimi, pełnymi przerażenia myślami, gdy naciskała tłoczek, szepcząc:

– Przepraszam. Przepraszam.

***

Nie miała już odwrotu.

Vaila zeszła zatem ciemnym korytarzem, stąpając po cichu, boso, po zimnym gretingu, z bezwładnym ciałem na rękach. Zeszła do ładowni, do szafek za śluzą, gdzie położyła go i ubrała w skafander. Nałożyła hełm na nieprzytomną głowę i usadziła go w szafce. Właśnie zatrzaskiwała drzwi, gdy od wejścia dobiegł głos, elektryzując wszystkie nerwy w jej ciele.

– Co ty tu robisz?

To był Em.

– Nie mogę spać – powiedziała. Poklepała drzwi szafki. – Myślałam, że może… a w sumie to nie wiem. – Parsknęła śmiechem. – A ty?

Kiwnął głową.

– Ja to samo – powiedział.

Patrzyła, jak idzie na środek ładowni i unosi głowę w stronę ciemnej galeryjki. Podeszła tam do niego. Pokręcił głową.

– Aż trudno uwierzyć, że to już koniec.

– Wiem.

– Ale ty to musisz się bardzo cieszyć. – Uśmiechnął się do niej szeroko. – Fumiko na pewno się na ciebie rzuci. Zasługujesz na to po takim czasie.

– Nie – odparła Vaila. Uśmiechnęła się, choć łzy pociekły jej po policzkach, zostawiła zdezorientowanego Ema i poszła do swojej kabiny. – Wcale się nie cieszę.

***

Poranek. Nia rozciągnęła się w ciasnej kabinie, zgięła się wpół, chwytając dłońmi za stopy, z mięśniami obolałymi po wczorajszej wieczornej whiskey. Gdy odzyskała gibkość, ubrała się i poszła do kuchni zrobić Ahrowi śniadanie, nalewając sobie przy okazji parę szklanek wody, by zapobiec odwodnieniu. Przeważnie kazała mu samemu robić sobie jedzenie, ale dzisiaj, w ostatni dzień podróży, zamierzała zrobić wyjątek. Uśmiechnęła się, wsypując cukier do miski. Rozpuści go jak dziadowski bicz.

Ugotowała ryż na kuchence, zaparzyła filiżankę herbaty z przyprawami; jedno i drugie postawiła ostrożnie na tacy i pobiegła do jego pokoju. Kiedy zapukała we właz, nikt nie odpowiedział. Zapukała jeszcze raz. Podejrzewając, że nadal śpi, co nie było zaskakujące, zważywszy, ile wczoraj zjadł i wypił, wróciła do kuchni i zostawiła tacę na blacie. Dopijała herbatę, gdy do mesy zeszła się załoga. Rozmowy były

pogodne, choć nacechowane niepewnością, podobnie jak wiele lat temu, po skończeniu zlecenia dla Umbai, i wszyscy czuli, że coś wisi w powietrzu.

Interkom zatrzeszczał. Cyfrowy głos Vaili powiedział, że statek zaraz będzie się wyfałdowywał. Wszyscy poszli do kokpitu popatrzeć. Nia zmarszczyła czoło, widząc, że Ahra tam nie ma. Kiedy zapytała, czy ktoś go widział, nikt nie odpowiedział.

– Nie było go na górze, jak przyszłaś? – zapytała Vailę.

Ta pokręciła głową, nie odrywając wzroku od przyrządów.

Nia westchnęła.

Nia ponownie zapukała do jego włazu, czując skurcze niepokoju w żołądku. Nigdy mu się nie zdarzało tak długo spać.

– Ahro? – zapytała. – Śpisz?

Bez odpowiedzi.

– Wiem, że się boisz – powiedziała przez drzwi. – Że to koniec. Ale już mówiłam: nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Rozumiesz? – Położyła dłoń na zimnym metalu włazu. – Wyjdź, jak będziesz gotowy.

– Dalej śpi? – zapytał Sartoris, kiedy wróciła.

– Chyba się boi – odpowiedziała. – Ja to nawet rozumiem.

– Czego on się może bać? – zapytała Sonja. – Jeśli Fumiko będzie problemem, po prostu sobie spierdzieli. A dla nas to bez znaczenia, bo i tak muszą nam zapłacić. – Wykonała taneczny ruch. – Dalej się zastanawiam, co zrobię z tą górą kasy.

– Może otworzymy szpital na Mieście-Planecie? – podsunął Royvan.

– Prędzej kupimy sobie własne Miasto-Planetę.

Nia parsknęła śmiechem.

– Jesteśmy na miejscu – odezwała się Vaila. Odwróciła się do Ema. – Możesz?

Kiwnął głową i pobiegł do maszynowni przełączyć rdzeń. Nia patrzyła na Vailę manipulującą przy konsoli, z napiętymi mięśniami twarzy, rozedrganym całym ciałem; podejrzewała, że to napięcie wiąże się, jak u wszystkich, z lękiem przed zbliżającym się końcem.

– Dobra – powiedział Em przez interkom. – Możemy wychodzić.

– Wychodzę – odrzekła Vaila.

Świat się wygiął. Nia poczuła delikatne łaskotanie w brzuchu, nic więcej. Uśmiechnęła się, widząc, że Sartoris przesuwa kciukiem po zębach starego grzebienia. Wtem ugięcie ustało. Osłony na iluminatorach otworzyły się z łoskotem.

Zmrużyła oczy, widząc nagły błysk światła. Mieli przed sobą niebieskozielone słońce. Wyciągnęła rękę i wyregulowała kolor przesłony. Mrugając, dostrzegła, że słońce wypuszcza silne snopy światła, wyglądające jak miecze. W jednym z tych mieczy tkwiła zawieszona w niebieskozielonym promieniu czarna kropka, prawie niewidoczna dla oka, gdyby nie podkreślające jej kształt wyzłocenie światła.

– To statek? – zapytała.

– Może należy do Fumiko? – podsunął Sartoris.

– Otwórz kanał – powiedziała Nia. – Vaila?

– Spędziłam z wami niesamowicie fajny czas – odparła Vaila.

Zanim Nia zdążyła zapytać, co w nią wstąpiło, pstryknęła wyłącznikiem łączności i wyszła z kokpitu.

Sonja zapytała:

– Gdzie, kurna, ona idzie?

Coś było nie tak.

– Halo? – odezwała się Nia do słuchawek. – Mówi kapitan Nia Imani ze statku handlowego Debby. Proszę się zidentyfikować. – Bez odpowiedzi. Tylko szum. Powtórzyła: – Mówi kapitan Nia Imani z Debby. Proszę się zidentyfikować. Czy to statek Fumiko Nakajimy? Halo? Jest tam kto?

Nagle:

– Mówi okręt wojenny Eufrat. Przybywamy przejąć prawowitą własność intelektualną korporacji. Proszę umożliwić przedstawicielowi Umbai na pokładzie bezpieczne wyjście ze statku razem ze wspomnianą własnością. Proszę wykonać to polecenie, inaczej będziemy zmuszeni do kroków dyscyplinujących. Posłuszeństwo spotka się z pokojową reakcją.

– Co robimy? – zapytała Sonja.

Nia walnęła w interkom.

– Em, fałdujemy się. I to już.

Żadnej reakcji.

– Em?

I wtedy usłyszeli ten dźwięk na drugim końcu statku. Pękający balon. Strzelający korek. Takie były pierwsze skojarzenia Nii, choć było oczywiste, że to żadna z tych rzeczy, że to strzał z pistoletu.

Wszystko, co się stało potem, wydarzyło się w ciągu trzyminutowego okienka.

Trzeci strzał z pistoletu; światła zamigotały; Nię ogarnęło bardzo znajome łaskotanie – miała dość refleksu, by złapać za krawędź konsoli, zanim jej stopy oderwały się od podłogi. W przeciwieństwie do niej Royvan i Sartoris nie przeżyli dotąd awarii – lub celowego sabotażu – grawu i bezradnie wymachiwali kończynami w powietrzu, gdy Sonja, trzymająca się jednej z poręczy na ścianach ponownie zapytała Nię, co chce zrobić. Nia wrzasnęła: „Idziemy!”, odepchnęła się nogami od pulpitu i przeleciała przez właz do korytarza. Razem wspięły się po poręczach, podczas gdy w jej głowie odtwarzała się zapętlona myśl: miej go przy sobie, żeby był bezpieczny, miej go przy sobie. Odczekała, aż Sonja wśliźnie się do siebie i pokaże się z powrotem z dwoma karabinami. Z jedną dłonią zaciśniętą na kolbie drugą odepchnęła się w głąb korytarza, z krwią pulsującą w żyłach, łomocącą do bram jej głowy. Minęły mesę. Zerknęła w przelocie do środka, zobaczyła morze książek i krzeseł. Lampę wiszącą wzdłuż sufitu, wlewające się do kuchni pomarańczowe światło. Sonja zatrzymała się przy schodach prowadzących w dół do maszynowni.

– Tam raczej jej nie ma – rzuciła, odczytując wyraz oczu Nii. – Tam nie ma wyjścia.

To oznaczało, że jest w ładowni, koło śluzy.

– Em? – zapytała Nia.

Wątpiła w to, że mechanik jeszcze żyje.

Nie myśl o tym teraz.

– Najpierw chłopak – powiedziała.

Żabimi skokami po szczeblach do ładowni. Osobliwe to było doświadczenie, poruszać się po przewróconym własnym domu, obróconym o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Wspinała się wzdłuż ściany. Całe szczęście, że z rana się trochę porozcią-

gała. Zdziwiło ją, że w ogóle o tym myśli. To adrenalina – fala spokoju w głowie pozwalająca na takie dodatkowe myśli. Sonja uniosła rękę, kiedy dotarły do wejścia do ładowni. Wyjrzała zza krawędzi.

– Widzę ją – rzuciła. – W śluzie.

– Idziemy!

Poszybowały w rozległą przestrzeń ładowni, łapiąc się po kolei przymocowanych do podłogi taśm, niegdyś mocujących skrzynie z nasionami dhuby – teraz podłoga była wysoką ścianą, której łapały się jak podczas wspinaczki, z lufami wycelowanymi w kobietę w skafandrze unoszącą się w komorze śluzy, trzymającą drugie ciało w uścisku jak zakładnika. Już miała zamknąć drzwi wewnętrzne i otworzyć zewnętrzne, gdy Nia zawołała ją po imieniu:

– VAILA!

Wtedy kobieta, jakby wiedziona odruchem, osłoniła się chłopakiem jak tarczą, wysunęła pistolet pod jego pachą i dwa razy strzeliła. Jeden strzał odbił się rykoszetem od ściany za nimi, ale drugi drasnął Sonję w bark. Obróciła się gwałtownie. Nia patrzyła, jak leci, nie chcąc strzelić do Vaili z obawy, że trafi Ahra – jedyne, co mogła zrobić, to rzucić karabin za siebie i polecieć naprzód. W tym momencie Vaila walnęła pięścią w przycisk i zamknęła właz, tak że Nia zderzyła się z metalową płytą. Załomotała w nią, patrząc wściekłym wzrokiem przez wąską szczelinę okienka, jak otwierają się zewnętrzne drzwi i kobieta wyskakuje w przestrzeń, popychana grzbietowymi dyszami skafandra, i ciągnie za sobą chłopca. Ich ciała były prawie niewidoczne w czerni, a potem zniknęły za zamykającymi się drzwiami.

– Skafandry! – krzyknęła Sonja.

Obracała się powoli zawieszona pośrodku ładowni, ściskając ranione ramię. Krew uciekała jej spomiędzy palców wielkimi bąblami. Ręką z karabinem pokazała na szafki.

Nia odepchnęła się od szczelinowego okienka i leciała, aż sięgnęła poręczy na ścianie. Wspięła się ku szafkom, szarpnęła pierwsze z brzegu drzwi i zerwała z wieszaka zapasowy skafander. Vaila, lecąca na dyszach przez próżnię, odezwała się na kanale do wszystkich statków, tak że wiadomość odebrali i Eufrat, i Debby.

– Jestem poza statkiem z chłopcem. Oni za mną pójdą. Zróbcie coś.

Royvan w kokpicie usłyszał tę wiadomość i wiedział, co robić. Chwycił Sartorisa za kołnierz, odepchnął się nogami od jego piersi i wylądował przy pulpicie. Zamaszystym ruchem dłoni włączył interkom i krzyknął ostrzegawczo do reszty:

– Będą strzelać! Złapcie się czegoś!

Nia i Sonja popatrzyły po sobie.

***

Na mostku Eufratu kapitan westchnął i kazał nie niszczyć statku.

– Nie ma sensu ich karać za to, że dali się wprowadzić w błąd – powiedział. – Wystarczy lekki klaps. – Kiwnął na oficera artylerii. – Pocisk wstrząsowy.

Oficer zakręcił gałką i ze sterburty okrętu wysunęła się mała, żłobkowana lufa działka, jak kciuk spomiędzy palców.

***

Nia przestała szamotać się ze skafandrem i wciągnęła się do szafki. Już miała zatrzasnąć drzwiczki, gdy wyjrzała jeszcze i zerknęła na Sonję. Weteranka wciąż

wisiała pośrodku ładowni, trzymając się za krwawiące ramię. Żadnego bezpiecznego uchwytu w zasięgu. Nia zawołała ją. Wymieniły się ostatnim spojrzeniem. Oczy Sonji patrzyły trzeźwo. Zimno świadome. Kiwnęła głową.

– Przepraszam! – krzyknęła Nia i trzasnęła drzwiczkami.

Działko szczęknęło i oddało strzał. Był niewidoczny, składał się ze zbyt drobnych cząstek. Fala energii kinetycznej w ciągu mikrosekund pokonała tysiące kilometrów i uderzyła w kadłub Debby, ten klaps okręcił statek wokół osi, przeciążenie cisnęło Nią o ściankę szafki, aż coś w jej ciele pękło. Nie była pewna co, nie mogła być pewna, bo jej świat wirował w niekontrolowany sposób, wypierając powietrze z płuc, jedzenie z żołądka i myśli z głowy.

***

Zamrugała i otworzyła oczy. Trzy paski mocowały ją do łóżka. Tylko tyle widziała przez tę mgłę, gdy człowiek, który unosił się nad nią – Royvan, uświadomiła sobie niewyraźnie – powiedział, że przeprasza, ale musiał to zrobić. Wymacała palcami prawej dłoni zimny metal zatrzasku. Lewą rękę miała w opatrunku, unieruchomioną na piersi. Powiedział jej, że jest złamana. Kiwnęła głową, na wpół rozumiejąc, i znowu odpłynęła.

***

Minęło trzynaście godzin, bez snów, zanim powróciła prawdziwa przytomność. Czaszka była ciasna, mózg jak rodzynka w jej uścisku. Światło ostre jak noże. Sucho w ustach. Royvan dał jej wodę przez słomkę i czas na pozbieranie myśli, zanim poinformował ją, co stało się z resztą załogi, łamiącym się głosem mówiąc, że Sonja i Em nie żyją. Ema znalazł przy rdzeniu, dryfującego wśród macek kabli. Vaila dwa razy strzeliła mu w plecy. Wykrwawiał się kilka godzin. O Sonji… tego nie był w stanie powiedzieć jej prosto w twarz. Musiał popatrzeć w sufit. Kiedy statkiem zakręciło, podłoga zderzyła się z jej ciałem. Zginęła na miejscu. Większość czasu spędził na sprzątaniu tego. Uśmiechnął się przy tych słowach. Jakby sam w to nie wierzył. Jej trup znajdował się razem z Emem w ładowni, przykryty plandeką.

– Chciałem poczekać, aż się zbudzisz, zanim… ich pożegnam.

Nia nie wiedziała, co powiedzieć.

Nie przychodziły jej na myśl żadne słowa.

– Ahro? – zapytała.

Znała odpowiedź, lecz jej serce i tak skurczyło się, gdy Royvan pokręcił głową.

– Nikogo więcej nie ma – odparł.

Nikogo oprócz Sartorisa, który leżał w izbie chorych, przywiązany do zmajstrowanych przez Royvana zaimprowizowanych noszy zawieszonych na ściennej poręczy. Rurka karmiąca go odżywkami wchodziła mu do rękawa, charczał, łapiąc oddech w śpiączce. Pół twarzy miał posiniaczone tak, że był prawie nie do poznania, ze skórą jak przejrzałe jeżyny. Nia bała się, że popękają, jeśli pogładzi go po policzku.

– Dłużej niż tydzień raczej nie przeżyje – szepnął Royvan.

– No – powiedziała, muskając palcem bruzdy od uśmiechu wokół jego ust. – Raczej nie. – Odwróciła się. – A gdzie reszta?

Zwłoki unosiły się przed drzwiami śluzy, owinięte plandekami i związane sznurkiem. Nia położyła na nich dłoń. Dała Royvanowi czas na pożegnanie, poczekała przed śluzą, gdy obejmował ciało Sonji. Brezent marszczył się, kiedy szeptał rzeczy, których weteranka nie zrozumiałaby nawet za życia, głos mu się łamał, łamane były słowa. Wbili się oboje w skafandry, wynieśli pozawijane kształty za śluzę i wypchnęli w ciemność. Royvan chwycił się relingu i patrzył, jak odpływają, a Nia wzleciała na dyszach nad kadłub i przyjrzała się uszkodzeniom statku, dotykając dłonią w rękawicy wgnieceń na kadłubie. Miał przetrącony grzbiet. Jeśli się sfałdują, statek się rozpadnie. Docierało to do niej jakby przez mgłę odrętwienia.

Była tylko jedna nadzieja. Pomoc z zewnątrz. Razem z Royvanem otworzyła osłonę nad kokpitem, przekręciła rączkę i włączyła bikon SOS. Zamrugało małe niebieskie światełko, gdy zaczął wysyłać zapętloną wiadomość alarmową; kod i nazwę statku, jego współrzędne; rozsyłał to poza niebieskozielone słońce, do każdego, kto mógłby słuchać.

Najbliższy zamieszkany układ był o trzy tygodnie Fałdu Prądem Niestałym. W czasie rzeczywistym – sześć miesięcy oczekiwania. We dwoje przygotowali się do długiego czekania. Ciała działały na autopilocie. Instynkcie przetrwania. Royvan przeliczył racje w spiżarni i kuchennych szafkach, Nia sprawdziła uzdatniacz wody. Żywności mieli na cztery miesiące. Wody – na pięć. To jednak nie miało znaczenia.

Powietrza było na miesiąc.

***

Bikon słał impulsy, a dni stały się apatyczne, napędzane tylko siłą bezwładności i rutyny. Jedli liofilizowane racje, pili wodę wypluwaną przez kran w kulkach, jak komiksowe dymki myśli. Załatwiali się do awaryjnych worków próżniowych i usuwali je przez układ filtracyjny silnika. Nie zawsze się udawało, kłócili się wtedy o zanieczyszczenia, krzyczeli z drugiego końca pokoju, że śmierdzi, skarżyli się na cząstki odchodów w ustach, przepływając obok siebie, mając ochotę zadusić się nawzajem, póki nie przypomnieli sobie, że mają mało powietrza – i znowu milkli, łapali się za pierś, dyszeli. Nie było wyjścia, trzeba było żyć z mdlącą warstwą na języku.

W milczeniu zmieniali Sartorisowi pościel.

***

Dni niczym się od siebie nie różniły. W ciemnych korytarzach nie było nic do roboty, można było tylko odwiedzać dawne miejsca. Chodzili z doktorem od kabiny do kabiny i z powrotem, aż przestały przypominać pokoje i zmieniły się w chwilowo zamieszkane pudełka. Nia zastanawiała się, czy to właśnie robiła Siostra, gdy tkwiła

na statku na pograniczu – żałowała, że nie może zapytać dawnej przyjaciółki, jak najlepiej zabijać czas, gdy już nikt ci nie został.

Któregoś dnia Royvan dotknął jej dłoni. Mijali się w korytarzu, gdy wyciągnął rękę. Było to coś w rodzaju zaproszenia, widziała to po desperacji w jego oczach. Odepchnęła go jednak, nie miała do tego nastroju i popłynęła do kolejnego pomieszczenia, nie oglądając się, nie widząc jego zawstydzonej miny.

Każdy oddech był wysiłkiem.

Z każdym dniem coraz trudniej było się skupić.

Royvan powyciągał skafandry z szafek i zaczęli oddychać powietrzem z ich butli. Sartorisowi nasadzili maskę. Ten tlen trochę przedłuży ich życie, choć butli była ograniczona liczba.

Czas znaczyły puste butle i ich ciała. Broda Royvana rozrosła się do dzikiego krzaka. Włosy Nii wróciły do gęstego afro, jak w dzieciństwie. Żadne nie widziało sensu w pielęgnacji. Ani w rozmowach. Gdy liczba butli stała się jednocyfrowa, zaczęli coraz mniej czasu spędzać razem. Znajdowali sobie spokojne zakątki na statku, gdzie mogli w ciszy wycofać się we wspomnienia. Nia izolowała się w kabinie chłopaka, polatywała nad jego niezasłanym łóżkiem, owinięta jego kocem zamykała oczy, czując znajome ciepło i zapach, Royvan zaś tkwił w kajucie Sonji, wspominał spędzone razem cisze nocne, ostre obłapianki i późniejsze godziny, gdy otwierał oczy i stwierdzał, że ona w ogóle nie zasnęła, że nie spała całą noc, szepcząc imiona ludzi, których straciła na wojnie. Nigdy nie rozumiał tego ćwiczenia. Dla niego było bezsensownym samoumartwianiem się. Dopiero teraz pojął jego sens, gdy zaczął w kółko powtarzać jej imię; to nie była samoudręka, lecz prośba o dotrzymanie towarzystwa. Sposób, by dać jej znać, że niedługo do niej dołączy. Westchnął. Podpiął Sartorisa do ostatniej butli z tlenem, potem przygotował dwie strzykawki. Jedną dla siebie, drugą dla Nii, gdyby zdecydowała się odejść razem z nim. Wbił czubek igły w ramię, zawahał się na moment przed wpuszczeniem w żyły tego koktajlu, nacisnął, chemia zaczęła pstrykać przełącznikami w jego mózgu, opuszczając kurtynę, z wyszeptanym jeszcze na bis imieniem Sonji. Nia nie opuściła pokoju chłopca. Nigdy nie dowiedziała się, co zrobił Royvan. Dryfowała pomiędzy ubraniami, pościelą, instrumentami, wysysając ostatnie resztki powietrza z zakamarków skafandra, myśląc o chłopcu, który spadł z nieba, aż to dostrzegła – wychodzącą z jej ciała długą drogę. Mózg już wyśpiewywał wysoki, piskliwy dźwięk.

Niech ten ostatni kurs będzie łatwy, poprosiła.

***

Czworo mężczyzn i kobiet otworzyło ręcznie śluzę i zaświeciło latarkami w ciemny korytarz. Znaleźli dwoje ocalałych, oboje nieprzytomnych, i wyciągnęli ich z wraku.

Złomiarzy nie sprowadził traf, tylko Vaila, która zaraz po poinformowaniu Umbai o mocy chłopca wykonała jeszcze jeden telefon. Wiedziała z ponurą pewnością, że Debby nie wyjdzie ze starcia bez szwanku, dlatego w ramach ostatniego gestu dobrej woli wobec swojej już-niedługo-byłej pani kapitan zawiadomiła Flotę Odzyskową

Kerriganów o możliwym wraku, pod takimi współrzędnymi, w takim dniu, dodając jeszcze, że muszą działać szybko, inaczej inne floty, które także zawiadomiła, dotrą tam pierwsze. Kerriganowie odzyskali to, co jeszcze miało jakąś wartość. Magazyn broni. Eleganckie drewniane biurko z kapitańskiej kajuty. Instrumenty muzyczne z rozmaitych planet. Wyciągniętą z szuflady koszulę, która według jednego ze złomiarzy pasowałaby jego partnerce we flocie. Resztę zostawili w spokoju, podkręcili temperaturę swych noży żarowych i ruszyli na wrak, aż został z niego szkielet, a całe ciało, ten cenny metal, znalazło się w kawałkach na transportowcu, który wszedł do Fałdu, z kursem na bazę floty.

Światło w oczach Nii zapaliło się z powrotem w jednoosobowym pokoju nieznajomej izby chorych. Ktoś zapytał, czy pamięta, jak się nazywa.

Gdy była w stanie z powrotem chodzić, Kerriganowie zaprowadzili ją do biura odzyskowego i pokazali, co odratowali – resztę jej rzeczy. W milczeniu obeszła skromny zbiór. Kupa karabinów, sterta rzuconych byle jak bluzek i koszulek, kilka par spodni z kantem. Jedno drewniane biurko. Zatrzymała się przed instrumentami. Kucnęła, aż dotknęła kolanami podłogi. Zapłakała, biorąc w dłonie drewniany flet, kupiony za pięć jot w małym sklepiku na Arze.

Część III

12.

Nowy surowiec

Pierwsze, co mu zabrali, to imię. Był teraz tym samym, co atrament z węgorzy i nasiona dhuby pozyskiwane ze Światów Surowcowych. Był Nabytkiem. Tak się nazywał, zanim jeszcze zabrali mu ciało.

Zrobili to w zbiorniku. Opuścili Nabytek do półprzejrzystego pomarańczowego płynu, zawieszając go w nim, z włosami falującymi jak wodorosty. Po drugiej stronie okna chirurg włożył rękawiczki dyrygenta, białe i pokreślone czarnymi obwodami. Były władcami cieczy w zbiorniku. Robiła, co jej kazały. Kiedy chirurg palcem wskazującym narysował w powietrzu pionową linię, ciecz rozdzieliła Nabytkowi powłoki brzucha, od mostka po miednicę. Gdy poruszył dłońmi, jakby kazał morzu się rozstąpić, ciecz rozsunęła nacięcie, ukazując pod skórą pracujące narządy. Łomotanie serca. Nie musieli się przejmować, że stracą Nabytek, byli w stanie utrzymać go przy życiu przez prawie wszystko. Chirurg wykonał rękami gest do siebie i wywrócił organy na zewnątrz. Żołądek i śledzionę. Rozwinął jelita. Nie były już narządami, lecz przedmiotami do zbadania pod światłem w poszukiwaniu nowych właściwości. Ciało podzielono na szereg oddzielnych okienek. Skóra, szkielet, układ nerwowy, rozchodzący się fraktalnie od swego centrum, mózgu, ostatniego elementu sprowadzonego przez chirurga do kolejnego okienka, który złożył dłonie w domek, a potem rozsunął palce, rozdzielając jego fałdy.

Kiedy otwarto ostatnią jego część, Nabytek poczuł gdzieś w głębi umysłu bzyczenie. Poszedł za tym dźwiękiem przez pełne murali ulice Malowanego Miasta, przez naprzemienne pola czarnej przyprawy. Poszedł przez deszcz kart do gry, przez zespół muzyków odpoczywających na swoich stołkach na scenie sali koncertowej – przeszedł przez czerwone kotary, wszedł za kulisę, poszedł rampą do ładowni, gdzie bzyczenie było najgłośniejsze.

Była tam, stała obok skrzyni pełnej nasion.

– Obudził cię ten hałas? – zapytała.

Nabytek kiwnął głową. Rozejrzał się; dźwięk dochodził z góry.

– Nie ma się czego bać – powiedziała. Klęknęła obok niego, aż ich oczy zrównały się, jedną ręką pokazała galeryjkę na górze. – Widzisz tę osłonę, tam?

– Tak.

– Za nią jest maszyna, która uzdatnia powietrze do oddychania. Co pięć dni musi sobie oczyścić filtry, żeby powietrze dalej było czyste. To właśnie słyszysz teraz. – Uśmiechnęła się. – Już nie takie straszne, prawda?

– Nie – szepnął Nabytek. – Niestraszne.

Zdziwiła się jego lękiem.

– No chodź – powiedziała, obejmując go ramieniem. – Jesteś głodny? Ja jestem.

Nabytek kiwnął głową, ze łzami w oczach.

– Tak – odpowiedział. – Bardzo głodny.

Wtulił się w nią, kiedy ruszyli korytarzem, czerpał z niej siłę. Pomyślał, że mógłby tak iść w nieskończoność. Jednakże bzyczenie stawało się coraz głośniejsze. Słyszał je niezależnie od tego, jak bardzo się oddalili. Igła w uchu zmieniła się w świder. W kuchni ona powiedziała coś, czego nie dosłyszał, tak głośne to było. Chciał ją ostrzec, że coś jest nie tak, lecz ona go nie słyszała, nie zauważała talerzy tańczących na blacie, otwartych nagle szafek. Uśmiechała się, wypowiadając słowa, których nie słyszał, ale mógł wyczytać z ruchu warg, mówiła, że nic się nie dzieje, że wszystko jest w porządku. I wtedy rozbłysło światło, statek obrócił się na bok, on poleciał na ścianę jak na podłogę, z kubka wysypały się drobne, każda moneta jak imię przesypujące się przez ciemne gretingi, miejsce, gdzie poszła Sonja, Em i Royvan, a razem z nimi głupie żarty w kokpicie, jedzenie latające w powietrzu, dłoń jak metronom na jego piersi, wybijająca czas, usta na ustach, myśli jak wypłoszone z gałęzi ptaki, wyfruwające przez okno w bezchmurne niebo, niezważające na wiatr czy ciążenie, aż zniknęły, aż pokój stał się pusty, aż pozostały tylko pokrwawione pióra i potłuczone szkło.

***

Urządzili Nabytkowi dom. Dom był rurą, na tyle długą i szeroką, by pomieścić jedno ciało. W środku miała przewody, gniazdka i migające sekwencyjnie światełka. Ciało Nabytku zostało przebudowane, by lepiej pasowało do wnętrza rury. Usunięto paznokcie, żeby okablowanie alefowe dało się podłączyć pod lepszym kątem, na ramionach i karku zrobiono długie nacięcia na złącza zarządcze, grube i tępe jak kciuki. Splatali ciało z tą maszyną, póki ciało i maszyna nie stały się synonimami. A potem zamknęli drzwi.

To był w zasadzie koniec pracy. Laboratoria Umbai dobrze się przygotowały przed upublicznieniem swego dokonania; ukryły Nabytek w miejscu, gdzie nikt nie mógł do niego dotrzeć, w prywatnym wirze w mroku Fałdu, gdzie kapsuła mogła dryfować poza czasem, nienarażona na zakłócenia, ale wciąż spełniająca swoje wielkie zadanie. Wydało im się, że dość dokładnie oczyścili umysł Nabytku, żeby słuchał poleceń, było jednak w nim miejsce, do którego nie byli w stanie sięgnąć, nie wiedzieli bowiem, że istnieje – nisza pod pradawnymi odruchami, gdzie woda była czarna i łagodnie chlupotała o chłodny piasek plaży. Wyspa poza czasem. Tam spał, czekając na pieśń.

Pieśń, która zaczynała się waleniem ostrego metalu o kamień.

13.

Grobowiec ptaków

Uderzenie poniosło się echem przez ciemną kawernę Podwarstwy D – ostre łup, gdy ostrze kilofa odbijało się od skały i opadało z powrotem rytmicznymi łukami. Przy każdym ciosie ramię Fumiko zmieniało się w kamerton. Początkowo denerwowało ją to, lecz po paru miesiącach kopania przyzwyczaiła się, nawet znajdowała przyjemność w tym tańcu mięśni. Ponownie uniosła kilof i łupnęła w ścianę przed sobą, uśmiechając się.

Kuła tak od świtu i choć było późne popołudnie, nie planowała przestawać. Ciało już nie domagało się odpoczynku, nie to co na początku. Miała na sobie roboczą koszulę z oddartymi rękawami. Zębata rzeźba jej bicepsów napinała się i rozciągała. Była silna. Kiedy poszła do łazienki i zerknęła na siebie w lustrze, rozbawiło ją, jak potężną ma teraz górną część ciała – zaczęła nawet czasem napinać mięśnie sama dla siebie, udając, że jest na scenie w jednym z tych konkursów ze Starej Ziemi – odrobina próżności, której nigdy sobie nie uświadamiała, pielęgnując rzeźbę białkowymi miksturami i witamiksami z kuchni na górnych poziomach, a potem wracając do pracy na Podwarstwie D.

Łup. Potrzebowała przerwy, jednak, jak przy każdym zajęciu, trudno jej było przestać, kiedy już wpadła w rytm – i niezawodnie odnajdowała ten uzależniający aspekt w każdej pracy. Perkusyjne uderzenie kilofa w skałę. Hipnotyczne powtarzanie zamachu. Dojmująca świadomość, że każdy odłupany centymetr to centymetr bliżej celu – ładunku YonSef, który wmurowała tutaj, kiedy budowała tę bazę. Każdy centymetr betonu to centymetr bliżej do przywrócenia bazie zasilania.

– Jesteś tak blisko – szeptała Dana.

Blisko, myślała, zlizując pot z ust. Jestem już blisko.

I uniosła kilof jak ognisty miecz.

***

Łup. Odgłos wyskakującego z butelki korka. Wysokie kieliszki z musującym alkoholem stukające się w toaście, dźwięk niosący się przez jaskrawo oświetloną katedralną przestrzeń sali bankietowej na Pelikanie. Cała sala pusta poza dwiema osobami na końcu długiego stołu. Samotne święto. Tylko jedna z tych osób piła musujące wino i sięgała po góry świeżych owoców w szklanych misach, zwieńczonych prawdziwą śmietaną. Druga siedziała w milczeniu w fotelu, bez apetytu, z dłońmi złożo-

nymi na kolanach i wzrokiem utkwionym w ciągu okien wychodzących na przestwór rozwiniętego Skrzydła Schreiberi. Był to dla niej znajomy widok. Była już kiedyś w tej sali bankietowej, wiele lat temu, kiedy jeszcze była ozdobą na ramieniu Fumiko – i kiedy zupełnie inaczej definiowała miłość.

– Proszę sobie niczego nie odmawiać, p. Jensen – powiedział delegat, gdy przywieziono ciasta i torty. – Zasłużyła pani na każdy kęs tych deserów.

Vaila odsunęła talerz. Odmówiła tortów i słodkich słówek, które wmuszał w nią przedstawiciel, medali, które jej oferował – kiedy nakładał łyżką bitą śmietanę na owoce i rozwodził się nad tym, jaka powinna być dumna, ona osuwała się w fotelu i przestawała zwracać na niego uwagę, modląc się o szybki koniec tej męczącej kolacji. Jedyną przyjemność miała z odtrącania wszelkich prób przedstawiciela, by sprawić jej przyjemność.

– Nie jestem głodna – odpowiadała, gdy podsuwał kawałek truskawkowego ciasta z galaretką, trzęsącego się, gdy odstawiał talerzyk, wydając powściągnięte, choć wciąż słyszalne westchnienie.

– To czego by pani w ogóle chciała? – zapytał.

– Fumiko Nakajimy – odparła.

Cisnął na talerz zmiętą serwetkę.

– Jak już pani mówiłem, ten księżyc jest na czarnej liście – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Nie znam współrzędnych jej bazy, a nawet gdybym znał, nie byłbym uprawniony, by je pani przekazać. P. Nakajima jest na banicji za zbrodnie przeciwko Zjednoczonemu Kosmosowi. Nawet jeśli jakimś cudem jeszcze żyje, nie wolno jej przyjmować gości.

– Czy to nie dzięki mnie wygraliście?

– I za to zwycięstwo jesteśmy wdzięczni – odpowiedział z obowiązkowym skłonieniem głowy. – Ale ta kwestia nie podlega negocjacji. Sąd wyraził się bardzo jasno. Mam związane ręce. Proszę, p. Jenssen, niech sobie ją pani odpuści.

Vaila zakręciła kieliszkiem.

– A chłopak?

– Nabytek – poprawił.

– On nadal żyje?

– P. Jenssen – odpowiedział. – Pani służba dobiegła końca. Także odpowiedzialność za zdrajczynię Nakajimę i załogę Debby. W tym momencie jest pani w sytuacji, o której marzą praktycznie wszyscy Zjednoczeni – ma pani przed sobą życie na komfortowej emeryturze, jeśli tylko pani zechce. Proszę nie myśleć o przeszłości, lecz o jutrze. Proszę mi powiedzieć, co korporacja może pani zapewnić, by pani jutro było satysfakcjonujące.

– Fumiko Nakajimę – powtórzyła.

Mogła tak całą noc.

Przedstawiciel wypuścił powietrze nosem.

– Jeśli nie przyjdą pani do głowy żadne rozsądne życzenia, otrzyma pani standardowy pakiet.

W końcu rzeczywiście musieli dać jej standardowy pakiet; podczas kameralnej ceremonii z garstką gości, na arystokratycznym balkonie obdarzyli ją wysoką rangą we władzach Zjednoczonych – Kuratorem Gniazda Floty Przedrzeźniacza. Konsul

wręczył jej małą złotą odznakę, wbitą teraz w klapę szytego na miarę żakietu, i pogratulował nowego stanowiska. Stanowisko nie dawało żadnej rzeczywistej władzy, płaca była jednak dobra, a obowiązki nieliczne; spotkanie co kilka dni, jeśli zdecydowałaby się stawić, oraz trochę pracy biurowo-konsolowej, którą jej asystent z przyjemnością wykonywał w jej imieniu. Od czasu do czasu chodziła na te spotkania, dla kaprysu, kiedy nie chciała być sama; puszczała mimo uszu długie i meandrujące rozmowy o przyszłej ekspansji, nabierając czujności, gdy z rzadka jakiś porucznik odwracał się do niej i pytał o zdanie w kwestii najnowszego przejęcia Świata Surowcowego. Niebawem w ogóle przestali przysyłać te zaproszenia i dali jej dla rozrywki prywatny szkuner z niemal nieograniczonym dostępem do stacji i planet, do wszystkiego z wyjątkiem miejsca, do którego chciała polecieć.

Były to bardzo zasłużone wakacje Vaili Jenssen. Długie dni przeskakiwania szkunerem z Miasta-Planety do Miasta-Planety, wylegiwania się na nasłonecznionych balkonach wychodzących na arystokratyczne plaże, palenia aromatyzowanych owocami fajek, odpływania w niezobowiązujące drzemki na leżakach – choć krzywiła się, gdy te drzemki niezawodnie przerywało jej wspomnienie pistoletu w dłoni, jego ciężaru, gdy celowała w plecy Ema, szczęknięcia spustu, strzału, drugiego. Dźwięku jego nagle bezwładnie padającego ciała. Wytrzeszczała oczy, bluzkę plamił pot, nie mogła nic z tym robić, tylko wychylić się przez balustradę balkonu i zginać się w skurczach mdłości wywołanych zapachem krwi, który czuła w perfumowanym powietrzu Miast-Planet, nawet w zimną noc, jakby wszystkie gwiazdy były owinięte wieńcami żelaznych kwiatów.

***

Na początku łatwo było nie zwracać uwagi na zapachy – pikantny aromat curry, perfumę kwiatów wiśni – podobnie jak na głosy, cichy szmer sal do posiedzeń zarządów i uczelnianych seminariów. To były tylko drobne pęknięcia. Kiedy jednak pojawiła się Dana i przemówiła tak wyraźnym głosem – niemożliwe, by nie była prawdziwa – Fumiko pogodziła się z faktem, że jej tysiącletni umysł, niewspomagany zimnym snem ani neurorozszerzeniami, nie potrafi już rozdzielić tego, co rzeczywiste i co wyobrażone. Jej praca była punktem stycznym z rzeczywistością – kuła, słuchając, jak Dana opowiada o tym, co dzisiaj robiła – jaką fantastyczną biografię czytała, architekta, który zaprojektował nawodny stadion Ashgala – i nie przestawała kuć, nawet kiedy pomieszczenia zaczęły się zmieniać w pokoje z jej przeszłości. Była w głównej kuchni i przygotowywała sobie poranną mieszankę białkową, a w połowie ruchu łyżką uświadomiła sobie nagle, że jest u matki w salonie; przemiana przeszła gładko i bez fanfar – Aki na kanapie, oglądająca na ściennym ekranie swoje dawne nagrania i rozpływająca się nad swoją młodszą wersją; zapytała ją, czy to widziała, dodając, jak niedoceniony był ten film. Fumiko odpowiedziała, że widziała go mnóstwo razy, nie z własnego wyboru, a kiedy matka łypnęła na nią groźnie, dokończyła trzema wielkimi haustami białkowy koktajl i wyszła z pokoju, oglądając się jeszcze w drzwiach, zadowolona, że salon zniknął i wróciła kuchnia.

– Myślisz, że wariujesz – powiedziała Dana, gdy Fumiko odłupała kilofem kolejny

odłamek skały. – Ale się nie boisz.

– Nie.

– Czemu?

– Bo to się stanie, tak czy owak. – Oparła kilof o ramię. Uśmiechnęła się do niej. – I wcale mi to nie przeszkadza.

Nie zwalczała tych przemian. Godziła się na nie i dryfowała przez realistyczne wspomnienia, chodząc po bazie w kraterze, czasami tylko zatrzymując się, by nacieszyć się którąś wizją. Kwitnące wiśnie przerastające ściany klatki schodowej, pokrywające stopnie różowymi płatkami. Okna SeaTramu ukazujące się w stalowych korytarzach, dające widok na pacyficzne wody Starej Ziemi i miasta pochłonięte przez jej fale, a na siedzeniu mała dziewczynka, która wykorzystuje nieobecność matki i szkicuje na Handheldzie kubełkowy dziób i rozpostarte skrzydła pelikana. Im bliżej było do ładunków YonSef, tym żywsze i częstsze stawały się te pęknięcia, aż w końcu prawie przestała widzieć bazę i ostatnimi realnymi rzeczami w jej życiu stały się tunel, smak posiłków i ciężar kilofa w dłoniach, gryzącego skałę metalowym zębem.

***

Pracowali powoli, ale dokładnie. Na podstawie wyciągniętych ze Stopera banków danych korporacja Umbai opracowała mapę miejsc, w których Fumiko porozmieszczała swe lojalne ptaki. Vaila miała wgląd do ich postępów. Czytała, których lojalistów zabito danego dnia, patrzyła, kogo z nich znała. Wielu nazwisk nie kojarzyła i czuła tylko nużące odrętwienie, gdy ta liczba przekroczyła setkę. Nie były to ofiary, które by jej szczególnie ciążyły.

Kiedy dowództwo floty Kerriganów poinformowało ją, że Nia Imani przeżyła starcie z Eufratem, uśmiechnęła się, myśląc, że to typowe dla jej dawnej kapitan – nie zginąć. Zapłaciła Kerriganom małą fortunę za opiekę nad Nią i Sartorisem – oboje wciąż byli w śpiączce, leżeli w kapsułach rekonstrukcyjnych na pokładzie Joplina, flagowego krążownika floty, nieświadomi, że ona mocą swojego stanowiska Kuratora Gniazda Floty oczyściła ich akta z wszelkich powiązań z Nakajimą. Vaila zaś, w sypialni swego hotelowego apartamentu, modliła się na paciorkach ladeum, recytując w ich intencji modlitwy o wsparcie i zdrowie, świadoma, że to małe waciki wobec ziejącej rany, którą sama zadała, lecz nie mając innego sposobu na własne poczucie winy. Dni modlitwy były przetykane ciągłymi rozmowami przez linię awaryjną z Joplinem, kiedy wypytywała lekarzy o postęp w ich leczeniu. Kiedy jednak nadszedł dzień, gdy powiedzieli jej, że Nia się wybudziła, nie zadzwoniła już nigdy, bo zapytali ją, czy chce rozmawiać z byłą kapitan, i przestraszyła się, że w końcu ulegnie pokusie i odpowie „tak”. A po tym, co zrobiła, mosty były spalone.

Właśnie tego dnia wyszła na hotelowy balkon i stanęła na nim pod ostrym słońcem Miasta-Planety. Patrzyła na przepiękny dzień, pnącza wijące się przyjemnymi pętlami wzdłuż balustrad, statek wycieczkowy tnący szmaragdowe niebo białą smugą kondensacyjną – i wiedziała, że nie ma lepszego widoku, by ze sobą skończyć. Weszła na balustradę.

I skoczyła.

Drony złapały ją, zanim uderzyła w ziemię, lecz i tak miło było poudawać sobie przez kilka chwil, w pędzie powietrza, że wszystko się tu skończy, bo ziemia była tak blisko, kiedy pochwyciły ją ich linki, wykręcając jej ramiona. Przez moment przenikał ją jaskrawy, przyjemny ból, aż zatchnęła się ze śmiechu, gdy drony niosły ją w powietrzu do budynku, do czekających w foyer sanitariuszy, z przygotowanymi już noszami, ze spokojnymi uśmiechami na ustach, którzy zawieźli ją do psychomoderatora, do gabinetu urządzonego tak bezpłciowo, że aż niesamowicie, gdzie powiedział jej, że to, co czuje, jest normalne i nie da się tak po prostu wymazać wielu lat indoktrynacji przez Nakajimę. Wszystko, co jej mówił, już kiedyś słyszała, nie było to nic nowego. Wędrowała po obłych pomieszczeniach ośrodka, który korporacja zasugerowała jej na rekonwalescencję, ubrana w lekką jak piórko wieczorową suknię i bosa, bo lśniące podłogi były tak ciepłe, że kapcie stawały się zbędne. Nie rozmawiała z innymi pacjentami, umysł miała zaprzątnięty sporządzonym przez złomiarzy opisem wraku Debby. Z dostępnych tropów łatwo było poskładać historię ich ostatnich dni – pogrzeb, który musiał spotkać Sonję i Ema, zanim ich ciała zostały wypchnięte w przestrzeń, długie tygodnie oczekiwania, podczas których doktor i pani kapitan odliczają kurczące się zapasy tlenu. Trup Royvana w izbie chorych. Igła w jego ramieniu. Nia w kajucie chłopca, owinięta jego kocem, otoczona jego instrumentami i muzyką; snuła sobie tę własną wizję w ciemności swego pokoju w klinice, modląc się na paciorkach o ustanie bólu.

A gdy ona się modliła, Fumiko zmagała się z własnymi upiorami. Szła w górę schodami, do kuchni, by przygotować sobie obiad, gdy poczuła dobiegający z drzwi na poziomie 32. zimny islandzki powiew. Otworzyła je i poczuła na plecach ciarki, patrząc przez ten portal na ostatni dzień, w którym widziała Danę.

Tego roku miała odlecieć Arką Umbai. I tak jak Hart, przed długim snem chciała choć odrobinę pojednać się z Daną, lecz wszystkie słowa, które planowała wypowiedzieć, uwięzły w gardle, gdy przyleciała do Reykjaviku i zobaczyła pod jej płaszczem wypukły brzuch. Teraz miała przed oczami właśnie to spotkanie w miejskim parku; siedziały we dwie na brzegu kamiennej fontanny, obserwując ulicznego tancerza wirującego na głowie do pulsującego remiksu haydnowskich skal, patrząc tylko na niego i na siebie nawzajem. Dana, trzymając dłoń na wypukłości płaszcza, z wahaniem zapytała Fumiko, czy na Arce są może jeszcze miejsca, czy mogłaby użyć swoich wpływów w firmie, żeby załatwić trzy bilety. Dla niej, dla jej żony i dla dziecka, które lada moment się urodzi. Patrząc na nie z drzwi na klatkę schodową, mocno ściskała klamkę dłonią, przypominając sobie niemoc, którą wtedy czuła, wymijającą obietnicę złożoną jedynej kobiecie, jaką w życiu kochała; to, że nawet nie kłóciła się z Umbai, kiedy odmówili, bo żona Dany miała powiązania z jakimiś protestującymi grupami, które uznali za niepożądane, a więc i Dana, i jej potencjalne dziecko też miały podejrzany status. Mogła ich przekonać, użyć swoich wpływów jak miecza i wyrąbać sobie drogę, jednak nie zrobiła tego. Tylko kiwnęła głową, później powiedziała Danie, że robiła, co mogła, i słuchała przez Handhelda, jak kobieta o fioletowych oczach milczy przez minutę, może dwie, a później mówi, że i tak dziękuje. Zaczarowana tym wspomnieniem Fumiko tkwiła w drzwiach, póki nie pojawiła się inna Dana i nie poprowadziła jej z powrotem do podwarstwy – do ostatniej szansy, by coś jeszcze naprawić.

Vaila spędzała dni w ośrodku przy oknie wychodzącym na dziedziniec, gdzie stary książę lepił ze swego bólu stojące w bujnej trawie holograficzne rzeźby. Obserwując jego działania, poczuła odrobinę pokrewieństwa – były to misterne konstrukcje, które kasował tuż przed ukończeniem, ze smutnym uśmiechem niwecząc godziny pracy i wracając do środka na posiłek. Znała to bezbrzeżne katharsis, jakie daje zmiecenie wszystkiego ze stołu ruchem ręki, bez powodu poważniejszego niż chęć wetknięcia palca w oko ukochanej osobie – krzykiem tak głośnym, że Fumiko nie miałaby wyjścia, musiałaby usiąść prosto i słuchać. Teraz jednak widziała, że próżny to krzyk i nie doczeka się odpowiedzi. Nie miała nic, tylko swój nowy tytuł oraz katalog żalów wypisanych grubymi literami na wszystkich posadzkach, po których szła, bez sposobu na odzyskanie tego, co usunęła. Przebywała w ośrodku przez miesiąc, zanim stwierdziła, że nie odzyska w nim spokoju umysłu. Podczas ostatniej sesji powiedziała psychomoderatorowi to, co chciał usłyszeć – że wie, że któregoś dnia pogodzi się z tym, jak upadły elementy tej układanki. Uśmiechnął się i powiedział, że według niego jest na progu przełomu. Był to czas, gdy już krążyły pierwsze plotki – laboratoria rozszyfrowały właściwości Nabytku i miały w ciągu roku przedstawić prototyp nowej technologii. Na Strumieniu płonęła burza oczekiwań, w której nie była w stanie wziąć udziału, bo wszystkie wieści tylko dobitnie podkreślały los chłopca. Wpełzała do łóżka, jedynego miejsca, które przychodziło jej na myśl, a Fumiko uderzała kilofem, aż wreszcie, po tylu miesiącach, ukończyła tunel i przebiła się przez skałę.

Spodziewała się większych fanfar – liczyła, że zniekształcenie rzeczywistości osiągnie swój szczyt i eksploduje orgią spektakularnych wizji, w których wszyscy ludzie z przeszłości gratulują jej wielkiego osiągnięcia. Usłyszała jednak tylko cichy gwizd wlatującego do otworu powietrza, poczuła jedynie nieruchomość ciągnącego się za nią tunelu. Zaatakowała otwór kilofem, aż był na tyle duży, że mogła się przezeń przedostać, wcisnęła głowę do komory, rozświetliła ciemność latarką. W małej niszy tkwił YonSef. Miał prostą konstrukcję – srebrna kula z gniazdem podłączonym kablem do walizkowego terminala. Wgramoliła się do środka, tnąc sobie podeszwy butów ostrymi odłamkami, i wzięła ładunek wybuchowy na kolana, po czym pogładziła go zrogowaciałymi palcami.

– Udało ci się – powiedziała Dana.

– Udało – powtórzyła wyczerpana.

Proces odsysania lotnych energii i przekierowywania żelowej pasty z jądra YonSefa do komory spalania generatora trwał całe dnie – wypełnione wstrzymywaniem oddechu i obawą, że ręce jej się omskną i zniweczą cały postęp. Aż w końcu – po tygodniu – sukces: elementy grzejne w podłodze znów zadrgały, pozapalały się światła, poziom za poziomem, zasilanie wróciło do jedynej działającej konsoli w amfiteatrze, która wystartowała, sygnalizując to fortepianowym trylem.

Stoper znowu ożył.

Weszła do amfiteatru, który dla jej zauroczonych oczu był teraz salą konferencyjną w Cybelusie w Chicago. I właśnie ten długi stół, z siedzącymi przy nim współpracownikami i praktykantami, minęła teraz, idąc na przód sali, gdzie przy konsoli czekał Hart. Odsunął dla niej krzesło. W sali zapanowała cisza, wszyscy patrzyli na nią, gdy wchodziła na publiczny Strumień – planetarne informacje i plotki, miliardy multimedialnych produkcji rozrywkowych, a potem z pomocą jednej z tylnych furtek,

które zainstalowała przez tysiąclecia, a Umbai nigdy ich nie znalazł, dowiedziała się o śmierci swoich ptaków. Odczytała na głos ich imiona, a jej współpracownicy odgrywali jej emocje, zalewając salę łzami. Krzyczeli wniebogłosy, błagając o wybaczenie. A kiedy płakali, Hart zapytał ją cicho: „Nikt już nie żyje?", i płacz wyparła furia, gdy dowiedziała się, że żyje tylko jedna osoba – Vaila Jenssen, awansowana na Kuratora Gniazda. Dłonie jej zesztywniały, a współpracownicy złapali za krzesła i zaatakowali nimi ściany, powybijali szyby, świetlówki na suficie rozjarzyły się czerwono od zdrady. Gniew uspokoił się, gdy dotarła do logu komunikatora z neuro Vaili i dowiedziała się, że wiele razy bezskutecznie domagała się pozwolenia na przelot na ten porwany księżyc. Zmaterializował się plan. Ludzie wokół oprzytomnieli i ucichli, kiedy po kilku godzinach pracy spenetrowała nowe systemy szyfrowania i wbiła się do zintegrowanego z neurosieciami Przyjaznego Komunikatora. Wysłała swe nawoływanie.

Nowa wiadomość.

Vaila wciąż była pogrążona w półśnie. Stęknęła, gdy pod lewą powieką coś zamigotało na niebiesko, a neuro rozbłysło priorytetowym powiadomieniem.

Nowa wiadomość.

Poruszyła się. Napięła mięśnie wokół oka, by wyłączyć powiadomienie, przeklinając asystenta, który informował ją o najdrobniejszych, w ogóle nieinteresujących szczegółach. Odepchnęła wiadomość na bok, ta jednak nie ustępowała, poszturchując ją, póki nie zmusiła się do jej otwarcia. Marszcząc czoło w ciemności, usiadła, rozciągnęła szyję – coś strzeliło – i otworzyła wiadomość.

Ona żyje.

Tylko taka treść.

W załączniku natomiast były standardowe wszechświatowe współrzędne. Wiadomość przyszła z zaszyfrowanego adresu. Kiedy zapytała, kto pisze, nie otrzymała odpowiedzi. Dopiero kiedy wbiła współrzędne w pulpit szkunera i dowiedziała się, że prowadzą do odległego księżyca daleko poza granicami Zjednoczonego Kosmosu, potwierdziły się jej podejrzenia, jej nadzieje, i z drżącymi rękami zaczęła się przygotowywać do misji mającej odkupić jej winy.

Plan był taki: odnaleźć Fumiko i razem uratować chłopca, zasłużyć sobie na wybaczenie u dawnej kapitan, albo przynajmniej na niechętną neutralność. Odbudować to, co zniszczyła. Na nowo móc spać w nocy. Mało prawdopodobne, ale chciała i tak spróbować, bo to był jedyny plan, jaki miała, i jeśli był na świecie ktoś, kto mógł dokonać niemożliwego, to właśnie Fumiko Nakajima. Poruszając się lekko i szybko, zamówiła prowiant na trzytygodniowy lot i uzbroiła się w pistolet, którym odebrała życie Emowi, na wypadek gdyby Fumiko nie była chętna jej słuchać. A potem odwiedziła salon konfiguracyjny. Kazała sobie ściąć włosy na krótko i ufarbować na blond, tęczówki zamienić w fioletowe cukiereczki – chciała, by Fumiko, gdy znów się z nią spotka, gdy będzie wyjaśniać jej plan, powody serca, widziała to na jej ciele, tę

maskę, która na zawsze ją zniekształciła.

Wyszła z układu. Przez te trzy tygodnie podróży Prądem Walecznym stała się dublerką swojego przyszłego ja, ćwiczącą mowę pogardy i pojednania, którą miała wygłosić do Fumiko, trzymanej na muszce, jeśli będzie trzeba. Do Fumiko, która raz w życiu będzie poddaną, a Vaila wytłumaczy jej ze szczegółami, jak cierpiała, kiedy została przez nią odtrącona.

Trzy tygodnie prób, które dla Fumiko były rokiem – poświęciła ten rok na wydobycie ostatniego YonSefa, co było o wiele łatwiejsze, odkąd miała prąd i działającą wiertarkę udarową, która szybko przebijała się przez skałę.

Izolacja na pokładzie szkunera wyostrzyła obłąkańczą determinację Vaili. Ćwiczyła swą przemowę, mając za cel pusty fotel pilota, unosząc dla podkreślenia słów paciorki ladeum, kiedy mówiła pustemu fotelowi, że każda z tych modlitw była za nią, zawsze była za nią. Cyzelowała kadencję i akcenty na kluczowych słowach, na przykład „zdradzona" czy „załamana". A gdy była pewna, że przemowa jest już opływowym pociskiem, jakim miała być, szeptała do siebie jej słowa przy jedzeniu albo siedząc na koi i wpatrując się w nicość, jak słowa nowej modlitwy. Przesuwała przy tym paciorki różańca.

– I co jej powiesz? – zapytała Dana Fumiko.

– Nic – odparła, biorąc w ręce ostatni ładunek YonSef. – Nic nie zostało do powiedzenia.

Kul było w sumie pięć. Dość, żeby odparować cały ocean. Umieściła je w torbie statycznej i spędziła pozostałe miesiące na tarasie, który był teraz kawiarnią. Siadała z Daną przy stoliku pod oknem i żyła tam, w swoim ulubionym wspomnieniu, gdy liczyły się tylko one dwie, schowane w tym miejscu przed deszczem.

Ten idealny tydzień, lata temu, który ukształtował Vailę w tak wielu aspektach, że trudno je było wyliczyć – w nim z kolei żyła Vaila podczas swej podróży. Tydzień, przez który była nałożnicą Fumiko, radość, którą czuła, gdy mówiła jej, że jest idealna, nieważkość Pokładu Baldachimowego, na którym tańczyły, wirując jak zrzucone z balkonu kwietne płatki, tylko we dwie w tej kopule pod gwiazdami, jakby cały Pelikan był zbudowany tylko dla nich. A pomiędzy próbami przemówienia siadała w fotelu pilota i zastanawiała się, czy jeszcze przeżyje taki dzień.

– Któraś z nich wyglądała jak ja? – zapytała Dana. – Z tych twoich nałożnic.

– Były podobne. Ale żadna nie była tobą.

– Ale i tak je wykorzystywałaś. – Dana zamknęła oczy. – Ona cię kochała, a ty ją wykorzystałaś.

– Wiem – odparła cicho Fumiko.

– I dalej chcesz to zrobić?

Fumiko kiwnęła głową.

– To najbezpieczniejsze wyjście.

– Pewnie masz rację.

W końcu minął rok. Szkuner się wyfałdował. Vaila, z dłońmi w kociej kołysce, pokierowała statkiem przez atmosferę błękitnego księżyca, z ogniem liżącym okna kokpitu, z sercem wyrywającym się z piersi opadła na lądowisko na zachodniej krawędzi krateru. Fumiko westchnęła, patrząc na lądowanie na ekranie konsoli. Wsporniki szkunera uderzyły w płytę lądowiska. Przez szyby kokpitu Vaila słyszała porywi-

sty wiatr i widziała wykwitający na szybach szron. Fumiko popędziła w górę schodami przez bazę, przeskakując przez korzenie kwitnących wiśni. Vaila opatuliła się w gruby płaszcz i zeszła po rampie szkunera, dzwoniąc zębami, dygocąc z zimna i wyczekiwania. Poziom dziesiąty, dziewiąty, liczby przelatywały obok biegnącej Fumiko. Wiatr rozwiał blond włosy, kiedy Vaila biegła do drzwi windy, a potem, gdy przycisk pstryknął martwo, do drzwi klatki schodowej po drugiej stronie płyty. Poziom trzy, poziom dwa. Vaila rozsunęła z wysiłkiem drzwi, przywitał ją powiew ciepłego powietrza – uśmiechnęła się szeroko, zaiskrzyły jej wszystkie nerwy, odpięła latarkę od paska, żeby oświetlić ciemną klatkę schodową, ale nie zdążyła już nią pstryknąć, bo pocisk przebił jej głowę na wylot.

***

Fumiko opuściła broń. Wbiegła schodami i wyszła na wiatr, kucnęła nad ciałem, żeby sprawdzić, czy kobieta nie żyje. Odgarnęła grzywkę, ukazując dziurę w czole. Sztuczne piegi. Oczy wciąż otwarte, tęczówki nienaturalnie fioletowe. Zaczęła kciukiem ścierać barwnik, aż zniknął i zobaczyła, że tak naprawdę są kasztanowe.

– Miałaś rację – powiedziała Dana. – W ogóle nie była do mnie podobna. – Westchnęła. – Była o wiele piękniejsza.

Fumiko podniosła ciało i zeszła po schodach, do bazy, która nie była bazą. Przeszła przez park zasypany płatkami kwiatów wiśni, przez długi tunel ciągnący się pod oceanem, minęła zalane budynki. Pokonała długą drogę do podziemia, gdzie leżały inne zwłoki, gdzie miała złożyć ją na spoczynek; drogę znaczyła skapująca z jasnych włosów krew. Weszła do podziemia i poczuła żar kalifornijskiego słońca przebijającego się przez szklaną kopułę rezerwatu ptaków. Zmrużyła oczy od światła i popatrzyła na sztuczną rzekę, wąwóz, drzewa, a wszystko usiane trupami ptaków. Właśnie nad tą rzeką ją położyła.

Pelikan wysunął się z jej rąk na ziemię.

Skrzydła miał bezwładne.

W drzwiach oddała rezerwatowi ostatni pokłon i poszła do szkunera, zabierając po drodze torbę z YonSefami.

Byli tam wszyscy, czekali na nią na przystani nad kanałem. Aki, Hart, p. Toho, Vaila i tysiące innych znajomych. Nikt się do niej nie odezwał, nawet się nie uśmiechnął. Patrzyli tylko w milczeniu, jak schodzi na pomost i wsiada do łodzi z torbą pełną zemsty. Usiadła obok Dany, wzięła ją za rękę i powiedziała przewoźnikowi, dokąd ma płynąć. Odepchnął się drewnianym wiosłem, a kiedy łódź zakołysała się na wezbranym kanale, Fumiko rzuciła ostatnie spojrzenie temu, co zostawiała za sobą, i podniosła rękę. Trzymała ją uniesioną, dopóki łódź nie skręciła między budynki i nie zniknęła obserwującym z oczu. I tak oto Fumiko Nakajima zniknęła po raz drugi – zapadła się w Fałd na wiele lat, podczas gdy Umbai kończył opracowywać Chip Szybkiego Lotu.

14.

Tysiąc ognisk

Do wprowadzenia ludzi w przyszłość wybrano człowieka z Miasta-Planety Buestana, biednego ulicznego dzieciaka z podwarstw, który zaciągnął się do wojska i zasłużył w wojnie o surowce w pasie asteroid, którego nazwę mało kto kojarzył. Był jednocześnie wybitny i nic nieznaczący. I choć był zaszczycony, gdy Umbai wybrał go na pilota prototypowej żmii, bał się. Bał się, że wybrali go z uwagi na jego anonimowość; że jeśli podczas pierwszego lotu coś pójdzie nie tak i zdematerializuje się na popiół, nie będzie wielkiej afery; że wybrano go, bo jest mało ryzykowny. I że ten lot będzie jego ostatnim. Dlatego w ostatnią noc przed próbą Szybkiego Lotu wykrzyczał ten strach pijackimi okrzykami radości, w lokalnym barze pod murami bazy wojskowej, a kumple unosili go w powietrze jak ofiarę dla niebios i skandowali jego imię, wybranego. Tę wzniosłą chwilę zaniósł ze sobą do kokpitu żmii i włączając układy łączności, cały czas trzymał w sercu głosy kolegów, także potem, gdy mówił kontrolerowi, że statek jest gotowy do skoku.

Publiczność była liczna, kiedy człowiek z Buestany przeskoczył ze stacji Pstrogłów na stację Przedrzeźniacz w ciągu jednej czwartej sekundy. Gapie na Pokładzie Baldachimowym aż sapnęli, kiedy żmija zdematerializowała się w polu widzenia ich lornetek. Trudno było im pojąć, co zobaczyli, nawet po powtórnym odtworzeniu nagrania z neura; w jednej chwili statek jest, w drugiej go nie ma. Wieść rozlała się jak pożar lasu po stacyjnym Strumieniu i Strumieniu Zjednoczonej Domeny; jak prąd elektryczny przeskakujący z neura na neuro, otwierający oczy ludziom, do których wtedy docierało, że życie nieodwracalnie się zmieniło. Przeskoczyła łukiem elektrycznym na Przestarzałe Floty, statki Kerriganów, gdzie stała się przedmiotem podekscytowanej gadki w mesie Joplin – złomiarze nad swoją breją szeptali jeden do drugiego, co to może znaczyć, niektórzy nieufni wobec nadchodzącej zmiany, większość jednak niemogąca zaprzeczyć, że na dłuższą metę to dobrze. Niedługo padną granice.

Tylko jedna osoba cały czas milczała. Dawna kapitan statku handlowego, siedząca samotnie na końcu najodleglejszego stołu, nie tykająca jedzenia na tacy i słuchająca zgiełku mesy, poirytowana ich jowialną ignorancją. Jej zdaniem nie mieli pojęcia, jaka jest cena tej przyszłości. A kiedy myślała o chłopcu, którego straciła, jej dłoń zaciskała się na widelcu, jakby miała go zgiąć. Mało który złomiarz zauważył to, że gwałtownie wstała i wyszła. Ci, którzy to dostrzegli, zerknęli tylko zdziwieni, że nawet największa sensacja w Zjednoczonym Kosmosie nie jest w stanie wywołać uśmiechu, czy choćby otwierającego szerzej oczy zaciekawienia, u tej załamanej kobiety, i wrócili do swojej zażartej dyskusji.

Nia przeszła zalanym światłem korytarzem, coraz bardziej chwiejnym krokiem. Musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Zignorowała młodą kobietę, która zapytała, czy nie potrzebuje pomocy, skupiona wyłącznie na dotyku zimnego metalu na barkach i furii pulsującej w żyłach.

– On nie żyje, prawda? – szepnęła tej nocy w izbie chorych.

Sartoris odchylił głowę w jej stronę. Ciało wciąż miał unieruchomione ochronnym plastikiem, ruchomość ograniczoną do nieznacznych ruchów głową. Obudził się zaledwie tydzień temu, ciało wciąż miał uwiędłe po długim śnie, a niegdyś idealne skupienie przytępiło się i miało tendencje do dryfowania. I mówił niewyraźnie.

– Ja muszę cię chyba skądś znać.

Nic na to nie odpowiedziała. Ze zrezygnowanym westchnieniem rozparła się na krześle i wpatrzyła w sufit, słuchając błagalnego pikania sztucznego serca i jego nieartykułowanego mamrotania. Została z nim, dopóki z powrotem nie zasnął, i wróciła do kabiny, gdzie położyła się do łóżka i nie zasypiała, czekając na kolejny dzień pracy. Godziny na stanowisku rozbiórkowym z nożem żarowym, przy cięciu metalu na mniejsze, łatwiejsze w transporcie elementy, ręką, która od ataku na Debby już nie była taka jak kiedyś – staw barkowy bolał ją, gdy unosiła cięższe pojemniki. To pulsowanie nie ustało, dopóki po pracy nie poszła pod grupowy prysznic, gdzie wzdychała pod strumieniami zimnej wody, a w najdalszym kącie zawsze jakaś para robiła sobie dobrze. Ich jęki wywoływały u Nii tylko pełne frustracji spojrzenia, gdy próbowała zapaść się w siebie. Jadła samotnie. Przesuwając breję widelcem po talerzu, zapytywała siebie, bezustannie, dlaczego po prostu nie uciekła z Ahrem, kiedy była okazja, dlaczego w ogóle postanowiła wrócić do Fumiko, skoro miała już wszystko, co chciała, na pokładzie statku. Robiła to, póki breja nie zamieniła się w kleks zupy, a mesa nie opustoszała.

Teraz miała tylko złom i Sartorisa. Wizyty w izbie chorych składała pod koniec dnia, kiedy sali pilnował jeden sanitariusz, z twarzą oświetloną wyciszonym filmem czy grą na rozwijanym ekranie. Wieczorami siedzieli sobie w milczeniu, serce Nii łamało się, gdy uśmiechał się do niej z grzecznym pytaniem, zastanawiając się, czemu ta nieznajoma wraca do jego łóżka, ale i stwierdzając, że nie ma nic przeciwko. Ona skupiała uwagę na flecie w swoich dłoniach. Kciuk dotykał wygrawerowanego u podstawy imienia, myślała o jego melodii, dręczyły ją najgorsze obrazy wyobraźni. Jaki ból musiał znieść, jaką klęskę, sam w jakimś ciemnym korytarzu, wyciągający do niej dłonie. I jak szybko powinna tam do niego dołączyć.

– Ja cię znam – szepnął z uśmiechem Sartoris. – Jesteś kapitanem.

Sapnęła.

– Byłam.

Ze wszystkich rzeczy, które przez ostatni rok straciła, utrata stanowiska bolała ją najmniej. Było coś uspokajającego w braku odpowiedzialności. Można było płynąć z prądem czyichś poleceń, przychodzących w ciągu dnia zadań, odpowiadając tylko za narzędzie we własnej dłoni i postęp w rozmontowywaniu metalowych sprzętów. Zatracała się w rytmie tej pracy, w fizycznej przyjemności z władania ostrzem rozdzielającym blachy kadłuba, jak palec rozdziela mokrą glinę, czując bezpieczną świadomość, że skutki tego, co może zepsuć, mają oczywisty górny pułap – żarowe ostrze może się obsunąć, prawda, może, ale nawet to w większej perspektywie stanowi zni-

komy koszt. Teraz, po wszystkim, co przeszła, byłaby w stanie przeżyć utratę palca, albo i dłoni, o ile byłaby to jej dłoń, a nie kogoś innego.

Przychodziła do pracy pierwsza i wychodziła ostatnia. Była małomówna, nie prowadziła rozmów na boku, niezawodnie wyrabiała normę. Z każdym mijającym tygodniem i miesiącem coraz bardziej stawała się duchem. Siłą woli unikała wszystkiego, co trwałe. Nawet ci, którzy pracowali tuż obok, nie byli pewni, jak brzmi jej głos, czy jak się nazywa, mówiąc o niej po prostu „była kapitan" albo i „ta kobieta". Jednakże mimo jej starań, by pozostać niezauważoną, kierownik zmiany szybko zarejestrował jakość i stabilność jej pracy. Nagradzał ją przerwami, których nie wykorzystywała. A kiedy miała rok stażu i jej umowa na czas określony właśnie się kończyła, zaproponował jej stałą pracę na Joplinie.

– Najlepszy statek Kerriganów, na którym można pracować, moim bardzo stronniczym zdaniem. Pięcioletni kontrakt, z możliwością awansu, co przy twoich umiejętnościach nastąpi bardzo niedługo – powiedział. – Wliczone jest zakwaterowanie i wyżywienie dla ciebie i rodziny. – Miał na myśli Sartorisa.

– Ile czasu mam na decyzję? – zapytała z dłońmi w kieszeniach kombinezonu, gapiąc się na sypiące się w hali iskry.

Kierownik wzruszył ramionami.

– Jakieś trzy miesiące. Mniej więcej wtedy, kiedy wyczerpie się kasa, którą twój dobroczyńca przelał Dowództwu Floty. – Podniósł swój tablet, kiwnął jej głową. – Na spokojnie. Zastanów się, Imani. Ale zgódź się.

Zostawił ją tak, przy wypalonej skorupie kokpitu. Chwyciła rękojeść żarowego noża i poszła z powrotem na stanowisko, zastanawiając się, czy będzie w stanie to zrobić – zapomnieć i zacząć wszystko od nowa.

„Wiemy, dokąd prowadzi ta droga" – rozległ się jej w głowie głos siostry.

Nia pstryknęła wyłącznikiem noża i krzyknęła, że jest gotowa na następny ładunek. Złom podjechał taśmociągiem. I tak jak wczoraj i przedwczoraj, zabrała się do pracy.

„Ma kształt koła".

***

Chip Szybkiego Lotu najpierw dostały okręty wojenne i arystokratyczne szkunery, potem korporacyjne statki handlowe i duże komercyjne floty pasażerskie. Z czasem trafił nawet do prywatnych rzęchowatych promów.

Popyt był ogromny. Kolejka pełnych nadziei pilotów wysypywała się za drzwi Kapitanatu Portu na Mieście-Planecie Ustinov, wiła się po rampie, schodziła na ulicę i sięgała aż do wind prowadzących do warstw mieszkalnych. Piloci promów-busików, czekający na udostępnienie chipów; niektórzy tkwili w niepewności całymi tygodniami. Pierwsza w kolejce była kobieta, która obozowała przed biurem zaopatrzenia przez miesiąc, utrzymywana przy życiu dzięki prowiantowi i woreczkom do kolostomii, które córka przynosiła jej co rano – czekała na swój kawałek przyszłości. W końcu biuro otworzyło się i zaproszono ją gestem do biurka. Dzień, gdy otrzymała chip, był drugim najpiękniejszym dniem w jej życiu – jej karta identyfikacyjna została

zarejestrowana w systemie, tłum na zewnątrz oklaskiwał ją, kiedy trzymała pudełko wysoko nad głową, a córka – to był jej pierwszy najpiękniejszy dzień w życiu – biegła jej na spotkanie. Razem wróciły do swojego promu, by zainstalować nową technologię. Zajęło im to prawie trzy dni, gdyż większość oszczędności kobiety poszła na zakup samego chipu i niewiele zostało na ewentualne wynajęcie fachowca do instalacji. Starannie przestrzegając instrukcji wideo, zrekonfigurowały napęd promu, wymontowując rdzeń fałdowy i zastępując go czarną skrzynką, mieszczącą chip pod gładką, nieprzenikalną powłoką.

Ani kobieta, ani jej córka nie otworzyły czarnej skrzynki. Ich ciekawość nie była aż tak silna, żeby ryzykować utratę gwarancji. Inni to jednak zrobili, majsterkowicze, piraci, zwykli hobbyści, i podzielili się spostrzeżeniami na Dennym Strumieniu – że wśród układów Szybkiego Lotu kryje się mała szklana kulka, a w niej czerwona kropelka krwi, maleńka, mieszcząca się na czubku igły. Pojawiły się pytania o tę krew, Umbai jednak milczał, chroniony przepisami o własności intelektualnej. Odbyło się parę protestów ludzi zaniepokojonych potencjalnie nieetycznym pochodzeniem tej technologii, lecz te nieśmiałe pokrzykiwania, z rzadka przebijające się do publicznej świadomości, nie miały żadnego wpływu na kurs akcji Umbai. A kobieta z Ustinova, jak większość ludzi, nie rozumiała tych protestujących. Dla niej jedna kropla krwi była znikomą ceną za przyszłość, choć miała chwile wątpliwości, jak na przykład pewnego alkoholowego wieczoru, gdy kolega-przewoźnik zabawił się w adwokata diabła i zapytał, co by było, gdyby to krew jej córki napędzała te wszystkie statki.

Po dłuższej chwili stanowczo odparła:

– Nigdy bym do tego nie dopuściła. – Wiedziała, że to nie jest odpowiedź. Mimo to wystarczyła.

Należała do pierwszych przewoźników obsługujących szybkie loty z Ustinova. Na początku było to zachwycające. Córka sprzedawała pasażerom bilety i podawała im napoje w woreczkach, a ona łączyła się z kokpitu z zarządem i prosiła o zgodę na skok.

Najlepszy był moment otrzymania tej zgody. Kiedy słyszała ciszę wyczekiwania w kabinie, a potem okrzyki i wiwaty, gdy po jednej czwartej sekundy docierali do celu. Na niebo nowego Miasta-Planety. W tamtych czasach większość ludzi nigdy nie wypuszczała się poza swój świat – cena, tak finansowa, jak czasowa, była zbyt wysoka. Teraz mogły się spotkać rodziny niewidzące się od pokoleń, dawni przyjaciele, jeszcze dawniejsi kochankowe. Pieniądze płynęły strugą w jej nadstawione ręce. W ciągu dwunastu godzin zrobiła trzydzieści kursów, a popyt na loty był tak wielki, że z córką prawie nie spały, wyczerpane pod koniec dnia, podtrzymywane tylko tabletkami z adrenaliną i przyjemnością czerpaną z oszołomienia i radości pasażerów, którzy po lądowaniu padali na kolana w zachwycie, jak daleko zalecieli, jednocześnie dziękując jej i córce, ściskając dłonie tych dwóch hojnych królowych – tak samo było z innymi pilotami, traktowanymi wówczas jak bogowie.

Kobieta z Ustinova oraz trzystu dwudziestu dwóch jej kolegów, uznanych za lojalnych wobec firmy, zostali wybrani na ambasadorów chipa dla neutralnych flot, które nie podpisały jeszcze kontraktów na wyłączność z Umbai. O tym obowiązku poinformował ją młody przedstawiciel Pelikana, przynosząc deklarację na pergaminie podpisaną odręcznie przez głównego konsula. Oprawiła ją i powiesiła z przodu kabiny,

obok uśmiechniętych portretów rodziców i ukochanych ciotek.

Ich celem miała być Flota Odzyskowa Kerriganów. Wylecieli tydzień później, kobieta nuciła pod nosem, zgłaszając przylot neutralnej flocie i wchodząc na pokład Joplina razem z dwunastoma innymi przewoźnikami. Powiedziała córce, żeby przygotowała poczęstunek.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to będzie trzeci dzień dumy w jej życiu.

***

Korytarze były puste. Pozostawione noże żarowe stygły na stołach. Ładowarki w opuszczonych halach rozbiórkowych stały nieobsadzone. Wszyscy pracownicy zebrali się w wysokiej hali doku, żeby witać promy Zjednoczonych. Mężczyźni i kobiety w kombinezonach stali na galeryjkach, na schodach, tłoczyli się w wejściach, przepychając się, żeby lepiej widzieć przylot szybkich statków.

Nia weszła na jedną z ław z tyłu, żeby móc spojrzeć ponad morzem głów, a Sartoris siedział obok niej z dłońmi złożonymi na lasce, patrząc na tłum ze spokojną, zdziwioną miną, jakby nie był pewny, o co to zamieszanie, ale i tak nim zauroczony. Fale aplauzu przelały się przez hangar, kiedy Dowództwo Floty i jego świta przebijały się przez tłum i witały pilotów promów. Po krótkiej wprowadzającej przemowie, której Nia z tej odległości nie słyszała, Dowództwo ze świtą weszło na statki, które zniknęły z doku, a po zniknięciu ostatniego aplauz powoli ucichł. Przez trzydzieści minut w doku panowała cisza. Szeptem zastanawiano się, ile to zajmie. Czy już nie powinni wrócić. Ktoś zapytał Nię, czy coś widzi. Wtem burza wiwatów wybuchła na nowo, gdy jeden po drugim promy wróciły, Dowództwo Floty wysiadło i zasalutowało z aprobatą – wtedy ryk stał się tak entuzjastyczny, że o mało nie porwał też Nii, zanim nie zacisnęła zębów i nie przypomniała sobie, dzięki czemu to wszystko jest możliwe.

Robotnicy byli partiami zabierani na pokład promów, żeby mogli sami przeżyć skok. Przepychali się, nie mogąc się doczekać swojej kolejki, póki Dowództwo nie zatrąbiło swoim klaksonem – wtedy tłum momentalnie zorganizował się w kolejki. Nia się nie ustawiła. Siedziała na ławce, uważając, że przejażdżka którymś z tych promów byłaby zdradą pamięci Ahra, a jej udział milczącym uznaniem dla osiągnięć korporacji; zaś z niewielu rzeczy, jakie jej w życiu zostały, właśnie jego pamięć była najdroższa.

Mimo wszystko, patrząc na te promy, na radość przewoźników, coś jej się udzielało – coś wydostawało się spod oburzenia i kipiącego gniewu, kiedy widziała, jak każdy wysiadający z promu robotnik robi to w nabożnej ciszy, odpowiadając tylko oszołomionym wzruszeniem ramion czekającym w kolejce, dopytującym się, jak wygląda Szybki Lot. Zaraziła się tą ciekawością niemożliwego. Zaczęła się ponuro zastanawiać, dlaczego by nie.

Kiedy trzy godziny później zawołano ostatnią grupę, wstała.

– Chcesz? – zapytała Sartorisa, a gdy kiwnął głową z dziecięcym zapałem, pomogła mu wstać.

Wpuszczono ich do ostatniego promu w kolejce. Sartoris trzymał się jej pod rękę.

Zaprowadziła go do wolnego rzędu z tyłu i przytrzymała laskę, kiedy gramolił się na miejsce przy oknie. Zapięła go, gdy młoda kobieta przeszła jedynym przejściem z wózkiem pełnym sponsorowanych przez korporację napojów, podając im dwa woreczki z Umbai Ale. Kiedy Sartoris nieśmiało popijał swoje, Nia zapięła pas. Skrzywiła się, czując jego ucisk w talii, jakby coś ostrego dźgnęło ją w biodro. Wyciągnęła flet z kieszeni. Parsknęła śmiechem. Tak się przyzwyczaiła, że tam jest, że o nim zapomniała.

Pstryknął interkom, w kabinie zapadła cisza.

– Witamy na pokładzie promu firmy O'Daja. Mam nadzieję, że smakuje wam poczęstunek, za który dziękujemy Umbai-Zjednoczonym. Na pewno wszyscy wiecie, że dzisiejszy lot będzie demonstracją opatentowanego Chipa Szybkiego Lotu. Kiedy otrzymamy pozwolenie, przeskoczymy do trzech różnych układów: Averyna, Palau i San Oshy, w tej właśnie kolejności. Nie będziemy zatrzymywać się na dłużej w żadnym z nich, patrzcie więc w okna, jeśli chcecie zauważyć, gdzie się przemieściliśmy. Powinniśmy wrócić za trzydzieści minut. Miłego lotu.

Wszyscy wbili wzrok w iluminatory, wpatrując się w stado statków stanowiących Flotę Kerriganów, dziesiątki pojazdów kropkujących Czerwoną Mgławicę jak mielony pieprz na plamie krwi. Przez cały roczny pobyt tutaj Nia nigdy nie opuściła Joplina; nigdy nie widziała, jak flota wygląda z zewnątrz. To nie był jej dom, lecz mimo wszystko dostała gęsiej skórki, kiedy pilotka odliczyła w dół od pięciu. Ścisnęła w dłoni flet i szepnęła, do nikogo: „Przepraszam".

– …Dwa, jeden.

Nia spięła się.

Nie było żadnego błysku, niczego spektakularnego.

Gwiazdy po prostu zmieniły położenie. Mgławica i flota zniknęły. Przez okno widziała tylko pustą przestrzeń. Przeskok był tak nagły, że przez chwilę myślała, że to złudzenie optyczne, zacięcie pomiędzy klatkami jakiegoś tandetnego holo, właściwie niedostrzegalny, poza skrzypnięciem fotela. Uznała to za prawie żałosne, dopóki nie powiodła wzrokiem za spojrzeniem Sartorisa, do rzędu iluminatorów po drugiej stronie promu i nie zobaczyła, dlaczego wytrzeszczył oczy – ujrzała z bliska iglice Miasta-Planety Umbai, wybielone i jarzące się na tle słońca, wokół którego orbitowała jak jeżowiec pchany prądem wulkanicznego światła.

Nikt nawet nie pisnął.

– Przylecieliśmy do Miasta-Planety Averyn – powiedziała pilotka z uśmiechem w głosie. – Widzicie ją po lewej. Przyjrzyjcie się. Za pięć minut kolejny skok.

Nia bez słowa wpatrywała się w Miasto-Planetę. Oto była – żywy i namacalny dowód, że w jedną czwartą sekundy przeskoczyli przez pół galaktyki. Przywarła do oparcia siedzenia, ze łzami płynącymi po policzkach. Ćwierć sekundy. Za mało czasu, żeby choć podpisać kontrakt przewozowy albo wypowiedzieć pierwszą sylabę zdania „Gotowa do fałdowania". Za mało na cokolwiek.

Objęła się ramionami, przycisnęła flet do piersi. Tyle lat oddała Fałdowi. Ta ofiara była teraz bezsensowna. Już nikt nie będzie tracić czasu. Nie będzie wraków zgubionych na pograniczu bez nadziei na ratunek. Koniec z ostatnimi pożegnaniami ze starymi przyjaciółmi. Koniec z przeskokami przez całe życie zapomnianych kochanków. To było tak piękne i tak okropne, że aż oddech więzł jej w gardle.

Sartoris położył jej dłoń na ramieniu. Powiedziała mu, że wszystko z nią w porządku, choć wiedziała, że już nigdy w porządku nie będzie.

Otarła oczy i spojrzała na flet w dłoni, tani drewniany przedmiot. Postanowiła coś zagrać. Ostatnią melodię, na pamiątkę fałdowań, na pamiątkę wszystkich ludzi, którym pozwoliła coś od siebie wziąć, na pamiątkę Ahra, który był blisko, w każdym statku umiejącym przeskakiwać między gwiazdami. Piosenkę o ofierze z jego krwi, o tym jego uśmiechu, za którym rozpaczliwie tęskniła; o klapaniu sandałów na korytarzu statku klasy Pstrogłów.

Dźwięk, który słyszała nawet teraz. Ułożyła palce na otworach i przycisnęła wargi do ustnika. Z pustką w sercu, kraterem po miłości dla niego, dla nich wszystkich, zagrała trylem parę nut i na pierwszej z nich, tej błagalnej, przeniknęła zasłonę i w miejscu poniżej pradawnych instynktów na ciemnym brzegu rozkwitł mały płomyczek, a młody człowiek obudził się z sapnięciem, jak uderzony w pierś, nie wiedząc, kim jest, gdzie jest i jak długo spał; wiedząc tylko, że ciemności przecięło nagłe światło – ognisko, parę metrów od niego, małe, ale na tyle jasne, że czołgając się ku niemu, musiał odwrócić wzrok, ciągnąc ciało po pozbawionym faktury piasku, przez ławki z drewnianych bali, cały czas mając wrażenie, że zna tę plażę, tę ciemną wodę, lecz nie wiedząc skąd, dręczony tym żarzącym się węgielkiem wrażenia, kiedy przysiadał obok strzelających płomyków i słuchał ich trzasku, znajomego odgłosu, szepczącego głosu kobiety… głosu, który wabił go obietnicą miłości i bezpieczeństwa, przybliżał do czerwono-białego żaru, tak blisko, by parzyć, palić, by ją usłyszeć, gdy otworzył usta i na całe gardło zawołał do niej – TU JESTEM! – i prom przeskoczył z nieoczekiwaną siłą, jak uderzony otwartą dłonią w tył głowy, szarpnięcie wycisnęło pasażerom powietrze z płuc, zawiśli na pasach bezpieczeństwa, woreczki z rurkami poleciały w powietrze jak konfetti, młoda dziewczyna z wózkiem przewróciła się na środku przejścia, wykręcając zahaczoną o podłokietnik kostkę, krzyki w kabinie, ostre i gardłowe, zmieniły się w chór pojękiwań, gdy światła zapaliły się z powrotem, a kadłub z dygotem znieruchomiał, osiadł, zaś Nia, oszołomiona, ścisnęła naciągnięty mięsień w szyi i wyciągnęła rękę do Sartorisa, żeby się upewnić, czy jest cały i zdrów, twarz przyjaciela skrzywiła się, przycisnął dłoń do skroni, którą uderzył o szybę. Zapytała go, czy nic mu nie jest. Nadal skrzywiony kiwnął głową. W kabinie zapadła cisza, gdy wszyscy dochodzili do siebie. Byli tak zajęci wychodzeniem z oszołomienia, że nikt nie zauważył porannego błysku białego słońca w oknach po sterburcie – dopiero kiedy ktoś krzyknął i pokazał palcem, jakby oskarżycielsko, zębate góry tej nieznanej planety. Białe cumulusy. Szarpiący szybami ostry wiatr.

Na świecie, który nie był Averynem.

Pilotka potwierdziła ich podejrzenia trzęsącym się głosem:

– Ja… my… skoczyliśmy. Przywołam kontrolę, zobaczę, o co chodzi. Proszę o chwilę cierpliwości.

Ludzie nie byli zachwyceni. Cały czar prysł i wszyscy zaczęli pokrzykiwać na młodą kobietę pośrodku przejścia, wciąż ściskającą dłońmi kostkę, domagając się odpowiedzi. A kiedy krzyczeli, Nia wymacała na ziemi flet, który upuściła. Potoczył się pod jej fotel.

– Co się stało? – zapytał Sartoris.

– Nie wiem – odparła, podnosząc się, sprawdzając, czy flet się nie złamał.

I nie wiedziała. Elementy układanki w jej głowie, kluczowe wskazówki, nie złożyły się w całość, póki prom nie skoczył ponownie, na żądanie Umbai, i nie znaleźli się w dokach Stacji Przedrzeźniacz. Na lądowisku czekali technicy i Żółte Kurtki, gotowi, żeby zacząć ustalanie przyczyny zaburzenia. Pasażerów zagoniono do biura ochrony portu, a kobieta z Ustinova stała przy statku i bezradnie patrzyła, jak technicy Umbai rozbierają na części jej środek utrzymania. Nię i resztę poddano rewizji osobistej w oddzielnych pomieszczeniach – szukali nielegalnych materiałów i dowodów manipulowania przy układzie SL, choć Żółte Kurtki znalazły w kieszeniach robotników tylko farfocle, karty do gry, twizerynowe śrubokręty oraz jeden tajemniczy flet, który dłonie w rękawiczkach dokładnie zbadały w ostrym świetle pokoju przesłuchań. A kiedy światło wpadło w otwór instrumentu, a inspektor zajrzał do środka i dmuchnął, sprawdzając, czy nic się tam nie kryje, Nii nasunęło się pierwsze podejrzenie – proste skojarzenie, jakby w myślach zetknęły się dwa palce. Śmiała nadzieja na przyczynę i skutek, która zawładnęła jej umysłem, kiedy wróciła na Joplina i opuściwszy w bezwładnej dłoni nóż żarowy, po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwoliła sobie oddalić się myślami od pracy i wspomnieć, co powiedział jej chłopak, kiedy go zabierali; o muzyce, która przyzywała go do domu, kiedy się zgubił.

Po skończonym dniu pracy spotkała się z kierownikiem zmiany i powiedziała mu, że nie podpisze nowej umowy; i że do końca miesiąca się stąd wyniesie. Robił, co mógł, by ją przekonać, na koniec mogąc już tylko stęknąć i życzyć jej powodzenia w przyszłych przedsięwzięciach.

Jadła posiłek w mesie przepełniona poczuciem celu. Tak samo szła korytarzem do współdzielonego z Sartorisem pokoju – wzrok miała wbity przed siebie, stanowczy. Już obmyślała pierwsze elementy swego planu.

***

Nikt nie był pewien, co spowodowało nieplanowany skok, lecz byli zdeterminowani się dowiedzieć. Siatka połączeń Szybkiego Lotu była wyłączona przez dziesięć godzin, a laboranci wyłowili kapsułę z Fałdu, żeby skontrolować okablowanie Nabytku, automatyczne systemy medyczne, ciało ukryte w sercu maszyny, historię bicia jego serca. Test diagnostyczny, przerwany przez poruszenie ciała Nabytku.

Oczu. Otworzyły się, źrenice się rozszerzyły, wpatrzone martwo w kopułową pokrywę kapsuły. Łzy pociekły po policzkach.

Technicy ani drgnęli, sparaliżowani lękiem, że któryś z nich źle wyliczył dawkę środków i że chłopak zaraz ucieknie na skrzydłach swojej mocy. Jednakże otwarcie oczu to był tylko odruch.

– Nic się nie dzieje – powiedział szef techników, unosząc dłoń w rękawiczce. – Dalej śpi.

Kiedy ta emocjonująca chwila minęła, podkręcili środki uspokajające i powieki powoli opadły. I odesłali go, razem z kapsułą, z powrotem w Fałd.

Tyle że szef nie do końca miał rację.

Fragment jaźni chłopaka się obudził. Widział przenikliwe światło, zgiętych, skry-

tych w cieniu ludzi nad sobą, dopóki nowa fala leków nie zabrała go głębiej w sen. Zimna woda zalała mu twarz, gdy pełzł przez czarną wodę i wyczołgiwał się z powrotem na nocny brzeg, jak proteuszowe stworzenie, wracając do małego, gasnącego ogienka na plaży. Podźwignął się na jeden z bali do siedzenia. Bolały go mięśnie. W głowie miał garść igieł, które kłuły przy poruszaniu szyją, gdy rozglądał się po tym miejscu poniżej pradawnych instynktów, pełnym falujących liści, bezgłośnie ocierających się o siebie na wietrze, po wodzie po lewej stronie, z małymi falkami podkreślonymi osobliwie jasnym światłem księżyca. Nie wiedział, co to za miejsce, wiedział za to, że naprawdę jest gdzie indziej. Przycisnął dłoń do pulsującej bólem głowy.

Ból ciała zagłuszył lęk, gdy spojrzał na bezkresną wodę i zobaczył, że idzie ku niemu jakaś postać. Była czarną sylwetką na tle gładkiego, białego księżyca, szła nad falami, jakby w ogóle nic nie ważyła, otulona szatą, która nie odbijała światła, z twarzą skrytą za maską z zimnej porcelany, bladą i surową.

Weszła na plażę, nie robiąc śladów na piasku, okrążyła jego ognisko, przyglądając mu się przez długą chwilę, wreszcie siadła na kłodzie naprzeciwko.

– Obudziłeś się – zauważyła.

Młody człowiek zadrżał, gdy zimna woda skapywała mu ze skóry. W tle gorączkowych dreszczy i świdrującego bólu w głowie coś zadźwięczało; mosiężne dzwoneczki przypomnienia – przypomniał sobie maskę, którą miała na sobie ta osoba. Widział ją już wcześniej, tę niepokojącą gładkość i ciemne szczeliny oczu, przekrzywione, jakby w gniewie czy w śmiechu.

– Jesteś Dobrą Osobą – powiedział.

Nie był pewien, skąd mu się wzięło to imię, ani jak je pamiętał, było jak plaża i czarna woda. Zupełnie jakby zawsze w nim było, w jakiejś sekretnej kryjówce umysłu, i czekało na wyciągnięcie.

Jakimś cudem, maska, mimo braku ust, się uśmiechnęła.

– Tyle ci wycięli, ale jednak nie wszystko – powiedziała wieloma głosami. – Oni wciąż sądzą, że wspomnienia mieszkają w umyśle. Lecz one żyją także w kościach i we krwi. – Głosy były jak szmer-szept, nieokreślonej płci, asynchroniczne, jedne opóźnione względem drugiego, niewyraźne, a każdy jak zimno-ciepła macka wpełzająca mu do ucha. – Wiesz, gdzie jesteś?

Młody człowiek rozejrzał się.

– Nie – odpowiedział. – Ale wygląda… znajomo.

– Bo powinno. – Jej dłonie w rękawiczkach zetknęły się i spoczęły na kolanach. – Raz obchodziłeś tu urodziny.

Skrzywił się. W głowie miał supeł. Zasupłane zapisy pamięciowe, których nie potrafił rozwiązać. Mgła, w której ktoś prosił go, żeby zagrał coś jeszcze na flecie.

Na jakim flecie?

– Tym się nie przejmuj – powiedziała Dobra Osoba. – To już nieważne. Ważne jest tylko to. – Wskazała dłonią w rękawiczce wodę, zza której przyszła. Nagle fale znieruchomiały i ocean wydał się młodzieńcowi twardą powierzchnią, światło księżyca było ścieżką wijącą się po jego dolinach, aż za czarny horyzont. – To jest wyjście z tego miejsca. Ostatnia droga.

– Dokąd prowadzi?

– Na dawno zasłużony spoczynek.

Wstała i wyciągnęła rękę w rękawiczce z szarej skóry; bezgłośny ogień malował na niej wzory. Młodzieniec odczuł przyciąganie tej ręki. I wiedział, instynktownie, że pójście za Dobrą Osobą za wodę będzie oznaczało koniec bólu. I wszystkiego.

Jednakże ciągnęło go coś jeszcze. Ognisko, przy którym siedział. Głos, który się z niego wydobywał. Tęsknota, którą czuł, i pragnął raz jeszcze usłyszeć ten głos.

Objął się ramionami i nie skorzystał z wyciągniętej ręki Dobrej Osoby.

– Jeszcze nie – powiedział, wbijając wzrok w ogień.

– Wiesz, że umierasz – powiedziała. – Spalają cię jak moi pobratymcy z Cichego Statku. Zużywają cię. – Westchnęła. – Młody człowieku, twój koniec jest zapisany. Przykro mi, ale to prawda. Tyle że nie jest zapisane, jak docierasz do tego końca. Masz dwie drogi. Zostać i dać ptakom rozdziobać swoje ciało. Albo odejść ze mną i pozbawić je kradzionego posiłku.

Młody człowiek nie oderwał oczu od płomienia.

– Jeszcze nie – powtórzył szeptem.

Dobra Osoba cofnęła rękę, wpatrzyła się w niego szczelinami oczu, myśli miała nieodgadnione. Usiedli z powrotem.

– To twoja decyzja – powiedziała. – Daj znać, jak będziesz gotowy.

– Dziękuję – odparł.

I robił, co mógł, na tym ciemnym i cichym brzegu, by nie zwracać uwagi na nieubłagany ból w ciele, czekając wraz ze swym opiekunem na następny szept z ognia.

Poza miejscem pradawnych instynktów, w Zjednoczonym Kosmosie, ruch SL wrócił do stanu sprzed usterki. W raporcie wysłanym do zarządu technicy wyjaśniali, że wskutek wielości sygnałów i środków podawanych do organizmu Nabytku jest nieuniknione, że od czasu do czasu nastąpi mimowolny odruch – przeważnie losowy skok, który na przykład przerzuci publiczny prom z Miasta-Planety Averyn w atmosferę świata na pograniczu. Niewiele da się zrobić z tymi „systemowymi błędami", można jedynie podkręcić dawkę koktajlu leków i trzymać kciuki. Dalsze działania nie są zalecane, bo jeden błędny skok na tysiące nie jest wart kosztu dochodzenia. Zarząd zgodził się z tym raportem. W finansowym interesie korporacji było raczej zajęcie się pilniejszą kwestią – coraz większego obciążenia zdolnych do szybkiego lotu statków.

Nazwali to Wąskim Gardłem. Mieli tylko jeden Nabytek, który mógł obsłużyć tylko jeden statek w danej chwili. Jedna taka transakcja, od autoryzacji lotu po sam skok i potwierdzenie jego wykonania, mogła zająć od trzech do pięciu sekund. A w miarę jak z Umbai podpisywało umowy coraz więcej planet i flot, a statków z chipem przybywało, dzienna kolejka autoryzacyjna rozrosła się do setek tysięcy, wydłużając czas pomiędzy żądaniem a skokiem do dziesiątków godzin, albo i dni. Strumień puchł od skarg na absurdalne czasy oczekiwania. Harmonogram skoków zaczęto planować na tygodnie naprzód. Niektórzy pechowi przewoźnicy skakali tylko raz na miesiąc, co oznaczało, że ceny biletów rosły w reakcji na niedobór lotów. Umbai nadal nieustannie optymalizował proces, ścinając ułamki sekund z pętli autoryzacyjnej. A dla usatysfakcjonowania inwestorów wprowadził Godzinę Preferencyjną – jednogodzinną „szybką ścieżkę", według Standardowego Czasu Stacyjnego, w której dostęp do skoków był ograniczony dla statków korpo-rządowych oraz cywilów chętnych, by zapłacić zaporową cenę za bilet. W tym czasie statki mogły prze-

skakiwać, jak i gdzie chciały; to prawo, jawne dla wszystkich, miało w zamyśle pomóc flotom arystokracji i paru innym.

Każdy chciałby mieć takie problemy jak Umbai. Kasa firmy pęczniała od jot za dystrybucję chipów, obowiązywały opłaty za każdy skok, za Godziny Preferencyjne, za umowy lojalnościowe z neutralnymi galaktycznymi potęgami. Zysk rósł wykładniczo. Miasta-Planety mnożyły się. A każdy nowo zainstalowany chip, każdy skok, był jak nerw wyrwany na żywca z grzbietu Nabytku.

***

Sartoris nie znał tego pokoju. Nie znał łóżka, nie znał krzesła przy biurku ani ciemnych wieżowców za oknem. Dotknął zimnej szyby. Nie wiedział, jak się tu znalazł.

Znowu tak się stało.

Ciągle mu coś umykało. Już myślał, że to się poprawia, że ma lepszą świadomość czasu. Jednakże chwilami, tak jak teraz, wystarczyło, żeby się obrócił, i już zapominał. Cała sytuacja uleciała jak pstryknięcie palcami.

Ruszył w kółko po małym pokoju, stukając laską w szorstką wykładzinę – do drzwi i z powrotem do okna. Wyjrzał jeszcze raz. Przełknął ślinę, choć gardło miał suche. Nie znał tego miejsca.

Był sam.

Dłoń zadrżała na gałce laski, kiedy siadał na krześle przy biurku. Coś zaszeleściło mu w kieszeni. Kartka, niedawno wydarta z notatnika. Słowa zapisane pośpiesznie, niedbale. Chwilę zajęło, nim je rozczytał.

Sartoris, widniało na karteczce. Tu Nia. Jesteś w hostelu na Mieście-Planecie Galenie. Wzięliśmy ten pokój na jedną noc. Jest nasz, więc nie wychodź z niego, proszę. Wyszłam o 16:00 do podwarstwy i wrócę przed północą. Muszę coś stamtąd wziąć. Powiem Ci więcej, jak wrócę. Postaraj się trochę wypocząć.

Gdybyś był głodny, w torbie przy łóżku jest jedzenie.

Nic się nie bój.

Jesteś bezpieczny.

Rozprostował kartkę na blacie biurka. Przesunął palcami po słowach „Jesteś bezpieczny”. Powtórzył je szeptem, wstając i wracając pod okno.

– Jestem bezpieczny – mruknął, patrząc w górę na szczyty Miasta-Planety i w dół, w niezmierzone czeluści. – Jestem bezpieczny.

Szeptał te słowa jak gorączkową modlitwę, a życie toczyło się bez niego. Ludzie wpływali i wypływali z wind jadących pomiędzy warstwami. Na samym dole, gdzie nie było widać gwiazd, gdzie ludzie robili sobie światło z połamanych rac i ognisk ze śmieci zrzucanych zsypami z wyższych warstw. Na ulicach było tłoczno, dziecko pośrodku ciżby uśmiechnęło się, załatwiając się pod krawężnikiem i machając przy tym do czteroosobowego patrolu bojówki obywatelskiej, mijającego je z karabinami zawieszonymi na ramionach. Nieopodal leżał trup, rozciągnięty na ziemi, z rozciętym nożem gardłem, a nad nim stali handlarze sprzedający przechodniom podrabiane neura, naszyjniki z orbity i diadem z kamieniami szlachetnymi noszony kiedyś przez

zapomnianą królową statku-kolonii. Taką oto drogą szła Nia, też z bronią – ze starą gaussówką należącą niegdyś do Sonji – mijała budy w zaułkach, oczy, które śledziły ją beznamiętnie, a potem wracały do bezmyślnego wpatrywania się w holoreklamy rzucane na ściany, wychwalające kosztowne cuda nowych produktów korporacji Umbai. Nikt nie pytał, czemu tu jest. Mieli wielu gości z wyższych warstw i doskonale wiedzieli, że nie mogą nic na to poradzić, mogą tylko liczyć, że to miejsce ich pochłonie.

Każde Miasto-Planeta miało podwarstwę, ale Em wychował się tylko w jednej z nich. Nia coraz częściej unikała myślenia o swojej dawnej załodze, teraz jednak, mimo bólu, musiała wydobyć z pamięci jeden szczegół – opowieści dawnego mechanika o dorastaniu na Galenie. O przemocy, którą widział. O jego relacji z kobietą trzymającą palec na pulsie czarnego rynku.

Z Morissą. Nia przypomniała sobie tylko imię, ale po paru godzinach dzwonienia na oślep do niezliczonych Moriss mieszkających w podwarstwie, znalazła w końcu jedną, która zareagowała na imię Ema, a co ważniejsze, także na imię kota Ema.

Po wymienieniu imienia Nandy zyskała zaufanie tamtej kobiety i wskazówki dojścia do jej podziemnego osiedla mieszkalnego; do drzwi na końcu długiego korytarza, oświetlonych ostrymi jarzeniówkami, do ścian wymazanych graffiti w językach nieznanych Nii, bowiem tu, na dole, nawet Umbai nie był w stanie wszystkiego zestandaryzować. Kiedy zapukała, przywitała ją potężna sylwetka mężczyzny z na wpół spaloną twarzą – blizny zaskrzypiały, kiedy uśmiechnął się i poprosił, żeby przed wejściem wytarła buty o wycieraczkę, bo dopiero posprzątał. Dom był przytulny, jak te, które spotyka się w bajkach, pełen poduszek i kotar, ze stołem z prawdziwego drewna, zastawionym filiżankami i parującym czajnikiem, gdzie stara kobieta z mocno cofniętą żuchwą niespodziewanie wzięła ją w objęcia na przywitanie.

Kruche ramiona owinęły się wokół Nii, przycisnęły ją, a w uchu rozległ się szept:

– Ja go kochałam. Zrobię wszystko, żeby pomóc jego przyjaciółce. Ale zanim ci dam to, po co przyszłaś, muszę wiedzieć jedno: trzymasz niewolników?

– Nie.

Odsunęła się od niej, wciąż obejmując ją rękoma.

– Prawdę mówisz?

– Tak.

Skinęła głową.

– Nie jest trudno to poznać – dodała. – Ale musiałam zapytać. – Kiwnęła na człowieka ze spaloną twarzą, który wyszedł i wrócił z paczką zawiniętą w pomarszczoną folię. – Chip maskujący numer licencji. Powinien zdezorientować nadzór na tyle, żeby udało ci się uniknąć wykrycia. Ale nie rób tego za często i staraj się, żeby przerwy pomiędzy żądaniami były losowe. Żeby Umbai nie znalazł prawidłowości, bo nawet się nie zorientujesz, jak na ciebie naskoczą.

Nia wzięła paczkę.

– Ile? – zapytała.

Morissa uniosła dłoń.

– Mało który kapitan pamięta imię dawnego zwierzaka swojego mechanika. – Uśmiechnęła się. – Dobrą pamięć trzeba wynagrodzić.

Kiedy Nia wróciła do hostelu, Sartoris leżał w łóżku, spał, ściskając w dłoni kar-

teczkę od niej, zgniecioną tak, że widziała tylko słowa „Nic się nie bój”. Dotknęła jego ramienia, potem włożyła pajęczarski chip do torby. A później z hostelowego terminalu wykonała połączenie, chcąc poszukać statku – do Torala Andersa, dawnego kapitana statku handlowego Solus, a teraz właściciela firmy Solus Logistics, wożącej ludzi promami. Zamrugał zdziwiony, widząc na ekranie jej twarz.

– Nie wierzę, ty żyjesz! – zawołał. – Baruk był pewien, że zginęłaś na pograniczu. Gdzie ty się, kurna, podziewałaś?

– Miałam zlecenie. Długie zlecenie.

Darowała sobie szczegóły. Przyjrzała się dawnemu koledze. Toral był zauważalnie starszy, ale nie bardzo, może o dziesięć lat. Dopiero kilka lat temu przestał latać Fałdem. Pod oczyma miał worki zdradzające, jak jest wyczerpany, ale poza tym wciąż był przystojny.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała.

– Ja też, Imani. – Miał w oczach coś martwego, jakby patrzył na zjawę, na coś, co zaraz zniknie. Po nieśmiałym uśmiechu na ustach było widać, że wciąż pamięta noc, którą razem spędzili. – W czym mogę pomóc?

– W przystosowaniu – powiedziała. – Wyszłam z Fałdu parę tygodni temu i okazało się, że tymczasem wszystko się zmieniło.

– Jak zawsze, co nie? Ale pewnie się nie spodziewałaś, że cały transport międzygwiezdny stanie na głowie.

– No właśnie. Skoro fałdowania są już niepotrzebne, muszę jakoś się przebranżowić. Słyszałam, że w branży promowej dobrze idzie. I że ty, z twoją pozycją, znajdziesz dla mnie jakiś tani statek. Taki na początek.

Kiwnął głową.

– Wyślę ci listę. Ale muszę cię uprzedzić, że to nie jest łatwy rynek. Pełno nowych, większość zwija się po jednym miesiącu, a teraz są takie podatki, że chwilę zajmuje, nim wyjdzie się na zero. A Umbai niedługo otworzy na turystykę nowe Światy Surowcowe. Dumny jestem, że Solus Logistics wygrała przetarg na jedną z tych tras. – Uśmiechnął się. – Jeśli chcesz z nami pracować, mogę ci zaoferować miejsce.

Gdyby nie miała swoich planów, które musiały pozostać w tajemnicy, rozważyłaby jego ofertę.

– Miło mi. Naprawdę. Ale spróbuję na swoim. Jeśli jest tak źle, jak mówisz, pewnie zaraz przylecę po prośbie.

– Liczę na to – powiedział.

Wiedziała, że mówi poważnie.

Lista, którą jej wysłał, była obszerna. Nazwiska kilkuset potencjalnych sprzedawców na samej Galenie, plus historie statków i złożone lub czekające oferty. Gdy Sartoris chrapał na drugim łóżku, przejrzała tę listę, aż znalazła prom, który mieścił się w budżecie i się jej spodobał. Zadzwoniła i spotkała się ze sprzedawcą w Kapitanacie. Był młodym człowiekiem, z przygnębioną miną kogoś, komu nic w życiu się nie udało. Pokazał jej swój prom, mały, krępy jak cegła, stojący w najgorzej pilnowanych dokach na Galenie. Miał dwadzieścia miejsc siedzących i pachniał kwaśnym kadzidłem. Pomieszczenie na rufie było zastawione workami ze śmieciami, które odsunęła na bok, podczas gdy on zasypał ją przeprosinami i skargami na swego leniwego i głu-

piego brata, ona jednak zupełnie nie zwracała na to uwagi. Nie obchodził jej jego brat, nie obchodziły śmieci ani smród. W maszynowni położyła dłoń na czarnej skrzynce. Chip Szybkiego Lotu. Po próbnym skoku przelała mu joty w zamian za klucz i kartę identyfikacyjną, a on podziękował wylewnie, a potem uciekł pędem, jak najdalej, jakby się bał, że zaraz się zastanowi i wycofa z jedynej uczciwej transakcji, jakiej w życiu doświadczył. Nie wiedział, że u Nii nie ma mowy o wycofywaniu się. U niej jest tylko naprzód.

Powyrzucała śmieci przez wejście do promu.

Rano pokazała Sartorisowi ich nowy statek. Przypięła go do fotela drugiego pilota, włożyła dłonie w kocią kołyskę i wyprowadziła statek z portu, z dala od Miasta-Planety. Kadłub telepał się, przez drzwi kabin świszczało powietrze, ona była jednak przyzwyczajona do starych statków. Lubiła wszechobecne ślady historii. Uśmiechnęła się, kiedy zeszli z orbity i zawiśli w kosmosie, z dala od wszystkiego. Rozwinęła moduł z folii, otworzyła klapę w podłodze kokpitu i zajęła się instalacją.

– Co to jest? – zapytał z góry Sartoris, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknął oczy i dodał: – Nie, nie mów. Przypomnę sobie.

Zanurzona do połowy w otworze w podłodze czekała.

Jego usta z wahaniem wygięły się w uśmiechu.

– Chip maskujący licencję – powiedział.

– Dobrze – odparła z dumą.

– Żeby nas nie znaleźli.

– Jeśli ta teoria da radę. – Stęknęła, wpinając ostatni kabel. Wygramoliła się, nie zwracając uwagi na skaleczenie na ramieniu, wyciągnęła flet. – Pamiętasz, co to jest? – zapytała.

Po chwili jego uśmiech się poszerzył.

– To jego – powiedział.

Puściła do niego oko, przytknęła ustnik do warg i zagrała…

***

…i jak po trąceniu palcem pajęczej sieci, impuls muzyki pobiegł żyłami Fałdu, iskra wśród wirujących prądów, na pogranicze, do tego ciemnego brzegu mieszczącego się w pamięci, gdzie na wybrzeżu rozkwitł drugi ogień, ogień, który widział i słyszał, nawet z miejsca, gdzie się znajdował, nawet stąd. Był to szept pomiędzy szumem, głos, który otulał go od tyłu, a Dobra Osoba ciemnymi szparkami oczu obserwowała, jak podbiegł do tego drugiego ognia, omal nie przewracając się o jedną z otaczających go kłód, jak klęknął, krzyknął tak jak przedtem, a prom wykonał skok i Miasto-Planeta Galena zniknęło.

Znaleźli się w otwartym kosmosie.

Za oknami promu było widać tylko gwiazdy.

Nia opuściła flet od ust, dłonie jej drżały, nie mogła opanować gwałtownej fali emocji, nieśmiałej nadziei zamienionej w pewność, albowiem wreszcie wiedziała, że on słucha.

***

Skok nie przeniósł ich daleko, raptem do sąsiadującego z Galeną układu z jedną planetą. Na orbicie niebieskiej planety jowiszowej Nia chodziła tam i z powrotem przejściem między siedzeniami promu, splatając i rozplatając palce. Nerwy miała naelektryzowane. Sartoris ruszył jej śladem ze swojego stanowiska na jednym z miejsc siedzących i słuchał jej teorii.

– Widzę to tak: są dwie możliwości – powiedziała. – Jedna: on żyje. Gdzieś. Usłyszał melodię, jakimś cudem, i zareagował. Ten skok to jego sposób na kontakt z nami. Albo. – Zwolniła kroku. Palce znieruchomiały. – Nie żyje. To, co się stało po zagraniu na flecie, to jakby… reakcja na jakiś fragment jego umysłu, który został w układzie, to był tylko taniec z cieniem, nic więcej. – Przerwała. – A ty jak myślisz?

– Daj mi chwilę – powiedział z dłońmi na skroniach, jakby rozmasowując ból. – Przepraszam. To dla mnie trochę za dużo. Myślenie jest trudne. Gdzie jesteśmy?

– Sledge. – Usiadła obok niego. – Jeden układ od Galeny.

– Trudno dostrzec jakąś prawidłowość, nie? Może powinnaś znowu zagrać i zobaczyć, dokąd nas przeniesie.

– Na razie nie. Morissa mnie uprzedzała, żeby uważać z częstotliwością. Powinniśmy odczekać parę dni, zanim znowu skoczymy.

– Świetnie. Masa czasu na obmyślenie planu. Znajdę coś do pisania. – Pogrzebał w torbie w poszukiwaniu notatnika. Kiedy go wyciągnął, zmarszczył czoło, włożył z powrotem do torby i grzebał dalej. Zachichotał. – Musi tu gdzieś być.

– Szukasz notatnika – przypomniała mu.

– Wiem – mruknął. Wyciągnął go razem z długopisem. Otworzył na czystej kartce i powoli napisał „Nasz plan”.

– Może ja powinnam pisać – odezwała się.

Zignorował ją. „Krok 1. Zagrać na flecie”.

Na kartkę spadły krople.

Łzy.

– Sartoris.

– Muszę się od nowa nauczyć – odpowiedział, przepisując jeszcze raz to, co się rozmazało. Policzki miał mokre. – Muszę odzyskać sprawność.

– Dobrze – powiedziała.

– No. To mamy pierwszy krok. – Odchrząknął, podniósł długopis. – A jaki jest drugi?

Przez całe trzy dni na orbicie wokół rozwirowanego Jowisza dyskutowali nad planem, co wiedzą, a czego muszą się dowiedzieć. Prom nie miał kabin, więc w nocy spali na rzędach siedzeń – Sartoris z przodu, żeby mieć bliżej do toalety, Nia z tyłu, koło silnika, najbliżej chipa SL. Wiedzieli, że chip reaguje na grę fletu, wiedzieli, że ma łączność z kapsułą Umbai, która skrywa się gdzieś w Fałdzie – plotka była powszechnie znana, nikt jednak nie wiedział, w jakim zatraconym w czasie wirze można ją było odnaleźć. Ta informacja była i tak bezużyteczna dla Nii. Nie była żołnierzem. Nie potrafiłaby zaatakować korporacyjnego statku, nawet gdyby znajdował się w realnym kosmosie, a fałdowania nie chciała ryzykować, choćby na dzień, choćby na jedną sekundę. Miała tylko wspomnienie, z ich ostatnich dwóch tygodni

razem na Debby – wtedy mówił jej o swej mocy, że kiedy się gubił, to jej melodia prowadziła go do domu. Taki był plan. Poprowadzić go do domu.

– A jeśli nigdy nie wróci? – zapytał w środku nocy Sartoris. – Jeśli prawdziwe jest przypuszczenie numer dwa i jego już nie ma z nami… to co zrobisz?

– Będę grać dalej – powiedziała. – Aż się z nim połączę.

Rozmawiali całą noc, a w miejscu w głębinie pradawnych instynktów młody człowiek siedział na plaży i patrzył na dwa ogniska, przy obu zajmowały miejsca cienie jego jaźni, krzyczące bezgłośnie w płomienie. Widok tych ognisk uspokajał go – nawet na tyle, by zapomniał o mdłościach i o brzuchu pełnym noży. O pulsowaniu w głowie jak delikatne stukanie młotkiem.

– Codziennie coraz więcej statków lata na twojej krwi – powiedziała Dobra Osoba, stając obok niego. – Wyczerpują cię. Niedługo zostanie tylko pusta łupina.

– Łupina – szepnął.

Był zmęczony.

– Twoja śmierć jest pewna. Nic tego nie zmieni. Tym uporem tylko przedłużasz swój ból. Jeśli nie możesz rozedrzeć nieba, co za sens tkwić w istnieniu?

Na brzegu rozkwitło trzecie ognisko.

Młody człowiek zrozumiał.

– A więc rozedrę niebo – powiedział.

***

Umbai wykonał obowiązkowy gest i zorganizował mały zespół monitorujący sytuację, wiedział jednak, że najprawdopodobniej wrócą z pustymi rękami. Identyfikator, który pojawił się w systemie zarządczym, był sfałszowany, nie do wyśledzenia. Jeden z tysięcy. Było to chwilowe swędzenie – można się podrapać, ale nie należy robić afery, bo są pilniejsze sprawy.

Właśnie tworzyli branżę Nowej Turystyki. Ludzie domagali się nowych celów podróży. I tak oto Światy Surowcowe, niegdyś odizolowane, by chronić pozyskiwane surowce, zostały udostępnione do publicznej konsumpcji. Najpierw jednak konieczne były przygotowania.

Na Umbai V, w domu na wzgórzu, syn gubernatora stał za drzwiami swojego pokoju, podsłuchując naradę ojca z pozaświatowcami w salonie. Z trudem rozumiał słowa, ostry, choć kontrolowany ton głosu ojca. Był z niego dumny. Wszyscy wiedzieli, że to bardzo odważny człowiek. Jednakże dzisiaj, po niespodziewanym przylocie pozaświatowców, wyglądał inaczej. Jak osaczone zwierzę. Zerkając zza drzwi, widział go, osuniętego nisko w fotelu, z twarzą w dłoniach, pytającego piątkę dziwnie ubranych obcych, czy są jakieś inne możliwości.

– Umowa była podpisana na długo przed twoim czasem – powiedziała jedna z kobiet swoim podwojonym głosem, podczas gdy nad jej głową, jak gwiazdy, unosiły się małe klejnociki; chłopak powstrzymał przemożną chęć, by chwycić jeden z nich i cisnąć z powrotem na niebo, gdzie było jego miejsce. Nie pokazał się im jednak na oczy. – Jeśli chodzi o inne możliwości, jedna alternatywa jest. Ale będzie to długi i skomplikowany proces, którego końca zapewne nie zobaczysz ani ty, ani… –

zerknęła w kierunku pokoju chłopca, a ten schował się za drzwi – …twoi następcy. Czy rozumiesz, co mówię?

Chłopak przywarł plecami do ściany. Nie usłyszał potaknięcia ojca – pewnie po prostu kiwnął głową – po czym kobieta powiedziała:

– Dobrze. To się odbędzie tak.

I odbyło się dokładnie tak, jak powiedziała. Po tygodniu, kiedy statki wróciły, zapytał matkę, co się buduje na polach za wioską. Odpowiedziała mu, z pewną ostrożnością w głosie, że będą mieli wielu gości i że oni będą przybywać właśnie do tego wielkiego domu. Objęła go mocniej niż kiedykolwiek i szepnęła, że to się nazywa Port.

Dorośli zgadzali się generalnie, że Port to zły omen, choć byli i tacy, którym nigdy nie odpowiadała praca na polu albo przy mieleniu dhuby – ci widzieli w nowej budowie szansę na lepsze życie. Sprzeczne opinie przesączały się do dzieci, powtarzających na fioletowych polach sprzeczki swych rodziców i opiekunów, krzyczących na siebie z zażartością ludzi niepewnych, o co właściwie walczą, a za nimi wielkie maszyny instalowały ostatnie płyty lądowisk. Syn gubernatora, tak jak jego ojciec, siedział cicho. Kiedy Port był ukończony, a razem z nim wysoki budynek zwany Hotelem, zasłaniający szklanym ciałem widok na wschodnią część delty rzeki, pojawili się pierwsi goście. Przybyli dziwnymi statkami, w dziwnych ubraniach, z żołnierzami w jadowicie żółtych mundurach. Gdy wchodzili do wioski, trzymał się mocno ręki ojca, póki ten jej nie strząsnął, nie uśmiechnął się po raz pierwszy od rozmowy z przedstawicielami i nie przywitał ich, pozaświatowców.

Syn gubernatora był na tyle mały, że któregoś dnia miał zapomnieć o osobliwości tych nowych rzeczy. Z czasem nie miał w ogóle pamiętać o skrępowaniu, które czuli, gdy turyści chodzili po wiosce, patrząc na wszystko, na domy, jakby zachodzili w głowę, jak ktoś w ogóle może tak żyć. Nie miał pamiętać także swej złości, gdy jeden dostał miseczkę niesłodzonej, nieobrobionej dhuby i po spróbowaniu wypluł ją na ziemię, krzywiąc się przy śmiechu kolegów; czy zażenowania i radości, gdy jeden z nich kucnął przez nim i zapytał z miłym uśmiechem, jak ma na imię. Któregoś dnia pamięć o tych pierwszych turystach miała wyparować i miał zacząć wierzyć, że są tu od zawsze; że to oczywiste, że maszerują pomiędzy łodygami, udeptując ziemię, albo pytają jednego ze zdziwionych rolników, czy mogą spróbować machnąć maczetą. Bo tak właśnie robili.

Życie zaadaptowało się do tych ludzi, powstały nowe budynki, by pomieścić coraz większą liczbę gości. Przedstawiciele zasugerowali, żeby mieszkańcy Piątej Wsi nauczyli się stacyjnego standardowego. Niektórzy goście zostali i zaczęli uczyć dzieci. Syn gubernatora nauczył się go w wieku ośmiu lat na poziomie podstawowym, z czego matka i ojciec byli bardzo dumni, a przynajmniej tak mu się z początku wydawało. Nigdy nie rozumiał, czemu zabraniają mu mówić w tym języku, kiedy siadają do jedzenia. Nigdy nie zdradzili mu, skąd ta reguła, choć chwilami wydawało mu się, że rozumie – gdy widział, że ojciec patrzy na niego jak na kogoś obcego.

Zrobił, co mu kazano. Zachował nowy język dla siebie. I chłonął nowe nauki, nieświadom, że jego życie zaczyna się rozszczepiać na dwoje, dokładnie wzdłuż mostka. Nie miał innego wyjścia, musiał się przystosować.

Zmiana i tak miała przyjść.

***

Zmiana nadchodziła na skrzydłach muzyki. Nia grała na flecie, a on gonił za ogniskami. Trzeci fletowy skok przerzucił ich do następnego sąsiadującego systemu. Tak samo czwarty. I piąty. Sartoris spisywał swoje spostrzeżenia.

Nie ma żadnej…

– Jak to się nazywa, kiedy dwie rzeczy są powiązane? – zapytał ją.

– Korelacja – odparła.

…korelacji pomiędzy graną przez Nię melodią a naszym celem. Te same nuty przerzucają nasz prom do różnych stacji albo i poza stacje. W martwe punkty między gwiazdami. Te punkty są losowe. Przeskok to odruch. Jej gra to uderzenie młoteczkiem w kolano. Przeskok to skurcz nogi.

Nad brzegiem rozbłysły z niczego kolejne ogniska. Głos kobiety się podwoił, potroił, niosła go morska bryza, od której jeżyły mu się włosy na przedramionach, zupełnie jakby też nasłuchiwały. Dobra Osoba patrzyła beznamiętnie, jak rzuca się na te nowe ognie i krzyczy w płomienie. Jednakże odpowiedź nigdy się nie zmieniała – był tylko szum, wahanie, jakby zadawała pytanie słowami, których nie rozumiał. Jedyne, co mógł, to krzyczeć głośniej.

Dziesiąty skok.

Jedyna prawidłowość, jaką udaje nam się wykryć: im dłużej gramy, tym dalej prowadzą nasze skoki. Zamiast sąsiednich układów dalekie gwiazdy. Lecz nasza podróż nie ma kierunku – nic nie pozwala nam nawigować, możemy tylko grać dalej, z nadzieją, że zwiększające się odległości to korzystny dla nas znak.

Dwunasty skok.

Nia mówi, że to jest jak jednostronna rozmowa.

Czuła go, jakby był tuż za drzwiami, lecz te drzwi nie miały klucza, ani nawet zamka, tylko zakleszczoną klamkę. Kiedy Sartoris spał w oddzielonej sekcji kabiny, rozłożony na rzędzie siedzeń, ona kucała obok napędu, tej czarnej skrzynki, przyciskając dłonie do czoła i prosząc o konkretniejszy znak; czarna skrzynka jednak milczała, nieświadoma, że po drugiej stronie młody człowiek chodzi wzdłuż naszyjnika ognisk, z nieodstępującą go na krok Dobrą Osobą, ignorując ból w piersi i głowie, wzmagający się z każdą godziną oczekiwania na kolejny szept.

– Nic z tego nie będzie – szepnęła Dobra Osoba.

Czterdziesty skok.

Nie mamy pieniędzy. Fundusze z pracy Nii u Kerriganów się skończyły, zmuszając nas do przywrócenia promowi jego pierwotnej funkcji.

Na pustynnej równinie za posterunkiem-sondą Nia ostatni raz pociągnęła pędzlem. Sartoris uniósł wzrok znad notatnika i przeczytał na głos nazwę, którą wymalowała białą farbą na burcie.

– Ahro Imani. – Uśmiechnął się. – Nie nazbyt oczywiste?

Chlapnęła na niego farbą.

Wozimy teraz pasażerów pomiędzy niedawno pozyskanymi światami pogranicza, bo konkurencja jest tu mniejsza, plany Miast-Planet dopiero powstają. Ja podaję napoje dwudziestce naszych gości, sugerując pasujące przekąski ze skromnej oferty, Nia zaś pilotuje nas do kolejnego układu.

Kursy robili pomiędzy skokami fletowymi. Było to absorbujące zajęcie – nudne prace biurowe czasami pochłaniały całe tygodnie. Raz stracili miesiąc, gdy promik został zawieszony do czasu „dokładnego" przeglądu bezpieczeństwa, bo przechodzący inkwizytor Zjednoczonych stwierdził, że nie podoba mu się telepanie silniczka manewrowego. Przed wpuszczeniem pasażerów zmiatali z foteli okruszki i zbierali swe posłania. Wyłączali chip maskujący przed poproszeniem kontroli o zgodę. Znosili długie oczekiwanie w kolejkach, często zajmujące większość dnia. A czasami zgoda przychodziła nieoczekiwanie – nie było wyboru, trzeba było stać i czekać. Aby udobruchać niespokojnych pasażerów, niemogących korzystać z rozrywki na neurach, rozkładali w kabinie przedmioty mogące umilić czas. Talie Skrzydeł Tropików, fajki, książki. Lyn z długim gryfem z Suda-Sulai, na którym, jak się okazało, grała głównie Nia, bo przy ludziach nie mogła grać na flecie, więc, by wspominać jego towarzystwo, musiał wystarczyć lyn.

Czasem przygrywa naszym gościom. Gra na prostych akordach to, co jest akurat popularne.

Szesnasty skok.

Jest całkiem niezła.

Osiemdziesiąty.

Teraz komponuje własne piosenki.

A kiedy grała, w miejscu poniżej pradawnych instynktów, w świetle setnego ogniska, młody człowiek to słyszał. Jej pieśń. Była cicha, bardziej jak przeczucie. Dało się jednak zanucić melodię i przypomnieć sobie słowa o powrocie do domu. I kiedy tak słuchał, Dobra Osoba w końcu chwyciła dłonią w rękawiczce za maskę i zdjęła ją, ukazując twarz kobiety, wysokiej i silnej, patrzącej na niego, jakby był jaskrawszy niż sam ogień. Kobiety, której imię miał na końcu języka.

Wyciągnęła rękę.

– Chodź ze mną za wodę – powiedziała.

Wstając, poczuł, że się rozsnuwa, i zostawił ją. Zwalczył pokusę, by się odwrócić, nasłuchując szumu prowadzącego do kolejnego ognia, sto pierwszego, na końcu idącego wzdłuż brzegu ognistego ciągu, a stamtąd wiodącego do dziesiątek i setek kolejnych.

Był to długi marsz na stopach, w których odzywał się bezkierunkowy ból. Znosił go bez słowa. Dobra Osoba nie odstępowała go na krok, ukazywała się przed nim przy następnym ognisku, nie wykonując nawet jednego kroku, błagalna maska witała go przy każdym z nich i namawiała do ostatniej drogi przez wodę. Trzechsetne ognisko. Kusiła go twarzami. Zdejmowała maskę i pokazywała twarze z przeszłości. Weterankę o ostrym nosie, lekarza z idealnie przystrzyżoną brodą, inżyniera, który miał nawyk oglądania się przez ramię na stojące za plecami wyobrażone cienie. Czterechsetne ognisko. Łysy nauczyciel z dobrocią w oczach oraz ten młody człowiek ze szczytu góry, którego ostry wzrok przygwoździł go tam i rozpalił mu serce, niczym długi ciąg ognisk za jego plecami, cały brzeg jaskrawy od jego żądz. Ludzie, ważni dla niego, przemawiający głosem Dobrej Osoby, mówiący mu, by odpuścił. I wszystkie kuszące, ale żadna bardziej niż kobieta, która, jak teraz pamiętał, była kapitanem i kiedyś sprzedała drogocenne książki matki, by kupić bilet poza świat. Trudny kontakt, ale napawający otuchą. Pokrewieństwo w bolesnych lekcjach. Milczące zrozu-

mienie cudzego cierpienia. Przyjaciółka; kiedyś bał się, że go zostawi, ale nigdy tego nie zrobiła, bo dokąd miała pójść, z takim żarem miłości w oczach? To były twarze, które wyświetlała mu Dobra Osoba, zawsze wyciągając rękę, błagając, by ustąpił. Już pięćset ognisk. Była tuż za nim, pytała wszystkimi głosami, czemu się nie zatrzyma. Czy wytrzymuje ten ból? Umbai lał teraz jego krew do chipów Skoczków Osobistych, a każdy wyprodukowany chip i każdy skok były ukłuciem na jego skórze, targnięciem za nerw, od którego się przewracał. Czyż nie wie, że ta droga prowadzi do tego samego końca? Sześćset. Miarowy strumień ukłuć nasilił się w crescendo, a Umbai wymazał jego krwią serce Pelikana i przeskoczył olbrzymią stacją w głąb ramienia galaktyki, manifestując swą dominację nad czarnym oceanem i jego ciałem. Serce mu stanęło, powalając go na piasek.

– Twoje ciało ma ograniczoną wytrzymałość – powiedziała Dobra Osoba, kucając obok niego. – Jesteś jak szklany ptak w imadle i to imadło się zaciska. Pękniesz. Roztrzaskasz się. – Pokręciła głową. – Błagasz o powrót na świat, który się nad tobą znęcał. Świat, który nawet teraz wysysa z ciebie życie, żeby móc urosnąć i pochłonąć wszystkie kierunki. Czemu tracisz czas, idąc tym brzegiem? Po co próbujesz powrotu?

Zaciskał zęby i zbierał się z powrotem na nogi, z ręką przyciśniętą do piersi, powłócząc nogami, człapał do kolejnego ogniska.

– Bo ona na mnie czeka – powiedział.

Istotnie czekała, choć starzała się przez lata muzyki, a wszystko, co widziała i przeżyła, odkładało się świadectwem na jej ciele – zmarszczki śmiechu wyostrzyły się w kurze łapki, stawy zesztywniały, włosy rozkwitły nowymi i urozmaiconymi odcieniami siwizny. Starzejąc się, czekała. W niektóre dni było jej duszno i gorąco, bardzo gorąco, jakby ktoś nakrył ją ciężkim kocem. Siadała wtedy na dachu promiku i grała na lynie, chłodząc się wiatrem z głębi kanionu. Tydzień spędzony na ostatnim ze światów pogranicza, ostatnim kamieniu nieostemplowanym iglicami Umbai. Żadnych warstw miasta w polu widzenia. Tylko ból w ramieniu od trzymania lyna i szarpania jego strun, z których wydobywała swe melodie, a Sartoris na dole słuchał nut napływających przez otwarte drzwi promu.

Mam wiele luk w pamięci, pozostały mi po śpiączce. A ona mi opowiada o załodze, z którą niegdyś podróżowaliśmy. Nie pamiętam ich imion. Dopiero gdy słyszę, jak gra, przychodzą do mnie te rozmazane twarze.

Twarze dawnych przyjaciół.

Nia grała dla zbierających się wokół promiku cieni. Znanych jej niegdyś ludzi. Ich duchy przychodziły wysłuchać występu.

Na czele – Deborah i Siostra.

Dawnych przyjaciół, którzy wymykają się, gdy próbuję sięgnąć do nich myślą. Kształtem jak wycięci z papieru. Jednoaktówka, opada kurtyna i znów ich nie ma. Ciekawe, dlaczego mój mózg jednak chce zachować te abstrakcje. Co mi to daje, trzymanie się tych nie do końca ukształtowanych wspomnień? Co ja mam z nimi zrobić? Do której szufladki włożyć?

– Nie przestanę – powiedziała im Nia, bo dawno poznała swój cel w życiu. Pogodziła się z własną naturą, z tym, że zawsze, nieustannie będzie gonić za tym, co jest poza zasięgiem. Nawet jeśli potem okaże się, że to tylko cień.

Siostra uśmiechnęła się, Deborah kiwnęła głową.

Wiemy.

Może trzeba zadowolić się tym, że są, napisał Sartoris.

Wołania rozbrzmiewały poprzez czas i przestrzeń. Sześćset pięćdziesiąty skok. Były noce, kiedy omal się to wszystko nie skończyło – kiedy ona leżała obok czarnej skrzynki i wyła z furii, a Dobra Osoba prawie przekonywała go, że nie warto już znosić tego bólu, on zaś patrzył na ciemną wodę i myślał: jakie to kuszące przejść na drugą stronę.

Siedemsetny skok. Lecz zawsze rozkwitał kolejny ogień, kolejna szansa na wykrzyczenie swojej pozycji. Ona grała swą melodię, on odnajdował nowe ognisko i razem dodawali do chóru kolejny głos. Osiemsetny skok. Nawet kiedy ich ciała się męczyły, a wiek sunął szponami po jej kręgosłupie, nie pozwalając z bólu usiąść prosto, kiedy nowe floty wydzierały mu powietrze z płuc, kiedy dygotał w ciemności, nie przestawali. Minął skok dziewięćsetny i dziewięćsetny ogień. Czas przeskakiwał między ich palcami i językami, gdy pruli tę niewidzialną ścianę, ona muzyką, on krzykiem; wielość jego jaźni-cieni jak chór, którego głos niósł się echem wskroś płomieni, po kryptach Fałdu, aż tańczyły i buzowały płomienie. To niezachwiane poczucie, że czegoś się dopracowują – razem. Palec, w odległej kapsule, drgający do taktu. Oboje z wyciągniętymi rękami przebijali się przez kolejne lata, aż pewnego dnia muzyka ucichła i zaraz zakończył się międzygwiezdny taniec.

Oto rok i godzina, w której Umbai przeskoczył pierwszym statkiem badawczym do Mgławicy Andromedy, do innej galaktyki, najdalej w historii ludzkości.

To był ostatni wielki wyczyn. Korporacja naciągnęła strunę instrumentu aż do pęknięcia. Gdy statek badawczy znikał z Mlecznej Drogi, wydarł mu resztkę sił z piersi. Energia uleciała z rozchylonych ust. Nogi się załamały. Twarz upadła w piasek z bezgłośnym stęknięciem.

Wiedział, że już nie wstanie.

***

Dobra Osoba wzięła go na ręce. Jej głos był łagodny, gdy mówiła młodzieńcowi:

– To żaden wstyd.

Wiedział, że mówi prawdę, tym smutnym i czułym tonem. Był bezwładny. Miał się już nigdy nie poruszyć. Przeniosła go przez linię ogni, do wody. Nic już w nim nie zostało.

– Niektóre drogi ciągną się i ciągną – powiedziała Dobra Osoba. – A niektóre kończą się przed dojściem do celu. Ale żadna nie ciągnie się wiecznie.

– Wszystkie są jak niedokończone koła – dodała.

***

Stopy Dobrej Osoby dotknęły powierzchni czarnej wody. Nie wzbudzały fal, gdy zaczęła długi marsz na drugą stronę. Młodzieniec przyciskał twarz do jej piersi, kiedy

szła przez wodę, a brzeg kurczył się, ognie malały, dogasała ich ognista furia. Im dalej był od brzegu, tym mniej ważne to było.

Objął się rękoma. Cały się trząsł. Sam był zdziwiony, jak bardzo może być zmęczony i jak bardzo może się bać. Dobra Osoba, jakby czytała mu w myślach, jakby była jego myślami, przycisnęła go do piersi, delikatnie, tylko tyle, by poczuł. W tym momencie wiedział, że jest gotowy na odejście.

– Starałeś się – powiedziała.

Starałem się.

– Możesz być z tego dumny.

Będę dumny.

Rozluźnił się w jej objęciach, ruszył z nią, popłynął za wodę. Jestem dumny, jestem dumny; te słowa były jego ostatnią modlitwą, gdy szli z jaskrawo oświetlonego brzegu w miejsce, gdzie śmiertelnie zmęczeni zaznają spoczynku.

– Tyle ci zabrali – szepnęła Dobra Osoba. – Niech cię pocieszy, że, nawet gdybyś się dziś jej ukazał, pewnie byłby to ostatni raz.

Młody człowiek zgodził się z tą prawdą. Czuł ją w popękanych kościach, w przenicowanych mięśniach. Jednakże te słowa obudziły w nim jeszcze jedną prawdę, głębszą, skojarzoną ze słowami dawnej chłopskiej pieśni.

– Mogli zabrać mój dzień – powiedział, pochyliwszy się odrobinę. – Ale i tak miałbym noc.

Nie był pewien, skąd mu się wzięły te słowa. Tak jak ten brzeg, jak sama Dobra Osoba – kolejna rzecz, która po prostu się wynurzyła. Która była wpleciona w osnowę jego jaźni. Ślad pierwszego rozstania, którego nie pamiętał. A kiedy uniósł głowę, zobaczył to – cieniutkie równoleżnikowe pęknięcie na niebie. Świetlna rysa nad wybrzeżem, które powoli się rozsnuwało, cały czas, jak nitka wypruwana z rękawa przez nerwowy kciuk – teraz było gotowe, by je całkiem rozedrzeć.

I wtedy dostrzegł rozbłysk nowego ognia. Tysięczne ognisko zamigotało jak gwiazda przed świtem, słabe, ale wciąż żywe, poza jego zasięgiem, przyzywające go z powrotem na brzeg.

Nia wciąż grała w kokpicie promu, nie słysząc reakcji. Sartoris obserwował grę, szaleńczą gonitwę nut. Twarz mu obwisła, gdy pogodził się z tym, z czym ona nie była w stanie. Zgarbił się w fotelu, oparł całym ciężarem na lasce, wyszeptał prawdę.

– To chyba koniec – powiedział. – Przykro mi, Nia – dodał.

Jednakże ona po piętnastu latach była zbyt rozpędzona, żeby przestać. Nie miała wyjścia, musiała grać, choć publiczność już wychodziła. Nie przerwała. Nie przerwała nawet, kiedy Sartoris wrócił do kabiny. Nawet kiedy prom przeszedł w stan czuwania i światło zmieniło się na słabe, niebieskie. Nawet kiedy zrozumiała, że to koniec.

On, prowadzony coraz dalej po ciemnej wodzie, odczuł nagłe i dojmujące pragnienie znalezienia się w cieple ostatniego ognia. Zażądał, by Dobra Osoba zaprowadziła go z powrotem. Ta westchnęła i zatrzymała się na czubku znieruchomiałej fali.

– Skoro tak chcesz – powiedziała.

Podprowadziła go do tysięcznego, ostatniego ogniska i ułożyła tuż obok niego, obok wciąż słyszalnego szeptu – właśnie tam, słysząc wołający go głos, młody człowiek wydał ostatni okrzyk i domknął krąg.

***

Prom przeskoczył. Ustabilizował się w prądach powietrznych nowej atmosfery. A w sercu Nii coś drgnęło, gdy patrzyła przez iluminatory na fioletowe pola Umbai V.

Ból sprzed lat.

Nowa branża odmieniła ten świat. Przepłynęli nad gronem wysokich hoteli, portem i wielką fabryką obok pól, lądując na obrzeżach Piątej Wsi, gdzie dało się jeszcze rozpoznać parę rzeczy z czasów, kiedy statki leciały okrężną drogą. Umbai-Fac przysłała rozkładane kapsułowe domy, żeby pomieściły rosnącą ludność, stały teraz poustawiane w wielkie stosy. Dzieciaki z okien na wysokich piętrach patrzyły, jak ona i Sartoris idą krzywymi ulicami. Niektóre wołały do nich w standardowym. „Ej, popatrz na mnie. Pani ładna. Popatrz. Czemu jesteś z tym staruchem?". Szli dalej. Parę domów wciąż miało ściany z łodyg dhuby i drewna z pobliskiego lasu, ale Nii na oko wydawało się, że nikt w nich nie mieszka.

– Jak myślisz, czemu on nas tu sprowadził? – zastanawiał się Sartoris.

Nie umiała odpowiedzieć.

Piąta Wieś miała dziś dzień wolny. Na drodze nie było widać żadnych turystów. We dwoje byli jedynymi gośćmi i prawie nikt nie zwracał na nich uwagi – mieszkańcy przygotowywali główny plac na jakąś wieczorną imprezę. Roznosili stoły i stawiali je na kozłach. Wbijali w ziemię wolno stojące pochodnie, otaczające rynek, a pośrodku gromadzili drwa na wielki ogień. Nia zagadała do jednego z przygotowujących stoły i zapytała go, czy to wszystko na Dzień Dostawy, na co zareagował pustym spojrzeniem.

Oczywiście, że nie, pomyślała, głupio się czując.

Mężczyzna i jego koledzy popatrzyli na nią nieufnie. Nie widząc żadnego gładkiego wyjścia, zaproponowała, że pomoże im układać drewno na ognisko. Zgodzili się, prawie wyłącznie z zaskoczenia, że to zaoferowała, a ona pracowała mimo palącego bólu w ramieniu, ciesząc się, że może tu się na coś przydać. Gdy na palenisku wylądowało ostatnie polano, zaprosili ją i Sartorisa, żeby zostali na imprezie. Jeden zapytał ją o imię. Powiedziała, że nazywa się Nia i że to imię ze Starej Ziemi, a kiedy się uśmiechnął, pomyślała, że zacznie ją podrywać, lecz on tylko kiwnął głową i odszedł. Zaśmiała się z własnego rozczarowania tym, że nie znalazła tu kolejnego Kaedy; zadowolona jednocześnie, że jeszcze ma to w sobie, potrafi się czegoś takiego spodziewać – i chcieć. To jednak już nie był świat z jej wspomnień.

Tamten świat zniknął.

Wieczorna impreza była przyjęciem urodzinowym jednego z synów gubernatora. Kiedy Sartoris podziwiał zastawione jedzeniem stoły, ona oparła się o ścianę, czując ostre déjà vu na widok tańczących młodych ludzi. Syn gubernatora niezdarnie objął w biodrach kobietę, która nie wiedziała o jego obecności. Po to tu jesteśmy? Żeby patrzeć, jak dzieciaki się obmacują? Przechyliła szkło, wypiła. Niecierpliwiła się, lecz nie wiedziała z jakiego powodu. Poruszało ją coś w tych młodziakach obłapiających się nad ogniem, ich nerwowa energia przywodziła na myśl czas, gdy sama lubiła tańczyć i zwodzić mężczyzn. Nie uszczęśliwiały jej te wspomnienia. Potrzebowała być sama.

– Dokąd idziesz? – zapytał Sartoris, odrywając się na moment od rozmowy, gdy zauważył, że wstaje.

– Przejdę się – odparła. – Zaraz wrócę.

– Iść z tobą?

– Nie dzisiaj. – Dotknęła jego ramienia. – Zostań, staruszku. Grzej się przy ogniu.

Uśmiechnął się do niej.

Na skraju rynku obejrzała się jeszcze z czułością za przyjacielem, który raczył zgromadzonych przy stole opowieściami starego przewoźnika, wreszcie odzyskawszy swą dawną elokwencję. Zostawiła go tam, gdzie był na swoim miejscu, brylującego w towarzystwie, przy dobrych trunkach, i dała w łapę strażnikowi przy bramie, by ją przepuścił. Nieśpiesznie ruszyła ciemną drogą pełną kolein, oświetlając ją sobie latarką, i minęła majaczące czarne konstrukcje, nowych mieszkańców pól. Zachodziła przy tym w głowę, dlaczego tak ją ciągnie do tych wzgórz na peryferiach wsi.

***

Fumiko wyczuła to – zmianę kierunku w powietrzu. Otworzyła oczy na blask słońca przebijający się spomiędzy szczytów budynków i złocący leniwe fale w kanałku. Dana wyciągnęła nogi wzdłuż ławeczki, oczy miała na wpół zamknięte, jak zadowolony kot, dłonią muskała spokojną wodę za burtą. Przewoźnik na dziobie skręcił łodzią w zakręt kanału. Kiwnął głową na Fumiko. A Fumiko zrozumiała, że jej długa droga przez Fałd prawie dobiegła końca.

– Jesteśmy blisko – powiedziała.

Dana powiodła za jej spojrzeniem w górę. Słońce zniknęło, chmury zaczęły ciemnieć. Wody kanału zafalowały od małych wybuchów. Razem w milczeniu patrzyły na rozdarcie nieba i obie wiedziały, że nie trzeba już nic mówić.

Przyszedł czas.

A kiedy Fumiko w swym delirium godziła się z nieuniknionym i szybko zbliżającym się końcem, Nia nadal szła przez obrzeża wioski, słuchając ciszy na łagodnych wzgórzach i delikatnego brzęczenia i trzepotania nocnych owadów. Wiatru, który gwizdał nad polami dhuby. Była już kilometr od wsi. Wypatrzyła ładne wzgórze, z którego miałaby dobry widok. Droga na szczyt okazała się zadziwiająco stroma. Zareagowała skrzywieniem na skargi ciała, lecz bez szwanku pokonała ostatnią pochyłość. Spojrzała jeszcze na ciemne pola, na twarde, nieustępliwe łodygi. To miejsce coś w sobie miało. Coś ważnego.

W miejscu poniżej pradawnych instynktów młodzieniec i jego Dobra Osoba spojrzeli na pęknięcie w niebie. Światło, spoza którego dobiegało wspomnienie piosenki.

Zaczekali.

***

Czasem, bardzo rzadko, zdarza się, że wszystko się zgrywa. Takie chwile niektórym wydają się bożym zrządzeniem, dla innych zaś są czystym przypadkiem. Jed-

nakże ten zbieg okoliczności nie ma wytłumaczenia.

Po prostu się zdarza.

***

Nagle przypomniała sobie, co to za miejsce. Włoski na karku zjeżyły się jej, gdy to wspomnienie się rozpakowywało.

Za tym wzgórzem, za tym kamieniem objęli się z Kaedą po raz pierwszy. Poświeciła latarką na trawę przy głazie i przypomniała sobie, jak długa wydawała się tamta noc, długa w dobry sposób, jak spacer dla samego spaceru. Przypomniała sobie swoją głowę na jego piersi, piosenkę, którą dla niej zanucił – drgania, które czuła pod policzkiem, kiedy śpiewał.

Wróciły do niej te dźwięki, nuty piosenki, której tytułu nie pamiętała. Dla niej była to piosenka z młodości – i już przepadała, tak szybko, jak się pojawiła, jej dźwięki już ulatywały z pamięci – pośpiesznie wyciągnęła flet z tylnej kieszeni i je pochwyciła.

***

Pieśń miała wiele lat, pochodziła z przedżniwnych czasów. Matka śpiewała ją nowo narodzonemu synowi w ciszy nad ranem. Piosenka wrosła mu w ciało i kości, melodia, słowa, zanim przyszli ludzie z Cichego Statku i zabrali jej syna w podróż pełną cierpienia, ciągnącą się dłużej niż jej życie. Piosenka, którą nucił sobie przez długie lata podróży, a ona unosiła dłoń do nieba i wyobrażała sobie, że sięga z góry, by ją ująć.

Na tym świecie przekazywano ją sobie z pokolenia na pokolenie. Rolnicy śpiewali ją chórem, gdy praca dobiegła końca i był czas wracać do wsi, tocząc za sobą wózki z fioletowymi zbiorami. Dzień sobie weź, śpiewali, lecz noc mi daj. Do ognia drwa i piwa dzban na stół, do ciebie wracam już. Usłyszał ją, gdy pierwszy raz wrócił na ten świat, siedząc ze starym człowiekiem na wzgórzu i patrząc na powrót z pól; słodkie ciastko w dłoniach zapomniane, zasłuchany, pochłonięty piosenką; słowa w obcym języku, a jednak jakby znajome – był nieświadom, że ma je we krwi, wplecione w nią dziesiątki lat temu przez matkę, która za nim tęskniła.

Właśnie ta pieśń rozdmuchiwała teraz ognie na ciemnym brzegu jego przedwiecznego instynktu, czyniąc z nich ogniste tornada. Płomienie buchające w pęknięte nocne niebo jego opiatowych snów, rozdzierające czarny welon, wpuszczające światło przez rozdarcie, wpuszczające też pamięć o jego imieniu. Imieniu, które wybrał sobie z pomocą Dobrej Osoby, która, jako kalejdoskop wszystkich kochanych przez niego twarzy, podniosła go teraz i ustawiła twarzą ku poszerzającej się świetlnej szparze, aż…

…otworzył oczy.

Suche oczy, kłujące bólem, gdy próbował zogniskować wzrok, przebijając się przez wciąż krążące w organizmie środki. Przebudził się, ale tylko w połowie; w głowie miał kotwicę ciągnącą go z powrotem w sen. Rozejrzał się półotwartymi oczyma,

nadstawił uszu. W jego kapsule było cicho. Nie słyszał zamieszania po drugiej stronie drzwi, za oknem obserwacyjnym, gdzie dyżurujący technicy miotali się nerwowo, gdy ekrany alarmowały o nagłym odzyskaniu przez niego przytomności; nie był świadom ich gwałtownych ruchów, odrzucanych na bok zwijanych ekranów i odżywczych napojów, nie wiedział, że podkręcają dawkę powyżej bezpiecznego poziomu, by nie dopuścić do jego ucieczki. Zanurkował z powrotem w sen.

Spadł jak kamień w czerń.

W gardle Nii rozbrzmiał narastający pomruk, buczenie, jakby opętał ją ktoś inny, potężniejszy, gdy wypuściła z fletu pieśń na powrót do domu. Zagrała nuty, które poleciały falami prądów i rozniosły jej współrzędne.

Jego koścista dłoń szarpnęła się w uwięzi. Powieki zatrzepotały, mrocznym zakamarkiem umysłu popłynął ku powierzchni narkotycznego snu, wyciągając się ku gwiazdozbiorowi nut na niebie. Środki psychotropowe były jak dłoń chwytająca za kostkę, ciągnąca go głębiej w dół.

– Dawać igłę! – zawołał szef techników, wstukując kod i otwierając drzwi do komory z kapsułą.

Darł się pazurami ku świetle jej gorączkowej muzyki. Cały organizm pulsował pośpiesznie jak serce, a statki w galaktyce solidarnie skakały, losowo i poza władzą kontroli; całe miliony, promy, promiki, myśliwce-żmije i osobiste transportowce tańczyły wokół gwiazd, układów podwójnych, olbrzymów, mgławic i galaktyk spiralnych, czerwonych karłów, słupów tęczującego gazu, wszędzie, nikt nie miał pojęcia, co się dzieje, statki ginęły, a potem się odnajdywały i ginęły ponownie, setki stacji przeskakiwały w losowe miejsca. Stacja Pelikan zniknęła z posterunku w kluczowym sektorze galaktyki i zmiażdżyła swym ciężarem sosnowy las, z którego korony uleciały wcześniej spłoszone ptaki.

Technik ściągnął zębami zakrętkę z narkotycznego pióra. Uniósł je jak osinowy kołek, celując w pierś Nabytku i czekając, aż kolega otworzy kapsułę.

Kiedy przybyła, dźwignia była do połowy przesunięta.

Szkuner Fumiko wydarł się z Prądu Szemrzącego i wszedł do wiru w Fałdzie, pośrodku którego kręciła się kapsuła, jak gumowa zabawka tańcząca w odpływie zlewu. Na twarzy nie miała ani uśmiechu, ani marsa, gdy przyciągała do piersi sznurki kociej kołyski i rozwijała żagle na sterburcie, spadając statkiem do środka wiru, ku upatrzonemu celowi. Miała tylko zacięte w skupieniu usta, przytomne oczy, widzące całą ścieżkę życia i godzące się z nią, zdeterminowane wreszcie zakończyć swą tysiącletnią podróż. Wszystko stało się szybko. Dziób statku złożył się w harmonijkę, zderzając się ze ścianą stacji, i wyrzuciło ją z fotela. Zanim jej głowa zderzyła się z szybą i zapadła ciemność, mogła przysiąc, że słyszała wysoką, przenikliwą nutę melodii – nutę, która niosła jej upragniony spokój, dopóki szkuner nie został zgnieciony w całości i nie zdetonowały ładunki YonSef.

W sekundę po kulistym kadłubie kapsuły przebiegły pęknięcia, z których wylało się światło. Jaskrawa kula czknęła i się wydęła. W jednej chwili odparowały korytarze, koje, mesa, sala z konsolami; technicy w pracy, technicy mający wolne – nieświadomi przybycia Fumiko, czy jej odejścia, zmiecieni po prostu ostatnim wzruszeniem jej ramion. A w przestrzeni między tymi sekundami, zanim opalizujący błysk YonSefów zmiótł i jego, Nabytek otworzył oczy, niebezpieczeństwo obudziło pra-

dawny instynkt, cięciwa ciała się napięła.

Wystrzeliła strzałę między gwiazdy.

Nia usłyszała ją, kończąc ostatnią nutę piosenki. Pomruk w chmurach.

Trzask.

Przedmiot przebił niebo. Patrzyła, jak z błyskiem uderzył w ziemię, całkiem niedaleko. Ruszyła w jego stronę. Zbiegła ze wzgórza, po drodze zrzucając spowalniające bieg sandały. Pobiegła przez pole, kalecząc stopy sterczącymi z ziemi ostrymi źdźbłami. Paliły ją płuca. Gdy dotarła do osmolonego krateru po eksplozji, po drodze potykając się o poczerniałe metalowe odłamki, czując gorąco ziemi pod stopami, brak powietrza w płucach, wsparła dłonie na kolanach. W samym epicentrum zobaczyła gładką kapsułę wielkości trumny. Trzęsącymi się dłońmi sięgnęła, dotknęła jej, sparzyła się żarem. Chwyciła za dźwignię zamka, ciało już niczego nie czuło, zacisnęła zęby i przekręciła ją z wysiłkiem w prawo, nozdrza wypełnił odór spalonej skóry na dłoni. W końcu zamki puściły i klapa uniosła się z westchnieniem, jak otwarta ostryga. Zimna mgiełka zgęstniała wokół stóp Nii, gdy podeszła do otworu i zajrzała do środka. Całkiem wstrzymała oddech, widząc, co jest w środku, owinięte meduzą czarnych kabli.

Nagie ciało dorosłego mężczyzny. Kończyny długie i wychudzone. Skóra twarzy napięta na kościach czaszki, na ciele poznaczona bliznami, zarówno starymi, jak i nowymi. Opowieść utkana z bólu. Odgarnęła przyssane do ciała rurki, wyciągnęła długą, przezroczystą, wpełzającą mu do przełyku. Przycisnęła dwa palce do chudej szyi, z ulgą wyczuła powolny jak żółw puls. Podniosła go, wyniosła z miejsca katastrofy, starając się nie myśleć o tym, że ciało ma lekkie jak papier. Wypadli z pól na drogę. Na ubitej ziemi usiadła wyczerpana. Rzęziła, trzymając go na kolanach. Nabierała wielkie hausty powietrza, a on wiercił jej się w ramionach, coś nieskładnie mamrocząc suchymi, spękanymi ustami.

– Nic nie mów – powiedziała, ścierając mu pot z czoła. – Oszczędzaj energię.

On jednak nie usłuchał rozkazu pani kapitan. Uniósł głowę. A kiedy otworzył oczy, ucieszyła się, że pomimo lat wciąż są wielkie, ciemne i piękne. Że czas nie zmienił nic, nawet melodyjności jego głosu, gdy szepnął:

– Ja cię słyszałem.

Podziękowania

Pomagało mi mnóstwo osób, na wiele drobnych sposobów, miejsce jest jednak ograniczone, a pamięć zawodna, ograniczę się zatem do tych, którzy mi się dziś przypominają. Ostatni rok tego przedsięwzięcia był dla mnie trudny. Jaśniejsze punkty stanowiły beznadziejne dziaderskie żarty Matta Johnsona oraz świetne towarzystwo Merab Okeyo i Nourii Bah, które od czasów szkoły średniej przypominały mi, że istnieje świat poza moim pokojem; oraz oczywiście zabawni i uzdolnieni Oscar Mancinas i Doug Koziol oraz nasze wielogodzinne i niezmiernie mi potrzebne rozmowy telefoniczne. Dziękuję moim czytelnikom, Anthony'emu Martinezowi i profesor Jessice Treadway, za ich szeroką i przydatną perspektywę, mojej głównej czytelniczce, Erin Jones, którą bombardowałem wstępnymi wersjami, potokiem pytań i ogólnymi neurozami, a ona z nadnaturalnym taktem przyjmowała je i rozpatrywała, sprawiając, że zawsze czułem się lepiej niż wcześniej. Promotorce mojej pracy, profesor Kim McLarin, za hojne poświęcenie mi myśli i czasu i za rzucane bez wysiłku wnikliwe komentarze, bez których ta książka nie byłaby nawet w połowie tak dobra – jej studenci naprawdę mają szczęście, zalicza się bowiem do najlepszych wykładowców. Ciepłe słowa dla mojej agentki, Hannah Fergesen, i redaktorki Sarah Peed, za fantastycznie wsparcie w wydaniu tej książki. Dziękuję, Hannah, że wierzyłaś w ten projekt, dziękuję, Sarah, że go uładziłaś. To zaszczyt pracować z tak niesamowitym zespołem. I na koniec dziękuję mojej rodzinie. Mamie i tacie. Braciom: Quinnowi, Kane'owi, Garthowi, Sebastianowi i Nicolasowi (a także Farrah i Clarissie) oraz siostrze Sarze. To rzadko spotykane i wielkie szczęście, nie tylko kochać, ale lubić swoją rodzinę i jej towarzystwo. Szczęście rzadkie, wielkie i moje.

Przypisy

1 JAXA – Japońska Agencja Aerokosmiczna (przyp. tłum.).
2 Autor używa zamiast „Mr” i „Ms” nieokreślającego płci skrótu „M.”, zupełnie jak polskie „p.” (przyp. tłum.).
3 To nawiązanie do zdolności z powieści Gwiazdy moim przeznaczeniem (a wcześniej opowiadania Stephena Kinga), gdzie jej nazwa pochodzi od nazwiska „wynalazcy” (przyp. tłum.).